



Joanna Dobkowska

MEDIUM

WYDAWNICTWO ARKADY

Joanna Dobkowska

MEDIUM

WYDAWNICTWO ARKADY

© Wydawnictwo Arkady Sp. z o.o., Warszawa 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania i nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i nieudostępnianie treści książki w sieci.

Dziewiętnastowieczne zdjęcia z Archiwum Autorki i Wydawnictwa Arkady.

Projekt graficzny i okładka: Marta Przybył

Redakcja: Bożena Szłapczyńska
Korekta: Renata Zielińska
Skład i łamanie: Sylwia Szur

ISBN 978-83-213-5217-6

CIP Biblioteka Narodowa
Dobkowska, Joanna
Medium / Joanna Dobkowska. - Warszawa :
Wydawnictwo Arkady, cop. 2016

Wydanie I, 2016. Symbol 5120/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 50/51
info@arkady.eu, www.arkady.eu
www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady
www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra
księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61, e-mail: księgarnia@arkady.eu

Wyłączny dystrybutor: DOBRA 28 Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 94
e-mail: biuro@dobra28.pl, www.dobra28.pl
księgarnia wysyłkowa: www.arkady.info
tel. 22 444 86 97

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Szczecin](#)

[**CZEŚĆ I. ILZYDA**](#)

[Szczecin](#)

[**CZEŚĆ II. ADELINA**](#)

[**CZEŚĆ III. ANNA**](#)

[**CZEŚĆ IV. HERTA**](#)

Dla Aleksandry

SZCZECIN

Czerwiec 1911 roku

Córeczko – pisała. Adres musiała dostać od Helmuta, Ilza podała go mężowi, bo uzgodnili, że raz w miesiącu będzie wysyłał jej pieniądze. Jak obiecał, tak robił. Z pruską sumiennością, ani dnia spóźnienia co do ustalonej daty, wysyłał śmiesznie nędzną kwotę, za którą – w swoim mniemaniu – kupował milczenie. Ilza nie miała zamiaru go szantażować, ale to nie przyszło mu do głowy. Szantaż założył z góry i postarał się, by od razu wszystko było jasne.

– Tyle właśnie kosztuje twoja dyskrecja, Ilzydo Filomeno Bonusch z domu von Taffel vel Tafel. Tyle i ani feniga więcej. Bo niewiele jesteś warta. Nikt ci nie uwierzy. Możesz mówić, co chcesz, zobaczysz, że ludzie wezmą to za rojenia zwariowanej dziwki. Zabrałem cię z bagna, kupowałem wszystko, a ty mi tak odpłacałaś. Pogryzałaś rękę-karmicielkę, niewdzięcznico.

Pieniądzy od Helmuta wystarczało akurat na wynajęcie klitki na czwartym piętrze kamienicy. Pod łóżkiem Ilza trzymała nocnik i walizkę z ubraniami, które nie zmieściły się na gwoździu wbitym w drzwi. Obok posłania stała szafka, na niej rzadko używana maszynka do gotowania. Dalej krzesło i kiwający się stół, wciśnięty we wnękę pod krzywym oknem. Z okna roztaczał się piękny widok, widok wolności.

Kiedyś do Szczecina przyjechał Helmut, by po raz ostatni przemówić Ilzie do rozumu. Wspinał się po wyślizganych schodach, sapiąc i przeklinając. Wyżej? Co, jeszcze wyżej? Cały ciężar ciała opierał na poręczy, aż się biedna ugiwała. Sunął pulchną dłonią po szorstkim drewnie, z którego dawno złuszczyła się farba, nie napotkał jednak na żaden opór, nie spotkała go najmniejsza nieprzyjemność. Ani jedna drzazga nie śmiała wbić się w wypielęgnowaną skórę pana mecenasa. Ilza, odkąd tu zamieszkała, już ze dwadzieścia razy wydłubywała z dłoni drzazgi, igłą, przy kiepskim świetle lampy opalanej najtańszą naftą. Bo niektórym wszystko się wbija, a innym nigdy nic. Tak się właśnie sprawy mają. Rozejrzał się po pokoju i nie krył satysfakcji.

– Bieda, Ilse. Po prostu nędza. Mówiłem ci, ale nie chciałaś słuchać. Nie chciałaś mnie zrozumieć. Nie byłaś posłuszna, jak żona, dobra żona, powinna być. I co, lepiej ci teraz? Lepiej niż w domu, gdzie miałaś sukienki, kapelusze, światło elektryczne, wszystko? Lepiej?

– Lepiej – odpowiedziała szczerze. Na utrzymanie zarabiała jako dama klasowa i nauczycielka francuskiego w prywatnej pensji dla dziewcząt. Wiedziała, co tam o niej myślą (i niech sobie myślą) – mademoiselle Ilzyda: ponura belferka, nielicząca się stara panna. Kobieta bez mężczyzny, czyli istota

niepotrzebna nikomu, chyba że jako smutny przykład i przestroga. Głowę nosi wysoko jak Bóg wie kto, a jest tylko wyleniałym, pożałowania godnym stworzeniem, cierpliwie składającym fenig do feniga. Nędzne oszczędności nigdy nie odmieniają jej żalnego życia. Być może przydadzą się na pogrzeb.

Po pierwszym liście, choć Ilza nie odpisała, przyszły następne. Matka donosiła, że osiadła na stałe w nadmorskim miasteczku, kameralnym, uroczym i... położonym tuż obok Szczecina! Jakież szczęśliwy zbieg okoliczności, będą mogły się teraz często odwiedzać. Wynajęła apartament w pensjonacie o romantycznej nazwie Szczęście Adeliny, z którego okien ma boski wręcz widok na morze.

Monetowskie zachody słońca, à la Monet. Szum fal, zupełnie jak symfonia tego..., zapomniałam jak się nazywał. Miał długie, zakręcone włosy, pamiętasz? A jaka tu galeryja prowincjonalnych typów! Ubawiłabyś się – jak zwykle nie zwracała uwagi na to, że Ilzę bawi co innego niż ją, o ile w ogóle cokolwiek. – Tak mi żal, że twoje małżeństwo nie wyszło, ale wszyscy mężczyźni są tacy sami, tylko patrzą, jak kobietę wykorzystać i wyrzucić. Mamy siebie. Przyjedź, odetchniesz morskim powietrzem. Wiem, że nie lubiłaś moich przyjaciół, ale tu żadnego z nich nie spotkasz. Jestem sama, nawet duchy mnie opuściły. Przyjedź, Ilzuniu, tęsknię za Tobą. Proszę.

Na ostatniej stronie zamiast podpisu rysowała ciekłym piórem serduszka. Ilza czytała te listy, następnie paliła w swoim pokoju na czwartym piętrze kamienicy. Popioły i niedopalone resztki papieru spadały na porcelanowy talerzyk, a potem fruwały, wyrzucane przez okno z pięknym widokiem.

SZCZECIN

2 października 1913 roku, czwartek

Telegram przyszedł chwilę po rozpoczęciu lekcji. Ilza nie zdążyła jeszcze sprawdzić, czy wszystkie panienki odrobiły zadania domowe, gdy woźny wywołał ją z klasy. Jedna z dziewczynek westchnęła z ulgą i szepnęła do koleżanki: „Bóg mnie wysłuchał! Mam nadzieję, że Kostucha poszła na dobre”. Zabawne, jak dzieci nie zdają sobie sprawy z tego, że nauczyciel wszystko słyszy. I zabawne, jak celne przezwiska udaje im się wymyślać.

Kategoryczny stukot obcasów na kamiennej posadzce niósł się po całym korytarzu, gdy szła do gabinetu dyrektorki. Telegram leżał na biurku. Przełożona niezręcznie złożyła kondolencje: „Rozumiem, co pani musi czuć”... Akurat! Tego samego dnia Ilza nadała telegram zwrotny: „Proszę nie czekać z pogrzebem. Cmentarz protestancki może być. Na nagrobku napisać: Anna Tafel. Zmarła 1 października 1913 roku”. Tyle. Żadnych sentymentalnych niedorzeczności, bredni o rodzinie w nieutulonym żalu, żadnych hrabin, sam goły fakt. Córka przyjedzie za kilka dni i zapłaci, co się należy.

3 października 1913 roku, piątek

Córka nie uroniła ani jednej łzy, za to niebiosa rozpląkały się nad Anną obficie. Po południu deszcz już ustał, lecz na ulicach pozostały wielkie kałuże. Idąc do banku, Ilza przemoczyła buty. Szła zdecydowanym krokiem, tyczka w czarnej, niemodnej sukience, postukując rytmicznie parasolką. Pokryje koszty pogrzebu i wykupi długi, daj Boże, niewielkie. W przeciwieństwie do wyrodných matek, zawsze wypełnia obowiązki. Tak się właśnie sprawy mają. Odpląci prawdziwie po chrześcijańsku – dobrem za zło. Z chrześcijańskim odpuszczeniem win byłoby trudniej – gdyby Ilza spróbowała. Zaniedbania w rodzicielstwie mogłaby wprowadzić, choć z trudem, matce przebaczyć; czego żadną miarą nie mogła jej darować, to głupoty i wstydu, który przyniosła rodzonej córce.

7 października 1913 roku, wtorek

W pociągu usiadła przy oknie, naprzeciw starszej pani tłumaczącej równie wiekowej przyjaciółce, jak fatalnie wpływa kolej żelazna na kobiety przy nadziei – siostrzenica męża poroniła na sam widok lokomotywy. Obrzuciły towarzyszkę podróży ciekawskimi spojrzeniami, lecz Ilza nie wyglądała na osobę mającą jakąkolwiek nadzieję, poza tą, że nikt nie będzie próbował jej zagadywać.

Czwarta współpasażerka, wciśnięta w kąt przedziału, też nie sprawiała wrażenia chętnej do pogawędki o lokomotywach. Przymknęła oczy i szemrzącym szeptem odmawiała różaniec, przesuując chudą ręką paciorek za paciorkiem. Katoliczka. Ilza patrzyła na nią z politowaniem zmieszonym z zazdrością. Był czas, gdy próbowała utopić rozsadzające ją wrzenie w religii. Bezskutecznie – Ilzę ominęła łaska wiary, podobnie zresztą jak ominęło ją wiele innych rzeczy. „Wiara to dar od Boga”, śpiewnie powtarzały zakonnice z klasztornej pensji w Krakowie, w której dorastająca Ilzyda Filomena męczyła się przez dwa lata. Na brak tej łaski nie poradzą ni msze, ni kadzidła. Nie pomoże tysiąc razy odmawiany „Ojcze nasz” ani klepana od zmierzchu do świtu „Zdrowaś Maryjo”. Zanim to zrozumiała, Ilza spędziła wiele godzin na modlitwie. Widząc, jak gorliwie, ze łzami w oczach powtarza zdrowaśki, ludzie nabierali o Ilzydzie lepszego mniemania. Ostatecznie, cóż ona biedna winna, że ma taką matkę: matki się nie wybiera, przyszłość wcale nie musi pokazać, że jest do swojej zepsutej rodzicielki podobna. Owszem, nie musi, ale rysy, identyczne jasnoblond włosy, takie same okrągłe, niebieskie oczy, diabelsko długie rzęsy... „Na wszelki wypadek powiedziałam mojej Dziuni, żeby trzymała się od tej małej z daleka”. Niech Ilzyda Filomena zostanie zakonnicą. Będzie modliła się za zbawienie matki – a zaiste dużo pacierzy na to trzeba, samo nieskończone Boże miłosierdzie może nie wystarczyć – i wiodła cnotliwy żywot. Z taką rodziną, w dodatku bez pieniędzy, nie ma najmniejszych szans na zamążpójście. Brak doczesnego majątku okazał się jednak przeszkodą także do pozostania w klasztorze; matki nie było stać nie tylko na wniesienie zakonnego wiana, ale nawet na ostatni rok nauki na pensji, Ilza musiała więc przerwać edukację. Nauczona pacierzy, wdzięcznego dygania, spuszczenia oczu na zawołanie i robótek ręcznych, wróciła do hrabiny von Taffel przebywającej aktualnie w Poznaniu. Dwa lata wcześniej Anna i Ilzyda rozstały się w gniewie, ponowne zejście się matki i córki nie przywróciło rodzinnej harmonii. Anna szybko pożałowała pochopnej decyzji – to był jednak głupi pomysł pozbywać się dziewczyny, oddając na przechowanie mniszkom. Zakonnice raz dwa przerobiły Ilzydę na świętoszkę, która modli się niemal bez przerwy, zegna nad każdą szklanką wody, nad talerzem, pustym czy pełnym, bez ustanku składa dzięki Opatrzności za opiekę. Jaką opiekę? Z całą pewnością to nie Opatrzność wyrywa sobie spod gardła, by mieć na utrzymanie knąbrnej pannicy. Opatrzność nie kiwnęła nawet palcem, by Ilza miała porządne buty. To Anna musiała zrezygnować z kupienia dla siebie nowej pary pantofli, a święty Piotr świadkiem, że naprawdę ich potrzebowała do szmaragdowej sukienki. Wkrótce hrabina von Taffel przekonała się, że córka celowo, z pełną premedytacją działa jej na nerwy. Modli się ostentacyjnie, odzywa nieproszona, a dzieci nie powinny odzywać się, gdy nikt ich o nic nie pyta, wszak to podstawa kindersztuby, nieprawdaż? I najgorsze: Ilzyda Filomena na każdym kroku

okazuje matce pogardę. Proszę, jak ją te mniszki wychowały! Nawet nie nauczyły najważniejszego przykazania: czcij ojca swego i matkę swoją. Z ojcami to wprawdzie różnie bywa, za to matkę ma się tylko jedną.

Ulubionym tematem rozpraw Ilzydy przy stole był dzień Sądu Ostatecznego, bliższy niż się wielu wydaje. Świat się kończy; by to zauważyć, wystarczy się rozejrzeć. Już wkrótce bezwstydnym grzesznice ciężko odpokutują upodobanie, z jakim nurzają się w śmierzącym bagnie występku. Będzie płacz, zgrzytanie zębów i chmara ohydnie brzydkich szatanów ciągnąca dziwki za włosy do piekła. Uszy niewiernych porazi dźwięk trąby archanioła...

– Dość już Ilzydo, tylko nie przy śniadaniu o tych otwierających się grobach. Znowu. Zjedz lepiej jajko na miękko.

– Co tam jajka, gdy rozlegnie się trąba archanioła, wzywająca do powstania wszystkich sprawiedliwych, ziemia rozpęknie się na pół...

– Dziękuję, moja droga, wystarczy, bardzo ładnie to przedstawiłaś, jaka szkoda, że kobiety nie mogą być księżmi lub choć pastorami, nie miałabym kłopotu z twoją przyszłością. A tak Bóg jeden wie, co mam z tobą zrobić i wcale Go to nie obchodzi. Jak śmiesz przerywać rodzonej matce?!

Ciekawe, co powiedziałyby aktualny adorator Anny, gdyby zobaczył, jak jego subtelna nimfa wali pięścią w stół, aż podskakują filiżanki, a z jajka na miękko wylewa się żółtko.

– Wszystko na mojej głowie! Siwieję przez ciebie, właśnie przez ciebie! Jedyna córka i żadnej z niej pociechy, żadnej pomocy! Postaraj się przynajmniej być dziś miła dla gości i nie opowiadaj im bajek o świętym Augustynie. Bądź też łaskawa nie wspominać nierządnic babilońskiej. Ładnie się popisałaś w zeszyły wtorek! Baronowa von Getz była wprost wstrząśnięta, jak młoda panienka, dziecko jeszcze, może interesować się takimi rzeczami.

– Takimi rzeczami powinien interesować się każdy chrześcijanin – odparła Ilza, ale matka nie przyjęła tego do wiadomości.

– Jak przyjdą goście, nie powinnaś zwracać na siebie uwagi. Jesteś, ale jakby cię nie było, rozumiesz, prawda? Włóż białą sukienkę, nie, nie jest za krótka, jest w sam raz, włosy zapleć w warkocz i nie mów nikomu ile masz lat. W ogóle nic nie mów, chyba że ktoś cię zapyta. A wtedy krótko i na temat. I bez Sądu Ostatecznego!

W Poznaniu mieszkały ponad rok. W tym okresie Ilza modliła się tak gorliwie, jak nigdy przedtem czy potem. I nie chodziło wyłącznie o doprowadzanie Anny do szaleńcy ani też o to, by uparta matka uświadomiła sobie w końcu własną zgniliznę moralną, szczególnie odrażającą w porównaniu z dziewiczą czystością ciała i ducha córki. Ilza dała sobie spokój z nawracaniem hrabiny von Taffel – zakonnice nie miały racji, niektórych ludzi nie da się zbawić, szatan musi mieć

swój łup. Hołubiła za to nadzieję, że w nagrodę za godziny spędzane na klęczkach, kwadratowe kolana i ściskanie żołądka – bo postanowiła odprawiać nowenny na czczo, by było jeszcze trudniej – spłynie na nią pewnego dnia, w najbardziej zaskakującym i niespodziewanym momencie, łaska od Boga. Nie wiadomo, czy On istnieje, ale jeśli istnieje, zapewne jest bardzo zajęty, to tłumaczy brak responsu z Jego strony, przecież nie może być skąpy. Co Mu taka jedna łaska, musi mieć jej krocie, na podobieństwo worków ze złotem. Obejrzy się pewnego razu, popatrzy z niebiesiech na ziemski padół, powie: „A cóż to za milutka sarenka? Zasłużyła sobie na prezent” i sypnie w dół łaskawym złotem, a ją jakiś mistyczny dukat stuknie w głowę, oszołomi i w końcu zacznie wierzyć. Wszystko stanie się prostsze, zrozumiałe, celowe. Święte, a nie podejrzone, czyste, a nie śliskie i brzęczące brudną monetą – jak u matki...

Wspomnienie osoby Anny Eudory hrabiny von Taffel działało zawsze jak kubeł zimnej wody i nieubłaganie gasiło wszelki, z takim trudem rozpalany płomynek nadziei. Myśląc o matce, Ilza była pewna, że nigdy nie uwierzy w duchy, nawet święte, choćby nie wiem co.



GRUSS VOM
OSTSEESTRAND

meine liebe Frau!
Lieber Mann!
Lieber Sohn!
Lieber Vater!

... in der Brandung.
... 20. oder 22. ist, wenn die Gorkulotion
... bitte ...

HOLE AM MEER

7 października 1913 roku, wtorek

Chmury wiszą nisko, zimna mżawka siąpi bez przerwy, postawiona buda dorożki nie chroni całkowicie przed podmuchami sztormowego wiatru. Co za paskudna pogoda, co za obrzydliwe miejsce, a w dodatku obskurna, zapuszczona landara, w której jakiś rozpuszczony bachor zostawił na siedzeniu ślady brudnych bucików. Ilza czuje, że zbiera jej się na katar – głowa już pęka. Prócz skroni bolą ją też pośladki, bo ławka twarda, a wynajęty powóz mocno trzęsie. Krajobraz płaski i nudny. Najpierw długo jechali przez porośnięte szuwarami moczary, teraz mijają usadowione karnie, w równym szeregu wzdłuż ulicy, domki, ani ciekawe, ani piękne, zresztą błoto, które tryska spod kół, skutecznie zniechęca do wychylania się z budy i podziwiania widoków. Dorożkarz, chyba wariat, pokrzykuje wciąż o wojnie. Ależ hrabinę von Taffel musiało bawić zadawanie szyku w tej iście kameralnej miejscowości! Nie do wiary, że osiadła w takiej dziurze, ona – miłośniczka wielkiego świata, gwiazda półświatka, dusza podejrzanej socjety. Jakim cudem wytrzymała tyle czasu bez towarzystwa? Przecież nie znosiła samotności. Odkąd rozstała się z Ksawerym, dni spędzała otoczona rojem obleśnych amantów, wyfiokowanych przyjaciółek – konkurentek i nie całkiem zdrowych na umyśle miłośników spirytyzmu. W nocy, gdy akurat nie towarzyszył jej żaden z „przyjaciół”, przychodziła do Ilzy. Przytulała się i zabierała sen. Z kradzionym snem zasypiała szybko i mocno. Chuchała Ilzie w twarz albo trącała ją w kark zimnym nosem. Kiedyś, dawno temu, Ilzunia lubiła spać razem z mamą. Wybudzona w środku nocy, wiała sobie nowy sen, od początku. Szesnastoletnia Ilzyda odsuwała się, jak to tylko było możliwe, a potem leżała sztywno, z otwartymi oczami, wyczekując niecierpliwie świtu. O pierwszym brzasku wyślizgiwała się zdrętwiała z łóżka i klękała do pacierzy, pewna, że widok modlącej się córki zepsuje matce nastrój od samego rana.

Ilza wyciąga z kieszonki płaszcz zegarek, który rok temu otrzymała za zasługi dla szkoły. Przełożona pensji bynajmniej nie kupiła go w celu uhonorowania nauczycielki – po prostu dostała od byłej uczennicy, a że miała już takie trzy, postanowiła przekazać dalej. Zegarek pokazuje, że w Hole właśnie minęło południe. Jak ta dorożka okropnie się wlecze! Do tego niemiłosiernie podskakuje na kocich łbach uliczki, w którą skręcili z głównej drogi. Rosną przy niej lipy, w większości już ogołoczone z liści. Jesień w tym roku przyszła wcześniej; na prowincji jest jeszcze bardziej przygnębiająca niż w dużym mieście.

Wracając do Anny, jednej rzeczy Ilza wciąż nie rozumie: dlaczego hrabina von Taffel grzeszny żywot zakończyła akurat tu, w dziurze wciśniętej między bagno i morze? Po co w ogóle do Hole am Meer przyjechała? Z powodu długów? Zawsze je miała, odkąd Ilza pamięta, ale nie przejmowała się nimi zbyt. Najczęściej usiłowała po prostu zostawić je za sobą, z reguły wyjeżdżała, nie regulując rachunków. „C'est la vie” – twierdziła. Dziś Paryż, jutro Londyn, Berlin lub Genewa, pojutrze – któż to wie? Utrata protektora? To też jej się zdarzało częściej niż często. Po przeżyciu kilku złamań serca i kilkunastu dotkliwych rozczarowań, następne traktowała mniej więcej tak jak nieuniknione zmiany pogodowe. Słońce świeci, a potem nie świeci. Po upalnym lecie z reguły przychodzi rozmazana jesień. Oto i cała jej – burdelowa – filozofia. „Tacy są mężczyźni, moja droga, nie ma bardziej zmiennego stworzenia na całym świecie. Nigdy im nie wierz, choćby pełzali przed tobą i całowali cię w stopy. A zwłaszcza wtedy im nie wierz” – tłumaczyła córce w ramach jednej z pogawędek mających przygotować dziewczynę do dorosłego życia. Ilzę mdliło od wysłuchiwania mądrości nierządnic. Zwierzenia kurtyzany kalają jej dziewicze uszy. Dlaczegoż Anna Eudora nie była w stanie pojąć, że jest ostatnią osobą, od której Ilzyda przyjąłaby jakiegokolwiek rady czy wskazówki? Mężczyźni nie są tacy, jak uważała matka, która wybrała ubłocone życie i dostała to, na co zasłużyła. A na koniec uciekła do Hole am Meer, skompromitowana i zawstydzona, bo zapewne ktoś odkrył kolejną fałszywą kartę z jej bogatej przeszłości i wyłożył publicznie na stół. Na przykład zabawiał berlińskie towarzystwo wieścią, że hrabina von Taffel tak naprawdę nazywa się Tafel i przyszła na świat pod Częstochową, w małym miasteczku, które właściwie było tylko dużą wsią; że z arystokracją: polską, czeską czy niemiecką, wszystko jedno którą, miała tyle wspólnego co pokojówka na zamku Windsor z królową Wiktoria – grzebała mianowicie w jej majątkach. Ilza wiedziała o tym dzięki Helmutowi, który z kolei grzebał w archiwach, przeglądał księgi parafialne, a nawet wykorzystał swoje „wysoko postawione” znajomości w celu przeprowadzenia małego dochodzenia. Odkrycia podarował Ilzie z okazji pierwszej rocznicy ślubu. Dowiedziała się wtedy, że Anna Tafel, córka dzierżawcy Ignacego Tafla i Marianny ze Strzelowskich, urodzona w 1858 roku, rozpoczynając spirytystyczne występy przybrała tytuł hrabiny. Nadała też sobie drugie imię – Eudora, zapewne uważając, że samo „Anna” jest zbyt zwyczajne. Bękarta z nieznanego ojca nazwała jeszcze cudaczniej – Ilzydą Filomeną, co stanowiło pierwszy z szeregu ciężarów, które dziecko dostało od zdeprawowanej rodzicielki do dźwigania na całe życie.

– Ależ z ciebie podły człowiek – powiedziała Ilza do męża.

– Dlaczego, Ilse? – zdziwił się Helmut. – Popatrz tylko na siebie: jesteś żoną, a nie konkubina, to prezent o wiele większy niż mogłaś oczekiwać od losu.

Nosisz jedwabne suknie, kolczyki z prawdziwymi perłami, a nie imitacje, w których bezwstydnie paradytuje twoja matka, wieczorem idziemy do teatru. Nie masz długów, o ile wiem. Twoja babka karmiła świnie. Powiedziałem ci wszystko, byś wiedziała, ile miałaś szczęścia i jak daleko zaszłaś. Możesz być z siebie dumna.

Nie pierwszy raz Helmutowi udało się ją upokorzyć, ale tego dnia zrobił to w szczególnie udany sposób. Jak Ilza, znając przecież swoją matkę na wylot i od najgorszej strony, mogła dotąd wierzyć bez zastrzeżeń w te arystokratyczne wymysły? O święta naiwności! Niczego się nie domyślała, gdy Anna Eudora z lubością opowiadała o wspaniałościach rodzinnego pałacu, z którego wygnał sierotkę niegodziwy stryj. Nie żywiła najmniejszych podejrzeń, gdy „hrabina” z upodobaniem wyliczała wieżyczki, klatki schodowe i pasażę. Nie miała żadnych wątpliwości nawet wtedy, gdy matce myliły się zatarte w pamięci szczegóły – rodowa siedziba nabierała bowiem wyrazistości w miarę jak hrabina von Taffel poznawała kolejnych mężczyzn i widywała więcej zamków. Ilza miała już ze dwanaście lat, gdy pałac Anny ostatecznie zyskał regularny kształt z basztami na narożach, styl zdecydowanie gotycki i wypełnił się pamiątkami po przodkach, takimi jak starożytna zbroja przy wejściu, skóra lwa upolowanego przez pradziadka w Afryce czy japońskie wazony zdobiące kominek, wniesione w posagu przez praprababkę. Samych salonów było w zamku ze dwadzieścia, a najpiękniejszy z nich nazywano Pokojem Karmazynowym.

Dorożka przystaje przed domem nie brzydszym niż sąsiednie – i to najlepsze, co można o nim powiedzieć – w niczym nie przypominającego romantycznego pensjonatu, nad którym, w egzaltowanych zachwytach, rozplýwała się hrabina von Taffel. Gdzież ten „wręcz boski” widok na morze? Okna budynku z jednej strony wychodzą na ulicę, z drugiej – na grządki kapusty.

– Tutaj? – podejrzliwym tonem pyta Ilza dorożkarza. – Na pewno?

– Teraz się odezwała! A całą drogę jak grób – mamrocze urażony dorożkarz. Czy ta panusia myśli, że on nie zna własnego miasta?

– Muschelgasse 14. Taki adres mi pani podała – potwierdza burkliwie, inkasuje należność i odjeżdża, zostawiając targaną porywistym wiatrem pasażerkę pod furtką. Zawracając konia, mruży jeszcze pod nosem o zamiejscowych damulkach, którym wydaje się Bóg wie co. Chodzi taka w wytartej kiecce, a nawet z człowiekiem nie pogada, ważniaczka. Wojna zaś będzie, na pewno.

Mniejsza z dorożkarzem, Ilza jedną ręką przytrzymuje łopoczący szal, drugą stara się wepchnąć portmonetkę do włóczkowej torebki. Wiatr próbuje zerwać jej z głowy kapelusz i wciska cętkowaną woalkę w oczy. Przenika przez znoszony materiał płaszczyka i cienką bawełnę sukienki, chłószcze zimnem aż do gołej

skóry. Jak zawsze, wszystko przez Annę – też sobie wybrała czas i miejsce do umierania! W pokoju na piętrze ktoś odchyła firankę. Po chwili otwiera okno.

– Panna Ilzyda? – Tęga kobieta w średnim wieku wychyla się i patrzy z góry na przybyłą. Pani, nie panna, chce ją poprawić Ilza, bo w tym prowincjonalnym miasteczku zdecydowana jest uchodzić za szacowną wdowę, ale szkoda czasu na kontredanse, pyta tylko, czy ma właśnie długo wyczekiwaną przyjemność poznania pani Herty Knopke.

– No, to ja, a kto inny w moim własnym domu – odpowiada tamta. – Spóźniła się pani. Dłużej nie mogliśmy czekać. Choć zimno, ale trup to trup. Pochowaliśmy dwa dni temu. Jedyna córka i na pogrzeb matki nie przyjechać...

Córka przybyła wtedy, gdy mogła, poza tym telegrafowała, by nie czekać na nią z pochówkiem. Nie życzy sobie zatem grubiańskich komentarzy ani bezpodstawnych wyrzutów tyjących się spraw rodzinnych, a wygłaszanych przez osoby obce. Nagły podmuch, za nim łopot szala zagłuszają słowa. Może pani gospodyni domyśli się, że zmuszanie gościa do przekrzykiwania wiatru i konwersowania z nią przez okno nie należy do dobrego tonu. Gospodyni być może domyśla się tego, bo mówi:

– Proszę poczekać. Już schodzę.

Wychodzi z domu, starannie zamykając za sobą drzwi. Nie ma zamiaru wpuścić gościa do środka. Dziwne maniery, ale czego innego można oczekiwać po tym zapomnianym przez Boga i ludzi grajdole.

– Najpierw na cmentarz czy do pensjonatu?

– Pensjonatu? – dziwi się Ilza. Po co ma iść do jakiegoś pensjonatu? Dziś jeszcze wraca do Szczecina.

– ...pensjonatu, w którym mieszkała i zmarła pani matka. To tylko kawałek drogi stąd w stronę morza.

Tak jak Ilza podejrzewała, budynek przy Muschelgasse nie jest owym uroczym i romantycznym Szczęściem Adeliny, hrabina von Taffel, choćby na krótko, nogi by tu nie postawiła. „Moja droga” – powtarzała Ilzydzie, z maniackim uporem ucząc ją życia – „nigdy, przenigdy, nie można zejść poniżej pewnego poziomu. Jak cię widzą, tak cię piszą”.

– Uprzejmie dziękuję, ale proszę sobie nie robić subiekcji – odpowiada Ilza. – W pełni doceniam pani zaangażowanie, lecz niestety bardzo się spieszę. Przyjechałam jedynie uregulować należności.

– W tamtym pokoju zostały rzeczy.

– Och, proszę zrobić z nimi, co pani uważa. Niech je weźmie, kto chce.

– Nikt ich nie weźmie, nie ośmieli się nawet tknąć. Hrabina życzyła sobie, by wszystko przekazać pani. Wyłącznie pani – Herta Knopke wpatruje się

w przesłoniętą woalką twarz Ilzy, usiłując zająrzeć jej prosto w oczy. Sama ma rozszerzone źrenice i drżące usta. Ilza odkrywa ze zdziwieniem, że ta miejscowa kobieta boi się Anny. Boi się żalosnej, głupiej, a teraz już nawet martwej i pochowanej Anny Eudory, której ostatnim sukcesem było, jak się zdaje, odgrywanie roli wielkiej pani hrabiny w miasteczku zagubionym wśród wydm i bagien. Miejscowe towarzystwo musiało paść plackiem przed modelem kapelusza sprzed trzech sezonów i tandetną, szklaną kolia, z której, zdaniem Helmuta, wyśmiewał się cały Berlin.

– Hrabinie zależało, by rzeczy trafiły do pani rąk, wyłącznie do pani rąk – nalega gospodyni. – Cenne przedmioty, rodzinne pamiątki...

– Nie potrzebuję żadnych rodzinnych pamiątek. Jeśli pani nie chce niczego zatrzymać, proszę oddać biednym, na pewno są jakieś ubogie rodziny w mieście – Ilza traci cierpliwość: niczym żebraczka stoi pod furtką niewychowanej mieszczki, nawet nie poproszono jej do środka! Moknie na deszczu, marznie na wietrze. Czuje, jak nos w szybkim tempie nabiera czerwieni ostro kontrastującej z bladą cerą. Naturalnie, uroda to błahostka, marność nad marnościami, mydlana bańka, którą prawdziwy chrześcijanin przepuszcza koło nosa – koło tego czerwonego nosa właśnie, bo liczy się, co człowiek ma w środku, ale Ilzę i tak irytuje świadomość, że wygląda jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Dręczy ją też obawa, że nie zdąży na powrotny pociąg do Szczecina, przeliczyła się bowiem: jazda rozklekotaną dorożką ze Stacji do Hole zabrała więcej czasu, niż się Ilza spodziewała. A teraz jeszcze ta bezsensowna rozmowa! Cenne minuty mijają, czas biegnie, pociąg nie zaczeka, Ilzyda nie ma pojęcia, gdzie, jeśli się spóźni, będzie nocowała, gdzie tu jest jakiś niedrogi, a przyzwoity hotel czy zajazd, w którym samotna dama, choćby nie pierwszej młodości, nie będzie narażona na afronty. Herta Knopke zaś kręci głową i powtarza swoje w kółko:

– Nikomu prócz pani nie wolno dotykać tych rzeczy. Hrabina wyraźnie powiedziała: niech nikt nie waży się niczego tknąć, przekaz Ilzydzie, że musi wszystko zabrać!

– Tak mówiła moja matka! – Ilza podnosi głos. – Ja teraz mówię co innego, a ona nie żyje!

Żywa czy umarła, Anna Eudora od dawna nie ma już prawa dyktować Ilzydzie żadnych warunków.

Zgromiona gospodyni daje za wygraną. Odwraca się i mruczy przez ramię, nie patrząc już na Ilzę:

– W takim razie chodźmy na cmentarz. Nie mogę sobie pozwolić na stracenie z panią całego dnia.

– I vice versa – odcina się Ilzyda. Tego Herta już nie komentuje, bo zapewne nie zna łaciny.

Cmentarz na szczęście jest blisko, tuż za rogiem. Schodzą z brukowanej alejki i kluczą między nagrobkami. Knopke prowadzi Ilzę do miejsca przy samym murze, gdzie ze świeżego nasypu ścieka strużkami na ziemię żółte błoto. W rozmiękły piach wciśnięto świeczkę. Stoi wygasła, nawet nie wypalona do końca, tylko zgaszona deszczem.

– Pustki były na pogrzebie – mówi Herta Knopke. – Przyszliśmy tylko ja i pastor.

Dwie obce, obojętne osoby, jedna świeczka, żadnych wieńców. Gdyby Ilza sprowadziła ciało matki do Berlina, tam na pewno pożegnano by hrabinę von Taffel wystawniej. W końcu kiedyś była gwiazdą. Wielu się w niej kochało – a potem zdradziło i puściło kantem. Nie miała biedaczka szczęścia do ludzi: fałszywe przyjaciółki odbijające konkurentów, niestali w uczuciach amanci i córka, jedyna córka, która nawet nie przyjechała na pogrzeb. I wcale nie ma z tego powodu wyrzutów sumienia! Herta Knopke może sobie gadać co tylko chce, Ilzę nie jest w stanie to w ogóle dotknąć.

– Poczekam dalej, by pani nie krępować – gospodyni odchodzi kilka kroków w bok. Ilza zziębniętymi palcami w mokrych rękawiczkach dotyka czoła – pięknie, już rozpalone gorączką – i kreśli znak krzyża. Na czarnej tabliczce wypisano białą farbą: Anna Tafel. Zmarła 1 października 1913 roku. Nie ma ogonka pod a – Niemcy często nie znają tego znaku i z Tąfla zrobił się Tafel. Nie szkodzi, ważne, że nie ma hrabiny, „von” i tego pretensjonalnego podwójnego „f”. Nie ma też daty urodzin, ale to nie jest niedopatrzenie, lecz ustępstwo – za życia Anna Eudora odejmowała sobie z wdziękiem co najmniej jeden dziesiątek lat, albo w ogóle omijała temat wieku. Na aluzje (nie wypadało pytać wprost) odpowiadała kokieteryjnym „a na ile wyglądam?”. Odpowiedzi były zawsze podobne: „ależ droga pani, gdyby nie fakt, że ma pani taką dużą córkę, pomyślałbym, że jest pani niewiele od niej starsza”. Taka duża córka. Prawdziwa panienka. Za duża córka. Ilzyda porzuciła środowisko, w którym się wychowała, Helmuta, paskudny, znienawidzony Berlin, brudy ukrywane pod elegancką narzutką. W Szczecinie prowadzi ubogie, lecz uczciwe życie, w którym nie ma niczego udawanego, wszystko jest prawdziwe. No, może z wyjątkiem nazwiska, bo oficjalnie wszak wciąż nosi mężowskie, ale obiecała, że nie będzie go używać, żyjąc na własną rękę. Przyrzekła podawać się za pannę. Starą pannę. Na swój sposób to nawet uczciwsze, bo o wiele bardziej czuje się Ilzą Tafel niż panią Ilse Bonusch. A wracając do nagrobka, czyż brak jakiejś daty na jakimś krzyżu w rogu prowincjonalnego cmentarza ma teraz znaczenie? Może coś zepsuć? Nie unieważni krucjaty, z której Ilza jest taka dumna. Skłonmy głowę przed majestatem śmierci, jak mawiała siostra Franciszka. Jeśli Anna widzi ten skłon, z piekła, nieba, niebytu, skądkolwiek gdzie teraz jest, może się cieszy? Coś podobnego, tym razem córka jej nie zdradziła!

– Nie – mówi sobie Ilza – nie chcę o tym pamiętać, nie będę o tym myśleć, nic nie myślę, tralalala, amen, wieczny odpoczynek.

Herta Knopke stoi w dyskretnym oddaleniu. Podchodzi, gdy Ilza odwraca się od grobu. Jeśli panienska chce, by ktoś sadził kwiaty, bo wiadomo, że jest nietutejsza, to ona zna solidną kobietę, która się tego podejmie za niewielkie pieniądze, mówiąc zaś o pieniądzach...

Należności za pogrzeb, krzyż, wysłanie telegramu oraz długi matki – zaskakująco niewielkie – zostają uregulowane od razu, o krok od świeżego grobu. Jeden z banknotów, czyściutkich – bo niedawno wyjętych przez Ilzę z banku – zmieniając właścicielkę, wymyka się obu parom rąk.

– Och! – Ilza podnosi go z ziemi, brudząc czubki czarnych rękawiczek na żółto. – Przepraszam, trochę się pomazał.

– Nie szkodzi – odpowiada dobrodusznie pani Knopke. – Pieniądze to pieniądze, czyste czy brudne.

Rękę z banknotem wkłada do kieszeni fartucha, a gdy ją sekundę potem wyjmuje, w zaskakująco cienkich jak na tęgą osobę palcach trzyma klucz.

– Nie da już pani rady wracać dziś do Szczecina – tłumaczy pannie von Taffel jak upartemu dziecku. – Po co szukać noclegu przy Stacji, tam naprawdę nie ma dużego wyboru, skoro może pani przenocować w pensjonacie? Bezpлатnie, w tym samym pokoju, w którym mieszkała pani matka. Może też pani zostać za darmo dzień, a nawet dwa. Prawdziwa okazja; inni ludzie ciężkie pieniądze płacą, by się morskiego powietrza nawdychać. Klucz jest od drzwi wejściowych, nie ma drugiego klucza, pani matka nie zamykała pokoju, mieszkała sama jedna.

Ilza unosi brwi.

– Sama jedna w całym pensjonacie, tak, ale w naszym miasteczku wszyscy wszystkich znają i dama nie ma powodu do obaw, nikt nie będzie jej się narzucać. Przy okazji przejrzy pani rzeczy. To już pani decyzja, co z nimi zrobi. Hrabina mieszkała w latarni, tak nazywamy małą wieżyczkę, zresztą zobaczy pani. Schodami proszę się nie przejmować, skrzypią, ale właściwie są w dobrym stanie, no może ósmy stopień od góry zaczyna się trochę wyłamywać, lepiej go przestąpić.

Nie czekając na odpowiedź, gospodyni wkłada Ilzydzie klucz do ręki. Zimny i ciężki. Najpierw lodowacieje od niego dłoń, potem chłód rozchodzi się po całym ciele. Gdy dociera do serca, Ilzę ogrania rozpacz. Zaczyna nią trząść gniew, ba, wręcz furia. Nienawiść. Czuje, że mogłaby zabić. Chce zabić. Zaszokowana, niezdolna do ani jednej racjonalnej myśli, Ilzyda Filomena drży i stoi bez słowa, aż fala emocji opada, pozostawiając po sobie pustkę i wyczerpanie. To po prostu dreszcze z powodu gorączki, wapory ze zmęczenia

długą podróżą, oczy pieką i łzawią od ostrego wiatru. Gospodyni ma rację. Lepiej odpocząć, nabrać sił, dojść do siebie, wyjechać jutro rano.

– Przepraszam, rozboliła mnie głowa – pod czujnym okiem Herty Knopke Ilza czuje się w obowiązku wytłumaczyć z czegoś, co z braku lepszego określenia uznaje za chwilę niedyspozycji. – Chyba mam gorączkę.



Ociera oczy woalką.

– To od wiatru – wyjaśnia.

Gospodyni kiwa głową, najwyraźniej przyjmując fakt do wiadomości.

– Przenocuję w pensjonacie – ustępuje Ilza.

– Bardzo słusznie – mówi Herta Knopke. – Zaprowadzę panią.

Chuda w parze z przysadzistą, milcząc, idą obok siebie opustoszałymi ulicami miasteczka. W taką pogodę nikt, kto nie musi, nie wychyla nosa z domu, za to podgląda świat zza haftowanych zazdrostek. W końcu cisza staje się nie do wytrzymania.

– Znała pani dobrze moją matkę?

– Nie, nie – odpowiada szybko, może nawet za szybko, Herta. – Nikt jej nie znał. Była obca w tych stronach, pani sama wie najlepiej. Nikt jej nie odwiedzał i nie utrzymywała z nikim stosunków.

– Ale z panią się widywała.

– Tak, bo ja przychodziłam po czynsz i przynosiłam rzeczy, które pani matka zamówiła. Jedzenie i tak dalej. Pod koniec jednak prawie nic nie jadła.

– Chorowała?

– Pewnie tak.

– Na co?

– Nie wiem.

– Jak zmarła?

– Nie wiem.

– To pani ją znalazła?

– Ja, ale niczego nie wzięłam.

Ilza wzrusza ramionami. Tamta ma chyba jakąś obsesję, choć wie przecież, że mogła sobie wziąć wszystko na zdrowie. O czym z taką nieobytą, małomiasteczkową babą gadać? Znow zapada milczenie, na szczęście dochodzą już do wydm. Zza żółtych pagórków wycierają trójkątne wycinki wzburzonego, szarego morza. Fale z głośnym szumem biją o brzeg. Ilza zauważa, że spod mokrego piasku prześwituje drewniany chodnik.

– Wejście na molo – wyjaśnia Herta Knopke. – Ale o tej porze roku jest tu pusto.

Rzeczywiście, w oddali spaceruje tylko jedna osoba, mężczyzna, zapewne przyjezdny, zważywszy na zauważalną nawet z daleka szykowną, a jednocześnie dyskretną linię stroju. Elegant wpatruje się w stojący na skarpie dom: piętrowy, z fantazyjną wieżyczką, zarastający zielonoszarymi plamami porostów. Na poznaczonych łatami odpadniętego tynku ścianach mającą zatarte, ale wciąż dające się odczytać litery: Szczęście Adeliny. Okna parteru zabito deskami, na

dachu kiwa się desperacko na wietrze, wbita korzeniami w dachówki młoda brzoźka.

– Ależ to żaden pensjonat, tylko kompletna ruina! – wykrzykuje Ilza bez namysłu. Tu mieszkała hrabina von Taffel?! Ta sama, która za nic w świecie nie chciała „zejść poniżej pewnego poziomu”?

– Owszem, przydałby się remont, ale od środka dom wygląda lepiej – mówi sztywno urażona gospodyni. – Jest ciepły, a dach mocny, nie przecieka, okna wieży wychodzą na morze. Pani matce całkowicie odpowiadały te warunki.

Jeśli Annie odpowiadały „te warunki”, musiała być w tragicznej sytuacji. W nędzy, którą z takim upodobaniem straszyl Ilzę Helmut. Tak się właśnie sprawy mają. Nikt już niczego nie chciał pożyczyć hrabinie na piękne oczy. Ani też, nie owijając rzeczy w bawełnę, sypnąć groszem w zamian za korzystanie z nadgryzionych przez czas wdzięków. Duchy ją wykiwały, ludzie opuścili. Musiała zaszyć się w dziurze i mieszkać w ruderze. Dobrze jej tak.

– Zwróci mi pani klucz przed wyjazdem. – Herta Knopke obraca się na pięcie jak czarna beczka wokół własnej osi i kieruje w stronę, z której przyszła.

– Nie wejdzie pani ze mną? – Maniery tej kobiety przekraczają wszelkie wyobrażenia. Nawet wyobrażenia Ilzy o głuchej prowincji.

– Nigdy więcej tam nie wejdę – odpowiada twardo Knopke. Zapewne przeżyła straszliwy wstrząs, znajdując lokatorkę martwą. Nie wygląda wprawdzie na wrażliwą personę, ale kto ją tam wie.

– Niech pani pamięta o schodach – dodaje jeszcze i nie czekając na odpowiedź, odchodzi szybkim krokiem, prawie biegiem, zupełnie jakby obawiała się, że Ilza siłą zaciągnie ją do środka. Niech więc sobie idzie ta ordynarna kobieta i uwolni lepiej wychowane osoby od swego gburowatego towarzystwa, Ilza wzrusza ramionami. Wędruje w kierunku domu błotnistą dróżką, starając się nie powalać za bardzo trzewików, choć to beznadziejna sprawa, i unosząc spódnice tak wysoko, jak tylko może sobie na to pozwolić dama przekonana, że nikt jej się nie przygląda. A zresztą! Dama pragnie znaleźć się jak najszybciej w miejscu, gdzie nie wieje zimny wiatr i nie pada lodowata mżawka, gdzie jest – tylko tyle i aż tyle – sucho. Jednak ten dom nie wiedzieć czemu onieśmiela; docierając do furtki, ku własnemu zaskoczeniu, mimo pogody i mimo zmęczenia, Ilzyda zbacza i wdrapuje się na wydmę. Trzewiki zapadają się w piasek. Z wydmy w całej okazałości rozciąga się widok na morze przypominające ryps – materiał, z którego kiedyś uszyto dla Ilzy wiosenny płaszcz. Był szary, prążkowany, upstrzony gdzieniegdzie białymi nitkami. Brzydkie. To morze, szare, upstrzone białymi grzywaczami, też jest brzydkie. Płaska, szeroka plaża robi przygnębiające wrażenie. Fale bez ustanku zalewają mokry od deszczu piach, kreśląc monotonne zakola. Wypływają na ląd, cofają się, skaczą do przodu, biegną do tyłu. I znów.

I znowu. Ciągłe ten sam ruch. Wysiłek bez sensu. Zupełnie jak próby wpakowania francuskich koniugacji do głów niechętnych wszelkiej wiedzy paniom. Jak życie. Jak Ilzy życie. Od horyzontu po horyzont – nikogo. Ani jednej przyjaznej duszy. Nieznajomy z molo zniknął, poszedł w swoją stronę, zapewne do domu, gdzie czeka na niego rozpalony kominek i filiżanka gorącej czekolady. Wszyscy oni wracają do domów, do żon i dzieci, jak przystojny profesor rachunków ze szczecińskiej pensji, na którego Ilza zwykła zerkać dużo częściej niż powinna, czasami nawet wyobrażając sobie, jak delikatne mogłyby być muśnięcia jego wypielęgnowanych wąsów na jej... wystarczy. Morze i plaża są nudne, a nadmorski krajobraz wcale nie ciekawszy – na przemian piasek wydm i lepkie błoto mokradeł, plus kilka karłowatych drzewek i parę rozwierzonych krzaków. Dużo trawy, uschniętej, bo już późna jesień, ale wciąż ostrej, mogącej bez trudu skaleczyć rękę, więc Ilza cofa dłoń i ześlizguje się z wydmy. Piasek wsypuje się do trzewików i uwiera, gdy nowa lokatorka obchodzi Szczęście Adeliny dookoła. Choć lekko podgniły w narożach, dom z bliska wygląda lepiej, jakoś solidniej, budzi nadzieję, że zostało mu dość siły, by opierać się sztormom. Okna parteru, owszem, zabito deskami, ale na pierwszym piętrze szyby są całe, a za szkłem widać nawet firanki.

Klucz wchodzi łatwo. Płynnie przekręca się w zamku. Lekko popchnięte drzwi uchylają się cicho i bez oporów. Za drzwiami jest mroczny, cuchnący pleśnią korytarz. Na drugim krańcu korytarza mającą schody. Ilza idzie w ich kierunku, stukając obcasami, aż rozlega się echo. Czuje się nieswojo, że robi tyle hałasu, ale co tam, nikogo prócz niej tu przecież nie ma. Szybkim krokiem przechodzi obok otwartych na oścież pomieszczeń na parterze. Może lepiej, gdyby stały zamknięte. Choć może nie. Nie wiadomo, jakie głupoty zaczęłyby wtedy podpowiadać jej wyobrażenia, jakie snułaby wymysły o tym, co też może znajdować się w środku. A tak – wiadomo, że pokoje są po prostu puste i ciemne. Ciemne, bo okna zabito deskami. Puste, bo meble przydały się gdzieś indziej. Po prostu. Nie fantazuj, Ilzydo.

Schody troszkę skrzypią. Któryś (ósmy od góry, dziewiąty od dołu?) stopień miał być felerny. Na razie żaden nie budzi szczególnych podejrzeń. Na pierwszym piętrze, podobnie jak na parterze, pokoje ogołoco z mebli, ale tu już jest jasno, światło przedziera się do środka przez brudne szyby i zakurzone firanki. Herta Knopke chyba nie ma zwyczaju sprzątać w pensjonacie, a tyle się słyszy o niemieckiej czystości! Wydeptany, z pozostałościami karminowo-różowej arabeski chodnik wytycza szlak do kolejnego ciągu schodów, tym razem kręconych. Tędy właśnie wchodzi się na ową „latarnię”, wieżyczkę czy jak też ją tam zwą.

Wieżyczka mieści w sobie tylko jeden, za to obszerny, ośmiokątny pokój. Łóżko z ozdobnymi metalowymi szczytami, toaletka z zasłoniętym kirem lustrem, szafy, trzy stoliki, kufry, fotele o nieświeżych obiciach zarzucone zleżalymi poduszkami – całe umeblowanie zepchnięto pod ściany. Środek komnaty pozostawiono pusty, przykryty jedynie wytartym dywanem. Ilza opada na fotel. Boże, nareszcie. Do tej pory mgliście tylko zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest wyczerpana. Wysiłek sprawia już samo uniesienie ręki, by wyciągnąć szpilki przytrzymujące kapelusz. Rzuca go na stojące obok łóżko. Nie trafia, w dodatku boleśnie uderza łokciem w ścianę. Matka – bo to musiała być ona, kto inny? – ustawiła fotel w idiotycznym miejscu. Ciągnąc mebel bliżej środka pokoju, Ilza zaczepia o róg dywanu. Dywan odchyła się i ujawnia symbole rysowane kredą na deskach podłogi. No tak. Hrabina robiła to aż do końca; przysłowie głosi, że nawyk drugą naturą człowieka. Ilza kiwa z politowaniem głową i kopie dywan, by z powrotem zasłonił żenujące ślady. Nie ma zamiaru się denerwować. Siada i bierze głęboki oddech, próbuje się odprężyć, patrząc na niezmordowanie falujące morze. Jakież to okropnie monotony widok, w ogóle nie uspokaja, wręcz przeciwnie. W dodatku ten nieustanny szum – doprowadza człowieka do szału. Ilza zrywa się z fotela i zwija cały dywan. Widzi starannie wyrysowaną, mimo to krzywą gwiazdę upstrzoną wężykami drobnych znaczków, w centrum gwiazdy kreślone wielkimi literami imię: Ilzyda. Wściekła ściera wszystko butem. Listy pozostawały bez odpowiedzi, więc Anna próbowała robić głupawe czary-mary, by ją wezwać. Bo poczuła się osamotniona, bo lepsza córka niż nikt, bo została jej już tylko Ilza? Kiedyż ta przekłeta manipulantka, komediantka, wyrodna matka, to medium od siedmiu boleści, da Ilzydzie w końcu święty spokój? Nawet po śmierci, nawet nieżywa i pochowana potrafi człowieka zirytować, doprowadzić do wściekłości z samego dna piekieł. Jeśli istnieje inne piekło niż na ziemi, które Anna Tafel, trzeba uczciwie przyznać, poznała całkiem dobrze. A może miłosierny Bóg zlitował się nad szaloną owieczką, darował grzechy, wpuścił do nieba, mimo wszystko? Jeśli naprawdę jest jakieś inne niebo niż to, na które Ilza teraz patrzy. Warstwa chmur przeredziła się, przebija spod niej zachodzące słońce. Widok zaiste piękny: świetlista kula tonie w mrocznej wodzie, desperacko, jakby wołała „ratunku!”, rozrzuca wokół krwawe błyski, barwi na czerwono obłoki. Ładnie, owszem, ale to oznacza, że zaraz zrobi się całkiem ciemno. Ilza niechętnie podnosi się z fotela z zamiarem zapalenia lampy, bo oczywiście o elektryczności w takim miejscu nie ma nawet co marzyć. Rozgląda się: na widoku stoją tylko świeczniki, lecz puste, bez krztyny ogarka. Gdzieś muszą być świece, trzeba poszukać. Szuflady najbliższej z komód wypełniają śmieci – „pamiątki”, jak nazywała je Anna Eudora. Nigdy niczego nie wyrzucała – fatalny zwyczaj u kogoś, kto często, a niekiedy również i nagle, potrzebuje zmienić miejsce pobytu. A ona z uporem

woziła ze sobą kufer pełen obrazków, bardziej i mniej świętych, widoczków z miast, przez które przemykała jak meteor, tanich bibelotów. To moja historia, mówiła. Taką mam. Za pocztówkami, w prowizorycznym żłóbku zrobionym ze etui po okularach – czyje to były okulary? – ukrywa się gipsowy, „renesansowy” Jezusek kupiony na straganie we Florencji. Jako becik służy mu serwetka z ekskluzywnej restauracji – dobrze, że matka „na pamiątkę” wzięła serwetkę, a nie sztukę. Kiedyś, w Monachium, przyłapano ją, jak wynosiła srebrną solniczkę. Wciśnięte w róg szuflady leżą dwie chusteczki z monogramami, które nic a nic Ilzie nie mówią, i przybrudzona, z dziurą na małym palcu rękawiczka, którą dobrze pamięta. Od lat bez pary. Flakoniki po zużytych perfumach i zatechłe pudzera po starych pudrach. Podarty koronkowy wachlarz, ten sam, którym kiedyś, dawno temu, w Wiedniu jeszcze, Ilza dostała w twarz. Pogniecione kwiatowe stroiki – podczas licznych perypetii zgubiły sporą część jedwabnych płatków. A świec brak.

Do diabła ze świecami. Ilza pada na łóżko w ubraniu, resztką sił zrzuca buty. Oczy zamykają się same, bez udziału woli. Przez głowę przemykają, nie zatrzymując się na dłużej, ostatnie przytomne myśli: ciekawe czy na tym samym posłaniu, w tej samej pościeli zmarła matka? Ale jeśli nawet, nie było to chyba nic zaraźliwego? Czy samą śmiercią można się zarazić? Ilza zapada w miękki, wysłużony materac jak w gniazdo, jak w kokon zawija się w gładkie prześcieradło, przykrywa kołdrą, zalatującą pleśnią i kadzidłem. O dziwo, to wcale nie taki zły zapach, daje poczucie bezpieczeństwa, ciepła i wygody. Gorączka szumi w głowie, to przez nią wydaje się, że pokój zalewa różowoczerwona poświata, ściany delikatnie kołyszą się, słychać kroki na schodach. Co za kobieta, jeszcze nie weszła do środka, a już gada, dopytuje się natarczywie, czy w wiadomej sprawie są już jakieś postępy.

Głos zbliża się i Herta Knopke we własnej osobie staje w progu. Szok na jej twarzy. Oczy wychodzą z orbit. Ilza podąża wzrokiem za spojrzeniem gospodyni. W fotelu, z którego podziwiała zachód słońca, dokładnie tym samym, siedzi teraz mężczyzna. Jest zwrócony twarzą ku oknu, więc Ilza widzi tylko falujące, ciemne włosy i szerokie ramiona. Zrolowany dywan odsłania znaki rysowane kredą na deskach podłogi, znaki, które wszystkie, co do jednego, niedawno starła butem. Wrzeszcząc: „Zły, o Boże wybac mi, Jezu ratuj”, gospodyni zbiega z hałasem po schodach. Felerny stopień, ósmy od góry czy dziewiąty od dołu, załamuje się z głośnym trzaskiem. Trzask wytrąca Ilzę ze snu, już nie śpi, wie, że nie śpi, mimo to krzyk trwa dalej. Ktoś w tym domu wrzeszczy jak torturowany, potem rozpaczliwie szlocha. Błaga o coś? Grozi? Ilza wyskakuje z łóżka, zaczepia nogą o brzeg dywanu. Wali skronią w metalowy szczyt łóżka, ból rozbiega się po całej czaszce.

– Nie, nie odchodź, błagam, zostań! – zawodzi głos z dołu. Skrzypią schody, coś po nich stąpa, coś-ktoś idzie tu po nią, Ilza w desperacji rzuca się do okna. Nie, nie będzie skakać, za wysoko, gdzie podział się rozsądek, przecież to zwidy, tylko zwidy, z wyczerpania i gorączki.

– Zawsze będziemy razem, nie wypuszczę cię – obiecuje halucynacja, zanosząc się przeraźliwym płaczem i opanowanie Ilzy pęka.

Pokój na wieży to pułapka, nie ma jak stąd uciec, nie można nawet się w nim zamknąć, klucz jest tylko do drzwi na parterze. W powieściach bohaterzy wymykają się przez okno po linie skróconej z prześcieradeł, Ilza ściąga pościel, ale w oknie czeka już na nią, odcinając drogę ucieczki, kolejna mara: twarz o idealnych rysach, szerokich brwiach nad lekko skośnymi oczami, pięknie wykrojonych ustach. Poruszają się, jakby zjawa mówiła, zza szyby jednak nie docierają do Ilzy żadne dźwięki. Za to znów słychać wrzaski z głębi domu i wycie tak przeraźliwe, że nie sposób orzec, czy wydaje je z siebie mężczyzna czy kobieta; upiór, człowiek czy zwierzę.

Ilza z całych sił gryzie rękę, by ból przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Pomaga, wycie urywa się, szloch cichnie, zjawa rozplywa się w ciemnościach. Okno jest już tylko oknem, za którym rozciąga się noc. Cisz dzwoni w uszach. Ilza odczekuje dłuższą chwilę, liczy do stu, potem dwustu, zaciska zęby, aż bołą, i wychodzi na schody. Musi stąd uciec, nim oszaleje do reszty. Poczekaj gdzieś do wschodu słońca, na plaży nawet. Albo od razu pobiegnie na Stację, klucz odeśle pocztą, zresztą do diabła z kluczem. Stąpa ostrożnie, serce wali jej w piersi, skrzypnięcie schodów, trzask tego feralnego stopnia, ósmego czy dziewiątego, od góry czy od dołu, mało nie przyprawia o zawał. Walące serce skacze do gardła, rozlega się krzyk, po nim huk, potem szloch.

– Nie, nie, nie! Nie możesz mnie zostawić!

Ilza biegnie przez ciemny korytarz do drzwi wyjściowych. Wpycha klucz w zamek, a on nie chce się przekręcić! Twardo stawia opór, mimo że Ilza pcha go ze wszystkich sił. Ten dom ją uwięził! Przez okno nie ucieknie, na parterze wszystkie zabite są grubymi dechami, zresztą za nic w świecie nie wejdzie do żadnego z tych ogołoconych pokojów; z któregoś z nich właśnie dobiega przeraźliwy wrzask: „zostań, och błagam cię, zostań!”. Tam, w ciemnym kącie skrywa się demon lub wariat. Ilza szarpie przekłete drzwi, rzuca się na nie całym ciałem, wali pięściami, kopie, sama zaczyna wrzeszczeć, szlochać, wyzywać odporne wrota i cały ten świat słowami, których dama nie ma prawa znać. Traci nad sobą panowanie – ona, najbardziej opanowana osoba w całym niemieckim cesarstwie. Łka, prosi, zaklina, przeklina – wszystko na nic, drzwi nie ustępują. Ilza płacze: trafiła do piekła za cudze grzechy. Tak postanowiono, że krew jego na

nas i na syny nasze, że hańba z matki na córkę. Pokonana, osuwa się, klęka i opiera głową o futrynę, gotowa na przyjęcie wyroku.

8 października 1913 roku, środa

Rano budzą ją promienie słońca. Przenikają przez szpary w deskach i tworzą paski światła, gęsto przecinające korytarz. Sprawiają, że wczorajszy, przerażający tunel, prowadzący prosto do piekła, staje się nierealnym wspomnieniem. Przypomina o nim tylko siny ślad na dłoni – półksiężyc od wbijanych w skórę zębów. Klucz leży na podłodze. Ilza wsadza go w zamek i przekręca, gładko, bez wysiłku. Teraz dopiero widzi, że w drzwiach są dwa zamki, jeden pod drugim. W nocy, w ciemności, musiała wpychać klucz do złego zamka. W sennym koszmarze zbiegła z wieżyczki aż pod drzwi wejściowe. Cud, że nie spadła ze schodów i nie złamała sobie karku. Pamięta, że krzyczała i biła pięściami w ścianę. Szalała. To nie jej wina, to z gorączki, Ilza ma jednak głupie uczucie, że ktoś bardzo się na niej zawiódł i rozczarował. Ona sama na sobie, zapewne.

Już wychodzi, gdy czując czyjś wzrok, odwraca się instynktownie. Sekundę za późno dociera do niej myśl, że może wolałaby nie zobaczyć tego, co zobaczy, ale na szczęście widzi tylko burego kota, na wpół schowanego pod schodami. Pewnie to on ponosi odpowiedzialność za nocne hałasy, które rozgorączkowana wyobraźnia przemieniła w przeraźliwe krzyki i szlochy potępieńca. Zwykły mieszaniec, nawet nie diabelsko czarny, tylko w bure, nie, nie w bure, tylko rude łaty. Wlazł przez jakąś, sobie jedynie znaną, dziurę i miauczał. A Ilza zachowała się jak głupia histeryczka, jak Anna po prostu. Kici, kici, lecz kot to dzikus, cofa się i już go nie ma. Teraz, gdy drzwi bez oporu wypuszczają ją na wolność, na pogodną jasność dnia, gdy świeci ostre słońce, a po czystym błękitnym niebie krążą rozwrzeszczane mewy, Ilzie jest coraz bardziej wstyd.

Brnie przez mlaskające błoto w stronę ulicy. Na przeszkodzie staje wielka kałuża – nie ma jak tej brudnej wody obejść, trzeba przez nią przejść, przemaczając buty do cna. Ilza przystaje, niepewna, jak iść. Na palcach? Bokiem? W kałuży widzi odbicie: czerwone, opuchnięte od płaczu, rozczochrane jak nieboskie stworzenie bez kapelusza, który został na górze. Na rany Jezusa, Ilzydo, weź się w garść! W takim stanie absolutnie nie można pokazywać się ludziom na oczy. Prócz kapelusza, w pensjonacie został też sakwojaż, a w nim najlepsza bielizna, jaką Ilza posiada. Wzięła w podróż porządne rzeczy, tak na wszelki wypadek, a nie jest wystarczająco bogata, by je teraz beztrudno porzucić. Próżność to czy rozsądek – w każdym razie zwycięża. Ilzyda zawraca po torbę. Ogarnie się też trochę, umyje, uczesze i wyjedzie, wyrzucając z pamięci chwilę szaleństwa. W jasnym świetle dnia odzyskanie zdolności trzeźwego myślenia nie jest trudne.

Po pierwsze: matka zmarła i została pochowana. Jej rzeczami niech się martwi gospodyni, wszystkie długi spłacone. Po drugie: Ilza za kilka godzin będzie w Szczecinie. Gdy przyjedzie, łyknie proszki doktora Bursa na przeziębienie, a nawet nadszarpnie nieco budżet i pozwoli sobie na grzane wino. Zostanie w łóżku do jutra, wyleży się, wyśpi i wygrzeje porządnie. Następnego dnia wróci do szkoły. Sprawę z Anną można uznać za zamkniętą. Amen.

W otaczającym Szczęście Adeliny zapuszczonym ogrodzie, ukryta wśród suchych badyli, stoi pompa. Malowana na zielono, ze śladami rdzy na metalowej ręczce. Działa, choć opornie. Trzeba się nieźle namachać, nim pocieknie strumyczek. Pod pompą stoi wiadro. Ilzyda napełnia je prawie po brzegi: w razie czego chluśnie w to coś, co w tym domu wrzeszczy, nawet się nie zawaha. Może Knopkowa okłamała ją, że pensjonat stoi pusty, może ukrywa w nim jakiegoś obłąkanego krewnego, na wariatów lodowata woda ponoć najlepsza. Tak w każdym razie uważano w szpitalu w Berlinie: nie ma jak zimny prysznic plus wstrząsy elektryczne. Na ducha wprawdzie nie pomoże, ale duchy nie istnieją. Kto jak kto, akurat Ilzyda von Taffel powinna o tym pamiętać, szukanie marnych samousprawiedliwień jest poniżej jej godności, nie ma co zasłaniać się gorączką. Wczorajsze ekscesy mogły być też czymś żarciem; jeśli tak, dowcipniś zaiste będzie miał się z pyszna, jak tylko Ilza go przyłapie. Śmiało otwiera drzwi, zdecydowanie wybija obcasami mocny rytm na drewnianej posadzce. Niech się jej boją. Wszystkie cienie, strachy, durni kawalarze. Korytarz na parterze to żaden przeciwnik. Utracił ponurą mroczność, gdy tylko słoneczne promienie zaczęły prześlizgiwać się przez szpary w dechach i malować świetliste smugi na parkiecie. Puste pokoje już nie straszą. Są tylko puste, a nawet kulą się w sobie. Schody w ogóle nie mają odwagi skrzywnąć. Dopiero lustro z toaletki ośmiela się postawić. Gdy Ilza zdejmuje z niego żalobny kir, ukazuje się straszidło. Włosy – jeden wielki kołtun, policzki całe w czerwonych plamach od łez, nos spuchnięty, oczy obrzmiałe, wypieki nawet na szyi. Niech to będzie dla ciebie nauczka, Ilzydo Filomeno. Tak się właśnie rzeczy mają, gdy pozwalasz wyobraźni na harce. Przemywając zimną wodą zaognioną twarz, Ilza widzi w lustrze odbicie szafki. Uchylone drzwiczki zdradzają zawartość, świece leżą tam w towarzystwie butów o zdartych noskach. Kto kładzie świece obok pantofli? Anna, oczywiście. Za świecami widać kupkę listów. Ilza bierze do ręki pierwszy z nich i rozpoznaje własne pismo – jakież ono było kiedyś staranne. Zakonnice przykładały wielką wagę do kaligrafii. Rolą kobiety, głosiły, jest ubogacanie codziennego życia pięknem. Piękno należało wprowadzać, gdzie się tylko da, liczyło się więc też piękno liter. Dzisiejsze panienki, te które Ilza teraz uczy, mają piękno w głębokim lekceważeniu i bazgrzą jak kura pazurem.

Najdroższa Matko, w Bogu pokładam nadzieję, iż list mój zastanie Cię w dobrym zdrowiu, w jakim i ja pozostaję. Modlę się za Ciebie stale i kończę sakiewkę, którą, niedoskonałą, lubo haftowaną z czystym sercem, mam nadzieję, że raczysz, droga Matko, przyjąć na swoje zbliżające się urodziny.

Anna, jak diabeł święconej wody, unikała samej myśli o urodzinach i Ilza świetnie o tym wiedziała.

Z Bożą pomocą uczę się pilnie, a po lekcjach spaceruję w ogrodzie i dużo rozmyślam nad tajemnicami religii. Wczoraj słuchałyśmy adwentowych pieśni. Ich słodka melodia unosiła mię do nieba. Ufając w nieograniczone miłosierdzie serca Jezusowego, we wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny, pozostaję Twoją pokorną i miłującą...

Listy, oczywiście, cenzurowano. W pierwszym roku pobytu na pensji zdarzało się, że Ilza musiała pisać jeden list po pięć razy, bo w każdej kolejnej wersji uparte zakonnice wciąż znajdowały coś do poprawki. Do rodzica należy zwracać się w tonie pełnym najwyższego szacunku, nawet jeśli, a tak się właśnie smutnie złożyło w tym przypadku, nie jest to osoba godna szacunku. Annę Eudorę von Taffel zajmowały wyłącznie seanse i romanse – Ilza już wtedy domyślała się, że jedno z drugim wiele łączy. Dziecko nie ma jednakże prawa oceniać Tej, Która Dała mu Życie. Tak uważały siostry i ich zdanie się liczyło. Uważały też, że list do rodzica powinien być nie krótszy niż na stronę, nie dłuższy niż na dwie i ma być wysyłany co tydzień. Bez ulgi czy wyjątku, jedyną wymówką mogła być ciężka choroba połączona z utratą przytomności. Po kilku miesiącach treningu Ilza wypracowała coś w rodzaju szablonu, który pozwalał jej spełniać bez większego wysiłku cotygodniowy obowiązek Pisania Listu do Matki. Nigdy nie przypuszczała, że Anna wszystkie te listy zachowa, przywożąc je, mimo licznych przeprowadzek po drodze, aż do Hole am Meer. Nie wiadomo po co, bo nie było w nich niczego ciekawego poza doniesieniami o błogim szczęściu, jakiego Ilza doznaje, modląc się w kaplicy albo spacerując po pełnym wonnego kwiecica ogrodzie. Nie było w nich ani słowa o „kocówie”, którą urządziły koleżanki, ani o wyzwiskach, jakimi Ilzę obrzucały. „Panienki, proszę powitać Ilzydę Filomenę”. „Ale imię, w sam raz dla kokoty, córka kokoty ma imię kokoty”. „Ilzyda – sylfida”, „Córka kokoty, córka kokoty”. „Moja mama jest medium”, broniła się Ilzyda. „Kokota, kokota”, wołały dziewczynki.

W noc po przyjeździe Ilzy wyprawiły powitanie we wspólnej sypialni. Najbledsza z panienek udawała ostry atak ślepej kiszki. Zakonnica opiekująca się klasą zabrała biedną chorą do infirmerii, wtedy pozostałe przystąpiły do dzieła. Dwie stanęły na straży, a dziesięć zarzuciło na Ilzę szorstki koc, który drapał w twarz, zatykał usta i nos, śmierdział niedopranem, starym moczem i czymś do dezynfekcji. Przez koc spadały na Ilzę uderzenia dwudziestu piąstek:

– Córko kokoty, Ilzydo Filomeno, trzymaj się od nas z daleka. Ale imię, w sam raz dla kokoty. Jesteś brudna, brzydzimy się ciebie, w jadalni siadaj zawsze na tym samym krześle, nie dotykaj innych, zaznaczymy talerz dla ciebie, albo nie, będziesz miała ten wyszczerbiony, nie jedz z innego. Nie waż się dotykać rzeczy, których dotykamy.

Innej nocy, gdy zakonnica-opiekunka sama poczuła się źle po kolacji i musiała pilnie udać się w miejsce, gdzie król piechotą chodzi – była szansa, że zostanie tam długo – znów dwie panienki stanęły na straży, a reszta tańczyła, pozawijana w prześcieradła. Udawały duchy – twoja matka podobno wywołuje duchy? – a potem – to właśnie robi twoja matka – wyginały się w pozach, które uważały za lubieżne i wykrzykiwały słowa, których Ilza, mimo posiadania matki kokoty, nigdy wcześniej nie słyszała. Mgliście domyślała się, co mogą znaczyć. Zachodziła w głowę, jakim cudem znały je grzeczne dziewczynki z przyzwoitych domów.

Dwie zakonnice, dobre aż do mdłości, przeszczęśliwe, że Opatrzność akurat na ich drodze postawiła owieczkę, którą należy pilnie ratować dla Pana, miłosiernie wzięły Ilzę pod swoje skrzydła. Miały nadzieję, że gdy przekażą dziewczynce Miłość Chrystusa, ta z kolei nawróci swą zdeprawowaną rodzicielkę. Wola Pana Naszego sprawiła, iż dziecię niewiasty pozostającej we władzy szatana znalazło się w świętym przybytku. Zgodnie więc z Boskim Planem siostry Franciszka i Konstancja tak ukształtują charakter Ilzydy, że dziewica stanie się narzędziem zbawienia nierządnic. Służebnicom Pańskim przypadnie w udziale chwała bycia trybikiem w dziele Opatrzności i czyste szczęście płynące z uprawiania miłosierdzia. Nie jest miło służyć za obiekt miłosierdzia, lecz Ilza nie miała wyboru – siostry Franciszka i Konstancja były jej jedynym towarzystwem. Tylko one z nią rozmawiały, tylko one jej pomagały. Kochała je za to i nienawidziła. Ale najbardziej na świecie nienawidziła Anny Eudory. Nie bezlitosnych koleżanek, nie litościwych sióstr, lecz właśnie jej. To ona była winna wszystkiemu, co Ilzę spotykało na pensji, odpowiadała za każde wyzwisko, które spadło na córkę, za każde szyderstwo, które dotknęło do żywego. Wiele razy Ilza rozpamiętywała ostatnią kłótnię, policzek otrzymany od matki, obraźliwe słowa, którymi ta ją obrzuciła. Odpłaci jej za to. Przyjdzie czas, że odpłaci. Gdy zwijała się w kłębek na wąskim łóżku w pensjonarskiej sypialni i próbowała zasnąć, tak strasznie samotna wśród oddechów śpiących wrogów, tęskniła. Tęskniła za głaskaniem po twarzy i włosach, za mamą, która kiedyś, gdy Ilzę bolał żołądek, przez całą noc przykładała jej na brzuch ciepłe kompresy, choć wiedziała, że nazajutrz z niewyspania będzie miała podkrążone oczy...

Nad starymi listami unosi się woń grzybów zmieszana z perfumami i kadzidłem. Niespodziewanie budzi w Ilzydzie rodzaj sentymentalnego żalu. Ilza wie, że to nie były dobre dni, oj, nie były, ale teraz, we wspomnieniach,

łagodnieją, tracą ostrą gorycz, zachowując jedynie słodkawą goryczkę nostalgii. Napływa fala smutku i roztkliwienia. Nad czym, nad kim? Przecież nie nad matką. Nad sobą? Nad zjedzoną przez czas koronką?

Między papierami leży różaniec, który Ilza przywiozła w prezencie, wracając z pensji do domu, o ile można nazwać domem kolejny, wynajęty przez „przyjaciela” matki, umeblowany apartament. Tym razem „przyjaciel” był bardzo niski – sięgał jej zaledwie do ramienia – prawie całkiem łysy i oczywiście wyjątkowo oddany sprawie porozumienia między światem żywych i umarłych. Poza tym mocno się pocił.

– Mamo – składając ręce jak do modlitwy, mówiła z uczuciem piętnastoletnia Ilza, przejęta misją zbawienia zbłąkanej duszy rodzicielki. Sam Bóg ją do tej misji przeznaczył, namówiły zaś zakonnice-opiekunki. Radziły modlić się o wsparcie do świętej Moniki, która tak nawróciła syna, że z rozbójnika stał się aż świętym. Mimo najlepszych chęci, Ilza nie była w stanie wyobrazić sobie Anny Eudory hrabiny von Taffel jako świętej. Wystarczy, gdy przestanie być kokotą.

– Mamo – przemowę ćwiczyła tyle razy, że znała ją na pamięć. – Zacznijmy nasze życie od nowa. Niech będzie czyste, uczciwe, o chlebie i wodzie, ale z Chrystusem.

– Och, daj już spokój, Ilzydo – przerwała jej bez ceremonii Anna. – I zejdz z tego wysokiego konia. Nie jestem w nastroju do wysłuchiwania bzdur. Nie masz bladego pojęcia o moim życiu i w ogóle to nie temat na rozmowę z dziećmi. Wydaje ci się, że wszystkie rozumy zjadłaś, a gównu, chciałam powiedzieć merde, wiesz. W ogóle się nie zmieniłaś. Wróciła taka sama przemądrzała smarkuła jak wyjechała! A miałam nadzieję, że zakonne świętoszki utemperują cię choć trochę.

W Ilzie zagotowało się i zapomniała dalszych zdań wzniosłej i łagodnej mowy. Musiała improwizować:

– Kościół potępia wywoływanie duchów, ja wiem, że nie wywołujesz ich naprawdę, ale niektórzy w to wierzą i to jest oszustwo. Łgarstwo! I jak możesz prowadzić się z tym obleśnym staruchem, tym wiecznie spoconym karłem, jak możesz przyjmować go u siebie, pozwalać, by cię klepał po policzkach, by cię obejmował...

W różańcu z drewna różanego popękały paciorki, gdy matka cisnęła nim z całych sił o blat stolika.

– Jak TY śmiesz oceniać moich przyjaciół! Głupi, bezczelny bachor, jak śmiesz mówić mi, z kim powinnam, a z kim nie powinnam utrzymywać stosunków? Ty mi mówisz, jak powinnam się prowadzić? Ty? Udajesz świętą, a co robiłaś mając zaledwie trzynaście lat? Wiesz, co by się wydarzyło, gdybym

akurat wtedy nie weszła? Wiesz, dlaczego musiałam cię aż do klasztoru wysłać? Pamiętasz, jaka byłaś zepsuta? Pamiętasz?

W drugim roku pobytu w klasztornej pensji jedna z koleżanek, Elżbieta, niska, ciemnowłosa, z dołeczkami w kremowych policzkach, zaczęła nieśmiało, w sekrecie przed innymi dziewczynkami, okazywać Ilzydzie trochę przyjaźni. Nigdy pierwsza nie zaczynała jej przezywać, a gdy inne to robiły, stała z nimi, trzymała z nimi, ale zwykle milczała. Pewnego dnia mijają się na korytarzu, na którym, tak się złożyło, oprócz nich nie było nikogo. Elżbieta lekko się do Ilzy uśmiechnęła. Ten dyskretny półuśmiech sprawił, że przez resztę dnia Ilzyda trwała w radosnym uniesieniu: nie wszystkie dziewczynki są jej wrogie! Jest jedna, która odczuwa dla pogardzanego wyrzutka odrobinę przychylności. Ilzę zatykało wprost z wdzięczności dla Elżbiety, marzyła, że kiedyś z nią porozmawia, ba, uratuje jej życie z narażeniem własnego, może wyciągając Elżbietę spod kół nadjeżdżającego powozu albo tonącą z rzeki, choć sama nie umiała pływać, i będą prawdziwymi przyjaciółkami do grobowej deski. Tyle marzenia, w rzeczywistości Ilza bała się oczekiwać więcej niż ukradkowy koleżeński uśmiech, gdy nikt nie widzi, od czasu do czasu.

Więcej zdarzyło się jednak już kilka dni później. Spędzała godzinę popołudniowej rekreacji w kaplicy (z reguły wymigiwała się od wspólnych z pensjonarkami zajęć, prosząc o pozwolenie w tym czasie na cichą modlitwę od serca, bez trudu uzyskiwała zgodę, siostry były wielce ukontentowane z wykazywanego przez Ilzydę zamiłowania do dewocji), w połowie „Zdrowaś Maryjo” usłyszała ciche „szszsz” dochodzące z konfesjonału ukrytego za filarem w najciemniejszym kącie pomieszczenia.

– Szszsz – szeptał konfesjonał – chodź, tu nas nikt nie znajdzie.

Przez kilka zimowych i wiosennych miesięcy, schowane przed zakonnicami i uczennicami, Ilzyda i Elżbieta spędzały wolne godziny, siedząc ściśnięte na wąskiej ławeczce swojej kryjówki. Szeptały, wybuchały stłumionym chichotem, jedna drugiej zatykając dłonią usta. Ilza po raz pierwszy uczestniczyła w życiu swojej klasy – nawet jeśli było to uczestnictwo z drugiej ręki. Dowiadywała się zapierających dech w piersiach rewelacji:

– Wiesz, że gruba Maria kocha się w księdzu Janie? Gdy on odprawia mszę, Maria nie śpi i patrzy w niego, jakby był Bogiem albo przynajmniej świętym obrazem. Ciągłe wzdycha, a raz nawet zabrała mu chusteczkę do nosa i nosi ją teraz zawsze przy sobie w staniku. Fuj, brudną, bo Jan miał katar!

– Ale jak to zrobiła?

– Ksiądz ciągle wyjmował tę chusteczkę, miał katar, mówiłam ci, i raz, gdy wsuwał ją z powrotem do kieszeni, nie trafił, wypadła, on nie zauważył, a gruba Maria, przesuwając się na klęczkach, dotarła do chusteczki i łap! chwyciła

i schowała. Nie ma szans, bo ksiądz kocha się w siostrze Konstancji. Powiedział kiedyś Konstancji, że wygląda jak anioł, a ta teraz zawsze przed mszą poprawia welon i zerka na niego ukradkiem, on na nią też często patrzy, jak to zauważy przełożona, ksiądz będzie musiał odejść. A wiesz, że Wanda kocha się w dziewczynach?

– Co?!

– No nigdy nie słyszałaś, że są kobiety, które wolą inne kobiety od mężczyzn? A ty Ilzo, byłaś kiedyś z mężczyzną? No dalej, mnie możesz powiedzieć.

– Nie.

– Ale widziałaś, jak to robili?

Półmrok kryjówki ośmielał i zachęcał do zwierzeń, mimo to Ilza nie bardzo chciała o takich rzeczach mówić. Po pierwsze: co widziała? Na pewno coś, ale czy to było to? Widziała rękę mężczyzny obejmującą jej matkę w pasie, potem tę samą owłosioną rękę na białym, wypukłym gorsie Anny.

– No Ilza, naprawdę nic nie wiesz? – niecierpliwiła się Elżbieta. Opowiedziała koleżance, jak podczas ostatnich wakacji wujek wkładał jej rękę pod spódnicę. Dziwne uczucie, ale wcale nie nieprzyjemne.

– A czy ty to kiedyś widziałaś? I co więcej robią mężczyźni z kobietami?

– Nie – odpowiedziała Ilza – nie widziałam nigdy.

– Nikt cię tam nie dotykał?

I wtedy Ilzyda była bardzo bliska zwierzenia się Elżbiecie z tragicznej miłości do pana Z. Na szczęście nie zrobiła tego. Zostały nakryte, a Elżbieta powiedziała dziewczynkom, jakoby Ilza jej mówiła, że tak, robiła to, całowała się i tak dalej, z mężczyznami, za pieniądze. Wkładali jej rękę pod spódnicę i Ilza mówiła, że to wcale nie takie nieprzyjemne.

Dwa lata szkolnej gehenny, zdradzoną przyjaźń, wstyd i upokorzenia Ilza spisała na konto matki. To ona wysłała ją do klasztoru. Zrobiła tak z zazdrości, by rozdzielić córkę z ukochanym.

Gdy Ilzyda Filomena przestała być małym aniołkiem o złotych włoskach, którym można wziąć na litość matrony o macierzyńskim usposobieniu, zrobiła się bezużyteczna. Trzynastoletnia, wyglądała na zwykłą dorastającą panienkę: nieco niezgrabną, ani brzydką, ani ładną, niestety dość wysoką jak na swój wiek, a zdecydowanie za wysoką jak na dziecko hrabiny von Taffel przyznającej się właśnie do ukończenia dwudziestego czwartego roku życia. Na domiar złego stanik dziecięcej sukienki Ilzy wyraźnie napinały rosnące już piersi. Anna nie przyjmowała do wiadomości, że córka dojrzeła, zdecydowana była uważać ją za maleństwo, na szczęście takie, które potrafi zająć się samym sobą, nie trzeba mu ciągle podcierać nosa – co najwyżej przycierać. Nie miała wprawdzie pomysłu na przyszłość Ilzy, bynajmniej jednak nie szykowała jej do pójścia w swoje ślady.

Próbowała izolować dziewczynkę od awanturczego życia, które sama prowadziła, ale jak wszystko i to również wychodziło hrabinie von Taffel połowicznie. W każdym razie nie zabierała już córki na seanse, niezmiernie rzadko na zebrania towarzyskie, najczęściej zostawiała w domu, czyli w hotelowych pokojach lub wynajętych apartamentach, w zależności od stanu majątku aktualnego protektora, bardziej lub mniej eleganckich.

W wolnym czasie – a głównie taki miała, Ilza pochłaniała masę książek. Sama też dawała się przez nie pochłaniać. Pozostawiona samej sobie na popołudnia, wieczory i często noce, żyła w świecie zbudowanym z wątków, które znalazła w powieściach. Raz wyobrażała sobie, że jest niewinna jak Śnieżka, siedzi uwięziona w wysokiej wieży jak Roszpunka, zaraz zjawi się książę, który ją poślubi i będą żyli długo i szczęśliwie. Innym razem wyobrażała sobie, że jest rozwiązła, lubieżna, urodzona z piętnem grzechu na gładkim marmurowym czole. Mężczyźni za nią szaleją i z jej powodu strzelają do siebie nawzajem. Jeden z rywali pada o świecę na murawę mokrą jeszcze od rosy, na białej koszuli rozlewa się plama krwi. Drugi stoi chwilę z dymiącym pistoletem, a potem śpieszy do Ilzydy odebrać nagrodę za zwycięstwo. W dzień grzesznych myśli Ilzyda nie wkładała pod halkę pantalonów – po to, by ocierać udem o udo i czuć gładkość skóry. Takiego dnia wyobrażała sobie również, że przychodzi do niej, tylko do niej, przystojny pan Zenon Krukzur, aktualny przyjaciel matki, który płacił za ich utrzymanie. Miał około 40 lat, czarne, zaczesane do tyłu włosy, śniadą cerę i wyraziste męskie rysy, w tym dwie głębokie bruzdy biegnące od nosa do ust nadające twarzy surowy, senatorski wygląd. Był miłośnikiem spirytyzmu, oczywiście nie tylko spirytyzmu. Ilza wyobrażała sobie, jak przychodzi i patrzy jej głęboko w oczy, długo, a gdy zmieszana opuszcza wzrok, zbliża się, rozpina wolno stanik sukienki. Ma takie męskie, zdecydowane ruchy: kładzie gorące ręce na Ilzy piersiach. Przyciska śniade palce do jej białej skóry. Potem podciąga wysoko sukienkę Ilzy, gładzi uda dziewczyny. Ona czuje rozkoszne mrowienie pomiędzy nogami. Nie wiedziała co dalej, więc w tym punkcie akcja kończyła się i zaczynała od początku: ciche pukanie, jej nieśmiałe prośbę, drzwi uchylają się, on wchodzi, patrzy na nią zielonymi oczami. Ilzydo, ukochana, dawno już chciałem pani wyznać...

W rzeczywistości pan Zenon wszedł bez pukania, jak do siebie, ostatecznie płaci. Zastał Ilzę samą, jękając się z nieśmiałości wyjaśniła, że dochodząca pokojówka opuściła ją dwie godziny temu, a mamy nie ma i nie będzie czas jakiś jeszcze, bo prowadzi seans. Mimo to Zenon Krukzur nie wyszedł od razu, usiadł, chwilę siedział, nic nie mówiąc, potem wstał i zaczął spacerować po pokoju. Wyjrzał przez okno na ulicę, najwyraźniej nic ciekawego na niej nie znalazł, parę razy przeszedł obok Ilzy, ale się nie zatrzymał. Zmierzał już do drzwi, gdy zawrócił i mruknął kilka słów, tak niewyraźnie, że Ilza nie zrozumiała. A może za

bardzo była zmieszana, żeby cokolwiek rozumieć. Jej sen stał się rzeczywistością! Mężczyzna zbliżył się, ona się nie odsunęła. Wziął za rękę, nie wyrwała mu jej. Fala gorąca zalała Ilzydę od stóp po policzki. Kolana się zatrzęsły. Pan Zenon przyciągnął dziewczynkę do siebie. Zastygła w miejscu, spięta, przerażona i szczęśliwa jednocześnie. Męska ręka przesuwiała się po plecach Ilzy w dół, aż zatrzymała się na pupie i tam została, zaciskając mocno palce na pośladku, druga ręka uniosła dziewczęcy podbródek. I tyle, gdyż na tę właśnie chwilę, psując najpiękniejszy moment Ilzy życia, niszcząc całą jej przyszłość, wpadła matka. Była w najgorszym ze swoich humorów, bo Walter znów zawiódł, medium zostało wygwizdane, reputacja nadszarpnięta, wiarygodność utracona po raz kolejny. Mimo że Ilzyda i jej ukochany odskoczyli od siebie błyskawicznie, gdy tylko zgrzytnęły drzwi, Anna nie dała się zwieść. Od progu zauważyła bliskość, zmieszanie, rumieńce. Pan Zenon, rezygnując z prób ratowania sytuacji, wypadł z pokoju bez pożegnania. Ilza musiała zostać, stawiając czoła matce.



- Ty mała ladacznico, zepsuta od kołyski – wrzeszczała Anna.
- A kto mnie tego nauczył? – odkrzykiwała Ilza. – Kto zaniedbywał, zostawiał samą i głodną?
- Głodną? Kiedy ty niewdzięczna, wyrodna żmijo byłaś głodna?

Więc niech matka się dowie: obcy ludzie często litowali się nad biedną, opuszczoną Ilzą, żalowali jej, bo miała nieszczęście być córką takiej kobiety. I gardzili nią, nimi obiema! I Ilza tylko czeka, aż Anna będzie kompletnie stara i brzydka, zdana na jej łaskę, wtedy odwdzięczy się za wszystko. Czuła wielką, uderzającą do głowy radość, widząc, że twarz matki blednie, a oczy ciemnieją. Gdy Anna zamachnęła się, by uderzyć Ilzę w twarz, kok rozjaśnianych włosów hrabiny rozpadł się i luźne kosmyki zatańczyły wokół głowy fandango.

– Ty mała dziwko – krzyczała Anna. Z rozczochranymi włosami wyglądała jak wariatka albo prawdziwa czarownica. – Wydaje ci się, że kim jesteś? Powiem ci w końcu, kim jesteś. Przekleństwem mojego życia. Gdyby nie ty, nie byłabym tym, kim zostałam. Zniszczyłaś moją karierę, ale tego ci mało, kradniesz, wciąż kradniesz wszystko, co mam. Kradniesz całe moje życie, wysysasz wszystkie soki, powinnam była udusić cię w kołysce, udusić jak tylko się urodziłaś i zakopać, ach jaka byłam głupia, że tego nie zrobiłam!

Ilzyda spędziła potem bezsenną noc. Nie potrafiła zmrużyć oka, z tak wielką niecierpliwością wyczekiwała dnia. Wierzyła, że ukochany przybędzie z samego rana, zabierze daleko stąd, poślubi, ocali. Gdy świt zaczął przebijać się przez ciemność i rozjaśnił nieco pokój, wstała, na paluszkach, cichutko, zaczęła się ubierać i pakować, by być gotową jak najszybciej na swoje nowe życie. Ona go kocha i on ją kocha. Mówił to wtedy, gdy była tak zmieszana, że nie rozumiała jego cichych słów. Na pewno mówił wtedy, że to Ilzydę kocha, nie Annę, Anny nigdy nie szanował, ani nie darzył poważnym uczuciem. Ubrana, już w butach, a nawet w kapeluszu, Ilza uklękła na krześle przy oknie, wyglądając na ulicę. Zaraz go zobaczy, wysiadającego z powozu albo wychodzącego zza rogu, w cylindrze i z laseczką, zmierzającego zdecydowanym, męskim krokiem po ukochaną. Pusta o świcie ulica powoli się zaludniała. Pojawili się mleczarze, chłopcy roznoszący gazety, bony odprowadzające ociągające się dzieci do szkoły, gospodynie po codzienne zakupy. On przyjdzie za chwilę, za minutę. Może nie chce jej obudzić i dlatego zwleka, choć powinien domyśleć się, że przecież nie mogłaby ot, tak sobie zasnąć po tym, co się wydarzyło. Stuknęły drzwi od mieszkania, Ilza podskoczyła na krześle. Wypadła z pokoju, akurat gdy klucz przekręcał się w zamku. Była sama i zamknięta, a na stole leżał list. Od matki, nie od niego:

Ilzydo, dziecko moje,

Piszę te słowa pogrążona w burzliwych odmętach oceanu smutku. Wczorajsze zajście napęłniło mnie bezbrzeżną goryczą i przeczuciem nieuchronnie nadchodzącego dramatu. Mimo iż nie mam sobie nic do zarzucenia, cierpienie rozkrwawia moje zdruzgotane matczyne serce. Przebaczam Ci Twoje słowa, gdyż żal mi Ciebie, nie wiesz, co czynisz, nie jesteś na tyle dorosłą i mądrą, by

rozumieć pewne rzeczy. Przede wszystkim nie zdajesz sobie sprawy z naszej sytuacji, nie wiesz, ile przeszłam, pragnąc zatrzymać Cię przy sobie, ile poniosłam z tego względu wyrzeczeń. I jakż otrzymuję nagrodę? Cóż otrzymuję w zamian? Najgorszą tragedią dla matki jest widzieć, iż dziecię w tak młodym wieku zaczyna przejawiać złe skłonności, które, nie wykorzenione natychmiast, nie zniszczone w zarodku, nie wyplenione w zaraniu, zaprowadzą Cię w odrażające zaiste sytuacje. Zawiodą Cię w bagno, moje dziecko. Uwierz mi. To straszne, gdy dziewczę w zaledwie trzynastej wiosnie życia jest już aż tak zepsute.

W tym liście Anna informowała Ilzę, że wysyła ją na pensję. Zastanawiała się nad tym już wcześniej, ale wahała się, czy to aby najlepsze rozwiązanie. Ostatnie wypadki pokazały jednak, że nie ma co zwlekać, nie ma czasu do stracenia. Pewna znajoma Anny, wysoce ustosunkowana, była tak łaskawa, iż przez swoje koneksje obiecała ulokować Ilzę na pensji siostr urszulanek w Krakowie. To bardzo elegancka szkoła dla dziewcząt z najlepszego towarzystwa, więc Anna ma nadzieję, że Ilzyda Filomena dołoży wszelkich starań, by nie przynieść wstydu.

– Chce mnie ukryć! – uznała Ilza. – Zamurować w celi jak Barbarę Ubryk. Ale nie uda jej się to, Zenon odnajdzie mnie i uwolni.

Przed wyjazdem Ilza przekazała konsjerżce wiadomość dla „pewnego pana, który będzie mnie szukał”. Napisała, gdzie matka ją wysyła, podała dokładny adres pensji i przysięgła, że będzie kochać wiernie i na wieki. Ale pan Zenon nie pojawił się już na drodze jej życia – może nie dostał wiadomości, a może pisał do klasztoru i zakonnice przechwyciły list. Tak czy inaczej, Ilzydę Filomenę czekały dwa lata nieznośnych upokorzeń i żadnej pociechy.

„Przebaczam Ci”, pisała matka – ona jej! – a ten fatalny list, który dwadzieścia trzy lata temu leżał na stole, obok chleba i mleka na śniadanie, jest teraz tu, w Hole am Meer. I nie on jeden w dodatku. Szafka aż kipi od kompromitujących hrabinę von Taffel, a przy okazji i jej córkę, papierów. Ilza wygarnia na podłogę stosik gazet, w których zamieszczono wzmianki o Annie Eudorze von Taffel, a także zdjęcia przedstawiające hrabinę „w akcji”. Ilzydę przeszywa dreszcz na myśl, że ktoś obcy, na przykład ta prymitywna Herta Knopke, miałby je przeglądać. *Do Poznania zjechało na występy dość znane medium. Pokaz talentu pani von Taffel odbył się wieczorną porą u baronowej G. Na początek wprowadzony został w ruch stół. Starannie dobrane towarzystwo pod prezydencją medium zasiadło wokół szacownego mebla, który jak poinformowała mię czarująca gospodyni, jest w rodzinie od szczęściu z górą pokoleń. Wokół tegoż antyku zasiadło tyleż mężczyzn co kobiet. Zgromadzone osobistości położyły ręce na stole, dotykając się tylko małymi palcami, zawsze złożonymi w tym samym kierunku. To jest palec prawej ręki na lewej ręce, w taki sposób, by prąd był przekazywany z jednej strony. Już po kwadransie, tajemna siła przeniknęła martwy mebel i ożył.*

Ożywiony stół podskakiwał tak, że mało nóg nie połamał – ten fakt potwierdzi każdy uczestnik owego niezapomnianego wieczoru, a był to dopiero początek cudów, medium zawezwało bowiem swego osobistego duchowego przewodnika, którym okazał się zmarły małżonek, hrabia Walter von Taffel.

I tak dalej i tak dalej. Albo ktoś mógłby przeczytać wycinek z innego szmatławca: *Nie podejmując się precyzyjnie opisywać istoty substancji eterycznej zaprezentowanej przez hrabinę podczas spirytystycznego seansu, nadmieniam tylko, iż wdzięki hrabiny, lubo nie najświeższe, eterycznymi wcale nie są... Wieść niesie, iż ceniony w naszej społeczności z racji wielkiego serca i hojnej działalności na rzecz ubogich, bankier pan Elias Goldman jest nimi gorąco zainteresowany.*

– Czemu zadajesz się z tą kreaturą – dwadzieścia lat temu krzyczała Ilzyda do Anny. – Czemu w ogóle z nim rozmawiasz?

– Dziecko – odpowiadała jej Anna – jak ty nic nie rozumiesz, muszę jakoś utrzymać się na powierzchni.

Dawno przekroczywszy trzydziestkę (ale oficjalnie wciąż dwudziestopięcioletnia), miała nadzieję, że szaleńczo zakochany Goldman ożeni się z nią. Kres tym mrzonkom położył list, w którym kochanek donosił o zaręczynach z inną kobietą: *Kiedy mówiłem Ci, że Cię uwielbiam, kocham, jak nikt inny Cię nigdy nie kochał – szczerą prawdę mówiłem. Nie obwiniaj mnie też o niewierność, bo zaprawdę zarzut ten niezasłużony byłby wielce. Bóg widzi serce moje! Ciebie jedną kocham! Mógłbym dla Ciebie zginąć, życie oddać, dać się posiekać na kawałki! Ale moja miłość i moja żona nie mogą być jedną i tą samą osobą. Pierwsza to Ty, czyli anioł, który łaską Boga zstąpił na ziemski padół, na drugą biorę zwykłą śmiertelniczkę, dobrą do cerowania skarpetek, rodzenia dzieci i zaparzania ziół w czasie choroby.*

Ilzyda pamięta jak matka czytała ten list. Marszczyła brwi tak mocno, że całe czoło pofałdowały zmarszczki. Jakże staro wtedy wyglądała! Tydzień później szykowała się na bal, na którym miała nadzieję złowić kolejnego protektora. Mogłaby wówczas pozować malarzom jako model do alegorii rozpaczy, wcale nie gorszej od mitologicznych: w jaskrawej halce i z rozmazanym tuszem. Do tego wory pod oczami i popalone żelazkami, zrudziałe włosy, których nie chciały się trzymać treski. A na balu ten zawzięty, zacięty wyraz ust, które choć wygięte w uśmiechu, zdawały się krzyczeć: *świetnie się bawię, niech nikt nie ośmiela się myśleć, że jest inaczej.*

Ale to nie koniec, proszę, oto kolejny zjadliwy artykuł: *Do naszego skromnego grodu zawitało słynne medium. Hrabina von Taffel po ostatnim głośnym niepowodzeniu nie wydziela już z siebie tak modnej obecnie ektoplazmy – na to szanowni czytelnicy nie macie co liczyć – ani też innych miazmatów, uważając je*

za niesmaczne, nieprzyzwoite i ogólnie mało pociągające. Z dezaprobatą wypowiada się o rękach czy nogach zrodzonych z owej tajemniczej substancji wyskakującej spod spódnic innych, pozbawionych godności mediów. Uczestnikom seansów hrabiny muszą więc wystarczyć podskakujące stoliki, na które moda minęła wszak już jakieś dwadzieścia lat temu oraz zawsze gorąco wyczekiwane głosy z zaświatów. Hrabina wykonuje zgrabnie sztuczkę z pisaniem i naprawdę wielce udatnie coraz to zmienia charakter pisma. Każdy naiwny i każda naiwna znajdą coś dla siebie.

– Przecież ten gryziپیórek jawnie się z ciebie wyśmiewa – mówiła wtedy Ilzyda do matki. – Przecież sama widzisz. A ty się jeszcze do niego łąsisz!

– Muszę być dla niego miła. Ty tego nie zrozumiesz.

– Ale on uważa cię za oszustkę.

– A czyż to wina, córeczko? Czy pamiętasz, co zrobiłaś w Wiedniu?

Gorączka przeszła sama, nawet bez proszków doktora Bursa i Ilza czuje się lepiej, znacznie lepiej. Wygarnia na podłogę całą zawartość szafki. Zaprawdę, nikt obcy nie powinien tego oglądać, żadne Knopkowe tego świata. Ilza czuje nawet coś w rodzaju wdzięczności dla gburowatej gospodyni za upór, z jakim ta namawiała ją do przyścia do pensjonatu i przejrzenia rzeczy. Strach pomyśleć, co by było, gdyby Ilza nie ustąpiła, kto, ku ucieście małomiasteczkowej gawiedzi, wzięłyby wtedy te listy i wycinki. Ilzyda nie może zostawić na pastwę losu i rozrywkę tłumowi kompromitujących papierów, nie wyjedzie, póki wszystkiego nie spali. Wpycha gorączkowo w płomień świecy list za listem, gazetę za gazetą, ale unicestwienie postępuje wolno: by skończyć z całą przeszłością, trzeba by tkwić pochyloną nad świecznikiem godzinami, dniami najprawdopodobniej. Ilza znajduje metalową tacę, na której papiery można palić po dwie – trzy sztuki na raz. Też za wolno. Piec? Znajduje się pewnie gdzieś na dole, w jednym z tych pustych pomieszczeń, do których nieprzyjemnie wchodzić, a poza tym nie wiadomo, czy działa.

Najlepsze będzie ognisko, tam spłonie wszystko naraz. Ilzyda schodzi do ogrodu, zarośnięty suchymi badyłami, nie wygląda na dobre miejsce do palenia w nim czegokolwiek. Jeszcze sam zajmie się ogniem i Ilza wywoła w miasteczku sensację stulecia, puszczając z dymem Szczęście Adeliny. Może jeszcze każą jej za spalenie tej rudery zapłacić. Bezpieczniej będzie zrobić ognisko kilka metrów dalej, na plaży.

Mewy wciąż krążą po bezchmurnym niebie, piasek wysechł w pełnym słońcu i skrzypi pod nogami, fale łagodnie wypływają na brzeg. Jak na tegoroczną jesień, to wyjątkowo ciepły, pogodny dzień. Ilzyda dostrzega na moło mężczyznę o eleganckiej sylwetce, tego samego co wczoraj, który z daleka wpatruje się

w stojący na skarpie dom. Potem nieznajomy przenosi wzrok na nią, a przynajmniej tak jej się wydaje. Spojrzenie mężczyzny przyśpiesza bicie serca Ilzy, spłyca jej oddech, usztywnia nogi. To przecież tylko spojrzenie. W dodatku Ilza zapewne wyobraża sobie jedynie, że ten człowiek na nią patrzy. Niby dlaczego miałyby na nią patrzeć? Zła na siebie, chowa się za wydumą i przystępuje do dzieła.

Układa listy i gazety w zgrabny stosik i podpala. Ogień gaśnie raz i drugi, ale potem łaskawie ogarnia swoimi skrzydłami papiery. Zaczyna je pożerać, nim jednak zdąży pochłonąć wszystkie, nagły podmuch rozwiewa płonące strzępy. Niektóre z nich złośliwy wiatr unosi za sobą w powietrze. Ilza rzuca się w pogoń za na wpół zwęglonymi skrawkami zdań, za ocalonymi z płomieni pojedynczymi wyrazami – żaden z nich nie może dostać się w niepowołane ręce, żadnego nie mają prawa zobaczyć obce oczy. A wiatr bawi się nimi, podrzuca i ciska na ziemię kilka, kilkanaście metrów dalej. Ilza biegnie w ich kierunku. Lekko tylko przypalony kawałek, który uciekł wyjątkowo daleko, podnosi z plaży dziewczynka, miejscowa, nie turystka, sądząc po stroju. Oddaje Ilzie pocztówkę z widokiem Lizbony i z dziecięcą bezpośredniością pyta, co obca pani robi.

– Porządki w domu po zmarłej matce – odpowiada Ilza. Dla dziecka jest uprzejma, wścibskiemu dorosłemu powiedziałyby, że to, czym się zajmuje, jest wyłącznie jej sprawą.

– Gdy moja babcia zmarła – mówi dziewczynka – mama nie paliła rzeczy, tylko oddała handlarzowi starzyznę i dostała za to pieniądze!

Dziewczynka zna handlarza. Nazywa się Jorg Berschik. Mieszka niedaleko, prawie przy samej plaży. Handluje nie tylko starzyznę, skupuje też pamiątki dla letników, które matka i ciotka dziewczynki robią z zebranych przez nią muszelek. Latarnie z muszelek, łódki z muszelek, Berschik zawozi je nawet do Misdroy, takie są ładne.

– Może chciałaby pani zobaczyć?

– Następnym razem – obiecuje Ilza i zapamiętuje adres handlarza.

To dobry pomysł sprzedać suknie matki i jak się uda, jeszcze jakieś drobiazgi. Niech handlarz wybierze, co mu pasuje, albo weźmie wszystko. Najlepiej niech weźmie wszystko – problem rzeczy rozwiąże się bez łaski Knopkowej, skoro ta tak bardzo nie chce mieć z nimi do czynienia. Przy okazji Ilza trochę zarobi, pewnie nie za wiele, ale nie pogardzi nawet paroma markami. Przynajmniej podróż się zwróci.

Wiatr stopniowo nasila się, przygnał deszczowe chmury. Poszarzał od nich granat morza, w powietrzu czuć już wilgoć nadciągającej mżawki. Koniec dobrej pogody nie psuje Ilzydzie nastroju. Rażnym krokiem maszeruje do pensjonatu.

Z papierami zrobiła porządek. Helmut może i miał rację, twierdząc, że jego Ilse, biedactwo, nie umie znaleźć się w eleganckim towarzystwie. Istotnie – Ilza, już nie Ilse, a na pewno nie jego Ilse, nie potrafi czarująco paplać o niczym, natomiast świetnie robi porządki. Ze wszystkim. A świat tak naprawdę potrzebuje pszczoł, nie motyli. Motyle są bezużyteczne, tylko irytują trzepotem. Ilza zabiera się za przegląd rzeczy. Energicznie otwiera na oścież drzwi szafy i znów rozchodzi się ten sam zapach co z listów i pościeli, tylko silniejszy, kadzidła zmieszanego z pleśnią. Oj, chyba spadkobierczyni wielmożnej pani hrabiny nie dostanie za całe to dziedzictwo nawet nędznych paru marek. Powinna wszak się tego spodziewać – u Anny zawsze wszystko rozłaziło się w szwach, rozpadało i butwiało, rozkład czał się na każdym kroku. Nie umiała dbać ani o ludzi, ani o rzeczy. Ludzie przeciekali jej między palcami. Życzliwi znajomi szybko odchodzili zniechęceni, przyjaciele opuszczali ją jeden po drugim, kochankowie rzucali po kilku miodowych tygodniach... Nitki pękały, odrywały się troczki od spódnic, sploty uparcie puszczały coraz to nowe oczka. Maleńkie dziurki nieubłaganie stawały się wielkimi dziurami, a mole pasły się na koronkach.

Na dnie szafy leżą pantofle o zniszczonych obcasach. Ona zawsze niszczyła obcasy, innym zdawało się, że nie idzie, lecz płynie w powietrzu, wdzięcznie i z gracją, bogini to czy czarodziejka, nieziemska bądź co bądź istota, ale Ilza wiedziała, że jej buty miały mocno zdeptane obcasy i otarte od wewnętrznej strony boki. Wachlarze – nadłamane fiszbin. Halki – postrzępione falbanki.

Może jedynie ta fioletowa suknia z tafty z aksamitnymi lamówkami w odcieniu śliwki jeszcze się do czegoś nadaje. Ilza przesuwa dłonią po gładkiej tkaninie, a wtedy przez ciało przepływa nagła fala gorąca, której towarzyszy strach i poczucie osamotnienia. Niepokój to wierny towarzysz życia, wciąż przypomina, że zdana jest wyłącznie na własne siły, nikt nie będzie jej bronić przed przyszłością. Jak śmiertelnie nużące są szamotanie się, walka o pozostanie na powierzchni, wieczne zadowalanie się nędznymi okruchami powodzenia. Bezpieczeństwo, stabilizacja ciągle niedostępne. Wydają się być tuż, tuż, czekać na nią, a jednak ona nie dostaje ich nigdy. Dostają inne kobiety, które niczym sobie na to nie zasłużyły. Jak rzeczy na sklepowej wystawie, możesz je sobie, Anno, pooglądać, ale nie dotykaj, to nie dla ciebie. Anno?

Ilza oczami Anny widzi tamten bal: robi furorę w fioletowej sukience. Wiruje w tańcu, na siłę beztroska. Śmieje się perliście nie wiadomo z czego. Z życia może. Wokół niej spoczone twarze, błyszczące oczy mężczyzn, wyczuwalne napięcie. Na podłodze zdeptane kwiaty, trzeba uważać, by się na nich nie poślizgnąć. Czuje zapachy: palących się świec, rozmazanych na włosach pomad, perfum zmieszanych z potem. Słyszy podniecone zabawą piski i czyjaś zadyszka od szybkiego walca. Córeczka oczywiście nie tańczy. Sztywna i niezgrabna, w sukience, w której jest jej nie do twarzy, ale sama uparła się, że włoży tę

właśnie, podpira ścianę. Najpierw jedną, potem drugą ścianę. Patrzy potępiająco na wszystkich, żałując im chwili radości i zabawy. Oczywiście nikt nie poprosi do tańca takiej harpii. A w dodatku, jak to ona, pojawia się tam, gdzie nie powinna.

Ilza wzdryga się i wypuszcza z rąk sukienkę. Z powrotem jest sobą i pamięta: na wpół zemdlona gorącą duchotą sali, wymknęła się wtedy po cichu. Sądziła, że w pokoju na uboczu, chłodnym i ciemnym, znajdzie trochę spokoju, tymczasem, w rogu za zasłoną szamotała się namiętnie zajęta sobą parka. Ukrytych kochanków zdradzał zduszony chichot, szelest tafty, odrażające dyszenie, obrzydliwe jęki. Zniesmaczona Ilzyda już chciała się dyskretnie wycofać, gdy zauważyła, że wypięta tkanina kotary wprawdzie szczelnie okrywa obie sylwetki, kończy się jednak kilkanaście centymetrów nad podłogą. Mężczyznę Ilza poznała po ekstrawaganckich butach – demoniczny sir Belial, każący się tytułować „rycerzem przeklętej pamięci” i utrzymujący, że jest nieślubnym synem samego szatana. Kobietę – och, po wszystkim: dziurawych pończoszkach, urwanej fioletowej lamówce, liliowym wachlarzu poniewierającym się na posadzce.

Następnego dnia Anna wstała późno, w wyśmienitym humorze i nie zwracała najmniejszej uwagi na ponure spojrzenia spode łba, rzucane przez córkę. Nic nie mogło jej tego ranka, a właściwie już południa, zirytować. Podśpiewując szykowała się na spotkanie. Niewątpliwie liczyła na to, że bliższa znajomość z synem szatana przywróci blask, jeśli nie oczom, to przynajmniej karierze. Tak się jednak nie stało. Romans z rycerzem przeklętej pamięci trwał bardzo krótko, rycerz bowiem okazał się niegodny miana dżentelmena – za nic nie płacił i niczego nie ułatwiał. W prezencie dał broszkę z fałszywych ametystów. Annie potrzebny był hojniejszy przyjaciel i taki się wkrótce znalazł. Właściciel fabryki gwoździ. A potem i on odszedł, jak wszyscy.

Zmierzch wyganiający z pokoju światło wytrąca Ilzę z zamyślenia. Znów zastaje ją tu noc. Ale ta będzie inna niż poprzednia, bo gorączka minęła i Ilza z powrotem panuje nad sytuacją. Za dużo w życiu widziała, by dać się ponosić wyobraźni. Zapala świece – mnóstwo świec – i siada w fotelu. Na stoliku obok kładzie zardzewiały pręt znaleziony pod łóżkiem. Będzie czuwać. Na razie w domu panuje cisza, nic się nie dzieje, za to na dworze nasila się wiatr i wieczorna mżawka przechodzi w nocną ulewę. Deszcz ze wszystkich sił bębni w dachówki, całe szczęście, że gospodyni mówiła prawdę – dach nie przecieka. A framuga? Ilza przenosi wzrok z sufitu na okno i albo musiała przysnąć, albo tak dziwnie układają się spływające po szybie strumienie – jakby ktoś stał na zewnątrz, zbliżał twarz, zaglądał do środka. To niemożliwe: pokój jest w wieżycy, nie w suterenie czy na parterze. Mimo to zza szkła patrzą na Ilzę ciemne, łagodne oczy. „Nie mam złych zamiarów”, zdają się mówić, „nie chcę cię skrzywdzić”.

To oczywiście sen, bo w chwilę potem Ilza jest na balu. Z tym, że bal to nie taki jak poprzednie, gdy stała pod ścianą zażenowana swoim brakiem powodzenia i wzięciem matki, jej perlстым śmiechem i nieprzyzwoicie głębokim dekoltem. Na jednym z takich właśnie balów wyłowił ją z tłumu Helmut. Klasztorna lilija, powiedział o niej, ale później poprawił: nie, na liliję jest zbyt niepozorna, to klasztorna konwalijka zagłuszona przez przepyszną orchideę. Teraz, na tym balu, który jej się śni, jest i lilija, i róża, i orchideą, ściąga ku sobie zachwycone spojrzenia. Tych mężczyzn nie chce, czeka na kogoś, kto za chwilę wejdzie. Już jest blisko. Ilzyda czuje to i nie może się doczekać. Ciało napina się, drży z niecierpliwości. Napięcie nie jest bolesne, ale nie do zniesienia drażniące.

9 października 1913 roku, czwartek

Owszem, ta druga noc, spędzona w fotelu, była spokojna – nikt nie krzyczał – tyle że mało wygodna. Rano bolą Ilzę wszystkie kości. Zesztywniała, z trudem wstaje i zabiera się do zeskrobywania ze stołu rozlanego wosku. W jedną noc zużyła cały zapas świec. Straszne marnotrawstwo. Wyciąga z szafy oglądaną wczoraj fioletową suknię z lamówką. Gdy dotyka śliskiej tkaniny, znów czuje uderzenie gorąca, lecz nie poddaje się wspomnieniom. Nie teraz. Nigdy. Wiesza sukienkę przez ramię, chwyta purpurową, aksamitną torebkę – matka miała ją przy sobie, gdy poznała tego okropnego Goldmana. W kokietyjnym niby-zmieszaniu skubała frędzle i zerkała na bankiera spod podkręconych zalotką rzęs. Wybuchła śmiechem, jak tylko nadziany tłuszczoch powiedział coś, co w zamyśle zapewne miało być dowcipne. Perlisty chichot Anny mdlącą falą rozlewał się po otoczeniu, ludzie odwracali głowy, by zobaczyć, kto tak głośno się zachowuje, tak nieelegancko, chrząkali z dezaprobatą, uśmiechali się z wyższością – ale przecież Ilza miała już o wszystkim zapomnieć. Teraz, wytarty w wielu miejscach, purpurowy aksamit wygląda żałośnie.

Z kolei czarna, wyszywana paciorkami sakiewka była świadkiem pierwszego spotkania Anny z właścicielem fabryki gwoździ. Ilza pamięta, jak na odczytanie „Teozofia a spirytyzm. Czy teozofia istotnie jest wiedzą wyższą?” mężczyzna z wypomadowanymi na sztywno wąsami wgąpił się w jej matkę bezczelnie. Trzeba przyznać, wyróżniała się urodą spośród zgromadzonych pań. Od tego czasu część paciorków zdołała odpaść od torebki i rozsypać się, koralik po koraliku, pogubić po niemal wszystkich stolicach Europy.

– Jak ja ich nienawidzę – uświadamia sobie Ilzyda. Nienawidzi mężczyzn o starannie wyczesanych przedziałkach i wypomadowanych wąsach przesłaniających wydęte usta. Nienawidzi tych, co „całują rączki i padają do nóżek”, przekonani o własnej ważności i wrodzonej głupocie kobiet. Nienawidzi

statecznych ojców rodzin w sztywnych kołnierzykach rozglądających się za potulną kochanką. Świat nigdy ich nie potępia.

Stale kręcili się wokół Anny, zasypując banalnymi komplementami, gardzili nią jednocześnie. A ona, głupia, wdzięczyła się i szczebiotała, rozdawała promienne uśmiechy, wszystko w nadziei, że w końcu trafi jej się grubsza ryba. Tymczasem przynętę łykały głównie płotki, w dodatku szybko urywające się z wędki.

Toczek z piórami. Nosila go w Ostendzie. Jedno z piór skrzywiło się, Ilza odruchowo próbuje je wyprostować i znów czuje uderzenie gorąca i strach schowany w skurczach brzucha, znów widzi świat oczami Anny. Wraca właśnie z lombardu, gdzie wyśmiali ją, gdy usiłowała zastawić ukochanego „renesansowego” Jezuska. „Prawdziwy włoski renesans? Ależ, droga hrabino! Pani raczej żartować, nieprawdaż? Ta rzecz jest zupełnie bez wartości”. Chamy! Chciwe prostytutki bez żadnego pojęcia o sztuce. Przez nich nie ma czym zapłacić za hotel. Idzie rozkołysanym krokiem w pomarańczowej sukni przybranej farbowanymi na żółto piórami, takimi samymi jak na toczku. Jaskrawy kolor, taneczne ruchy przyciągają uwagę. Dobrze. O to chodzi.

Boże, co się z nią dzieje! Gdyby Ilza wierzyła w duchy, uznałaby, że duch matki próbuje ją opętać! Ale nie wierzy.

Wrzuca toczek na dno szafy. Do aksamitnej torebki wsuwa broszkę z fałszywych ametystów – prezent od przekłętej pamięci sir Beliala. Na nią przynajmniej handlarz starzyzną powinien się połaszczyć. Potem Ilza zaprosi go do pensjonatu, by wziął resztę. Co zaś nie da się sprzedać, odda za darmo.

Prawdziwy cud – nie pada drugi ranek z rzędu, lecz jest pochmurnie i porywisty wiatr wciąż szarpie trawami na wydmach. Mewy latają nisko, do ich wrzasków, podobnie jak do nieustannego szumu fal, Ilza zdążyła się już przyzwyczaić. Idzie ostrożnie, starając się nie pobrudzić błotem niesionej sukienki. Na szczęście, nie musi jej nieść daleko. Na pierwszy rzut oka siedziba handlarza jest w podobnym stanie jak Szczęście Adeliny. Część ogrodu leży beztrosko na ziemi, nie ma furtki, przed którą można by stanąć, czekając na zaproszenie do wejścia, możliwe, że handlarze starzyzną, z racji swego zawodu, muszą być tacy otwarci. Być może też wszyscy mają podwórka pełne rozwleczonych szmat i zarzucone rzeczami, których przeznaczenia Ilza nie potrafi się domyśleć. Jakies kółka, łańcuchy, sprężyny, ramy od łóżek? Niezręcznie wymijając stos wiader, potrąca jedno z nich czubkiem buta. Stos rozpada się z ogłuszającym brzdękiem. No cóż, lepsze to nawet niż dzwonek do furtki, gospodarz na pewno zorientował się już, że ma gościa. Dla czystej formalności Ilza puka do drzwi. Odzewu brak. Nikt nie otwiera. Czyżby handlarz gdzieś wyszedł, choć pora wczesna? Ilza zastanawia

się, co robić. Przyjść później czy zaczekać? Przysiada ostrożnie na czymś, co przypomina siodełko od bicykla zamocowane na wysokim stołku i rozgląda się dookoła. W dziurawej szopie za domem stoi tajemnicza machina związana sznurkiem i podparta cepem. W ogrodzie, wśród wybująłych pokrzyw kryje się splowiała od deszczu szafa. Chyba służy za kurnik, bo wybiega z niej kura, potem druga, za nimi statecznie kroczy kogut. Łypie wrogo na obcego człowieka, Ilzę aż korci, by go kopnąć.

Ilza podskakuje na siodełku, gdyż zniecka skrzypią drzwi chałupy i w pełnej krasie ukazuje się gospodarz: czterdziesto- lub pięćdziesięcioletni, zwalisty, równie zapuszczony jak jego podwórko. Mruży zapuchnięte oczy, razi go światło, pewnie nieźle wczoraj zapił. Na widok Ilzy podciąga spodnie i zapina guzik u koszuli, jeden z niewielu, które tam są. Na zarośniętej twarzy pojawia się grymas, może oznaczać „niezła babka”, albo komunikat „wynoś się stąd”. Trudno zgadnąć i Ilza nawet nie próbuje.

– Dzień dobry – mówi do niechlujnego olbrzyma tonem perfekcyjnej damy klasowej. Nie takich jak on przywoływała do porządku. W Szczecinie stróż domu chowa się już na sam jej widok. Ilza wstaje i strzepuje spódnicę.

– Bry – odburkuje gospodarz. – Czemu zawdzięczam przyjemność?

– Słyszałam, że skupujecie rzeczy. Mam trochę przedmiotów, które nie są mi potrzebne.

– Pani jest córką tej kobiety, co mieszkała u Adeliny. – To nie pytanie, tylko stwierdzenie faktu. – Nie wezmę ich.

– A to dlaczego? – oburza się Ilza. – Nawet ich pan nie widział! Są w świetnym stanie... Niech pan tylko zobaczy tę broszkę...

Sięga do torebki, ale handlarz macha ręką.

– Nic nie wezmę. Szkoda gadać. Nie zrobimy interesu, proszę już iść.

– Może mi pan wytłumaczy dlaczego? Z uprzejmości, choć nie byłabym pewna, czy w ogóle wie pan, co to takiego.

Sarkazm jest zbyt wyrafinowaną bronią, by zdołał przebić grubą skórę handlarza. Jorg Berschik patrzy na Ilzę tępy, udręczony wzrokiem, przydługie, siwe loki powiewają mu na wietrze, nie mówi nic. Widać, że męczy go kac, chce czym prędzej pozbyć się nieproszonego gościa, wrócić do chałupy i zwalić się na wyrko. Ilza siada więc ponownie na tym czymś, co jest zapewne siodełkiem od bicykla, zakłada ręce na piersi i całą sobą daje do zrozumienia, że nigdzie nie pójdzie, póki nie usłyszy stosownych wyjaśnień. Kategorie postawa trafia handlarzowi do przekonania, wie, że jak się baba zawezmie, to i święty Boże nie pomoże. Zrezygnowanym ruchem opiera się o ścianę domu – cud, że ta wytrzymuje jego ciężar – taksuje Ilzę wzrokiem od góry do dołu, a grube wargi wygina w kpiący półuśmiech.

– Spędziła tam pani dwie noce. – To znów nie pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

– Skąd...

– Całe miasto o tym wie – Berschik wzrusza ramionami. – Spędziła tam pani dwie noce i co się działo?

– A co niby miałyby dziać się w nocy, co pan mi tutaj suponuje?

– Niczego nie su., supuję. Pytam, czy słyszała pani krzyki.

Pytanie Ilzę zaskakuje, nie ma pojęcia, co odpowiedzieć, przygryza wargę. A może w pensjonacie faktycznie ukrywa się niebezpieczny obłąkaniec, na przykład krewny Knopkowej i handlarz o tym wie, „całe miasto o tym wie”? Powinna załatwić interesy i wyjechać z tego zwariowanego miejsca czym prędzej.

– Kupi pan rzeczy?

– Nie kupię. Powie mi pani?

– Jak pan mi powie, dlaczego ich nie kupi.

– Powiem, ale pani pierwsza.

– A co mam powiedzieć?

– Wszystko, co pani słyszała i widziała.

– Czemu?

– Bo ciekawski jestem. Lubię wiedzieć, co w piasku piszczy.

Małomiasteczkowy plotkarz. I nawet się tego nie wstydzi – beczelnie śmieje się już całą szczerbatą gębą. Wcale a wcale mu nie przeszkadza, że dama patrzy na niego z nieukrywaną wzdrgą.

– No więc, krzyczało w nocy, prawda?

– Nie jestem o tym w pełni przekonana – odpowiada z rezerwą Ilzyda.

– Ale wydawało się pani, że ktoś krzyczy?

– Tak – Ilza poddaje się. Trudno, wyjdzie na wariatkę albo na pierwszą naiwną, a on tę wieść rozniesie po całej okolicy. – Istotnie, poprzedniej nocy odniosłam podobne wrażenie, ale nie czułam się najlepiej. Miałam gorączkę i z tego powodu zdawało mi się, że ktoś płacze, a potem krzyczy.

– Adelina. Gorączka nie ma nic do rzeczy. Ten dom jest nawiedzony.

– Nie wierzę w takie bzdury.

– Uważa pani, że to bzdury, ale chce posłuchać całej historii? – handlarz uśmiecha się kpiąco.

– Umówiliśmy się, że mi pan wyjaśni – Ilza siedzi twardo i patrzy na niego wyczekująco. Niech do gbury dotrze, że Ilzyda Filomena von Taffel nie jest z tych, które łatwo zbyć byle czym.

– Ano umówiliśmy się – potwierdza Berschik i znów szeroko się uśmiecha, prezentując przetrzebione uzębienie. Dziurawy uśmiech i cała osoba handlarza irytują Ilzę coraz bardziej. Ona sama nie widzi nic śmiesznego w całej sytuacji.

– Chodźmy na plażę, tam wszystko opowiem. Kieckę może pani chwilowo powiesić na płocie, by jej ze sobą nie targać, ale musi ją pani zabrać później.

– A może po prostu ją pan kupi? Nie oczekuję dużej sumy.

– Za darmo nawet nie wezmę. Jeszcze mi zaszkodzi.

Sukienka! Mieszkańcy Hole am Meer to prawdziwa banda głupców, zapewne przez ten nieustanny wiatr od morza, który wywiewa im z głów resztki rozumu. Ilza nie jest pewna, czy omszałe sztachety wyglądające, jakby za chwilę miały runąć na ziemię, wytrzymają dodatkowy ciężar. Wiesza jednak suknię na ogrodzeniu. Fioletowa połyskliwa tafta wybija się kolorową plamą z szarego otoczenia. Jeśli zginie, to trudno, i tak Ilza chciała przecież wszystko oddać.

– A na plażę po co? – pyta podejrzliwie.

– Po bursztyn – wyjaśnia handlarz. – Może zostało go trochę po sztormie, choć pewnie jakieś parszywe ranne ptaszki wszystko już wydziobały. Po bursztyn powinno się iść o świcie, ale zasnęłam. Dopiero pani mnie obudziła. W co pani wdepła, że narobiła tyle hałasu?

– Trudno było w coś nie „wdepnąć”. Pańskie podwórko przypomina wojenne zasieki – odcina się Ilza.

Tym razem handlarz śmieje się w głos, a głos ma tubalny. Doprawdy wstyd pokazywać się w towarzystwie takiego nieokrzesanego typu. Zalatujący wczorajszą wódką, ani ogolony, ani brodaty, obnosi po świecie nieokreślony, niechlujny stan pomiędzy. Ma rozwichrzone włosy, zepsute zęby, a strój... spodnie opadają, tak że nogawki wloką się po błotnistej drodze, koszula jest nieprzyzwoicie rozchełstana na mocarnej, włochatej piersi. Ilza odwraca wzrok. Co ludzie powiedzą, widząc ją z takim osobnikiem? No i co z tego, że nikt jej tu nie zna?! Opinia jest opinią. Na szczęście na plaży nie ma nikogo, nawet zwykownego spacerowicza, widzianego wczoraj i przedwczoraj z oddali. To wielka ulga, że eleganta nie ma – Ilza spaliłaby się ze wstydu pod jego wzrokiem, nawet nie będąc pewna, czy on na nią w ogóle patrzy.

Na plaży Berschik wypatruje kawałków bursztynu wśród wału glonów, muszelek i kamieni. Ilza idzie za nim, tak jak on wbijając oczy w mokry piasek, nie ma jednak pojęcia, jak wygląda nieoszlifowany bursztyn. Raz po raz podaje handlarzowi kamyki, które ładnie błyszczą, bo są mokre. Handlarz wzdycha: jak można być taką ignorantką, gdy wyschną będą matowe i zupełnie zwyczajne.

– Może niech mi pani nie pomaga – proponuje.

Tymczasem spacer po plaży zaczął Ilzę nieoczekiwanie bawić, kolejne pomyłki nastrojać dziecinnie beztrudno. Urażona wyciera mokre dłonie w spódnicę. Czas

przypomnieć sobie, że zniżyła się do zgody na towarzystwo takiego prostaka, wyłącznie dla uzyskania wyjaśnień.

– Kim więc była Adelina? – zagaja.

– Adelina – odpowiada handlarz – była najpiękniejszą dziewczyną w mieście.

Jorg Berschik unosi wzrok znad piasku, patrzy w chmury i mówi rozmarzonym tonem:

– Włosy jak skrzydło kruka, oczy jak niebo, cera delikatna jak płatek róży. Wszyscy się w niej kochali.

Proszę, jaki z tego chama poeta. Od takiej poezji aż się człowiekowi robi gorzko w ustach.

– Nieszczęśliwie skończyła, czyż nie tak? – Ilza ma nadzieję, że nutka satysfakcji w jej głosie umknie uwadze handlarza. Nawet jeśli nie umyka, Berschik nie daje tego po sobie poznać:

– Z początku nic na to nie wskazywało. Była w czepku urodzona. Najmłodsze dziecko w rodzinie, do tego taka ładna i urocza. Rozpieszczali ją i uwielbiali wszyscy: rodzice, kuzyni, sąsiedzi. Każdego potrafiła okręcić sobie wokół palca. A gdy tylko wyrosła z krótkich sukienek, zaręczyła się z przystojnym chłopcem z najbogatszej rodziny w mieście. Najlepsza partia, jaką tylko można sobie wyobrazić – jedynak i dziedzic, szaleńczo w Adelinie zakochany. To on wybudował dla niej dom nad brzegiem morza i nazwał go Szczęście Adeliny.

– Pechowa nazwa, jak się okazuje – wtrąca Ilza. Z nazwami, jak z imionami, lepiej uważać.

– Wprowadzili się zaraz po ślubie – ciągnie Berschik. – Kilka miesięcy później on odszedł do innej kobiety i z tamtą wyjechał z miasta. Pani sobie tylko wyobrazi, jaki skandal. Adelina została sama, straszliwie upokorzona i długo nie pokazywała się ludziom na oczy. Paru chciało słomianą wdowę jakoś pocieszyć, ale pogoniła wszystkich. Zamknęła drzwi i nikogo nie wpuszczała. Nawet swoich krewnych posłała do diabła. Po prostu nie była w stanie znieść, że ludzie jej współczują, że ona, piękna Adelina zasługuje na litość. Siedziała tak, zamknięta, aż skończyły się pieniądze. Musiała biedaczka otworzyć pensjonat w tym swoim gniazdku szczęścia. Wynajmowała pokoje. A że za dumna była, nie potrafiła ludziom usługiwać i dziwaczała coraz bardziej, to i lokatorów miała coraz mniej, a co za tym idzie – coraz mniej pieniędzy na remonty. Coraz mniej remontów to dom w złym stanie i coraz mniej lokatorów, rozumie pani, prawda, błędne koło. Choć dom cudny, elegancko umeblowany i pięknie położony, na samiutkiej skarpie, żyła biedaczka w nędzy. Nie chciała się wyprzedawać z niczego, wołała nie jeść. Z takiej pięknej kobiety zrobiło się chucherko, kruchy szkielecik po prostu. Spadła ze schodów w czterdziestej trzeciej wiosnie życia, choć to już nie wiosna była, no i złamała kark.

Handlarz przykuca, wygrzebuje spod glonów niepozorny kamyk, przeciera i chowa do kieszeni.

– No i jeszcze ta historia z marynarzem – mówi dalej. – W międzyczasie przygruchała sobie jakiegoś podejrzanego typka, mówili nawet, że to nie marynarz, tylko przemytnik. Mieszkał u niej całą zimę. Kochała go, a on odpłynął w siną dal, jak tylko lody puściły. Znowu. Tak jak wcześniej odszedł od niej mąż z jakąś wywłoką. Ale to i tak było ładaco, nic dobrego.

Berschik podnosi kolejny kamyk, obraca go w palcach i chowa do kieszeni.

– W każdym razie Adelina zginęła nagłą śmiercią i jej duch w tym domu straszy – wyjaśnia.

– Co za głupie przesady – mamrocze Ilza z pogardą. Też podnosi z plaży kilka kamyków i machinalnie obraca je w palcach. Pewnie to nie bursztyny, ale są zimne, gładkie w dotyku, całkowicie rzeczywiste. Kto jak kto, akurat Ilzyda świetnie wie, że nie ma żadnych duchów, tylko zwoje gazy albo małe dziewczynki, ukrywane pod spódnicą, by w odpowiedniej chwili odegrały rolę widma. Oczywiście, Berschik z niej kpi. Zabawia się kosztem przyjezdnej, strasząc nawiedzonymi domami. Dziwaczna rozrywka, lecz pewnie w tej dziurze lepszych brak. Wszyscy tu mają nierówno pod sufitem. Nie nabierze się, nie da im tej satysfakcji.

– Bzdury – mówi głośno. – Nie wierzę w duchy.

– Sama pani mówiła, że ktoś krzyczał.

– Tylko mi się wydawało, a jeśli nawet nie, musiał być to ktoś najzupełniej żywy, tyle że chory umysłowo. Albo ze spaczonym poczuciem humoru, co na jedno wychodzi.

Jorg Berschik patrzy na Ilzę z uśmiechem, który ta uznaje za nad wyraz bezczelny.

– Po śmierci Adeliny dom odziedziczyła jej siostra, Herta Knopke. Ona tak nadaje się do delikatnych spraw, jak wół do karety. Otworzyła na nowo pensjonat, ale goście zaczęli uciekać i cuda opowiadać, co się w tym domu wyrabia. Że ktoś wrzeszczy, że duch meblami rzuca...

– Duch rzuca meblami! – śmieje się Ilza z niedowierzaniem.

– I to jakimi meblami – dodaje poważnie Berschik. – Sama elegancja-Francja, bo mąż Adeliny kupował do tego domu wszystko co najlepsze, aż z Berlina dla swojej Adelki komplety sprowadzał. A Knopkowa to oszczędna kobieta. Co jej jakiś poltergeist, czy inne lichy, drogie sprzęty łamać będzie. To jej własność i nie pozwoli, by na zatracenie szła. Więc zabrała wszystko, co tam po siostrze cennego było, i sprzedała. Część mebli kupił burmistrz i, niech pani sobie wyobrazi, zaraz potem przytrafiło mu się nieszczęście: córka zmarła. A potem jeszcze zbankrutował. Sprzedał meble komuś innemu i tamten też zmarł. Więc

ludzie zaczęli gadać, że to Adelina zazdrosna o swoją własność pomór na nich sprowadziła. I uradzono, że wszystko po niej spalić trzeba, jak zarażone, by pecha nie przynosiło. Co kto od Knopkowej po Adelinie kupił, cudeńka, puzderka, srebrne szczotki, wszystko do ostatniej szmatki, jak zadżumione, w ogień poszło. Ognisko wielkie ludzie na plaży rozpalili, a łuna szła na wodę i niebo taka, że aż z sąsiedniego Baldock straż pożarna przyjechała, bo myślała, że miasto się pali i miejscowi sami rady nie dadzą.

Ludzie chcieli też i nawiedzony dom spalić, ale Knopke napadła na nich jak tygrysica: „Co spalić?! Mój pensjonat spalić?!” – wrzeszczała. – „Nawiedzony czy nie, moje! Moja własność, chcecie palić, to najpierw zapłaćcie!”. Ale chętnych do kupna nie było. Nikt nie był taki głupi. Może i dobrze się stało, bo gdyby tę chałupę spalić, to jeszcze demon pozbawiony dachu nad głową, poszedłby do kogo innego straszyć. Niech tam sobie Szczęście Adeliny stoi, aż wiatr od morza i deszcze zrobią z nim porządek.

Handlarz ogląda się na dom, który wbrew pobożnym życzeniom, na przekór morzu i na złość ludziom, wciąż tkwi na skarpie. Jak wrzód na przyzwoitym tyłku miasta. Trzyma się mocno i ani myśli zniknąć.

– Ludzie mówili Knopkowej, że pieniądze to ona im powinna zwrócić – za rzeczy, co to nawiedzone posprzedawała i oni, by ducha Adeliny nie denerwować, musieli w ogień wrzucić, ale Knopkowa żywa feniga sobie wydrzeć nie da, więc nic nie oddała i jej tu teraz ludzie nie kochają.

– Ciekawa, ludowa historyjka, ale nie wyjaśnia, czemu nie chce pan rzeczy, które ja mam do sprzedania – podsumowuje Ilza. – Zaręczam panu, że Adelina nie może sobie rościć do nich najmniejszego prawa. Nigdy ich nie dotykała, ani nawet nie widziała na oczy. Może mi pan wierzyć.

– Ależ wierzę pani – zapewnia ją handlarz. – To są rzeczy po pani matce.

– Właśnie – mówi Ilza. – Więc dlaczego nie chce ich pan nawet obejrzyć?

– Bo po tej sprawie z Adeliną nikt w tym mieście nie kupi rzeczy po wiedźmie. Reputację stracę, gdy ludzie dowiedzą się, że wzięłem i próbuję sprzedać coś, co znów może przynieść pecha.

– Co, co pan powiedział?! – Ilzę zatyka z oburzenia.

– Bo zaufanie, widzi pani, to w moim fachu rzecz najważniejsza.

– Nie kupi pan rzeczy po mojej matce, bo ludzie uważają, że ona była, była...

– Wiedźmą – potwierdza handlarz. – Czarownicą znaczy się.

– Tego już za wiele! – krzyczy Ilza, rzuca w handlarza garścią kamyków i ucieka z plaży.

Wpada do pokoju na wieży jak bomba. Prostacy! Jak śmieli! Chwyta torbę. Bezczelni, prymitywni, zabobonni... Doprawdy posunęli tę durną zabawę o wiele, wiele za daleko... Nie zostanie ani sekundy dłużej w tym obłąkanym miejscu! Zbiega ze schodów głośno tupiąc. Ósmy od góry, albo dziewiąty od dołu, stopień załamuje się z trzaskiem i Ilzyda Filomena stacza się na sam dół. Po drodze czuje straszny ból w plecach, potem w nodze, na koniec wali się w głowę i zapada w głęboką ciemność.

W ciemności przychodzi do niej dziewczyna. Wygląda jak Elżbieta, ciemnowłosa, z dołeczkami w kremowych policzkach, ale jest miłsza niż Elżbieta, nie ma tego złośliwego błysku w oczach.

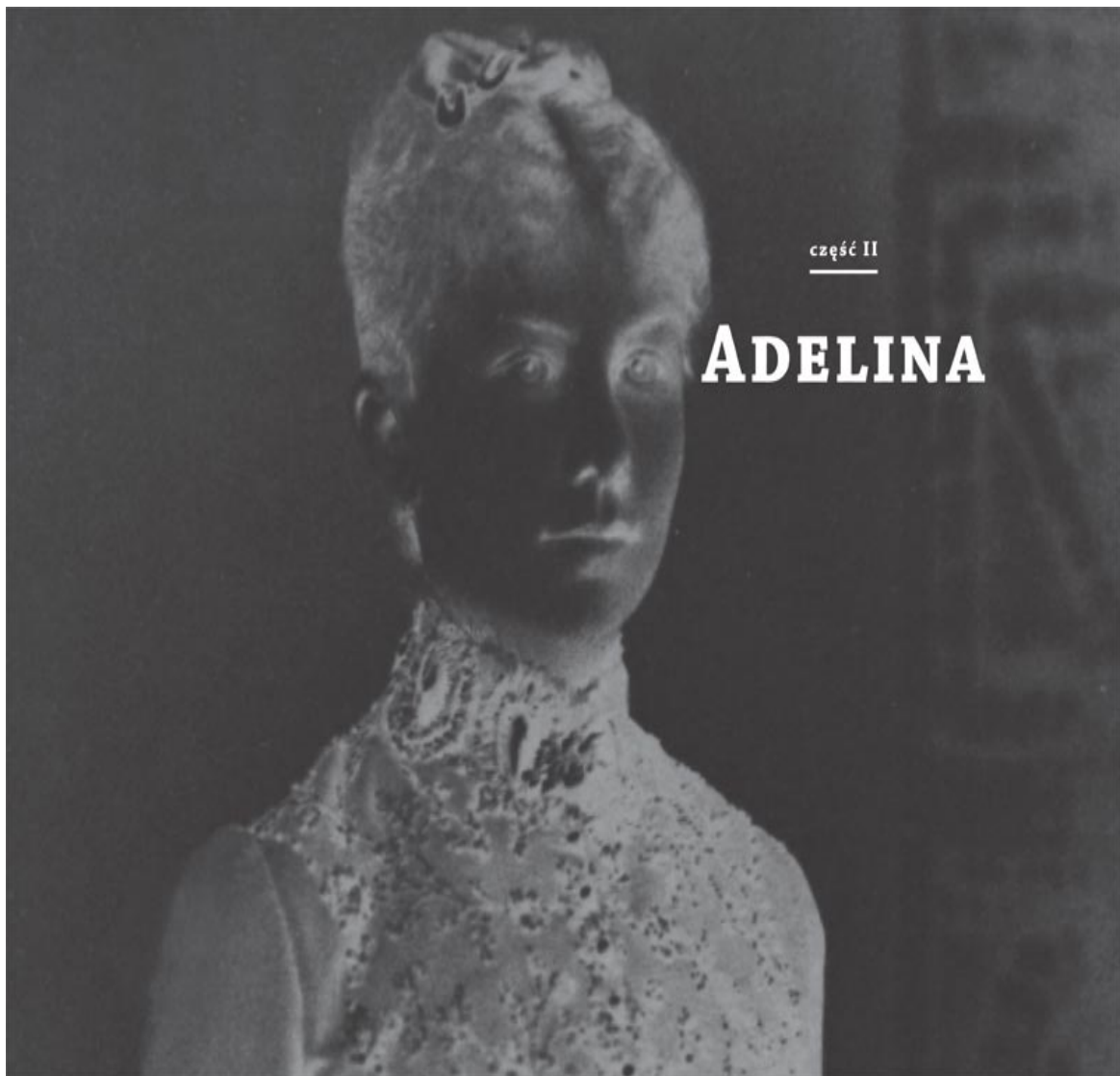
– Chcę tylko, by on był ze mną – mówi. – Przepraszam za te schody, wiem, że to boli, ale musiałam cię zatrzymać.

Znika. Za chwilę pojawia się z drugiej strony ciemności.

– Ja tylko chcę być z nim. Nie chcę nikogo skrzywdzić. Nie chcę cię skrzywdzić, przepraszam za te schody, ale błagam, nie odchodź, musisz mi pomóc, pomóż mi.

– Dobrze – mówi Ilza. – Powiedz, co mam zrobić.





część II

ADELINA

HOLE AM MEER

Nie wie, jak długo leżała w korytarzu u stóp schodów. Ocknęła się, bo ktoś – pewnie Herta Knopke – głośno walił do drzwi. Ilza próbuje wstać, ale od razu pada z powrotem na podłogę, krzycząc z bólu. Krzyk przedostaje się na zewnątrz domu, ktoś zostawia drzwi w spokoju, podchodzi do okna i przez szparę w deskach pyta:

– Jest tam kto? Czy pani tam jest?

Jednak handlarz.

– Potrzebuję pomocy – stęka Ilzyda.

– Co? Słucham?

– Pomocy! – woła Ilzyda. – Spadłam ze schodów!

Gdy krzyczy, bolą ją żebra, boli ją cała klatka piersiowa.

– Nie może pani otworzyć drzwi?

– Gdybym mogła, dawno bym otworzyła! – Co za głupek.

Ilza słyszy, jak handlarz klnie i odchodzi. O Boże, powinna być bardziej uprzejma. Teraz on sobie poszedł, nieczuły, pozbawiony sumienia drań, a co z nią? Zbiera siły, próbuje znów, lecz nie daje rady wstać. Zaciska więc zęby i opierając się na łokciach czołga do drzwi, centymetr po centymetrze, walcząc z przeszywającym bólem nóg i pleców. Boże, a jeśli złamała kręgosłup i będzie sparaliżowana do końca życia? Boże miłosierny nie dopuść, już lepiej byłoby umrzeć na tej podłodze, w tym przeklętym miejscu. Nie, nie wolno tak myśleć, nie będzie sparaliżowana, czołga się dalej, z bólu ciemnieje przed oczami, czuje, że zaraz zemdleje. Cudem udaje się dotrzeć do drzwi, ale jak je otworzy i co potem? Wybawieniem jest odgłos kroków na kamiennych schodkach, zbawca zaczyna wyłamywać zamek.

Rycerz, który pospieszył damie na ratunek, jest nieogolony, odziany w rozchełstaną koszulę i opadające spodnie, w brudnych rękach trzyma łom, za paznokciami hoduje głęboką żalobę, lecz to śmieszne zwracać w obecnej sytuacji uwagę na takie szczegóły. Handlarz podnosi Ilzę z podłogi i niesie na górę, do jedynego umeblowanego pokoju w całym domu, czyli sypialni w wieżyczce. Tam kładzie ofiarę wypadku na łóżku i sprawdza jej nogi, najpierw jedną, potem drugą. Ilzę oburza to macanie, czuje się skrępowana, mimo że półprzytomna, ale handlarz ucisza jej mamrotanie, mówiąc, że nie takie widoki w życiu podziwiał i nie takie nogi w życiu macał. A te dwie tutaj, jak Bóg na niebie, chyba są złamane. No, pięknie. Handlarz brudnymi palcami sprawdza jeszcze głowę Ilzy i znajduje duży guz. Podejrzewa, że w trakcie upadku mogły pójść i żebra, ale poszkodowana nie zgadza się na dalsze badanie.

– Niech mnie pan zostawi w spokoju – jęczy. – To boli.

– Musi panią obejrzeć lekarz – decyduje Jorg Berschik. – Jest jeden taki w mieście, pójdę po niego. Myślę, że przyjdzie. W końcu to człowiek nauki, powinien być ponad przesady.

Ilza ma nadzieję i obawia się jednocześnie, że owym światłym lekarzem okaże się szykowny spacerowicz widziany kilka razy z oddali, że też akurat muszą poznać się w momencie, gdy ona, po upadku ze schodów i czołganiu się przez korytarz, z pewnością nie najlepiej wygląda.

Handlarz wraca jednak ze starszym, niezbyt sympatycznym panem, który dość szorstko bada Ilzę, na koniec boleśnie nastawia jej lewą nogę, usztywnia prawą i bandażuje klatkę piersiową. Podczas badania doktor czuje się nieswojo, rozgląda nerwowo na boki i aż podskakuje, gdy słyszy skrzypnięcie schodów. Ale to znów tylko handlarz, który staje przed drzwiami i pyta:

– Badanie skończone? Można wejść?

– Musi leżeć – mówi do Berschika lekarz, zupełnie jakby Ilza była małym dzieckiem i nie decydowała sama o sobie. – Prawa noga złamana, lewa w kostce skręcona, żebro pękło, możliwe, że zdarzył się i wstrząs mózgu, podróż wykluczona. W tym stanie nie powinno się chorej nawet nigdzie przenosić.

– Ale kto ją tu będzie doglądał?

– Pani Knopke? – sugeruje lekarz z powątpiewaniem w głosie.

Handlarz potrząsa głową. Wstąpił już do Herty Knopke i powiedziała, że nie przyjdzie. Za stosowną opłatą może szykować jedzenie, ale zaność je musi kto inny. Może żona doktora?

– Wykluczone – mówi twardo lekarz. Doktorowa z jej wrażliwą duszą, delikatnym zdrowiem i wysoką pozycją towarzyską nie nadaje się do chodzenia po podejrzanym miejscach. Odwiedzanie biednych i chorych to zresztą obowiązek żony pastora, nie lekarza. Niestety miejscowy pastor jest nieodpowiedni, bo nieżonaty, a w dodatku teraz leży w łóżku złożony influencją. Nikt więc tu nie przyjdzie. Pozostaje tylko handlarz.

– Pan się przecież nie boi, prawda? – pyta kpiąco lekarz i wydaje z siebie nerwowy chichot.

– Jasne, że nie – odpowiada chłodno Berschik, – ale to trochę nieprzyzwoite, nie sądzi pan? Ludzie zaczną gadać.

– A jakie jest inne wyjście? Zresztą to nie młoda panienka.

Rozmawiają na schodach, przy niedomkniętych drzwiach. Ilza wszystko słyszy i ma ochotę wrzasnąć, że nie potrzebuje żadnej łaski ani pomocy, trudno jej jednak zebrać własne myśli, a cóż dopiero troszczyć się o cudze, wszystko ją boli, po medykamentach, które zaaplikował lekarz, chce jej się przede wszystkim spać.

Więc śpi.

— • —

Pojawił się wraz z ciepłym, słonym wiatrem od morza i zapachem mokrego płótna. Wieszala właśnie świeżo uprane, wykrochmalone prześcieradła. Koniec sezonu, ostatni letnicy wyjechali – dzięki Bogu, bo miała tych wrzaskliwych, wymagających ludzi już serdecznie dość. Słońce grzeje mocno, choć to dopiero przedpołudnie, jest jak gorący kompres przyłożony do szyi i karku. Gdybyż tak mogło zostać, gdybyż upalne dni nie musiały ustępować jesiennej szarudze i lato mogło trwać cały rok, mimo że właśnie wtedy zjeżdżają do pensjonatu dokuczliwi jak gzy goście.

Przybysz znienacka odchyła kołyszące się na sznurze prześcieradło i zagląda kobiecie prosto w twarz. Stoi blisko, za blisko, nie wypada tak stać przy nieznanym osobie, mimo to nie cofa się. Ona też nie. Patrzy w zielone oczy, w których tańczą żółte plamki i nic, naprawdę nic, nie potrafi powiedzieć, nawet zapytać „o co chodzi?”. Marynarz uśmiecha się, pewnie bawi go jej oszołomienie, mija dłuższa chwila, nim mówi:

– Potrzebuję pokoju na kilka miesięcy.

– Jest pan sam. – Pytanie nie brzmi jak pytanie, ale i tak cud, że udaje się je wykrztusić.

– Sam.

– Nie wynajmuję pokoi samotnym mężczyznom.

– Płacę z góry.

– Proszę zapytać w Mewie Północy, to taka duża żółta willa.

– Powiedziano mi że stąd jest najlepszy widok na morze, a ja muszę mieć widok na morze. Niech mnie pani weźmie. Jestem idealnym lokatorem: jem, co dadzą, nie wybrzydzą, mogę coś naprawić, w dodatku przynoszę szczęście.

Gdy Ilza się budzi ze snu o Adelinie, ma rozgrzaną szyję, czuje jeszcze zapach nakrochmalonych prześcieradeł, coś miękkiego łaskocze ją w policzek. Odgarnia to coś ręką, lecz ono powraca jak uporczywa mucha. Nie byczy jednak – mrczy. Ilza otwiera oczy i spogląda prosto w jasnozielone ślepie rudego kota. Ale nie kot ją obudził. Z dołu dobiega stukot młotka i dochodzą bardzo brzydkie przekleństwa. Ilza nie przepada wprawdzie za Hertą Knopke – bo i trudno lubić taką gburowatą babę – lecz wcale nie trzeba jej kochać, by czuć się urażoną podobnymi epitetami rzucanymi na jakąkolwiek kobietę. I choć Jorg Berschik przybył pannie von Taffel z pomocą, gdy leżała półprzytomna po wypadku, a teraz jeszcze naprawia schody, mimo to nie zasługuje na miano dzentelmena,

jest tak daleki od dżentelmena jak Alaska od Afryki, im szybciej Ilza się z nim pożegna, tym lepiej. Pożegna się z handlarzem, zalatującym pleśnią pensjonatem, zimnym morzem i pustą plażą, gdy tylko przestanie kręcić się jej w głowie od tych wszystkich mikstur, które kazano jej wypić.

Kot leży spokojnie ufnie wtulony w szyję kobiety, wibruje drobnym ciałakiem, sierść ma naelektryzowaną i gorącą. Ilzę powinno dziwić, że zupełnie obcy zwierzak tak się do niej łąsi, ale już kolejny sen zarzuca ciężkie sieci, zamroczona nim, nie ma siły na zdziwienie. Śnią jej się rozwieszzone na sznurze, świeżo uprane prześcieradła.

— • —

Jest noc i znów noc, gdzieś zgubił się dzień, za nim kolejny. Ilza traci rachubę, nie ma pojęcia, czy to wtorek, czy środa, może nawet mamy piątek, czas rozplywa się, ona płynie razem z nim. Środki przeciwbólowe, które podaje lekarz, wywołują omamy. Gdy Ilza wyplątuje się z powiewających na wietrze prześcieradeł i wynurza na chwilę z paraliżującej mazi snu, na dworze panuje mrok, lecz pokój rozjaśnia lampa zostawiona przez handlarza na stoliku pod oknem. Światło odbija się w szybie, tworząc złudzenie mocno zarysowanej szczęki, zmysłowo wykrojonych ust, szerokich brwi... zupełnie jakby ktoś włożył za szkło zatartą już nieco fotografię. Ale ta twarz, idealnie piękna, nie jest martwą twarzą z fotografii. Ona żyje, obserwuje. Cały czas śledzą Ilzę ciemne oczy.

— • —

We śnie znów jest Adelina. Idzie z koszykiem po zakupy. Oczywiście wieści już się rozniosły: baby gadają za jej plecami, mężczyźni, ci najbardziej obleśni, obrzucają długimi spojrzeniami, rozbierają wzrokiem, puszczają perskie oczka. Adelina-Ilza wzdryga się i piecze raka, gdy mruga do niej porozumiewawczo nawet gruby sklepikarz, korzystając z tego, że żona akurat zajęła się ważeniem mąki. Nareszcie jakiś skandal ożywił senne miasteczko – wszystko dzięki Adelinie, która śmiała przyjąć pod swój dach samotnego mężczyznę, w dodatku jako jedyne gościa w pensjonacie!

– Wyszło szydło z worka, jaka ta piękna Adelka jest naprawdę – szepczą zawistni i zawistne. – Nic dziwnego, że mąż od niej odszedł.

– Biedactwo, pokręciło jej się w głowie do reszty, inaczej nigdy w życiu nie skompromitowałaby się dla przybłądy – tłumaczą wyrozumiali.

Ze spuszczonej oczami i purpurowymi policzkami Adelina-Ilza czym prędzej kupuje, co musi, zapominając o połowie potrzebnych rzeczy, i pędem wraca do pensjonatu. Marynarza nie ma w ogrodzie, wbiega więc prosto do domu

i zatrzaskuje za sobą drzwi, z ulgą odgradzając się od wrogiego, nic nierozumiejącego świata. Nie zdąży się jeszcze obrócić, gdy mężczyzna przyciska ją muskularnym ciałem do ściany.

– Nie mogłem się doczekać. – Ten schrypnięty szept wyczynia niesamowite rzeczy z sercem Adeliny-Ilzy: tętno zamiera na moment, by potem nierównym cwałem nadrabiać stracony czas. Wargi mężczyzny błędzą po jej szyi, ręce zataczają koła na piersiach i biodrach, unoszą sukienkę, halkę...

– Po co nosisz tyle ciuchów, złotko – marynarz mruczy kobiecie do ucha. Rozsuwa jej nogi twardym kolaniem, delikatnie dotyka gorącego miejsca. Dociska mocniej. Ilzydę przeszywa dreszcz. Budzi się w środku nocy mokra i zdyszana. Futro kota drażni ją w kark, won zwierzaku. Za oknem znów ta sama piękna twarz z ustami jak łuk Amora, kot syczy w jej kierunku i zeskakuje z łóżka.

– • –

Przychodzi handlarz, przynosi jedzenie, zbiera brudne talerze, wynosi nocnik. Krząta się jak pielęgniarka i klnie pod nosem na Knopkową.

Przychodzi lekarz, zmienia opatrunki i mówi, że goi się jak na psie. Daje laudanum na uspokojenie i morfinę na ból. Ilza zasypia, zanim jeszcze doktor zdąży wyjść.

– • –

Tej nocy śni jej się ślub. Jest wszystko, co trzeba: elegancka, sprowadzona aż z Berlina sukienka i welon z prawdziwej koronki, roześmiane dzieci obsypujące młodą parę kwiatami, słoneczny czerwcowy dzień. Orkiestra gra najlepiej i najgłośniej jak potrafi, trębacz tchu nie oszczędza, skrzypek rozgrzewa smyczek do czerwoności. To najpiękniejszy, najbardziej wystawny ślub, jaki kiedykolwiek widziano w tym mieście, a już z całą pewnością najpiękniejsza panna młoda, jaką widziano kiedykolwiek i gdziekolwiek. Na tle białej koronki loki wyglądają na smoliście czarne, oczy oślepiają gapiów blaskiem. Jedzie otwartym powozem w kierunku morza. Na skarpie czeka nowy dom, w którym wszystko jest doskonałe, tak doskonałe jak sama Adelina. Mąż przenosi ją przez próg, mówi, że zrobił co w jego mocy, by ten dom był godny najpiękniejszej kobiety świata, najpiękniejsza kobieta świata śmieje się głośno.

Jaki beztroski miała wtedy śmiech. Parę miesięcy później już się tak nie śmiała. W jesienny wieczór leży w łóżku, mąż leży obok, lecz jej nie dotyka. Patrzy w sufit, w zakurzone już i nieco pożółkłe, stiukowe girlandy. Myśli.

– O czym myślisz? – pyta Adelina-Ilza.

– O niczym.

Na początku, zaraz po ślubie, nie myślał, nie wpatrywał się w sufit tylko brał ją nawet pięć razy w ciągu jednej nocy, nie pozwalał spać, ale podobało jej się to, o Boże, jak bardzo się podobało. Po kilku tygodniach zubożył, a teraz w ogóle nie chce jej dotknąć, co zrobiła nie tak?

– Zostaw, Adelino. – Odegania, gdy próbuje go całować.

– Daj spokój – mówi, gdy żona, zbierając się na odwagę, przesuwa ręką w dół jego brzucha.

– Zostaw – powtarza, – śpij.

Dlaczego już jej nie pragnie? Mama i ciotki powtarzały w kółko, że mężczyźni chodzi tylko o jedno i żona musi to znosić, mimo że żadnej porządnej kobiecie „ta rzecz” nie sprawia przyjemności. Tymczasem Adelinie...

Adelina-Ilza płacze, udręczona niepewnością. Aż do zamążpójścia nigdy nie przyszło jej do głowy, że coś z nią jest nie tak, że czegoś jej brak, czegoś nie potrafi, w dodatku nie wie czego. Nie wie, co ma zrobić, by znów wszystko było dobrze. By znów ją kochał. Nie wie, jaka ma być. Szłocha coraz głośniej, lecz mąż ani myśli ją pocieszać. Odwrócony plecami udaje, że śpi.

Za to Ilza się budzi, z jeszcze gorącą wilgocią na policzkach. Płakała przez sen i nawet teraz, po przebudzeniu, łzy nadal, wbrew jej woli, wymykają się spod zaciśniętych powiek. Nieproszone wróciło wspomnienie nocy poślubnej, pierwszej i jedynej małżeńskiej nocy z Helmutem. Najpierw długo siedzieli w jadalni przy zapalonym kominku, sącząc wino, „spróbuj Ilse, jest całkiem dobre, nawet twoje święte zakonnice nie miałyby nic przeciwko”. Około północy Helmut wstał i powiedział: „No cóż, nie ma sensu tego dłużej odwlekać, idź do sypialni, zajrzę do ciebie wkrótce”. To „wkrótce” trwało i trwało. Zdażyła się przebrać, sto razy wyszczotkować włosy dla pięknego połysku, pomodlić, oddając w opiekę Najświętszej Paniency zawsze dziewicy, świętej Urszuli męczennicy, świętej Barbarze, która nie chciała poganina za męża i w ogóle wszystkim świętym. Potem Ilza zgasiła światło i czekała w łóżku, zdenerwowana i niepewna, aż w końcu skrzypnęły drzwi i materac ugiął się pod ciężarem drugiego ciała. Co teraz będzie? Helmut pogłaskał ją po ramieniu i po włosach, a potem położył się na niej i wpychał w nią to coś, to tajemnicze męskie przyrodzenie, pomagając sobie ręką. Bolało, strasznie bolało. Podejrzewała, że mąż robi coś nie tak, lub nie tam, gdzie trzeba, bo przecież Anna ciągle śpi z mężczyznami i jakoś jej to nie przeszkadza. Kwestia przyzwyczajenia być może i Ilza powinna przywyknąć, jest teraz kobietą zamężną, oczekuje się od niej wypełniania obowiązków małżeńskich. W Biblii zaś powiedziano: „W bólu będziesz rodziła potomstwo”. Musi cierpieć, jeśli chce mieć mądrego synka i śliczną córeczkę, taki już los kobiety. Starła się leżeć bez ruchu, nie zwracać

uwagi na ból tam w dole, ani na zapach alkoholu wylatujący z otwartych ust Helmuta. Zerknęła na niego – mocno zaciskał powieki i sapał. Więc Ilza też zamknęła oczy i skupiła się na liczeniu w myślach, dłużej niż do stu to przecież nie potrwa. Przy trzydziestu siedmiu Helmut zwiotczał zupełnie i zsunął się z niej, jęcząc: „o Boże, zrobiłem, zrobiłem”. Odsunął się na samą krawędź łóżka, wciąż jęcząc i mamrocząc coraz bardziej niezrozumiałe słowa, a potem gwałtownie wstał i wybiegł z pokoju. Czy oni wszyscy tak robią? Rano przy śniadaniu był miły i serdeczny, nie poruszał „tego” tematu. Nigdy więcej nie poruszał. Ani nie próbował „tego” robić z nią znowu. Nigdy więcej. Przez wszystkie kolejne noce małżeństwa Ilza spała sama w wielkim łóżku, Helmut zaś nocował w gabinecie. Co wieczór, aż do dnia, w którym przestali zachowywać pozory, grzecznie życzył jej miłych snów, niekiedy dodawał do „dobranoc” parę, jak na lekarstwo, czułych gestów: głaskanie po włosach, całus w czoło. Grzeczna Ilse.

Bóg świadkiem, jej największym pragnieniem było żyć jak przyzwoita kobieta. Nie miała żadnych ambicji towarzyskich, nie lubiła balów, nie wywoływała duchów. Nie należała do niebieskich pończoch, nie walczyła o prawo kobiet do zawodów i uniwersytetów, nie popierała emancypantek, a już broń Boże sufrażystek. Starła się dbać o dom i męża. Podlewała kwiatki, pilnowała godzin posiłków, dokładnego ścierania kurzy, dochodzącej służby, by ta nie obijała się i nie kradła. Z początku Ilza nie domyślała się, dlaczego ani pokojówka, ani kucharka nie mieszkają z nimi na stałe. Wydawało się to dziwne, ale nie podejrzane. Tak chciał mąż i jego wola załatwiała sprawę. Ilza gotowa była spełnić wszelkie oczekiwania, sama zaś nie wymagać za wiele, najlepiej nic nie wymagać, wdzięczna, że uniknęła losu swej matki. Kochała Helmuta, po oświadczeniach czuła się, jakby wpuszczono ją do raju. Miała zapuścić korzenie w szarym domu przy Lindestrasse i z osiemnastoletnim opóźnieniem zacząć nareszcie normalne życie, otoczona dostatkiem i szacunkiem do końca swoich dni.

Tak jej obiecał. Jednak nie żyła normalnie! Otaczały ją wynaturzenie i grzech. Oto nagroda za szanowanie się, Ilzydo. Zapłata za czystość i pokorę. To, co widziała, było wynaturzone. Grzeszne. Odrażające. Dlatego nigdy jej nie kochał. Dlatego nigdy nie było jej dane stać się prawdziwą oblubienicą. Dwa najgorsze dni życia Ilzydy: pierwszy, gdy wyskoczyła w Wiedniu z wrzaskiem; drugi, gdy odkryła w końcu prawdziwą twarz Helmuta. Nawet zdrada Elżbiety nie bolała bardziej. Nawet wiadomość, że Ilzyda Filomena von Taffel jest dzieckiem z nieprawego łoża, owocem rozpusty, żadną tam hrabianką – bękartem po prostu. Nie, najgorzej było wtedy, gdy zobaczyła Helmuta, Helmuta z...

Łzy obfitym strumieniem moczą poduszkę, od szlochu Ilzy trzęsie się łóżko, ale kota to nie odstrasza, przeciwnie, wtula się jeszcze mocniej i promieniuje ciepłym współczuciem, Ilzę nieco pociesza jego towarzystwo.

– Ależ ten kocur panią pokochał – śmieje się handlarz, gdy wchodzi do pokoju, a uparty zwierzak wciąż leży na kołdrze, przytulony do Ilzy wibrującym od mruczenia, futrzastym ciałkiem, muskając długimi wąsami jej policzek.

– To kotka – odpowiada Ilza. Nie jest pewna, bo nie sprawdzała, ale wydaje jej się, że tak będzie przyzwoiciej.

– Widać, że nie ma pani pojęcia o tych rzeczach – podsumowuje Berschik.

– • –

Jeszcze nie zdążył spaść pierwszy śnieg, gdy mąż powiedział:

– Przykro mi, tyle czasu myślałam, że cię Kocham, ale to była pomyłka. Zostawiam ci wszystko, co mam, podpisałem papiery u notariusza, „Szczęście Adeliny” jest odtąd tylko twoje. Odchodzę.

Adelina-Ilza czuje, że podłoga zaczyna wirować pod nogami, zupełnie jak karuzela, na której lubiła kręcić się jako dziecko. Teraz nienawidzi tego uczucia.

– I jest inna kobieta. Mówię to, bo pewnie ludzie i tak ci o niej powiedzą. Z nią... z nią jest zupełnie inaczej.

Ta scena nie dzieje się naprawdę. Musi być okropnym, strasznym snem, z którego Adelina-Ilza zaraz się obudzi. Tylko snem.

Gdy mąż zamyka za sobą drzwi, chce go gonić, tłumaczyć, zmusić, by to on wytłumaczył, odczarować, zyskać pewność, że nic takiego nie zdarzyło się i nie zdarzy nigdy. Że to sen. Ale nie może się ruszyć. Senna niemoc jest jak ołowiany koc szczelnie owijający ciało, pętający ręce i nogi. Głos, tylko głos jej został, więc Adelina-Ilza krzyczy z całych sił.

Mężczyzna wraca i potrząsa nią gwałtownie:

– Panno von Taffel! Ilse! Coś się stało? Coś boli? – To handlarz.

– Nie, nie – mruga oczami Ilza. Nie chce śnić takich rzeczy, więc dobrze, że Berschik ją obudził, choć tak mocno ścisną jej ręce, że na pewno będzie miała siniaki.

– Strasznie pani krzyczała.

– To tylko zły sen. Zły sen.

– Mein Gott – odpowiada jej handlarz – tak pani wrzeszczała, że bałem się...

Urywa. Idzie do stolika przy oknie i uważnie odmierza krople laudanum do kieliszka. Liczy po cichu: dziewięć, dziesięć, jedenaście... Ilza obserwuje go spod półprzymkniętych powiek. Jakoś inaczej ten Jorg Berschik wygląda. Mimo że na sam widok laudanum Ilzę ogrania senne otępienie, próbuje skupić się i odgadnąć,

na czym polega różnica. Handlarz jest gładko uczesany, chyba nawet trochę przyciął siwe loki. Poza tym ogolił się, włożył czystą koszulę, która – nie do wiary – ma wszystkie guziki. Gdy Berschik podchodzi i podaje kieliszek z laudanum, Ilza widzi, że ręce też ma czyste, a nawet wyczyścił paznokcie – ani śladu żałoby. Co mu się stało? Patrząc badawczo na handlarza, Ilzyda bez protestu wypija laudanum i opada na poduszki. O, kot wrócił, wskakuje na łóżko. Za nim, depcząc kotu po piętach, nadciąga ciężki, opiumowy letarg. Na szczęście, tym razem nie ma w nim żadnej karuzeli ani trzęsienia ziemi, śnią się wesołe przekomarzania, zabawa w chowanego wśród powiewających na wietrze płacht mokrego płótna i gorące usta na ustach.

— • —

Po kochaniu się marynarz szybko zasypia, ale Adelina-Ilza nie. Leży na boku, wsparta na jednej ręce, drugą gładzi mężczyznę, sunie opuszkami palców po jego piersi, ramionach i rękach, z uwielbieniem wpatruje się w twarz. Chłonie każde drgnienie powiek, każdy grymas ust we śnie. Jakiż on piękny, ma takie piękne skrzydełka nosa, cudowny podbródek szorstki od świeżego zarostu, prześliczne wargi, nawet we śnie uśmiechnięte. Adelinę-Ilzę ogarnia nabożny zachwyty. Czuje, jak każde włókienko jej ciała przywiązuje się do włókienek jego ciała, każda komórka i tkanka łączą się z jego tkanką i komórką. Jego serce jest jej sercem, jego oddech jej oddechem. Stało się, przykleiła się. Kiedyś już czuła się sklejoną z mężczyzną, tym zdrajcą, mężem, choć nie aż tak. Odrywanie straszliwie bolało, Adelina-Ilza wyobraża sobie, że to uczucie obdzierania ze skóry żywcem. Rany goiły się długo. Ale teraz nie będzie żadnych ran, nie będzie boleć, bo nigdy już się nie odklei.

Marynarz budzi się, gdy dłoń kobiety błądzi po jego brzuchu. Powoli, leniwie unosi powieki, uśmiecha się i nagłym ruchem przewraca Adelinę-Ilzę na plecy. Przygważdża nagim ciałem, a ona czuje się taka szczęśliwa, że potrafi latać.

— • —

Wypełniona radością Ilza otwiera oczy. Lampa zostawiona przez handlarza rzuca blask na szybę, za oknem cały czas to samo złudzenie, ta sama niby-twarz. Skaza na szkłe? Ostrożnie, pierwszy raz od wypadku, Ilza podnosi się z łóżka i staje na nogach. Chwieją się pod nią, a w prawej, złamanej, odzywa się tępy ból. Ilza jednak nie rezygnuje, przytrzymuje się poręczy łóżka, potem przenosi ciężar ciała na oparcie fotela, wspiera się o blat stolika, o komodę, drugi stolik, uparcie zmierza ku oknu. Przekona się, co to jest. Szczęście, które w sobie nosi, napęnia ją odwagą, nie boi się już żadnych zjaw ni mar z przeszłości.

Gdy wyciąga rękę, by dotknąć złudnie pięknej twarzy, czuje tylko zimne szkło. Za szybą jest ciemna plaża i nie ma na niej nikogo.

— • —

Marynarz znów stoi przy oknie i patrzy w morze. Adelina-Ilza podchodzi i przytula się do ciepłych, gołych pleców. Jest szczęśliwa. Pieniądze kochanka-lokatora pozwoliły spokojnie przeżyć całą zimę. Ona robiła zakupy, a on na ogół nie wychodził z domu. Gdy się z nią nie kochał lub nie naprawiał czegoś, stawał przy oknie w pokoju na wieżyczce, tak jak teraz, i patrzył w morze.

– Czekasz na coś? – zażartowała. Nie odpowiedział.

— • —

Marynarz podrywa się z łóżka, zapala świecę i staje przy oknie goły jak święty turecki. Przesłania dłonią płomień, nadając sygnały. W odpowiedzi, od strony morza błyska także. Mężczyzna bez słowa wciąga spodnie i zbiega na parter.

— • —

Przyjeżdża policja. Aż ze Szczecina. Adelina-Ilza odpowiada im, że owszem, był tu taki, ale sobie poszedł.

– Tak po prostu poszedł, proszę pani? Słyszeliśmy w miasteczku, że łączyło go z panią, pewne, hm, porozumienie.

Adelina-Ilza mówi policjantom o statku, przeklętym statku, który przyplłynął w środku nocy i błyskał umówionym światłem w kierunku lądu.

– Pani, hm..., lokator też wysyłał sygnały?

– Tak.

– Chcielibyśmy zobaczyć jego pokój. To znaczy przeszukać jego pokój.

Adelina-Ilza prowadzi ich na wieżyczkę, byle nie do pokoju na parterze ze świeżo zamurowaną wnęką.

– Ale to przecież pani sypialnia.

– Tak.

– Och rozumiem, coś o tym słyszeliśmy.

Rozglądają się dookoła, jakoś nie mają ochoty na oczach właścicielki grzebać w damskich fatałaszki, w jej obecności wywalać na podłogę drobiazgów.

– I przy tym oknie stał i wysyłał sygnały?

– Tak.

– A potem?

– Potem zabrał swoje rzeczy i wyszedł.

– Widziała go pani później?

– Nie.

– Kontaktował się z panią?

– Nie.

Na tym kończy się przesłuchanie, na pożegnanie jeden z policjantów klepie Adelinę-Ilzę w pupę i mówi, że jakby co, to on bardzo chętnie. Nieruchoma twarz kobiety zniechęca go do kontynuowania zalotów, chrząka i wychodzi za kolegą.

– Kryminalista, przemytnik – szepczą baby w sklepie.

– Nie przemytnik, tylko komunista. Anarchista. Zamach w Berlinie na cesarza szykował. – Sklepikarz, jak zwykle, wszystko wie najlepiej.

– No co pan opowiada. Mam kuzyna w policji i mówił, że to zwykły przemytnik.

– Tak czy owak, policja go szukała, ależ sobie piękna Adelka kochasia znalazła.

Niech gadają. Adelina-Ilza przenosi swoje rzeczy z wieżyczki, do pokoju na parterze. Przysuwa łóżko do ściany z wnęką i przytula się do zimnego muru, tak mocno jak tylko potrafi, z całych sił. Mówi do niego. A potem już na okrągło, nawet gdy wychodzi po zakupy, wciąż mamrocze coś pod nosem.

– Kompletnie sfiksowała – podsumowuje gruby sklepikarz, sklepiarką się z nim zgadza, a Adelinie-Ilzie jest wszystko jedno.

15 listopada 1913 roku, sobota

Budzi się i widzi, że w pokoju siedzi handlarz. Patrzy na nią dziwnym wzrokiem, Ilza nie potrafi rozszyfrować, co kryje się w tym spojrzeniu. Jorg Berschik nadal jest uczesany, ogolony i zapięty pod samą szyję. Może z czasem Ilza znajdzie rozwiązanie tej zagadki. A może i nie, bo powinna jak najszybciej wracać do Szczecina.

– Jaki dzień mamy dzisiaj?

– Piętnasty listopada – odpowiada jej handlarz.

O Boże! Piętnasty listopada?! Minął już miesiąc? Ponad miesiąc Ilza leży w łóżku. Co z pracą?! Berschik bez oporów zgadza się jeszcze dziś wysłać telegram do szkoły.

– Na pewno zrozumieją – uspokaja Ilzę. – Przecież miała pani wypadek, to nie pani wina, takie rzeczy się zdarzają.

Odkąd, wiele lat temu, Ilza rozpoczęła pracę na pensji, nie spóźniła się nawet pięciu minut na żadną z lekcji, nie opuściła ani jednego dnia – aż do teraz.

Sumienna i obowiązkowa, była wzorem odpowiedzialności. W uznaniu zasług dostała nawet srebrny zegarek. To powinno przecież przemówić na jej korzyść.

– Jaki dzień mamy dzisiaj? – pyta raz jeszcze, a handlarz odpowiada zdziwionym tonem, bo przecież już jej mówił, że piętnasty listopada.

– Ale jaki dzień tygodnia? – nalega Ilza.

– Sobotę – mówi Berschik. – Czy to ważne?

– Pozwala zachować porządek myśli – wyjaśnia Ilza. On zapewne i tak tego nie zrozumie, od chwili, gdy spotkała handlarza po raz pierwszy, wiedziała, że pojęcie samodyscypliny jest mu absolutnie obce. Jakże niezręcznie się złożyło, że właśnie Berschikowi tyle zawdzięcza: opiekował się nią jak dzieckiem, przynosił wodę i jedzenie, wnosił, o mój Boże, nocnik, załatwiał sprawunki. Ilza postanawia odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Za długo już leży w łóżku i pozwala sobie na odpływanie w gęste od opium, do złudzenia rzeczywiste sny, w których w dodatku nie jest sobą, tylko, nie wiedzieć czemu ową, wspomnianą kiedyś przez handlarza, Adelina.

– Chcę wstać.

– Chyba jeszcze na to za wcześnie – sprzeciwia się Berschik.

– Wręcz przeciwnie, najwyższa pora.

Jorg powstrzymuje Ilzę, kładąc ciężką, gorącą rękę na jej ramieniu.

– Bez laski i tak nie da pani rady. Proszę trochę poczekać. Pójdę na pocztę, a wracając skombinuję dla pani jakąś podpórkę. Tymczasem proszę jeść, bo jedzenie stygnie.

Już wystygło, nie paruje, za długo stało na stoliku, Ilza jednak posłusznie wkłada do ust wystudzone ziemniaki. Czuje się głodna, strasznie głodna.

– Niedługo wracam – obiecuje handlarz i uśmiecha się na wpół czule, na wpół nieśmiało. Nie, to niemożliwe, Ilza znów ma omamy od tych mikstur, już żadnej z nich nie łyknie. Dość tego.

Po jedzeniu kładzie się, a właściwie osuwa na poduszki. Jest mocno osłabiona, ale wraca do zdrowia, patrzy na odbicie w metalowej pokrywce, wygląda okropnie. Stara się choć trochę doprowadzić do porządku, wygładza zmarszczkę na czole, przeczesuje palcami włosy, lecz szybko ją to męczy.

Handlarz przychodzi z laską, którą stawia przy łóżku. Telegram wysłał. Ilza dziękuje mu zmieszana. Za wszystko. Nie potrafi spojrzeć Berschikowi w oczy.

On w milczeniu zbiera brudne talerze. Dopiero ze schodów dobiega Ilzę:

– Nie ma za co. Przyjdę jutro.

Tego dnia Ilza znów wstaje z łóżka. Pomagając sobie laską, kuśtyka do okna i wygląda na świat. Nic się nie zmieniło. Pusta plaża, monotonicznie falujące morze.

Molo też puste, nie ma eleganta, pewnie wyjechał. Nie, nie wyjechał, wręcz przeciwnie, stoi na plaży, tuż pod pensjonatem. Zapada zmierzch, więc nie widać twarzy, ale Ilza poznaje sylwetkę. Nieznajomy unosi głowę, patrzy w okno pokoju na wieży. Ilza cofa się. Wraca do łóżka. Nie wie czego, ale wie, że się boi. Jutro poprosi Berschika, by zamontował porządną zasuwę w drzwiach sypialni, ma też nadzieję, że zamek wejściowy jest już naprawiony, a wychodząc, handlarz zamknął go za sobą na klucz.

Na łóżko wskakuje kot, Ilza spędza zwierzaka ze złością, nie wiadomo, gdzie się włóczył przez cały dzień, a teraz hyc do pościeli – jakież to niehigieniczne! Kot jednak nie daje za wygraną, Ilza już zasypia, gdy czuje, że znów wskoczył i przytulił się do jej ręki. W północy Ilza rusza niemrawo ręką, lecz bez skutku, kot nie ma zamiaru się odczepić. Trudno, niech będzie jeszcze tę jedną noc, jutro z nim powalczy. Śni jej się, że leży przytulona do zimnego muru, całuje cegły, kompletne wariactwo.

16 listopada 1913 roku, niedziela

Musiła spać niemal cały boży dzień, bo gdy się budzi, słońce już zaszło. Jest sama, ale Jorg był tu wcześniej: na stoliku stoi dzbanek ze świeżą wodą i jedzenie. Znów zimne, lecz Ilza nie grymasi, zjada wszystko. Potem próbuje się trochę umyć. Toaleta męczy ją bardzo, jednak warto było, od razu inaczej się czuje: odświeżona, w czystej koszuli, uczesana. Kładzie się do łóżka i wyczerpana niemal natychmiast zasypia. Przypomina sobie jeszcze, że jutro koniecznie musi pogadać z handlarzem o zamku.

17 listopada 1913 roku, poniedziałek

Jorg Berschik przychodzi wczesnym przedpołudniem i ma zmartwioną minę. Przynosi złe wieści. Wręcza Ilzie telegram ze szkoły: znaleźli nową nauczycielkę. Życzą powrotu do zdrowia.

Ilza opada na poduszki. Nie ma dokąd wracać, nic już jej w Szczecinie nie trzyma. Bo i co tam zostawiła? Tych kilka starych gratów w klitce na czwartym piętrze nawet nie jest jej. Sukienek powieszonych na gwoździu nie ma co żałować. Wysłużone szmaty. W dodatku nie wiadomo, czy jeszcze tam są. Nie zapłaciła czynszu, więc być może zarządca kamienicy sprzedał je, by pokryć straty i wynajął pokój komuś innemu. Całkiem możliwe, że w miejscu, które upierała się nazywać domem, mieszka już ktoś inny. Wmawiała sobie, że zapuściła korzenie. Nic bardziej złudnego. Wystarczył podmuch, by ją wyrwać, niewielki wstrząs, by usunąć ziemię spod nóg. Jak łatwo można Ilzę wykorzenić!

Jest bez rodziny, bez domu, bez własnego kraju. Nic nie ma, nic nie posiada, jest nikim. Pyłkiem miotanym przez wiatr.

Handlarz chrząka: musi przekazać coś jeszcze. Knopkowa domaga się zapłaty za jedzenie i pobyt w pensjonacie, „bo darmo miało być dwa, trzy dni, a nie całutki miesiąc, tak to się nigdy nie umawiała”. Ale on może zapłacić tej chciwej babie, jeśli panna von Taffel bardzo się krępuje, niech potraktuje to jako pożyczkę. Niezwykle miło z jego strony, nie ma jednak takiej potrzeby, zostało jeszcze trochę pieniędzy z oszczędności, które Ilza wzięła ze sobą ze Szczecina.

– Tylko niech pan coś zrobi z zamkiem w drzwiach i tym przeklętym kotem.

Z kotem nie da rady, bo jakby zapadł się pod ziemię, nie daje się skusić nawet kawałkiem kotleta. Pojawia się dopiero wieczorem, ale Ilza zdążyła już zamknąć drzwi do pokoju na nową zasuwę, solidną, dającą poczucie bezpieczeństwa. Przekłety zwierzak nie ma jak wejść, więc drapie i miauczy, miauczy i drapie, w końcu daje za wygraną. Bez codziennej porcji laudanum Ilza nie może zasnąć. Przewraca się z boku na bok, wzrokiem starannie omijając okno. Widywanie zjaw w szybach z całą pewnością klasyfikuje się jako objaw szaleństwa; Ilza nie chce być wariatką, nigdy więcej. W końcu udaje jej się zapaść w płytki niespokojny sen, z którego wybudzają ją dobiegające z dołu krzyki i łomoty, czyjs płacz. Zasuwa jest porządna, a krzyki złudzeniem, grą rozgorączkowanej wyobraźni, nie ma się czego bać, mimo to Ilza trzęsie się z przerażenia. Bierze laudanum na uspokojenie i po chwili odpływa w ciężki sen bez snów.

18 listopada 1913 roku, wtorek

W pierwszej chwili pukanie do drzwi napędza niezłego stracha, ale to tylko handlarz, Ilza wpuszcza go czym prędzej – nawet nie zauważyła jak Jorg Berschik stał się jej jedynym sojusznikiem. Dosłownie wciąga go do pokoju, bo zastygł w progu zaskoczony zachowaniem tak zazwyczaj dystygowanej panny von Taffel. Ilza szybko zamyka za nim drzwi na zasuwę. Na twarzy handlarza maluje się podejrzliwość zmieszana z troską, więc Ilzyda mówi mu, że tej nocy znów słyszała krzyki. Jorg Berschik łagodnie tłumaczy, że miała uraz głowy, a takie halucynacje to rzecz najnormalniejsza w świecie po tym, jak się zleciało ze schodów.

– Sam mi pan mówił, że w tym domu straszy!

– No, nie. Uwierzyła pani? W takie bajki?

Zbija Ilzę z tropu. W co on teraz gra?

– Potrzebuje pani świeżego powietrza, za dużo czasu spędziła w zamknięciu. Przejdźmy się kawałek plażą, dobrze? Pomogę pani zejść ze schodów, a potem, o lasce, na pewno da pani sobie radę.

Ilza chce się przejść. I rzeczywiście, o lasce radzi już sobie coraz lepiej. Berschik zostawia ją samą na chwilę, by mogła się przebrać, gdy wychodzi z pokoju, przez próg przemyka kot. Czyhał pod drzwiami na dogodny moment. Ilza widzi go tylko w przelocie, ale przysięgłaby, że zwierzak ma obrażoną minę. Nie wskakuje do łóżka, tylko od razu chowa się pod szafę, machnięciem ogona daje znać, że ewentualne próby wyciągania go stamtąd krwawo się skończą.

Ze schodów Ilza schodzi bardzo powoli i uważnie, stukając laską w każdy stopień i mocno wspierając się na pomocnej dłoni handlarza. Umyte! Na plaży też kuśtyka z jednej strony wsparta o laskę, z drugiej o ramię Berschika. Idą sto metrów w jedną stronę, potem zawracają – nie ma co się forsować, to przecież dopiero pierwszy spacer od wielu dni. Rozmawiają o pogodzie. Marynarze mówią, że zanoszą się na sztorm. Niedobrze, bo jak pada ulewny deszcz, a jeszcze zacina ukosem, woda wlewa się przez szpary w deskach do Szczęścia Adeliny i parkiet gnije od wilgoci. Ilza dowiaduje się też, że tamtego dnia, gdy Jorg znalazł ją pod schodami, przyszedł do pensjonatu pod pretekstem zwrócenia fioletowej sukni – by nie wisała dłużej na płocie. Tak naprawdę jednak przyszedł sprawdzić, co się z Ilzą dzieje, bo „całe miasto” wiedziało, że nie wyjechała. A jeśli chodzi o sukienkę, zmienił zdanie: weźmie ją, może jeszcze coś obejrzy i też kupi.

Nieznajomy stoi na molo i patrzy w ich kierunku. Ilza czuje się skrępowana, że elegant widzi ją wspartą na ramieniu takiego typu jak handlarz.

– Kto to jest? – pyta Berschika.

– Kto?

– Ten człowiek, który stoi na molo.

Handlarz patrzy na Ilzę dziwnie.

– Nikt tam nie stoi. Molo jest puste.

– Ależ co pan mówi! Przecież widzi pan, że stoi tam mężczyzna, elegancki, pewnie jakiś kuracjusz?

– Molo jest puste – powtarza Berschik. – Nikt tam nie stoi.

I patrzy na Ilzę z troską. Pyta, czy często boli ją głowa.

– Nic mnie nie boli – odwarkuje Ilza, – to znaczy, boli, ale nie głowa.

Nie wie, jak rozumieć zachowanie handlarza. Kpi z niej? Wyraz twarzy ma śmiertelnie poważny. Ostatnio w ogóle zrobił się nadzwyczaj grzeczny i troskliwy. Jedyne racjonalne wyjaśnienie, to takie, że handlarz jest strasznym krótkowidzem i wstydzi się przyznać. No więc niech się nie przyznaje.

19 listopada 1913 roku, środa

Światelko błyska rytmicznie od strony morza, ten przeklęty statek tkwi na horyzoncie. Zalewa ją fala wściekłości. Nie pomaga zwinięcie się w kłębek, przewracanie z boku na bok, raz po raz, szybko, coraz szybciej. Nie, to nie przynosi żadnego ukojenia, nie sposób wytrzymać tak piekącej goryczy, leżąc – musi iść, po prostu iść przed siebie, ruszać się.

Schodzi ze schodów. Rudy kot wyprzedza kobietę, zwinnie skacząc po dwa stopnie, i czeka na parterze, gdzie pokoje zastawione są rzeźbionymi meblami, okna tkwią w obramowaniu sutych, wymyślnie podpiętych kotar, parkiet przykryty jest dywanem, a na ścianach wiszą obrazy przedstawiające piękne panie w towarzystwie roześmianych amorków.

Marynarz gorączkowo wrzuca rzeczy do torby. Niewiele ich ma, minuta i już jest spakowany.

– Mój statek przypląnął – mówi tonem, jakby to wyjaśniało wszystko, jakby wyjaśniało cokolwiek.

– Odpłynie bez ciebie – odpowiada Adelina-Ilza. – Przecież mnie nie zostawisz.

Marynarz śmieje się.

– Malutka, morze wzywa. Przezimowałem u ciebie, było nam dobrze, a teraz idę. Muszę się pośpieszyć, nie będą na mnie długo czekali.

– Nie – powtarza Adelina-Ilza. – Nie możesz.

Wtedy on waha się, nie wie, co zrobić lub powiedzieć, w końcu klepie ją uspokajająco po plecach i mówi, że wróci. Wkrótce. Za jakiś czas. Gdy będzie mógł. Całuje przelotnie w usta. A teraz musi się śpieszyć, bo statek naprawdę nie będzie na niego zbyt długo czekał w umówionym miejscu.

– Popłynie bez ciebie – upiera się Adelina-Ilza i przytula mocno do kochanka, gdyby mogła, weszłaby mu nawet pod skórę. By nie potrafił się jej pozbyć.

Ale on odrywa ją od siebie, a to boli, tak strasznie boli.

– Nie! Nie odchodź, błagam, zostań – Adelina-Ilza zaczyna płakać.

– Adelino, bądź rozsądna. Wrócę tu za jakiś czas, obiecuję.

– Obiecujesz? – Nie wierzy mu. On kłamie. Patrzy jej w oczy i kłamie. Odchodzi jak tamten, którego nie zatrzymała, tego zatrzyma za wszelką cenę. – Nigdzie nie pójdziesz. Zawsze będziemy razem, nie wypuszczę cię.

Marynarz wzrusza ramionami. Odwraca się, by włożyć płaszcz, a wtedy Adelina-Ilza biegnie do drzwi wejściowych, przekręca klucz i chowa w garści. Ciężki i zimny. Najpierw lodowacieje od niego dłoń, potem chłód rozchodzi się po całym ciele.

– Nie wygłupiaj się Adelino – mówi marynarz, – daj mi wyjść. – A ona chowa za siebie rękę z kluczem. Marynarz sięga po tę rękę, jest silniejszy, zaczyna

odginać jej palce.

– Nie wygłupiaj się – powtarza, ciągnąc za mosiężne kółko. – Wyrzywa klucz, a wtedy Adelina-Ilza wali go w głowę, w skroń, zegarem, który stał na kominku. Jego krzyk, jego krew. Adelina-Ilza też krzyczy, ze strachu, co zrobiła, potem głośno płacze, zachłystuje się, płacz przechodzi w szloch.

– Zawsze będziemy razem – zawodzi. Ukochany nie sprzeciwia się już, tylko osuwa na podłogę i wypuszcza klucz z ręki. Adelina-Ilza znów krzyczy. I krzyżąc, wali go w głowę jeszcze raz, tym kluczem z mosiężnym kółkiem właśnie, i klucz cały jest we krwi.

Chciała go jedynie ukarać, może pozbawić na krótko przytomności, by spóźnił się na ten przeklęty statek. Przecież nie chciała zabić. Przecież nie zabiła. Jego twarz we krwi, jej ręce we krwi. Nie rozumie, co się stało. Siedzi na podłodze w pokoju na parterze, kołysze się, trzymając bezwładnego mężczyznę. Kocha go. Jakiż on piękny, ma takie cudowne skrzydełka nosa, cudowne, mimo że teraz pomazane obrzydliwą czerwienią. Nienawidzi go, bo chciał od niej odejść, jak tamten. Marynarzowi już nie pozwoli. Chce czy nie chce, zostanie z nią na zawsze.

W pokoju jest wnęka. W korytarzu stoją cegły i gotowa zaprawa, bo marynarz miał naprawiać taras – gdyby ten przeklęty statek nie przyplłynął. Adelina-Ilza układa w niszy, może jeszcze żywe, a może już martwe, ciało, w pozycji na pół siedzącej, pół leżącej, obok kładzie torbę z rzeczami. Zamurowuje wnękę, następnie sprząta ślady. Na świeżej ścianie wiesza kilim, czyści cały pokój. Słońce już wstaje, gdy Adelina-Ilza kończy robotę. Potem idzie spać do swojej sypialni, może gdy się obudzi, zobaczy, że to wszystko jej się tylko śniło.

Rankiem schodzi po schodach, wspierając się na lasce. Na wszelki wypadek uzbrojona jest w krzyż, sama go zrobiła z dwóch patyków związanych czerwoną tasiemką. W pokoju na parterze zamurowana wnęka powinna znajdować się po prawej stronie od okna. W tym miejscu ściana jest nieotynkowana, zamazana niechlujnie białą farbą, spod której przebija ceglany wątek.

Ilzydzie nagle brakuje powietrza, musi natychmiast stąd wyjść i wszystko spokojnie przemyśleć. Spacer plażą dobrze jej zrobi, rozjaśni w głowie, ułatwi podjęcie decyzji.

Bez pomocnego ramienia Berschika brnie przez piach z większym trudem niż się spodziewała, laska zapada się, wiatr wieje w oczy, zimno, lecz nieważne, trzeba iść dalej. I dalej, aż w końcu orientuje się, że za daleko zaszła. Boi się, czy starczy jej sił, by wrócić, a przecież musi wrócić. Zawraca i teraz idzie łatwiej, bo

z wiatrem, nie pod wiatr, lecz zrobiło się jeszcze zimniej, chłód przenika Ilzę aż do kości, w brzuchu czuje ciężar tysiąca kamieni, w głowie wściekle wirują poplątane nitki myśli.

Boże zmiłuj się.

To nie ona zabiła. Nie ona. Przecież nie potrafiłaby zabić człowieka. Ma takie straszne uczucie, jakby cios zadała jej własna ręka, jej własna ręka cała we krwi, ale to przecież nieprawda. Nie Ilza. Nie ona. Czuła, że ona, lecz nie ona, śniło jej się. Zgrzeszyła we śnie, tak, Boże wybacź, uczyniła coś odrażającego, Boże wybacź, ale to nie była ona. Nigdy w życiu nie zrobiłaby czegoś takiego. Nie ona, nie ona. To tylko sen. Z prawdziwą Ilzą nie miał nic wspólnego, dzięki niemu jednak uwierzyła w duchy. Istnieją. Może i nie ma ich w Berlinie czy w Wiedniu, w cywilizowanych metropoliach, gdzie obowiązują dobre maniery, a światło elektryczne rozjaśnia mroki duszy. Wypędzone przez nowoczesność zmory uwiły gniazda w zabitych dechami domach, pochowały się w miasteczkach, w których ludzie wariują od samotności, pustej plaży i szarego morza.

Jeśli pogrzebie się szczątki nieszczęśnika po chrześcijańsku, dom przestanie być nawiedzony. Na wszelki wypadek można też pokropić pokój wodą święconą i dla absolutnej pewności odprawić egzorcyzmy. Dzięki klasztornej edukacji Ilza zna całą masę modlitw, wśród których znalazłyby się odpowiednie i na taką okoliczność.

Ale po co ma to robić? To nie jej dom.

Mimo że nie do końca wierzy w Boga, jest jednak katoliczką, pochowanie zaś zmarłego to obowiązek każdego chrześcijanina. Tylko ona wie, gdzie znajduje się trup, jest za niego odpowiedzialna. Może ręka Opatrzności, zakładając, że istnieje, sprowadziła Ilzydę do zrujnowanego pensjonatu? Zwabiła ją tu właśnie dla uratowania udręczonej duszy marynarza.

To mógłby być Ilzy dom! Przecież nie ma dokąd wracać, równie dobrze może zostać, a nawet wyremontować i otworzyć na nowo pensjonat. Herta Knopke sprzeda ruderę za bezcen, szczęśliwa, że znalazł się kupiec. Duch zaś spocznie w spokoju i przestanie przeszkadzać. Nie powinien wypłaszać gości, jeśli tylko Ilza zrobi co należy.

Pieniądze? Weźmie od Helmuta. Wystarczy, że go sprytnie zaszantażuje.

Za daleko zaszła. Traci nadzieję, że da radę wrócić do pensjonatu o własnych siłach: nogi odmawiają posłuszeństwa, nie chcą brnąć dalej, uginają się. Zaraz upadnie na mokry piasek. Na szczęście pojawia się Jorg. Widzi Ilzydę z daleka i biegnie w jej kierunku. Podtrzymuje ślaniającą się i beszta, że wyszła sama, jest na to jeszcze o wiele za słaba.

– Znam sekret Szczęścia Adeliny. – Ilza musi wtajemniczyć we wszystko handlarza, bo przecież nie poradzi sobie sama. Są rzeczy, które może zrobić tylko mężczyzna, silny mężczyzna. – Uzna pan, że fantazuję lub mam halucynacje po wypadku, lecz ja naprawdę wiem, dlaczego w tym domu straszy.

Berschik patrzy na Ilzę dokładnie tak, jak się spodziewała: z obawą, że wstrząs mózgu coś jej w głowie poprzewracał albo że nadal nie wywietrzało z niej opium. Dlatego widuje na molo mężczyzn, których nie ma, a teraz jeszcze donosi, że dogadała się z duchem.

– Udowodnię, że mam rację. Potrzebny tylko łom.

– Łom? – Handlarz wygląda, jakby się zastanawiał, czy Ilza ma zamiar załatwić ducha łomem. Albo poprosić, by on to zrobił.

– Ma pan łom, prawda? Wiem, że pan ma. U siebie w domu?

– W domu – przytakuje Berschik.

– Idziemy po niego.

– Ale pani jest zmęczona. Może odprowadzę panią do pensjonatu, a potem sam pójdę po ten łom?

– Nie – upiera się Ilza. – Idziemy razem. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Handlarz ustępuje, bo co mu szkodzi, mogą iść po łom, to niedaleko. Gdy dochodzą na miejsce, Berschik nie prosi Ilzy do środka: raz, że nie wypada, dwa, że w chałupie brudno. Gorzej niż na podwórku. Wstyd, że wszystko takie zaniedbane, ale czy warto naprawiać, czy warto sprzątać, „wie pani, mówią, że będzie wojna, Niemcy dadzą w końcu do wiwatu tym zarozumiałym żabojadom i ich koleżkom. Bo Niemców trzeba traktować poważnie”.

Zmęczona Ilza kiwa głową na znak, że się zgadza i przysiadła na sofie, z której wylażą sprężyny, nowy nabytek, nie widziała jej tu, gdy poprzednio wpadła z wizytą, sofa przynajmniej jest wygodniejsza od tego rowerowego siodełka, które wpijało się, dama nie może powiedzieć w co.

– Tylko – mówi handlarz – niech pani uważa na sprężyny.

Ilza nie potrzebuje ostrzeżeń, wie, że podwórko handlarza to teren najeżony najrozmaitszymi pułapkami. Siedzi na samym brzeжку sofy i przytrzymuje suknię, by przypadkiem, choćby rąbkiem spódnicy, nie dotknąć tu niczego więcej niż absolutnie konieczne.

Prowadzi uzbrojonego w łom Berschika do pokoju na parterze i mówi, by rozwalić ścianę, o tę tutaj. Jorg protestuje: Herta Knopke każe im za to słono zapłacić, a ile przy tym narobi jazgotu, panna von Taffel nawet sobie nie wyobraża.

– Knopke nie zobaczy, bo nie przyjdzie. – Ilza jest pewna. – No dalej, proszę rozwalić. Biorę wszystko na siebie. – Ostatecznie, to tylko kawałek ściany, zawsze można wymurować go na nowo. Poza tym Herta Knopke jest coś winna za naprawę schodów, handlarz wali łomem w mur bez dalszych dyskusji. Nie będzie się chorej sprzeciwiał, lekarz mówił, że po wstrząsie mózgu nie wolno panny von Taffel wyprowadzać z równowagi, jak nie będzie się denerwowała, prędzej dojdzie do siebie. Sypią się pokruszone cegły, ukazują wnękę, we wnęcie skulony szkielet.

– Ja cię... – mówi handlarz, potem głos go zawodzi.

Mija dobra, śmiertelnie cicha minuta, nim Berschik odważa się spojrzeć na Ilzę, a wtedy patrzy niepewnie, pierwszy raz z obawą, która nie jest zmieszana z troską, tylko bliska strachu. Ilzyda rośnie we własnych oczach, bardzo jej się to podoba. Przejmuje dowodzenie operacją.

– To marynarz, kochanek Adeliny, którego zabiła, bo chciał ją porzucić – wyjaśnia zwięźle, gdyż nie ma sensu wdawać się w przykre szczegóły. – Trzeba go pochować.

Jorg Berschik głośno przełyka, odzyskuje mowę i zgadza się z Ilzą. Żaden człowiek, nawet po śmierci, nie powinien robić za mur. Trochę szacunku dla ludzkich szczątków.

– I nie zawiadamiajmy policji.

– Słusznie – Berschik znowu się z Ilzą zgadza. Lepiej nie powiadamiać policji, ani w ogóle nikogo. Nie ma co robić afery i szargać pamięć nieszczęśliwej kobiety. Kogo może obchodzić trup sprzed tylu lat? To był drań i zapewne jego rodzina jest szczęśliwa, że zaginął gdzieś w obcych krajach i ich od siebie uwolnił. Nie potrzebują też żadnego duchownego, zresztą na miejscu i tak jest tylko pastor, a Ilza wierzy w protestantyzm jeszcze mniej niż w katolicyzm. Protestantyzm, mówiły siostry, to po prostu herezja. Kwestia hierarchii wyznań jest handlarzowi obojętna, ale też uważa, że pastora nie należy w to mieszać. Szkielet pochowa się po cichu, ciemną nocą, tu w ogródku chociażby.

O nie, na to Ilza się nie zgadza. Tylko nie w ogródku. Gdyby jednak miała zamieszkać w Szczęściu Adeliny na stałe, nie życzy sobie trupów tuż pod progiem. Z kolei zakopywanie na wydmie stanowi za duże ryzyko, pewnego pięknego dnia wiatr może rozwiać piasek i odsłonić tajemnicę. Ilza i Jorg zgadzają się, że najlepsze na pochówek będzie miejsce tuż za murem cmentarza. Tam zaraz zaczyna się sosnowy las, jest więc gdzie ukryć się przy tej kłopotliwej czynności. Poza tym Ilza czuje się lepiej ze świadomością, że pochowają nieszczęślika może nie w poświęconej ziemi, ale przynajmniej blisko. Ceremoniał pogrzebowy Ilza odprawi sama, korzystając z dobrodziejstw

klasztornej edukacji. Nie będzie to miało oczywiście takiej samej wagi jak rytuał celebrowany przez prawdziwego księdza, ale – tak Ilza uważa – znaczenie zbliżone do tego, co dla zmarłego mógłby uczynić tutejszy pastor. Handlarzowi zaś sprawy religii są tak doskonale obojętne, że zgodziłby się i na pogrzeb w obrządku szamańskim plemienia Tutu-Tutu, byle po cichu.

– Będzie po cichu – obiecuje Ilza. – Ale...

Handlarz patrzy na nią z niepokojem. Co ta kobieta znów wymyśliła?

– Ale – mówi Ilza – konieczna jest woda święcona.

Potrzebują dużo wody święconej, bo panna von Taffel uważa, że należy połączyć szkielet, grób, pokropić pokój, w którym doszło do zbrodni, najlepiej to cały dom.

– I bańka na mleko nie wystarczy – pomrukuje pod nosem Jorg, ale godzi się jechać do Szczecina, gdzie są najbliższe świątynie katolickie, i nikogo nie wtajemniczając, po co mu ona, jakoś tę wodę święconą „zorganizować”. Ilza z kolei obiecuje zrezygnować z samotnych spacerów i do powrotu Berschika grzecznie siedzieć w swoim pokoiku. Zamknie drzwi na zasuwę i będzie modlić się za tragicznie zmarłych.

Gdy nocą z dołu znów dobiegają krzyki i płacz, Ilza odmawia „Wieczny odpoczynek”, raz, drugi, dziesiąty. „Anioł pański” – trzy razy, „Zdrowaś Maryjo” – pięć razy, „Ojcze nasz” – tylko raz. Zdrętwiała z trudem podnosi się z kolan i siada w fotelu. Teraz może już tylko czekać. Przesuwa palcami po blacie stolika, opuszkami wyczuwa rysy. Pilnuje się, by omijać spojrzeniem okno, skupia wzrok na niespokojnie palącej się świecy. Chybotliwy płomyk sprawia, że cienie tańczą po ścianach pokoju w rytm stukającego w dachówki deszczu. Krzyk z dołu przechodzi w rozpaczliwy szloch. Pokój też duszy tej nieszczęsnej kobiety, która odpokutowuje zbrodnię z miłości.

Na kolana wskakuje kot. Ilza głaszcze ciepłe futerko i dociera do niej, że popełniła wielki błąd. I że mogła popełnić jeszcze większy. Bo wcale nie chodzi o marynarza.

21 listopada 1913 roku, piątek

Handlarz wraca ze zdobyczną (kradzioną, jak Ilza podejrzewa, lecz cel uświęca środki) flaszką wody święconej. Jest dumny z siebie: oj, wcale nie było łatwo tę święconą „zorganizować”, panna von Taffel może mieć jednak do niego pełne zaufanie, przywiózł towar pierwszorzędny, prosto z kościoła, żadną tam podróbkę, co to w życiu kropidła nie widziała.

Świetnie, fantastycznie, Ilza bardzo się cieszy, zawsze wiedziała, że może na Jorga liczyć, ale teraz ma mu do powiedzenia coś niezwykle istotnego:

– Nie możemy go tak po prostu zakopać przy cmentarzu.

– Jak to? – pyta oszołomiony handlarz, który ma już przygotowane worek i łopatę.

– Musimy pochować szkielet w grobie Adeliny.

– Że co?

– W grobie Adeliny – powtarza cierpliwie Ilza. – Wie pan, który to jest?

– No wiem – mówi Berschik – ale, Mein Gott, dlaczego?!

Bo tego właśnie pragnie duch Adeliny. Bo to Adelina nie zazna spokoju, jeśli będzie inaczej. Ona, nie marynarz.

22 listopada 1913 roku, sobota, 22.30

Ilza odprawia autorską, wielce skomplikowaną wersję egzorcyzmów, Jorg raz po raz zerka na zegarek: Domine i Domine, amen i amen, końca nie widać tej łacinie, a jak wszędzie księżyc, to jeszcze ktoś ich przyuważy, gdy będą przemykali się na cmentarz. Co za wariactwo! Z drugiej strony, może światło księżycy wystarczy i nie będą musieli zapalać lampy. Bo im mniej szczegółów zobaczą, otwierając trumnę, tym lepiej. Co za wariactwo! Ilza kończy egzorcyzmy, żegna się zamasyście, kropi szkielet wodą święconą, oszczędnie, by starczyło na później. Handlarz krzywiąc się, owija szczątki płótnem. Grzechocą wrzucone do worka kości.

– Wariactwo – mruczy Berschik pod nosem. – Co za wariactwo!

Proponował, że pochowa marynarza sam, ale Ilzyda mu nie ufa, podejrzewa, że jak nie będzie miała Berschika na oku, ten gotów oszczędzić sobie fadygi, zakopać trupa gdzie bądź i nawet nie polać wodą święconą. Więc laska w dłoń i Ilza dzielnie kuśtyka za handlarzem dźwigającym worek ze szczątkową zawartością. Idą na cmentarz okrężną drogą, omijając, na ile się da, miasteczko, choć mało prawdopodobne, by o tej porze spotkali kogoś, kto miałby ich zapytać, co zamierzają zrobić.

Na myśl o tym, co zamierzają, Berschik czuje się nieswojo. Nie, wcale nie jest przesadnym człowiekiem, skądże znowu, zawsze twardo chodzi po ziemi, ale skoro to Adelina rozbijała meble w pensjonacie, ciekawe, co robi, gdy przyjdą ją odwiedzić. Z drugiej strony, panna von Taffel twierdzi, że Adelina sama prosiła. Skoro takie jest życzenie nieboszczki, a oni tylko chcą pomóc, nie powinna wyrządzić im krzywdy ani urządzać żadnych ekscesów, prawda? Zresztą, po co zaraz ekscesy, wystarczy, że otworzą trumnę, a ona kiwnie choćby małym palcem – atak serca murowany. Te kobiety, tylko z nimi problem. Dlaczego człowiek,

rozsądny człowiek, w ogóle na nie leci? Co za wariactwo, trzeba było pochować szkielet pod płótem, ze święconą czy bez, a nie wydziwiać.

Bramę cmentarza handlarz naoliwił i uchylił poprzedniej nocy, szczęśliwie nikt do tej pory nie zorientował się i jej nie zamknął. Księżycowa noc jest wystarczająco jasna, by nie zgubić drogi wśród nagrobków, na wszelki wypadek mają też ze sobą latarnię, zapaloną, lecz dla kamuflażu przykrytą grubą tkaniną.

Adelina pochowana jest w rodzinnym grobowcu, Berschik podważa łomem kamienną płytę, cały czas zastanawiając się, czemu bierze udział w tym przedsięwzięciu. Jeśli ktoś ich przyłapie... handlarzowi nie starcza fantazji na wyobrażenie sobie, co by wtedy było.

– Nie wiem, czemu to robię – mamrocze pod nosem. Gdyby tak ktoś usłyszał odgłosy odbijania wieka trumny i zechciał przyjść, zobaczyć, co się dzieje... całe szczęście, że mieszkańcy Hole to banda tchórzy. Ciekawskich wprawdzie nie brakuje, ale trzeba mieć naprawdę zimną krew, by pętać się nocą po cmentarzu i sprawdzać przyczynę hałasów. Bo może to zmarli wstają z grobów znudzeni za długim czekaniem na Sąd Ostateczny.

– Niechże pan trzyma dziób na kłódkę – nie wytrzyma Ilza. Ona też czuje się nieswojo, ale stara się panować nad nerwami. Nie potrzebuje, by Berschik wciąż jej przypominał, jak szalonego zadania się podjęli. Podjęli się i już. Zwracając zmarłego ziemi, wypełniają tylko chrześcijański obowiązek.

Jest pełnia. Wiatr zawodzi w koronach drzew. Gdzieś niedaleko huczy sowa. W krzakach coś szeleści. Po cmentarnym murze przemykają cienie. Całe szczęście, że handlarz jest prostym człowiekiem, bez wybujałej wyobraźni, idealnym do ciężkiej, ręcznej pracy. Podnosi wieko trumny i jak może, stara się nie patrzeć na złożone w środku szczątki: czaszka, długie, suche, zmatowiałe włosy, resztki niebieskiej sukienki. Tak wygląda śmierć i czeka nas wszystkich, bez względu na wszystko. Ilza widzi, jak Berschik wlepia wzrok w zawartość trumny. Zapewne przypomina sobie, jak bardzo podobała mu się Adelina, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Wszystkim się podobała. Włosy jak skrzydło kruk, oczy niebieskie jak niebo, cera – płatek róży, dołeczki w kremowych policzkach... Nie ma jednak czasu, by tonąć w sentymentalnych wspomnieniach, Ilza niecierpliwie stuka go w ramię, lepiej się pośpieszyć. Idź kość do kości, Berschik wysypuje szczątki przemytnika z worka. Piszczel układa się obok piszczeli, goleń przytula do goleni, kochankowie pokropieni wodą święconą spoczną razem połączeni na wieki wieków. Amen. Handlarz zabija wieko, podczas gdy Ilzyda mamrocze modlitwy o spokój dusz pogrzebanych, swoją drogą dużo zna tych modlitw, jeszcze się modli, gdy Jorg zasuwa już płytę. Po wszystkim. Nikt nie widział.

Okazuje się jednak, że mieli świadka; rudy kot daje nura w krzaki.

23 listopada 1913 roku, niedziela, środek nocy

Ilzyda czuwa, lecz słyszy tylko szum fal bijących o brzeg, docierający do pokoju na wieży mimo zamkniętych okien. Poza tym przytłumionym, znajomym już dźwiękiem, do którego tak przywykła, że zazwyczaj go nie zauważa – cisza. Bierze lampę, do drugiej ręki krzyż i flakonik z resztką wody święconej zachowaną na czarną godzinę. Schodzi ostrożnie na parter. Otula ją miękka, głucha cisza, nawet schody nie skrzypią.

Sama wygląda jak duch, gdy tak krąży po pokojach w długiej białej koszuli nocnej. Poza nią nikogo tu nie ma. Adelina odeszła na dobre, ba, nawet kot zniknął. Gdzieś przepadł. Szkoda, choć potrafił być nieznośny. To nic, znajdzie się drugi. A zjawa w szybie to po prostu zabawna skaza na szkłe, można nie patrzeć w tamtym kierunku, albo, jeszcze lepiej, powiesić zasłonki i zasłaniać na noc okno.

Hole am Meer 24 listopada 1913 roku, poniedziałek

„Szanowny mężu,

Opuściłam Szczecin i pojechałam nad morze, by dać ukojenie starganym nauczaniami nerwom. Dzisiejsza młodzież! Dużo można by na jej temat powiedzieć, lecz nie będę teraz rozwodzić się nad tą przykrą kwestią.

Przebywam w uroczym miejscu. Już po sezonie, więc miejscowość sprawia wrażenie opustoszałej, ale powiedziano mi, że nawet latem ludzi tu niewiele i nikt z towarzystwa. Ach, jakże pragnęłabym tak właśnie żyć: w ciszy, spokoju i odosobnieniu, z dala od wielkiego świata, jego plotek i śmiesznych pretensyj. Jest tu dom do kupienia, po niewiarygodnie niskiej cenie, prawdziwa okazja. Nadzwyczajnie mi się podoba, niestety nie posiadam nawet tak drobnej sumy, gdybym ją miała, zostałabym tu na zawsze. Niestety... Do Szczecina nie pojedę, mierzi mnie już bowiem to prowincjonalne miasto, udam się do Berlina. Wielce prawdopodobne, że się spotkamy, jako że będę zmuszona wrócić się do towarzystwa. Nie czynię tego bynajmniej z chęci wywołania skandalu, mam gorącą nadzieję, że uda się tej smutnej konsekwencji uniknąć. Otóż dostałam list od znajomej mojej matki, którą śmierć hrabiny, świeć Panie nad jej duszą, nadzwyczaj poruszyła. W liście znajoma owa przyznaje, iż haniebnie zaniedbała najukochańszą przyjaciółkę, chce odpokutować winę, pomagając mi ze wszystkich sił. Zaprasza, by żyć z nią pod jednym dachem, jako dama do towarzystwa. Zaiste, wolałabym nie wyjeżdżać z mojej nadmorskiej samotni i nie udzielać się już nigdy towarzysko, ale cóż, ze względów finansowych nie mogę odrzucić tej jakże korzystnej propozycji. Rozumiesz mnie dobrze, nieprawdaż? Czyż mam

do wyboru co lepszego? Oczywiście, przyjaciółka mojej matki jest bardzo ciekawa, co się stało z naszym małżeństwem.

Proszę Cię, byś przesłał należną mi za następny miesiąc pensję na adres: Hole am Meer, Szczęście Adeliny, Mondscheingasse. Zostanę tu jeszcze z dwa tygodnie, a potem zapewne zobaczymy się w Berlinie”.

Teraz Helmut ma okazję zapłacić za to, co jej zrobił. Należy się sporo.

3 grudnia 1913 roku, środa

Jeden z pół tuzina zagrających wieżyczkę stolików powędrował na dół, zniesiony ze schodów przez Berschika. Na przykrytym serwetką blacie Ilza ustawiła lekko wyszczerbioną, fajansową misę. Anna dostała ją w Lizbonie od przyjaciółki, której wywróżyła długie i wesołe, wdowie życie. Trzeba być Anną Eudorą, by ciągnąć taki grat za sobą przez pół Europy. W misie Ilza ułożyła kompozycję z traw i muszli. Obok stolika stanęła sofa, nie tak dawno jeszcze zdobiąca podwórko handlarza. Przykryta świeżo upraną, wzorzystą kapą, prezentuje się całkiem przyzwoicie, trzeba jedynie uważać na wystające sprężyny, najlepiej siadać tylko z prawej strony. Ilza kończy właśnie szorowanie podłogi, gdy słyszy walenie do drzwi.

– To szantaż, prymitywny szantaż! – krzyczy Helmut zamiast powitania. – Myślisz, że się ugnę? Że pozwolę sobą manipulować?! Sądziś, że jestem idiotą?

Oszczerstwo jest karane prawem, a ona nigdy nie zdoła niczego udowodnić.

– Swąd zostanie, wiesz o tym – odpowiada spokojnie Ilza. – I swąd wystarczy, tym bardziej że plotki krążyły już wcześniej.

Temu Helmut nie może zaprzeczyć, w bezsilnej złości mówi to wszystko, co już tyle razy od niego słyszała: o niewdzięczności, bękarcwie, bagnie, z którego ją wyciągał, jej głupocie i podłości. Ilzyda Filomena Bonusch z domu von Taffel vel Tafel obca wszelkim szlachetniejszym porywom ducha, nie wie, co to przyzwoitość.

– Jaka matka, taka córka – na słowa, których obawiała się całe życie, Ilza reaguje wzdrygnięciem. Opanowuje się jednak szybko, siedzi spokojnie na sofie, uważając na sprężyny, ręce złożyła w małą rękę, buzię w ciup. Czeka cierpliwie: niech się pan mecenas wykrzyczy, wychodzi po pokoju, wymacha rękami, jakie to ma znaczenie, co on o niej myśli, i tak wie, że nie ma wyjścia, „kretynka Ilse”, „ta niedojda Ilse” postawiła go pod ścianą. Helmut albo ustąpi i zapłaci, albo straci wszystko.

W końcu przystaje pośrodku ciemnego pokoju.

– Oto moje warunki – oznajmia tonem Cezara, lecz tu nie sala rozpraw, gdzie podobny ton mógłby pognać adwokata przeciwnej strony.

Owszem, Ilzyda może zgodzić się na podpisanie papierów unieważniających małżeństwo i zrzec się wszelkich praw do majątku, ale on musi dać jej w zamian kwotę potrzebną na kupno i remont tego domu, a dodatkowo – zapewnić pensję do końca życia. Bez tego się nie dogadają, a dogadanie się leży w najlepszym interesie obojga, Helmut przecież doskonale sprawę pojmuję, nie jest głupi. Ona też nie jest; kiedyś była – głupio szlachetna – ale przestała. W końcu zrozumiała, że sama musi się o siebie troszczyć. Musi o siebie walczyć.

– Oto moje warunki – lepiej niech je Helmut przyjmie. Bo jeśli nie, to gotowa jest pojechać do Berlina, ba!, pójść tam piechotą, powiedzieć wszystkim: przyjaciółkom hrabiny, znajomym, nieznanym, co widziała i wie na temat jego czułych przyjaźni. Gdy prawda wyjdzie na jaw, kariera pewnego świetnego adwokata skończy się z wielkim hukiem, ktoś będzie całkowicie zrujnowany – więc niech lepiej płaci póki czas.



HOLE AM MEER

4 grudnia 1913 roku, czwartek

Helmut pojechał przygotować potrzebne dokumenty. Wróci za kilka dni. Handlarz pyta Ilzę, kto to był – bo oczywiście „całe miasto” widziało, że miała gościa.

– Mój... kuzyn – wyjaśnia Ilza. – A jednocześnie wykonawca testamentu stryja. Dostanę zapewne niewielki spadek. Nie ma się czym ekscytować, kilkadziesiąt marek za ledwie.

Zabite deskami okna na razie zakryła kotarą, jak wszystko dobrze pójdzie, poprosi Jorga, by sprowadził szklarza.

Gdy poznała Helmuta, był powściągliwy i uprzejmy, zupełnie inny niż „przyjaciele” Anny Eudory. Tamci pozwalali sobie od czasu do czasu puścić oczko, szczyptać Ilzę w policzek – taki gładki, wprost stworzony do podszczypywania – albo ukradkiem wymierzyć klapsa w pośladek – niewinna, niemal ojcowska pieśczoła. Ci zaś, którzy nie mrugali i trzymali ręce przy sobie, zachowywali się za to tak, jakby Ilzydy w ogóle na świecie nie było, jakby była przezroczyista.

Helmut zaś odnosił się do panienki szarmancko, zdawał interesować tym, co ma do powiedzenia i ani razu nie próbował szczyptać czy klepać. Ilza długo uważała, że był odpowiedzią na gorące modły zanoszone do Boga, Madonny i wszystkich świętych, lub nagrodą za sumienne stosowanie się do rad autora książki pt. „Sztuka wydania się za mąż w jak najkrótszym czasie”.

Któregoś dnia podsłuchiwała rozmowę matki z przyjaciółką:

– Co zrobisz z Ilzą? Jest już dorosła, nie możesz jej wiecznie utrzymywać, masz coraz większe kłopoty, by utrzymać się sama. Musisz znaleźć dla niej odpowiedni „arrangement”.

– To jeszcze dziecko – sprzeciwiła się Anna.

– Och, non, ma chérie – zaćwierkała przyjaciółka z rozbawieniem. – Na pewno nie dziecko. Ty w jej wieku...

– Nie chcę, żeby poszła w moje ślady.

– A ma inne wyjście?

Owszem, ma. Ilza postanowiła wyjść za mąż. Zdawała sobie sprawę, że z racji specyficznego położenia i rodzinnych koneksji – „antykoneksji”, nie będzie to łatwe, liczyła jednak na pomoc Boską. Może choć tym razem Bóg jej nie zawiedzie, za te wszystkie modlitwy, chyba się Ilzydzie coś od Niego należy.

Nazajutrz poszła do bukinistów i ukryta pod gęstą woalką, którą jednak nie była w stanie zupełnie zasłonić ciemnego rumieńca, nabyła zauważone wcześniej pozycje: „Sztuka wydania się za mąż w jak najkrótszym czasie. Praktyczny i niezawodny przewodnik, dający każdej kobiecie możliwość zdobycia sobie takiego męża, jakiego pragnie”, „Sekret pozyskania oblubieńca, jakiego kto sobie życzy. Praktyczny i pewny przewodnik do zawiązania znajomości, zdobycia serca i utrzymania go” oraz, dość krótki, ale może dzięki temu łatwy do zrozumienia i treściwy „Przewodnik zakochanych”.

Lektura zakupionych dzieł utwierdziła Ilzę w przekonaniu, że podstawowym warunkiem zamążpójścia jest bycie zacną niewiastą. Matka zaliczała się oczywiście do niezacnych, tych, których mężczyźni nie mają powodu ani chęci szanować. Zawsze prowadziła się skandalicznie i nie wiadomo dlaczego żywiła nadzieję, że ktokolwiek będzie miał w stosunku do niej poważne zamiary. Jeśli chodziło o Ilzydę, sprawa nie wyglądała na straconą, najważniejsze to troska o opinię, „zachowanie pewnych form, unikanie pewnych pozorów. Jest wiele kobiet, zacnych i uczciwych, które z powodu lekceważenia tych form świat niesłusznie potępia”.

Po lekturze Ilza ze zdwojoną gorliwością i na każdym kroku, zaczęła demonstrować, że ze stylem życia hrabiny von Taffel absolutnie nie ma nic wspólnego. Starła się nie pokazywać publicznie u boku matki, wolny czas spędzała w kościele, nie chodziła na bale czy towarzyskie wieczorki, chyba że Anna zaciągnęła ją niemal siłą. Wtedy Ilzyda Filomena, ubrana ostentacyjnie skromnie, prawie się nie odzywała, gardząc banalnymi, salonowymi rozmówkami. Z zasady nie tańczyła, odmawiała, jak ktoś prosił, co na szczęście przytrafiało się bardzo rzadko.

Gdy Helmut zwrócił uwagę na ponurą dziewczynę siedzącą pod ścianą, pani domu zdradziła mu (jak wyznał Ilzie później), że to jest właśnie owa lilija z półświatka, córka tej nawiedzanej harpii. Nie do uwierzenia, prawda?

– Nudna i przygłupia, ale podobno – rewelacji towarzyszył chichot, – zupełnie niewinna jeszcze. Wyobraź sobie, mój drogi, że matka ją do klasztoru po edukację wysłała! Do klasztoru!

– Klasztorna lilija – powiedział Helmut, ale zaraz się poprawił: nie, na liliję jest zbyt niepozorna, to klasztorna konwalijka zagłuszona przez przepyszną orchideę. Poprosił, by przedstawić go panience.

– Kurczątko, mój przyjaciel pragnie cię poznać. Pan Helmut Bonusch, panna von Taffel.

Ilzyda wstała niechętnie z krzesła i dygnęła, dyganie zaś, dzięki przewidującym zakonnicom, miała opanowane do perfekcji. Podniosła wzrok i zobaczyła postawnego, pulchnego mężczyznę około trzydziestki. Ubranie

w dobrym gatunku, konserwatywne, bez żadnych nowinek czy artystowskich ekstrawagancji, tak częstych w kołach, w których obracała się Anna Eudora von Taffel, fizjonomia pozbawiona cech szczególnych, oczy, które – Ilza zauważyłaby to, gdyby była wtedy mądrzejsza – patrzyły na nią z pewną, można rzec, kalkulacją. Nowy znajomy poprosił Ilzydę do tańca.

– Nie tańczę.

– W takim razie będę wdzięczny za przywilej bawienia pani konwersacją.

Ilza skinęła głową, nie bardzo wiedząc, co się odpowiada w takich wytwornych przypadkach, zaś młody człowiek uniósł zamasyście ogony fraka i zasiadł na krzeselku obok. Światło odbiło się od jego wypomadowanych włosów, sygnetu i lakierków.

Konwersacja szła kulawo, jednak Helmut nie rezygnował, ponad godzinę tkwił u boku Ilzydy, wytrwale próbując rozmawiać z nią o Berlinie. Do tej wspaniałej stolicy zjednoczonych Niemiec panna von Taffel i jej matka przybyły niedawno z prowincjonalnego Poznania.

– I długo zamierzają panie zostać w naszym pięknym mieście?

– Nie wiem.

– A jak się pani podoba Berlin?

– Nie podoba mi się.

– Może jednak jest coś, co znalazło uznanie w pani surowych oczach? Park? Pałac cesarski?

– Nie.

Gdy Anna przypomniała sobie o córce, Helmut grzecznie uklonił się hrabinie i spytał, czy pozwoli na złożenie w ich domu wizyty. Gładki w mowie i obejściu, dobrze zapowiadający się prawnik, cóż Anna mogła mieć przeciwko, zawahała się, ale przyjaciółka miała rację: Ilza nie jest już dzieckiem. Przyszedł jej czas, świat nie zna litości. Jak Ilzunia będzie mądra, może to dobrze rozegrać. Trzeba tylko najpierw z nią pogadać, nauczyć tego i owego o życiu. Toteż następnego dnia puściła młodych na spacer bez zawracania im i sobie głowy przyzwoitką.

Na spacerze Ilza powiedziała Helmutowi wprost, że nie aprobeje życia swojej matki i ani myśli iść w jej ślady. Czuje obrzydzenie do tego typu spraw. Jest panną zącną, uczciwą, szanuje się i prowadzi nieskazitelnie, regularnie chodzi do kościoła, opinię ma nieposzlakowaną, przeszłość bezwzględnie czystą (Zenon Kruknur, o którym naturalnie nie wspomniała, był właśnie czystą, dziecięcą mrzonką). Największym pragnieniem oraz jedyną ambicją Ilzydy jest zostać westalką domowego ogniska, więc jeśli pan Bönusch chce traktować ją lekko i nie ma wobec niej uczciwych zamiarów, to lepiej, by się więcej nie spotykali. Helmut odpowiedział, że czuje, iż spotkały się dwie pokrewne sobie dusze, dwie

połówki jednego jabłka, jego zamiary są jak śnieg białe, na dowód ich białości prosi pannę von Taffel o rękę.

Jak łatwo poszło! Niecały miesiąc temu podjęła postanowienie wyjścia za mąż i zainwestowała w fachową literaturę, a tu proszę, już zdobyła świetną partię, a co za tym idzie, bezpieczeństwo materialne i szacunek otoczenia. Przede wszystkim zaś, do końca swoich dni zapewniła sobie stabilizację i porządek, tak różne od chaosu, w którym miotała się Anna. Autorzy poradników zaiste musieli sporo wiedzieć o życiu. Matka, gdy Ilza z satysfakcją zakomunikowała jej nowiny, podeszła do sprawy sceptycznie i usiłowała podzielić się zaobserwowaną prawdą o mężczyznach. Ilzyda wysoko uniosła podbródek i tonem zimnej godności odparła, iż nie życzy sobie czerpać wiadomości ze zbrukanego źródła. Następnie wycofała się do swojego pokoju i zamknęła ze swoimi książkami.

Wieczorami dalej je studiowała, pragnąc dowiedzieć się jak najwięcej o postępowaniu i obowiązkach dobrej żony, tak by nie zawieść szlachetnego konkurenta.

Więcej niż konkurenta – narzeczonego, wszak miała prawo mówić o Helmucie „mój narzeczony”! Postanowiła być dla niego anielsko dobra. On na początku może też tak chciał. Gdyby nie strach, mógłby być porządnym człowiekiem.

Ostrożnie, kątem oka zerka na szybę. Będzie? Jest. Ilza prędko odwraca wzrok. Koniecznie musi kupić zasłonki, bo to wprost nie do wytrzymania. Co noc – na jawie, nie we śnie – widzi tę niby-twarz. Złudzenie pojawia się o zmierzchu, gdy ciemnieje świat za oknem, znika o trzeźwym poranku. Czyżby traciła zmysły? Upadek ze schodów uszkodził jej mózg na trwałe?

Niepokojem napełnia Ilzę też elegant z plaży, który coraz częściej krąży wokół Szczęścia Adeliny, wczoraj i przedwczoraj widziała, jak znów wpatrywał się w okna. Może to brat albo wspólnik zabitego i podejrzewa, że Ilza miała coś wspólnego ze śmiercią przemytnika? Chce wyjaśnić? Łaknie zemsty?

Co za głupie, pensjonarskie fantazje. To tylko kuracjusz, któremu dla podreperowania zdrowia lekarz zalecił morskie powietrze, przyjezdny, osamotniony w prymitywnym miasteczku, bo zaiste trudno tu znaleźć do towarzystwa kogoś na poziomie, poza Ilzydą, naturalnie. W niej rozpoznał damę, skoro więc nie został oficjalnie przedstawiony, nie śmie zaczepić, kręcąc się w pobliżu, liczy na szczęśliwy traf. Może, gdy Ilza zobaczy go kolejny raz, powinna wyjść z domu i „przypadkiem” wpaść na spacerowicza, upuścić przy tym torebkę lub odrobinę zasłabnąć. Wtedy on, jako dżentelmen, naturalnie pośpieszy z pomocą, znajomość zostanie zawarta, Berschik będzie zazdrosny.

Wschodzi księżyc, jeszcze w pełni, ale już nie tak doskonałej jak owej nocy, gdy otwierali trumnę Adeliny. Tarcza uszczknięta z jednej strony, dziwacznie czerwona, jakby chora, zalewa morze i pokój na wieży różową poświatą. Taki księżyc, mawiała Anna Eudora, zwiastuje nieszczęście. Ale ona kochała niemądre przesady.

12 grudnia 1913 roku, piątek

Nie zwracając sobie głowy dzwonkiem, naciska na klamkę – furтка okazuje się otwarta, więc Ilzyda von Taffel śmiało idzie dalej, prosto do drzwi, i puka. Specjalnie stoi tak, by nie było widać z okna kto zacz.

– Przyszłam w interesach – informuje, gdy gospodyni ostrożnie uchyla wrota.
– Mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź, lekko odpycha z drogi Hertę Knopkę i wkracza do jej królestwa. Tamta nie ma już wyjścia, zaciska usta i przez sień prowadzi Ilzę do salonu. Stoją w nim fotele i kanapa, obite pluszową tkaniną w paskudnym, buraczkowym odcieniu, na podłodze leży dywan, też w kolorze brudnych buraków. Ściany obwieszono zdjęciami szczupłego, poważnego chłopca, na obramowaniu kominka stoi fotografia mężczyzny w marynarskiej czapce.

– Mój mąż. Zginął na morzu – wyjaśnia sztywno Knopkowa.

– A to syn? – domyśla się Ilza, ale – choć dziecięca twarz bez cienia uśmiechu spogląda na gościa ze wszystkich stron pokoju – o chłopcu Herta nic nie mówi.

– Przyszła pani w interesach – przypomina.

– Tak. Oto pieniądze za pobyt w pensjonacie i jedzenie, tyle, ile pani sobie życzyła. – Kwotę Ilzyda uważa za wygórowaną, ale nie ma zamiaru się targować, damie to nie przystoi, targowanie jest czynnością dobrą dla przekupki.

Knopkę bierze banknoty, przelicza i chowa do kieszeni fartucha. Skoro nie fatyguje się, by powiedzieć choćby „dziękuję”, Ilza też oszczędzi sobie wysiłku i nie będzie bawić się w grzecznościowe wstępy.

– Chcę kupić Szczęście Adeliny – mówi prosto z mostu.

Gospodyni milczy, zapewne zszokowana niezwykłą propozycją.

– Zgoda? – popędza ją Ilza, bo nie ma ochoty spędzać w towarzystwie tej kobiety więcej czasu niż konieczne. – Radzę korzystać z okazji. Nieprędko znajdzie się kolejny kupiec.

– Po co pani ten dom?

Ilza nie widzi powodu, by ukrywać plany. I tak wkrótce wszyscy się dowiedzą.

– Postanowiłam zostać tu na stałe i otworzyć pensjonat.

– Nie uda się.

– Zobaczymy.

– Nie, to pani zobaczy. Ja wiem i żeby potem nie było, że nie ostrzegałam.

– Ryzyko biorę na siebie. – Ilza się uśmiecha. A to się Herta Knopke, a wraz z nią „całe miasto” zdziwi, gdy czas pokaże, że duch zostawił Szczęście Adeliny w spokoju. – Pensjonat nie przynosi pani zysków. Cóż szkodzi sprzedać?

– Nic nie szkodzi – przyznaje gospodyni.

– A więc ile?

Herta wymienia sumę absurdalnie wysoką.

– Przecież ten dom jest w ruinie – protestuje Ilza. – Nie może pani za niego tyle żądać. Nawet połowa tej kwoty to za wiele. Dam jedną trzecią.

– Mogę żądać, ile mi się podoba. Jeśli cena nie odpowiada, trudno. Ja nie muszę sprzedawać, a pani chce kupić.

– To moja matka tego chciała – strzela Ilza, i tak jak miała nadzieję, wyraz twarzy gospodyni zmienia się, znika arogancja, pojawia się strach. Drżą wargi, mimo że zaciśnięte, podbródek i dłonie o cienkich palcach, Herta Knopke nadal boi się Anny.

– Dobrze więc – mówi po chwili. – Niech będzie tak, jak pani sobie życzy i za ile życzy. Jeśli hrabina tego chciała.

– Przyjdę pojutrze z pieniędzmi. Zdaży pani przygotować potrzebne dokumenty?

Gospodyni kiwa głową.

– Potrzebny jest świadek transakcji. Czy ma pani jakieś propozycje?

Nie ma.

– Niech więc będzie pan Jorg Berschik. Myślę, że zgodzi się być świadkiem.

Knopkowa wykrzywia usta.

– O co chodzi? – pyta Ilza trochę za obcesowo, lecz jej cierpliwość do tej kobiety, od początku niewielka, szybko się wyczerpuje.

– Wydaje się pani, że go dobrze zna, a nie ma pani pojęcia, co to za człowiek.

– Może mnie pani oświeci? Cóż to za człowiek?

– Słyszałam, że się przyjaźnicie – Herta uśmiecha się pogardliwie. – A czy wie pani, że on ma żonę?

– Żonę? – dziwi się Ilza. Nigdy o niej nie mówił.

– I czwórkę dzieci. Mieszkają jakieś trzydzieści mil stąd, w stronę Szczecina. Porzucił ich i nigdy nie odwiedza. Zresztą się go wstydzą. Mężczyzna, który zostawia swoją rodzinę jest nic nie wart. Nienawidzę łajdaków, którzy zostawiają żonę i dzieci na pastwę losu. Powinno się ich zabić.

Ilza milczy chwilę, przetrawiając rewelacje. Sama nie wie, co o tym myśleć.

– Ale na świadka się nada – mówi w końcu. – Nie będę pani zajmowała więcej czasu. Zobaczymy się pojutrze.

Gospodyni kiwa głową, zapatrzona w jedną z fotografii na ścianie.

– Ma pani ładnego syna – zauważa Ilzyda. – Zapewne wysłała go pani do szkoły w większym mieście?

Na to Herta Knopke zaciska usta jeszcze mocniej i bez słowa prowadzi Ilzę do wyjścia. Zamyka za nią furtkę na klucz. Szarpnięciem sprawdza, czy aby na pewno dobrze zamknięta.

13 grudnia 1913 roku, sobota

– Nic mi pan nie mówił, że ma żonę – Ilza długo biła się z myślami, czy wypada jej poruszyć ten temat z Berschikiem, bo być może ów wyobrazi sobie Bóg wie co, pomyśli, że Ilzyda Filomena von Taffel wiązała z nim jakieś nadzieje, mimo że takie przypuszczenia byłyby oczywiście z gruntu śmieszne, całkowicie absurdalne.

– Kto pani o tym powiedział? – pochmurnieje Jorg.

– „Całe miasto” o tym wie – odpowiada z przekąsem Ilza.

– Herta Knopke – domyśla się handlarz. – Ta Herta Knopke to straszne babsko. Zawsze była zazdrosna o Adelinę.

– Ale Adelina nie ma tu nic do rzeczy. Mówiliśmy o pana żonie i dzieciach.

– Nie ma o czym gadać.

– Nie interesuje pana, jak im się wiedzie?

– Dobrze – odpowiada handlarz z przekonaniem. – Dużo lepiej niż mnie. Greta prowadzi sklep, a ona ma taki łeb do interesów, że daj Boże każdemu. Nie umierają z głodu, jeśli tak pani sądziła.

Ilza milczy. Sama chciałaby wiedzieć, co sądziła. Gdy milczenie przedłuży się, handlarz wybucha ze złością:

– A co, Knopke powiedziała pani, że głodują? Wredna suka! Ona nic tylko szkaluje ludzi po złości, a szczególnie cięta na mężczyzn, nawet pastora parę razy pięknie obsmarowała. Ja nie mówię, że to człowiek bez grzechu, nikt z nas nie jest doskonały, ale trochę szacunku to się z urzędu należy, no nie?

O pastorach Ilza też nie ma wyrobionego zdania, pastor to taki ksiądz – nie ksiądz, w sumie nie wiadomo kto.

– A dlaczego nie lubi mężczyzn? – pyta Berschika.

– Kto? – pyta zdezorientowany handlarz. – Pastor?

– Och, jakież pan dowcipny! – irytuje się Ilza. – Pani Knopke, naturalnie.

– A, Herta. Nie lubi to mało powiedziane. Ona nienawidzi. Zrobiła się taka zaraz po tym, jak mąż ją rzucił. Wcześniej nienawidziła tylko kobiet, a teraz to i bab, i mężczyzn, ale mężczyzn bardziej.

– Powiedziała, że mąż zginął na morzu.

– Ano, tak się tu mówi. Wielu jest takich „zaginionych na morzu”. Zaciąga się jeden z drugim na statek i schodzi już w następnym porcie, wykaraskany z więzów, które mu obrzydły. Bardzo wygodny sposób.

– To czemu pan się nie zaciągnął?

– Bo ja się, głupi, wody boję.

Ilza wybucha śmiechem. Rozśmieszył ją kontrast między przyznaniem się do słabości, a potężną, zwalistą postacią handlarza.

– No, boję się – tłumaczy Berschik, – co poradzę, od dziecka się bałem. Wychowany w tej okolicy jestem, a tu większość ludzi to rybacy, widziałem, że morze żywi, ale i zabić potrafi. Ja tam wolę trzymać się od wielkiej wody z daleka. Powiem pani, że nawet nóg zamoczyć nie lubię, jak jestem na plaży po bursztyn i jak mnie jaka fala obleje, to aż się wzdrygam. Podstępne to morze strasznie. No więc zostałem na lądzie, by takie babska jak Knopke mogły na mnie strzępić języki i wyżywać się za winy swoich ślubnych. Po co pani do niej poszła?

– Skąd pan wie, że u niej byłam? – pyta Ilza i nie czekając na handlarza, odpowiada sama – „całe miasto”...

Jorg robi śmieszoną minę.

– Poszłam do Herty Knopke, bo dostaję spadek i postanowiłam kupić Szczęście Adeliny. Chcę otworzyć pensjonat.

Berschik poważnieje.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Sama pani wie, że ten dom cieszy się złą sławą.

– Sam pan wie najlepiej, że ducha już tu nie ma.

– Może i nie ma, ale gadanie zostało. Trudno będzie prowadzić pensjonat, kiedy wiadomo, że każdy uciekał stąd z wraskiem i tylko jedna... – urywa w pół zdania.

– Jeśli on znów coś powie o wiedźmach... – myśli Ilza – jeśli zamierza powiedzieć coś o mojej matce...

Ale Berschik nie ma ochoty ryzykować. Chrząka i zmienia temat.

– A wie pani, znam kilka niezłych domów do kupienia w okolicy, w sąsiednim mieście jest taki jeden, w całkiem dobrym stanie...

– Stać mnie tylko na Szczęście Adeliny – przerywa mu Ilza.

Handlarz macha ręką na ten argument i proponuje, że dopłaci resztę, a jeśli panna von Taffel ma skrupuły, umówmy się, że jej pożyczka. Ilzyda kręci głową.

– Na sam remont pójdą spore pieniądze – ostrzega Berschik.

– Postaram się zrobić wszystko jak najoszczędniej.

– Czemu uparła się pani akurat na tę rudę? – pyta handlarz z desperacją w głosie.

– Bo mi się podoba – odpowiada kategorycznie Ilza i zamyka temat.

Handlarz zbiera się do wyjścia akurat, gdy przyjeżdża Helmut. Panowie mijają się w drzwiach, przypatrując sobie uważnie, Berschik z wrogością, Helmut z pogardą. Potem Helmut uśmiecha się i patrzy na Ilzę, a ona ten uśmiech, bardzo nieprzyjemny, i to spojrzenie zna, widziała wiele razy. Nie trzeba nic mówić, szkoda słów, przecież i tak doskonale wie, co mąż-niemąż ma na myśli: „Znów pokazałaś prawdziwą klasę, Ilse. Jakie to do ciebie podobne – zadawać się z takim pospolitym typem! Wszystko przez to twoje prostackie pochodzenie. Na każdym kroku daje o sobie znać”.

– Mogłem się domyśleć, – mówi Helmut, – że szybko znajdziesz dla siebie odpowiednie towarzystwo.

Siada na sofie ze złej strony i błyskawicznie podrywa się, boleśnie ukłuty w tyłek. To trochę pociesza Ilzę, choć jedna wystająca sprężyna nie wystarczy, by wyrównać rachunek za wszystkie ukłucia, których przez lata małżeństwa małżonek nie szczędził. Zerkając podejrzliwie na podstępny mebel i nie ryzykując już ponownego siadania, Helmut godnym krokiem zaczyna przechadzać się po pokoju. Po drodze informuje Ilzę, iż postanowił być łaskawy: w zamian za podpisanie papierów unieważniających ich związek, w których całą winę bierze na siebie ona, przyznając się do zdrady małżeńskiej oraz opuszczenia męża, a także podpisując dokument, w którym obiecuje nie rozgłaszać szczegółów pożycia, on, Helmut Bonusch, zobowiązuje się wypłacać Ilzydzie von Taffel do końca życia pensję. Wyższą niż do tej pory. Ilse straci ją jednak natychmiast, jeżeli nie dotrzyma warunku dyskrecji, gdy tylko do uszu Helmuta – a on ma wielkie uszy, a także wielu wysoko postawionych znajomych, warto o tym pamiętać – więc gdy tylko dojdzie do jego uszu, że komuś coś powiedziała, niech nie liczy na jakiegokolwiek wsparcie z jego strony. Zdechnie w nędzy, jak jej zwariowana matka.

– Nie mieszaj do tego mojej matki – mówi przez zaciśnięte zęby Ilzyda. – Jej śmierć to nie twoja sprawa.

Helmut patrzy na Ilzę ze zdziwieniem. Takiej jej nie znał. Widział pokorną, zrozpaczoną, bierną jak roślina, zaciętą w uporze, ale wojowniczej – jeszcze nie.

– Zmieniłaś się.

– Do rzeczy – mówi Ilzyda. – Nie będziemy teraz omawiać mojego charakteru. Pensja to za mało. Chcę też pieniędzy na kupno domu.

– Choć raz posłuchaj mojej rady, Ilse. Robisz fatalny interes, wyrzucasz pieniądze w błoto. Przyjrzałem się tej chałupie. To praktycznie ruina. Ładnie położona, fakt, ale przecież nie będziesz płacić za widoki. Poza tym wydma, na której stoi dom, może się osunąć, w każdej chwili. Tak się właśnie sprawy mają. Wiedziałaś o tym?

Trzeba Helmutowi przyznać: teraz mówi szczerze i chce dobrze, choć nie tyle ze względu na Ilzę, co dlatego, że nie znosi widoku wyrzucanych w błoto pieniędzy, zarówno własnych, jak i cudzych.

– Wszystko mi jedno – odpowiada Ilza. – A ty nie musisz się o to martwić.

Dlaczego uparła się akurat na Szczęście Adeliny? Jak wyjaśnić uczucie, że ten dom już jest w pewnym sensie jej, dostała go od Adeliny, należą do siebie – i czy musi coś wyjaśniać? Na pewno nie Helmutowi.

– Wszystko jedno – powtarza. – Podoba mi się tutaj.

– Wyrzucisz pieniądze w błoto – upiera się Helmut. – A właściwie utopisz. W morzu.

Potem zaczyna rozwódzić się nad polską rozrzutnością, na którą nikt i nic nie poradzi, nad cechami, które Ilse odziedziczyła po niegospodarnych przodkach spod Częstochowy.

– Do rzeczy – mówi Ilza. – Nie ma czasu. Przecież jeszcze dziś musisz wracać do Berlina.

Helmut patrzy na nią zdziwiony. W tej ruderze nie ma nawet gdzie przenocować?

– Nie możesz zostać, mieszkam sama, muszę dbać o reputację, nikt tu nie wie, że jesteś moim mężem. Jeśli już musisz, zatrzymaj się w Mewie Północy. Powiedz, że masz interesy z kuzynką, która dostała spadek.

– Reputację! – śmieje się Helmut. – Jakoś o niej nie myślisz, gdy wpuszczasz do domu takie typy, jak ten, co tu był ostatnio.

– Gdzie mam podpisać? – pyta Ilza. – Załatwmy interesy i rozstańmy się w pokoju.

Na podpis czeka całkiem spory stosik papierów: oświadczenie, dzięki któremu mąż uzyska rozwód szybko i bez problemów, a ona sama nawet nie musi stawić się w sądzie; zrzeczenie się nazwiska Bonusch; rezygnacja z wszelkich pretensji do spadku, jeśliby przeżyła Helmuta, co Helmut uważa za bardzo mało prawdopodobne.

– Czysta formalność, Ilse – zapewnia. – Nic nie tracisz.

Ilza bez protestu skrobie piórem po papierze.

A teraz Helmut podsuwa jej najważniejszy dokument: zobowiązanie zachowania w tajemnicy wszelkich szczegółów dotyczących życia pana Bonuscha. Na zawsze. Od tej chwili nie wolno powiedzieć nic, nigdy i nikomu. W zamian przekazuje dokument, którego drugi egzemplarz złoży w banku: polecenie wypłacania co miesiąc Ilzydzie von Taffel sumy dwa razy wyższej niż do tej pory. Kwotę na dom daje w gotówce za pokwitowaniem.

– Na remont powinno starczyć. Bo sama rudera idzie wszak za symboliczną sumę, nieprawdaż?

– Och – mówi Ilza, – Herta Knopke targuje się twardo, ten pensjonat ma dla niej wartość uczuciową, na szczęście jednak przeliczaną na marki.

Helmut jest dobrym człowiekiem – z własnej inicjatywy przygotował umowę kupna-sprzedaży, którą Ilzyda powinna zawrzeć z panią Knopke, by wszystko odbyło się legalnie, mimo że – „Ilse, choć raz posłuchaj dobrej rady kogoś mądrzejszego od ciebie” – na tę chałupę naprawdę szkoda pieniędzy.

Ilzyda w skupieniu przelicza banknoty. Sądziła, iż kupi Szczęście Adeliny za symboliczną kwotę, a większość gotówki przeznaczy na remont i wyposażenie, tymczasem cena utargowana z Hertą Knopke wcale nie jest aż tak symboliczna. Pieniądzy wprawdzie spokojnie starczy jeszcze na szklarza, ale pozostałe prace – malowanie, tapetowanie na przykład, zdaje się, że będzie musiała poprosić o ich wykonanie Berschika. Meble kupi używane, też za pośrednictwem handlarza. Nie taki start sobie wymarzyła, no ale nie od razu Kraków zbudowano. I tak jej pensjonat, najlepiej położony w całym mieście, będzie oferował gościom najwspanialsze widoki – tego nikt mu nie odbierze. A jeśli chodzi o złą sławę, o której mówił Berschik, może wystarczy zmienić nazwę: ze Szczęścia Adeliny na Przystań Ilzydy na przykład? Tylko czy to aby nie dwuznaczne? Może lepsze zwyczajne U Ilzy, albo bezosobowe: Willa na Plaży, Szum Fal, coś w tym duchu.

Gdy Ilza składa ostatni podpis na dokumentach, Helmut zdradza, że żeni się ponownie, ma już na oku odpowiednią kandydatkę.

– Kto to jest? – pyta Ilza.

Helmut się waha.

– Och, nie muszę znać nazwiska. Jestem ciekawa ile ma lat, jak wygląda, z jakiej pochodzi rodziny?

Jest o rok młodsza niż Ilza, gdy wychodziła za mąż, ma dopiero siedemnaście lat. Sierota, bez rodziny, wychowana przez cioteczną ciotkę, której nie znosi, z wzajemnością zresztą. Natomiast jak oblubienica wygląda – nie, tego Helmut nie potrafi określić.

– Zwyczajnie wygląda – mówi.

– Biedna dziewczyna – podsumowuje Ilza.

– Ma szczęście, że mnie spotkała. Jestem dla niej wyjątkowo dobrą partią.

– Biedna dziewczyna. – Zapłaci wysoką cenę. Za dużo, o wiele za dużo, ale ostatecznie, cóż Ilzę może to obchodzić.

Ona sama, gdy już zrozumiała, że za wszystko się płaci, niekoniecznie w gotówce, sądziła, że ceną za dostatek, stabilizację i szacunek ludzki będzie tylko – czy też aż – ciągłe przypominanie o łasce, którą jej wyświadczył, o wyższości: towarzyskiej, umysłowej, moralnej; przewadze Helmuta na każdym polu i na każdym kroku.

Ślub był cichy, „kameralny”, jak mówił Helmut, bo i po co pompa, skoro Ilzyda Filomena to nie oblubienica, którą można by pochwalić się przed światem. Oprócz młodej pary obecni byli: Anna, jej znajoma, ta, u której na balu poznali się Ilza i Helmut, uważająca się za kogoś w rodzaju swatki, świadkowie, dwójka krewnych Helmuta i ksiądz. Przyjaciel Anny chciał poprowadzić pannę młodą do ołtarza w zastępstwie nieżyjącego ojca, ale Ilza stanowczo odmówiła – nie zgadza się na takie splamienie najważniejszego dnia jej życia. Zastanawiała się, czy obecność Anny też nie splami śnieżnobiałej czystości tego dnia, ale doszła do wniosku, że Anna jednak musi być. Głównie dlatego, że do końca nie wierzyła w ten ślub.

Kilka miesięcy po zamążpójściu Ilza przejrzała jeszcze raz swoje książki, lecz nie miała już do nich serca – „mężczyzna w stosunku do kobiety nie powinien nigdy zapominać o swej przewadze umysłowej i fizycznej, ale z przewagi tej nie wolno mu prawie nigdy korzystać. Ta powściągliwość, uprzejmość i pobłażliwość ma oczywiście swoje pewne granice i formy zewnętrzne” – wrzuciła je do pieca. Mąż wychodził wieczorami, ona nie miała prawa zapytać dokąd. „Męskie sprawy” – tak jej raz odpowiedział i zabronił pytać znów. Niech lepiej w wolnym czasie Ilse skoncentruje się na nauce dobrych manier, by można było bez wstydu pokazać ją w towarzystwie.

– Nie wiedziałem, że są na świecie aż takie ignorantki. Jedyne, co potrafisz, to paplać w obcych językach. Nie mogę przecież do własnej żony zatrudnić guwernantki, jakby to wyglądało, musisz sama po cichu nadrabiać braki, nim będę mógł wyjść z tobą do ludzi.

Przynosił jej książki i gazety, by nabyła nieco wiadomości o świecie, trochę się podksztąpiła, nie za wiele oczywiście, zapowiedział, że nie będzie tolerował w domu żony pozującej na sawantkę. Świętoszki też nie chce, zgodził się na ślub katolicki, bo jest wyrozumiałym człowiekiem, ale teraz basta, dość już tej dewocji, tylko tego brakuje, żeby latała do spowiedzi i szeptała księdzu w brudne ucho o domowych sprawach.

Ze szczególnym upodobaniem Helmut przynosił Ilzydzie gazety, w których pisano o wyczynach hrabiny von Taffel.

– Zobacz, co znów zmalowała twoja matka – ciskał na stół jakiegoś szmatławca. Ilza bez sprzeciwu brała do ręki gazetę otwartą na ogół na stronie kroniki towarzyskiej lub rubryce sensacji.

– O, tutaj – Helmut przechylał się jej przez ramię i dźgał palcem papier – przeczytaj, co napisali.

Posłusznie czytała. Nic nowego, nic czego by nie wiedziała, żadnych rewelacji: wyrazy oburzenia albo szyderstwa, gromy moralistów lub ironiczne pochlebstwa, kłamstwa nawet, bajeczki wyssane z brudnego palca. Jedyne, czego Ilza nie wiedziała, to jak Anna może znosić, że piszą o niej w ten sposób, jak może upierać się przy występach, skoro widzi, że wyśmiewają się z niej i gardzą. Widocznie z natury była bezwstydną i córce przypadło w udziale wstydzic się za nie dwie. Taki los. Nie powinna jednak wyrzekać. Los zesłał Helmuta, a wraz z nim bezpieczeństwo i szacunek. I przecież mąż ma rację: jest od niej mądrzejszy, lepiej wykształcony, obyty w świecie. Czemuż więc Ilzyda się buntuje, czemu podnosi głowę? Oszałała? Wielu mężczyzn próbowało ją zhańbić – bo jest córką takiej matki, a Helmut potraktował Izę w honorowy sposób, poślubił. Ich małżeństwo to unia dwóch dusz, wzniosła miłość w przeciwieństwie do handlowych „arrangementów” Anny, przyzwoitość i porządek miast rozwiązłości i rozmamłania, które oblepiały Ilzydę w poprzednim życiu, wywołując obrzydzenie i mdłości. Co by się z nią stało, gdyby nie spotkała Helmuta?

On był taki dobry i czysty. A Ilza nie, skoro dom ją nudził i czuła się straszliwie samotna.

Czasem jednak wychodzili gdzieś razem. Przed wyjściem Helmut, zupełnie jak dawniej Anna, instruował Izę, co ma powiedzieć i do kogo. Większość z tych wskazówek zdenerwowana Ilzyda zapominała zaraz za progiem, więc na przyjęciach prawie się nie odzywała, podobnie jak za panieńskich czasów. W ten sposób ugruntowała krążącą o niej wcześniej opinię, że jest niewydarzonym, opóźnionym umysłowo stworzeniem, ale lepsze to, niż gdyby mówiono, że jest całkiem jak jej matka.

Helmut w towarzystwie był bardzo czuły, jego palce dotykały szyi Ilzy, muskał ustami jej włosy, mówił kochanie i uśmiechał się nawet dziesięć razy podczas jednego wieczoru. Zupełnie inny niż w domu.

Na jednym z przyjęć państwo Bonusch poznali Edwarda. Helmut oczarowany urodą i manierami młodego człowieka – „patrz Ilse i ucz się, jak wygląda prawdziwa klasa” – zaczął zapraszać go na „kameralne obiady”. W tym

przypadku „kameralne” oznaczało, że siedzieli przy stole tylko we trójkę, ale i tak spotkania te sprawiały Ilzie ogromną przyjemność. W końcu mogła poczuć się jak prawdziwa gospodyni, uzgadniać z kucharką menu, chodzić z nią po zakupy, sprawdzać czy wszystko zostało przygotowane jak trzeba, wkładać świeże kwiaty do wazonów. Podczas jedzenia rozmawiali o sztuce, literaturze i polityce, to znaczy Helmut i Edward rozmawiali. Ilzyda siedziała cicho, słuchała, starając się nie gubić wątku i błyskawicznie spuszczała wzrok, gdy któryś z panów przypadkiem rzucił na nią okiem. Tylko raz nie zdążyła – podczas pierwszej wizyty spojrzenie Ilzy zetknęło się ze spojrzeniem Edwarda. Dostała wtedy nauczkę: dobrze wychowany młody człowiek spytał grzecznie, jakież jest pani Bonusch zdanie w omawianej właśnie kwestii. Biedna Ilzyda zmieszała się ogromnie, wyjąkała parę niezrozumiałych, oderwanych od siebie i tematu słów. Całe dwie minuty skręcała się z zażenowania i paliła ze wstydu, aż w końcu została uratowana przez Helmuta, który zgrabnie skierował konwersację na inne tory. Ta sytuacja udowodniła, że mąż miał rację, radząc wcześniej, by Ilse nie wtrącała się do dyskusji. Nie ma nic ciekawego do powiedzenia na poważne tematy i lepiej, by nie kompromitowała siebie i jego.

Latem wyjechali we trójkę do uzdrowiska na południe Niemiec. Edward dla zabawy udawał brata Ilzy, rzeczywiście byli do siebie podobni: oboje wysocy i szczupli, jasnowłosi z niebieskimi oczami. Wiele osób dawało się nabrać na to „pokrewieństwo”. Ciekawe czy komuś rzuciła się też w oczy zażyłość między „szwagrami”? W Berlinie pewnie wszyscy widzieli ją już wcześniej i od wielu miesięcy śmiali się z Ilzy za jej plecami.

Jedyne czego chciała, to żyć normalnie. I proszę, co dostała: oszustwo w miejsce przysięganej miłości, ironiczne uśmiešky zamiast tak upragnionego szacunku. Teraz, gdy Helmut rozwodzi się nad słodkim, ustępliwym charakterem przyszłej drugiej żony, do Ilzydy dociera, że nigdy nie była i nie będzie jej dana normalność – została z niej ograbiona przez Annę Eudorę już w momencie poczęcia. Nie ma nawet co gonić za tą wymykającą się normalnością. Pozostaje jedynie znaleźć ciche miejsce na uboczu, takie, które na pewno będzie do Ilzy należało. Pierwszy krok Ilzyda właśnie zrobiła. Zaiste, nie zachowała się szlachetnie, nie po chrześcijańsku, postępek ów być może przeważy kiedyś szalę jej grzechów, ale przecież nie było innego wyjścia niż szantaż – i proszę, jak łatwo poszło. Wystarczyła groźba, że powie, co widziała.

A widziała jak „najlepszy przyjaciel” Helmuta obrócił go na plecy i klęcząc nad nim opryskał mu twarz mazią. Zupełnie nagi Helmut drgał, jęczał i oblizywał się wkoło językiem jak kot. Ilza dłuższą chwilę patrzyła przez uchylone drzwi, starając się zrozumieć, co widzi, ale i tak nic nie rozumiała, uciekła do drugiego

pokoju i wymiotowała w kącie, najpierw wszystkim, co zjadła przez ostatnie dni, a potem samą wodą i sokami z żołądka. Wciąż jeszcze wstrząsały nią torsje, gdy wszedł Helmut, już ubrany, ze starannie zawiązanym krawatem, chusteczką w butonierce, spinkami w mankietach. Nie zapomniał nawet zegarka i monokla na łańcuszku. Monokl podniósł do oka i patrzył z obrzydzeniem, jak Ilse wyrzuca z siebie żółć i słowa:

– Nie rozumiem, nie rozumiem.

A po co wracała do pokoju? Po jakie лихо? Przecież miała siedzieć na tarasie aż do kolacji i podziwiać panoramę gór. Teraz zaś musi trzymać buzię na kłódkę, oczywiście jak już skończy wymiotować.

– Ale...?

– Och, zanim zaczniemy rozmawiać, idź się umyć, Ilse. Spójrz tylko na swoją suknię! Na włosy! Jakież to obrzydliwe.

Gdy doprowadziła się do porządku i wróciła do pokoju, zastała Helmuta w fotelu z nogą założoną na nogę. Palił cygaro i wydawał się w bardzo dobrym nastroju. Zdażył w międzyczasie zawołać pokojówkę, by posprzątała wymiociny. Pokojówka myślała, że młoda pani jest w ciąży, a to nasunęło Helmutowi kilka świetnych pomysłów. Właściwie dobrze się stało, że Ilse widziała co widziała, Helmut nie musi się więcej kryć i przynajmniej w domu może być sobą.

Do pełnego szczęścia brakuje tylko dziecka. Byłoby jeszcze lepszym kamuflażem niż sama żona. Poza tym, Helmut naprawdę chce je mieć, chłopca oczywiście, któremu przekazałby praktykę. Idealne rozwiązanie, o ile wszystko odbyłoby się dyskretnie: pan Bonusch miałby dziedzica, pani Bonusch czym zająć się w domu. Żyliby szczęśliwi we czwórkę: Helmut, Edward, Ilse i dziecko.

Najłatwiej zrobić je na wyjeździe, choćby tu, w Brunnen. Proszę bardzo: Ilse może pozwolić sobie na dyskretny romans – niech ma coś od życia – mąż pozwala. Ale jeśli nie uda się w Brunnen, też nie ma się czym martwić, ktoś inny zrobi Ilzydzie dziecko, na pewno znajdzie się chętny do takiej przysługi, Edward wspominał na przykład o swoim kuzynie, że to prawdziwy pies na baby. Choć jednak lepszy romans na wyjeździe, by później nigdy więcej nie oglądać kochanka żony na oczy i nie daj Bóg być postawionym w niezręcznej sytuacji.

– Romansuj, Ilse, proszę uprzejmie, ale pamiętaj: krótko, po cichu i bez skandalu. Widzisz, jakim jestem wyrozumiałym mężem? Możesz sobie pofolgować. I tak wiem, zawsze wiedziałem, że tam w środku masz jednak coś z matki, nie musisz się z tym przede mną kryć. Ale pamiętaj, że nie mówię o pójściu na całość, tylko tak trochę. Dopóki nie zajdziesz w ciążę.

Macierzyństwo jest największym szczęściem dla kobiety, najszczytniejszym jej powołaniem. Po to właśnie niewiasty zostały stworzone, gdyby nie rodziły dzieci, świat spokojnie mógłby się bez płci żeńskiej obejść.

Niestety nie nawiązała żadnego romansu w Brunnen – jakie z niej niewydarzone stworzenie, nawet tego nie potrafi! Wrócili do Berlina i rutyny sprzed wyjazdu: rano Helmut wychodzi do pracy, Ilse zostaje w domu. Tak przynajmniej sądził Helmut, bo Ilza następnego dnia po przyjeździe wymknęła się na ulicę i zatrzymała dorożkę. Miała rację, zakładając, że do południa matka będzie jeszcze u siebie, pokojówka, która otworzyła Ilzydzie drzwi, poznała ją, dygnęła grzecznie i poprosiła, by panienska chwilę poczekała w saloniku – hrabina śpi, ale na pewno wstanie na wieść, że przyszła córka. I rzeczywiście, najpierw słyhać było, jak Anna wymyśla pokojówce za ranne budzenie, ale gdy w końcu dała jej dojść do słowa i pozwoliła wyjaśnić przyczynę, stanęła w progu sypialni z szeroko rozłożonymi ramionami:

– Ilzunia!

Uch, jak Ilza nie cierpi tego infantylnego zdrobnienia. Pozwoliła się krótko uściskać. Nie widziały się od dnia ślubu, bo zaraz po ceremonii jasno dała Annie do zrozumienia, że nie ma zamiaru jej odwiedzać, a i matka nie powinna tego próbować – nie będzie mile widziana. Ilse Bonusch chce zapomnieć o Ilzydzie Filomenie von Taffel, pragnie całkowicie odciąć się od poprzedniego życia.

Gdy już wyswobodziła się z duszących, macierzyńskich objęć, bąknęła, że chętnie napiłaby się herbaty, a wpadła ot tak sobie, na pogawędkę, będąc przypadkiem w okolicy. Chciała zobaczyć, co się zmieniło. Jeśli chodzi o styl życia hrabiny, oczywista, że niewiele. Pokój zaśmiecony, jak wszystkie, w których rezydowała Anna Eudora, choćby krótko; mleko, podane przez niechlujną pokojówkę do herbaty, skisłe; na szczęście Ilza powąchała je zanim wlała do filiżanki. Parząc gardło gorącym napojem, wierceła się, niepewna jak zacząć rozmowę o tym, co ją naprawdę do matki sprowadza. Anna zdawała się nie zauważać niepokoju córki, radośnie szczebiotała za dwie, powtarzając w kółko, jak bardzo stęskniła się za „kochaną Ilzunią” i jak bardzo jest szczęśliwa, że ją widzi.

– Pierwszy raz – myślała Ilza. – Pierwszy raz w życiu jest szczęśliwa, że mnie widzi.

W końcu matka zaczęła dopytywać się, co słyhać u Ilzydy – „wszystko doskonale, dziękuję”, czy może jest już w błogosławionym stanie – nie, nie jest, i czy Helmut okazał się dobrym mężem – idealnym, oczywiście. Hmm, Anna słyszała pewne plotki. Jakie plotki? Och, nieważne. Tylko głupie plotki. No tak, plotki, Ilza też słyszała głupie plotki, jak była w Brunnen. Mówiono o jednym panu, że no..., to takie dziwne.

– Ale co?

Czy matka naprawdę jest taka niedomyślna, czy udaje?

– Że on i drugi mężczyzna, no wiesz...

– Ach – Anna w końcu połapała się, o co chodzi. – A o kim tak mówiono?

– Nie znasz go, to cudzoziemiec, ja też go nie znam, ale chciałabym zrozumieć, o co chodziło w tych plotkach?

Matka wyjaśniła Ilzydzie: to jak choroba, lecz karana przez prawo. Za takie skłonności można pójść do więzienia, a już na pewno stracić stanowisko i zostać wygnanym z towarzystwa, co gorsze niż śmierć.

Pójść do więzienia – Ilzyda zrozumiała, czemu Helmut nie życzył sobie, by z kimkolwiek na ten temat rozmawiała, właściwie nawet jej zakazał. Szanowany adwokat nie może sam działać nielegalnie, gdyby go ktoś oskarżył, straciłby prawo wykonywania zawodu, zaszkodzić mogą nawet pogłoski. To jak choroba, powiedziała Anna. Biedny Helmut jest po prostu bardzo chory.

Wracając od matki, Ilza po drodze mijając kościół, impuls sprawił, że weszła. Uklękła przed konfesjonalem i wyrzuciła z siebie wszystko, co leżało jej na sercu, lecz wyznanie nie przyniosło ulgi, nie zrobiło się od tego ani trochę lżej. Spowiednik dobitnie wytłumaczył Ilzie, jak straszne są czyny, których dopuszcza się Helmut, jak bardzo obraża on Boga uprawianiem przeciwnego naturze nierzędu. Żona chrześcijanka musi uczynić wszystko, co tylko w jej mocy, by ratować męża, wyrwać ze szponów zwyrodnienia i rozpusty.

– Straszliwa walka cię czeka, córko, musisz walczyć o miłość męża z samym szatanem, ale Bóg jest po twojej stronie, On ci pomoże.

Bóg nigdy nie chciał Ilzie pomagać, tym razem też nie. Na początku rozmowa z Helmutem przebiegała spokojnie. Mąż z pobłażaniem, a nawet rozbawieniem wysłuchał zaklinań Ilzy:

– Musisz przestać go spotykać, wyleczyć się z tego. Ja ci pomogę, kocham cię, ty przecież też mnie kochasz.

Odpowiedział polubownym tonem:

– Miłość to mit, ale lubię cię, naprawdę. Poślubiłem, bo potrzebowałem żony, wyrozumiałej żony, a ty, moja lilijo błotna, sama wiesz, w jakiej byłaś sytuacji.

– Mówiłeś, że mnie kochasz!

– Zawsze się tak mówi przy oświadczeniach. Po prostu grzeczność, obyczaj. Nie zerwę więc z Edwardem ze względu na ciebie.

– Słyszałam, że za to co robisz, można pójść do więzienia!

– Od kogo?

Ilza zmieszała się.

– Komu powiedziałaś?! Dlaczego w ogóle wyszłaś z domu?!

– Przecież mogę wychodzić z domu – odparła Ilza. – Poszłam odwiedzić matkę, to przecież normalne, że córka odwiedza matkę.

Helmut wpadł w szal.

– Ty idiotko, powiedziałaś wszystko tej starej plotkarze!

– Nie – wyparła się Ilza, – matce nic a nic nie mówiłam. Nawet o tym nie wspomniałam.

– Komu więc?! Nie kłam!

– Spowiednikowi.

To ksiądz wyjaśnił Ilzydzie, jak wielki grzech popełnia Helmut, występując przeciw Bogu i naturze. Nie trzeba się jednak bać, że sekret wyjdzie na jaw, bo duchownego obowiązuje tajemnica spowiedzi.

Tajemnica spowiedzi nie złagodziła furii Helmuta: Ilzydzie w ogóle nie można ufać, w prywatne sprawy wtajemniczyła jakiegoś brudnego klechę. Od tej pory więc głupia małżonka ma całkowity, absolutny zakaz wychylania nosa z domu i rozmawiania z kimkolwiek o czymkolwiek, aż nabierze rozumu, czyli do śmierci zapewne.

I tak zaczęło się więzienie Ilzydy. Nie chodziła już po zakupy, kucharka robiła je sama, wedle własnego uznania, miała jedynie pamiętać, by wychodząc, zamykać drzwi na klucz i broń Boże, pani nie wypuszczać, inaczej zostanie zwolniona. Pani jest chora i nie może opuszczać domu. Pokojówce przykazano, by przychodziła sprzątać tylko, gdy Helmut jest w domu, a z panią w ogóle nie rozmawiała. Rozmowa fatalnie działa chorej na nerwy, może wywołać atak.

Dla zdrowia, raz w tygodniu, w niedzielę około południa, Helmut prowadził Ilzydę do parku. Znajomych omijał szerokim łukiem, pozdrawiając z daleka skinieniem głowy. Jasno dawał do zrozumienia, że nie interesują go towarzyskie pogawędki, wyszedł na spacer z chorą żoną. W trakcie przechadzki cały czas trzymał Ilzę mocno pod rękę, zupełnie jakby obawiał się, że gdy tylko, choć na chwilę, straci czujność i zwolni uchwyt, pani Bonusch skorzysta z okazji: wyrwie się, da susa w krzaki lub pogna przed siebie parkową alejką. Ilzydzie nic podobnego nie przychodziło do głowy, bez buntu poddała się przeznaczeniu – i tak ledwo znajdowała w sobie dość energii, by przesuwac nogi, których prawie nie miała okazji używać przez okrągły tydzień. Szła więc wolno i sztywno. Z powodu długiego siedzenia w zamknięciu wyglądała blado, jak na chorą przystało. Oczy wbijała w trawnik, bo była pewna, że wszyscy się z niej śmieją, niemal słyszała, jak w tle: na sąsiednich ścieżkach, między drzewami, za rabatami bezwstydnie czerwonych róż słychać szepty, jakie to pan mecenas ma zboczone upodobania i głupią żonę. Plotki istotnie krążyły – Anna nawet gdy bardzo się starała, nie była mistrzynią dyskrecji. Helmut wiedział o tym. Z zaciśniętą szczęką oprowadzał Ilzę po parku jak konia po arenie, a potem wracał do domu i czekał na Edwarda.

Gdy przychodził Edward, zapalało się słońce. Helmut promieniał szczęściem, którego blask padał i na żonę – w trakcie wspólnych kolacji był wyjątkowo uprzejmy, chwilami nawet serdeczny. Dopytywał się troskliwie, czy smakowało jej to, co zjadła – on osobiście uważa, że kucharka wyjątkowo się dziś postarała, czy Ilza chciałaby dokładkę i co miałyby ochotę zjeść jutro. Jednocześnie uśmiechał się do Edwarda: „Czy możesz podać mi sól?”. Ich ręce spotykały się przelotnie nad stołem. Dotykały się, niby przypadkiem, pod stołem, ciągnęły do siebie jak gwóźdź do magnesu, jak deszcz do ziemi, Ilza widziała.

Gdy Edward wychodził, słońce gasło. Helmut robił się ponury i uszczypliwy, wyżywał się na Ilzydzie, zupełnie jakby miał jej za złe, że ona mogła, a nawet powinna była zostać, zaś kochanek, by pozorom stało się zadość, musiał iść. W szczególnie pochmurne dni Helmut zarzucał żonie, że nim pogardza, że się nim brzydzi. Ludzie gardzą takimi jak on, a Ilse zawsze idzie tam, gdzie stado, nie przejawia żadnej niezależności w myśleniu, nigdy nie przejawiała. I on to rozumie, nie dba o to, Ilse może sobie nim gardzić ile tylko chce, nie zależy mu wcale na jej opinii, ale – wara od Edwarda, Edward jest o wiele, wiele lepszy niż taki mały, głupi śmieć jak Ilse, Edward jest doskonały. Prymitywni ludzie sądzą, że jest coś złego i niskiego w takich związkach, tymczasem wręcz przeciwnie, już starożytni Grecy, którzy są wszak ojcami kultury europejskiej, udowodnili, że stosunek z kobietą służy wyłącznie prokreacji, prawdziwej zaś, uduchowionej miłości szuka się gdzie indziej. Ilzyda słuchała tyrad Helmuta w milczeniu. Doświadczenie nauczyło ją już, że nie powinna odpowiadać. Gdy próbowała, tylko pogarszała sytuację. W rewanżu Helmut prawił Ilzie jeszcze więcej złośliwości, wypominał matkę („A wiesz Ilse, miała czelność kiedyś tu przyjść, by cię odwiedzić, bo słyszała, że jesteś chora? Odprawiłem jak najgorszą szmatę, którą zresztą jest”), albo niejasno groził, że to jeszcze nie koniec, bo za wszystko Ilzydzie odpłaci. Najgorzej było, gdy gazety trąbiły o procesie angielskiego pisarza, do niedawna jeszcze ulubieńca salonów, skazanego na dwa lata ciężkich robót w więzieniu za sodomie i demoralizację. Wtedy Helmut Bonusch, nieznany w szerokim świecie adwokat z Berlina, się bał. Przestał nawet chodzić do pracy, by lepiej pilnować Ilzy, być pewnym, że nie zamieniła ani jednego podejrzanego słowa, na przykład z kucharką. Rozsądek podpowiadał, by przestać też widywać się z Edwardem, przynajmniej na jakiś czas, aż sprawa Wilde’a przycichnie, jednak Helmut nie był w stanie podjąć takiej decyzji. Nie widzieć Edwarda! Nie potrafiłby tego znieść nawet przez trzy dni. Pocięszał się tylko, że Edward nie ma przecież tak koszarnej rodziny jak lord Alfred, kochanek Wilde’a, a to właśnie rodzina Alfreda była spiritus movens tego głośnego na cały cywilizowany świat skandalu i zniszczenia kariery literackiej geniusza.

Siedząc w domu i nigdzie nie wychodząc z wyjątkiem parku w niedzielę, Ilza popadała w coraz większe – nawet nie przygnębienie – odrętwienie. Nie chciało

jej się nic czytać, na szczęście Helmut przestał interesować się Ilzy edukacją, bo przecież nie miał już zamiaru „zabierać jej do ludzi”. Z coraz większym trudem przychodziły słowa – choć to bez znaczenia, bo i tak nie miała ich do kogo wypowiadać, jednak z coraz większym trudem przychodziły też myśli, a przecież do tej pory one były jedynym towarzystwem i zajęciem Ilzydy. Powinny być cenne, mimo to przestały mieć znaczenie, nic nie miało znaczenia. Teraz, nawet gdyby Helmut nie trzymał Ilzydy pod kluczem, nie wyszłaby z domu z własnej woli. Godzinami siedziała beczynnym w fotelu. Przytyła, Helmut do swoich tyrad włączył spostrzeżenie, że nie ma wstrętniejszego stworzenia niż tłusta baba z wielkimi cynamonami, lecz nie mógł już Ilzy zranić. Nic ludzkiego nie sprawiało jej przykrości, bo ona sama była coraz mniej ludzka. Nie czuła zimna ani ciepła, głodu ani pragnienia, mechanicznie jadła i piła co jej podano, nie rozróżniając smaku, sama z siebie niczego nie chciała i tak powinno być dobrze, a jednak nie było. Ciężar, który z początku przytłaczał tylko piersi, rozlał się na całe ciało, najmniejszy ruch kosztował wiele wysiłku, wstając z fotela za każdym razem musiała przełamywać coraz silniejszy opór. Po co?

Helmut zauważył, jak daleko odpłynęła, dopiero gdy przestała spać, jeść i pić, nie reagowała jak nią szarpał, oczy miała utkwione w jeden punkt i – Ilza czuje się zażenowana, gdy o tym sobie przypomni – robiła pod siebie.

W szpitalu leżała pod panińskim nazwiskiem, bo Helmut nie zezwolił na narażenie własnego na taki wstyd – w jego rodzinie nigdy nie było chorób umysłowych. Lekarze stwierdzili, że Ilza cierpi na melancholię – żółć zalała organizm, trzeba oczyścić. Puszczano więc krew, przystawiając do skóry małe, czarne robaki. Ale wijące się pijawki powodowały, że Ilza tym bardziej nie mogła i nie chciała wrócić do świata. Usiłowano ją przywieść do tego bólem: oblewano lodowatą wodą – na wariatów ponoć najlepsza – aplikowano elektrowstrząsy. Wtedy budziła się z krzykiem, tylko po to, by za chwilę zapaść się jeszcze głębiej.

Któregoś dnia jednak jej ciało zdecydowało, że nie zniesie więcej bólu i Ilza wynurzyła się na powierzchnię, by powiedzieć o tym lekarzom. Ucieszeni sukcesem kuracji wypuścili ją ze szpitala i wysłali do sanatorium. Tam miała nauczyć się na nowo chodzić, rozmawiać, a także jeść – bo schudła tak, że zrobił się z niej prawdziwy szkielet.

W sanatorium były dni, gdy leżała utopiona w ciemności, bezmyślna i bezradna, dręczona tęym bólem ciała i duszy, bez możliwości ucieczki. Jednak były też dni, w które świadomość wracała do niej, ale jakaś nowa, ostra, twarda, Ilzyda czuła ją jak klin wbijający się w odporne drewno, jak kolec wciskający się, centymetr po centymetrze, w mięso. Rozpierała Ilzę od środka, bezlitośnie

rozdierała ciasne tkanki, odpychając na boki z uporem i mocą. A potem zniknęła i na jej miejsce nadpływała czarna, gęsta smoła bezwładu i niemocy. Minęło kilkanaście miesięcy, nim Ilzyda pomyślała, że jednak może żyć, jeśli tylko uwolni się od matki i Helmuta.

Helmut czasami ją odwiedzał. Raz nawet ze skruchą przyznał, że potraktował Ilzydę za dużo surowo, zbyt mocno ukarał za moment niedyskrecji. Nie miał pojęcia, że to się tak skończy. No, ale od tego czasu oboje się czegoś na własnych błędach nauczyli, nieprawdaż, niech więc Ilse obieca nigdy nikogo nie wtajemniczać w prywatne sprawy Helmuta i wraca do domu, a on nie będzie już trzymać żony pod kluczem, naprawdę nie wiedział, że doprowadzi ją to do takiej melancholii – z drugiej strony, gdyby nie miała wrodzonych skłonności do chorób umysłowych, nic podobnego by się nie stało.

– Nie wrócę do Berlina – wtedy nie powiedziała tych słów głośno, ale jak już wyjechała, mówiła do siebie cały wieczór i całą noc. – Nie wrócę do Berlina. Nigdy.

Zebrała się na odwagę i wysłała list: jest pewna, że gdyby wróciła, zachorowałyby znów.

Odpisał, że nie stać go na jej dłuższy pobyt w sanatorium, te dwa lata już pochłonęły bająnskie sumy.

W odpowiedzi Ilza zgodziła się w każdej chwili wyjechać z sanatorium. Ale nie do Berlina.

Tylko gdzie? Jakie masz plany, Ilse? Jak poradzisz sobie sama? Poza tym odejście od męża wywoła skandal. Helmut ma prawo sprowadzić knąbrną małżonkę nawet z pomocą policji.

Ale ona może wnieść o rozwód, prawda? Żona Wilde'a rozwiodła się. Poza tym czy ktoś z berlińskiego towarzystwa naprawdę potrzebuje wiedzieć, że Ilzyda nie przebywa już w sanatorium? Czyż nie mogą utrzymać tego w tajemnicy? Żyjąc na własną rękę, Ilza będzie zachowywała się z najwyższą dyskrecją i używała wyłącznie panieńskiego nazwiska. Plany? Pojedzie do Szczecina i tam podejmie pracę na pensji dla panien jako nauczycielka francuskiego i włoskiego.

I bardzo prędko przekona się, że to zupełnie nie dla niej. Nauczycielka, też mi coś! Ale proszę bardzo, jeśli tylko będzie dyskretna, Helmut zgadza się na ten eksperyment, całkowicie zresztą przekonany, że wkrótce Ilse zjawi się na progu ich berlińskiego domu z podkulonym ogonem, mądrzejsza o życiowe doświadczenie. Kto jej wmówił, że potrafi pracować?

Któregoś dnia spacerując po sanatoryjnym ogrodzie, Ilza natknęła się na inną kuracjuszkę. Ubrana jak z żurnala dziewczyna siedziała na ławce, na odgłos kroków na żwirowej ścieżce podniosła głowę i powiedziała po francusku:

mężczyznom nie można ufać. Po chwili zaskoczenia Ilza zgodziła się z nią w tym samym języku. Usiadła obok na ławce – może los zesłał w końcu od dawna upragnioną przyjaciółkę – i wysłuchiwała historii Eleonory. Zdradzona przez ukochanego, który ożenił się z lepszą partią, próbowała odebrać sobie życie, pokojówka udaremniła zamiar w ostatniej chwili. Zaniepokojona rodzina wysłała Eleonorę do sanatorium, by odzyskała równowagę nerwową, nabrała dystansu, dosłownie i w przenośni, do wiarołomnego obiektu uczuć. Dystans to jednak trudna sprawa, gdy ktoś zmasakrował twoją duszę.

Ilzyda wyznała, że ona z kolei cierpi na melancholię.

– Z miłości?

Cóż, owszem. Przeżyła przecież, w pewnym sensie, zawód miłosny. Helmut zawiódł pokładane w nim nadzieje. Nie zapewnił Ilzydzie ani normalności, ani szacunku. Ona, jako żona dotrzymywała zobowiązań – była pokorna, posłuszna, niewymagająca. On jej starania wyrzucił w błoto, bo Ilzyda i tak nie mogła równać się z Edwardem.

Powiedziała krótko, że mąż ma kogoś innego.

Co za drań! Nowa znajoma gorąco współczuła kolejnej ofierze męskiej niestałości. Gdy dowiedziała się, że Ilza myśli o opuszczeniu niewiernego małżonka, tylko nie wie jak znaleźć pracę, zaproponowała, iż napisze do kuzynki, która w Szczecinie prowadzi pensję dla panien.

– Madame przecież tak świetnie mówi po francusku! O, po włosku też? I po portugalsku?! Angielsku?!! Niesamowite!

– Dużo podróżowałam z matką – wyjaśniła skromnie Ilza.

– Nie można dopuścić, by tak utalentowana kobieta marnowała się u boku męża, który jej nie docenia – powiedziała z ogniem w oczach Eleonora i obiecała, że jeszcze dziś napisze do Szczecina. Naturalnie, dyskrecja zapewniona, jeśli Ilzyda sobie nie życzy, nikt nie dowie się ani o melancholii, ani o sanatorium, a tym bardziej o mężu.

Helmut starannie składa i chowa papiery, bierze do ręki kapelusz i laseczkę, jest już gotów do wyjścia, gdy Ilza bez zastanowienia mówi:

– Biedna dziewczyna. Ona nie wie, co się za tym kryje. Nie rób tego, nie żeń się znowu, nie rób jej tego, co mnie.

Pan Bonusch sztywnieje, ściąga brwi, otwiera usta, by powiedzieć coś wyniośle nieprzyjemnego, może o Ilzy umyśle, manierach, a może o pochodzeniu, ale ona jest szybsza:

– Jesteś jeszcze z Edwardem? Rozumiem to, rozumiem, co do niego czujesz.



Pamięta, jak siedzieli obaj przy stole, jak na siebie patrzyli, wymieniali czułe uśmiechy. Kochali się, naprawdę, może kochają się nadal. Czy miłość może być zła? Adelinę doprowadziła do zbrodni, ale czy była zła? Ilza nie umie rozstrzygnąć, nie potrafi potępić, wie tylko, że Adelina kochała swojego

marynarza, Helmut Edwarda, a ona sama nigdy i nikogo. Nigdy nikogo w taki sposób. Tylko dzięki Adelinie wie, co to miłość.

Helmut stoi z otwartymi ustami, laseczka wypadła mu z ręki i poturlała się po podłodze, choć raz Ilse zaskoczyła go kompletnie. Nim zdołał odzyskać głos, ona mówi znów:

– Niech ci się wszystko dobrze układa. Z Edwardem. Życzę ci tego z całego serca.

– Ilse – odpowiada wolno Helmut. – Ilse. Pierwszy raz ktoś powiedział mi coś takiego. Nie chciałem cię skrzywdzić, przysięgam. Myślałem, że dam radę zachować pozory, spłodzić dziecko, żyć jak wszyscy, normalnie.

– Normalnie – śmieje się Ilza. – Czy ludzie tacy jak my mogą w ogóle żyć normalnie? Żyj jak potrafisz, ja też tak zrobię.

– Niech ci się wszystko dobrze układa – chrypi Helmut, odchrząkuje, podnosi laseczkę, wciska na głowę elegancki, berliński kapelusz, poprawia krawat. Wychodzi z pensjonatu, cicho zamykając za sobą drzwi. Ilza uśmiecha się, kiwa głową na znak, że przyjmuje niewypowiedziane przeprosiny. To koniec, nic już Ilzydy von Taffel i pana Bonuscha nie łączy, tak się właśnie sprawy mają. Nagle uświadamia sobie, że to powiedzenie przejęła od Helmuta, on je ciągle powtarzał.

15 grudnia 1913 roku, poniedziałek

Tego dnia, w obecności Berschika niekryjącego dezaprobaty dla transakcji i Herty Knopke niekryjącej dezaprobaty dla Berschika, Ilza oficjalnie staje się właścicielką Szczęścia Adeliny. Wydarzenie ma miejsce w znanym już Ilzydzie bordowo-pluszowym saloniku. Na wytapetowanych ścianach odcinają się od tła jaśniejsze prostokąty – ślady po zdjętych fotografiach. Ale zdjęcie na obramowaniu kominka zostało i Ilzyda Filomena von Taffel, Herta Dagmara Knopke z domu Luleck oraz Jorg Berschik składają podpisy na dokumencie kupna-sprzedazy pod okiem mężczyzny w marynarskiej czapce.

Po załatwieniu sprawy Ilza i handlarz czym prędzej wychodzą. Herta bynajmniej ich nie zatrzymuje, a oni mają masę spraw do załatwienia.

Załadowany wóz już czeka przy domu Knopkowej. Jorg wyjeżdża z Hole na krótko: tylko by sprzedać co się da i kupić co trzeba, Ilza obarczyła go długą listą sprawunków. Są na niej tapety, poduszki, dywany, meble, niektóre sprzęty tak eleganckie, że musiała tłumaczyć handlarzowi o co chodzi, a nawet rysować na kartce, by wiedział, jak mniej więcej wyglądają. Oczywiście, to i tak nie wszystko, czego potrzeba do urządzenia przyzwoitego pensjonatu, resztę przywiezie się w drugiej, trzeciej, może i czwartej turze.

Handlarz odwiązuje cierpliwą kobyłę od furtki Knopkowej i proponuje, że najpierw podrzuci Ilzę do domu, a potem ruszy w dalszą drogę. Ilza jednak ma ochotę się przejść.

Radośnie idzie opustoszałymi ulicami miasteczka. W nocy chwycił mróz i spadł pierwszy śnieg, dzień jest zimny i okropnie śliski, w taką pogodę nikt, kto nie musi, nie wychyla nosa z domu, za to podgląda świat zza haftowanych zazdrostek. Widzi, jak tyczka w czarnej niemodnej sukience ślizga się na oblodzonym chodniku i odzyskuje równowagę, machając rękami jak małe dziecko. Mało brakowało, a wyłożyłaby się jak długa – Ilza wybucha śmiechem.

Po drodze do domu wdrapuje się na wydmy. Trzewiki zapadają się w sypki śnieg. Z wydmy w całej okazałości rozciąga się widok na niezmordowane falujące morze, dziewiczo czystą, zaśnieżoną plażę, koronkę zamrożonej piany wyrzuconą na brzeg. To miejsce, Ilzy miejsce, ma swój urok. Nawet wydma, Ilzy wydma, wygląda jak z bajki. Magicznie piękna jest szadz osiadła na suchych źdźbłach. Kryształki lodu, porozwieszane na wiotkich gałązkach i mieniące się w słońcu, przypominają diamentowe naszyjniki.

Ilza ześlizguje się z wydmy i obchodzi dom dookoła. W pierwszej kolejności trzeba pozbyć się tych ohydnych desek zasłaniających okna, potem zdrapać ze ścian mech i porosty, obrzucić mury świeżym tynkiem, wymalować napis Przystań Ilzydy i wyrwać brzoźkę, nim korzeniami rozepchnie dachówki.

17 grudnia 1913 roku, środa

Berschik wyrwa brzoźkę, sprawdza dach, lata dziury.

Przekonuje Ilzę, że z tynkowaniem lepiej wstrzymać się do wiosny, zaprawa położona w mroźną pogodę nie będzie się trzymać. Natomiast szklarza rzeczywiście trzeba zawołać czym prędzej, bo przez te szpary w dechach śnieg wpada do wnętrza domu, nie dość, że parkiet gnije od wilgoci, to w dodatku zimno. A dopiero połowa grudnia i zima jeszcze pokaże, co potrafi.

Niestety nie udało się kupić wszystkich pozycji z listy sprawunków, handlarz tłumaczy, że paru rzeczy nie znalazł, za inne żądano skandalicznie dużo, ale chętnie pojedzie drugi raz, nawet do samego Berlina, w międzyczasie zaś pomaluje i wytapetuje, co tylko panna von Taffel sobie życzy. Na dobry początek idzie po szklarza.

Wraca sam. Szklarz, bardzo zajęty, choć na oko Berschika nie wiadomo czym, obiecuje przyjść za dwa dni.

19 grudnia 1913 roku, piątek

Nie przychodzi. Wieczorem Berschik odwiedza go znów i wraca do Ilzydy z wieścią, że majstrowi coś wypadło, ale z pewnością przyjdzie jutro.

20 grudnia 1913 roku, sobota

Czekają od rana. Żeby nie tracić czasu, Berschik robi przegląd kominów. Czyści piece. Obiecuje przynieść węgiel. Radzi palić też drewnem, wiele osób zbiera na plaży wyrzucone przez morze gałęzie i deski po rozbitych statkach.

Ilza sprząta, szoruje, co tylko wpadnie jej pod rękę, choć Jorg tłumaczy, że przed załatwieniem sprawy okien to bez sensu. Najpierw należy wstawić szyby, potem odmalować pokoje, potem sprzątać. Niby racja, ale Ilzyda nie może się doczekać. Po południu Berschik jeszcze raz idzie po szklarza.

Wraca zły, żona tamtego powiedziała, że wyjechał na kilka dni w interesach. Żeby go szlag.

22 grudnia 1913 roku, poniedziałek

Wcześniej rano Berschik przyprowadza szklarza za kołnierz. Dosłownie. Potem stoi nad nieszczęśnikiem z taką miną, że tamten bierze miarę wyjątkowo dokładnie. Okna Przystani Ilzydy mają szansę być najlepiej dopasowanymi oknami w całym mieście. Zostaną oszkłone jutro rano i na bank – bo jak nie... Berschik zawiesza głos. Szklarz przysięga na matkę, babkę i prababkę, że będzie o samiuśkim świcie i na pewno wszystko zrobi. Jednocześnie patrzy na Berschika z wielką urazą.

Odchodząc mruczy pod nosem „szkoda fatygi”.

– Że co? – pyta Berschik.

– Nic, nic – odpowiada szybko tamten. – Jutro rano, na moją matkę i na bank.

W sklepie sprzedawczynie obsługuje Ilzę, w ogóle na nią nie patrząc. Ilza ma wrażenie, że nawet celowo omija ją wzrokiem. Bez słowa stawia na ladzie żądane artykuły, nawet nie zapyta co jeszcze, zupełnie jakby chciała jak najszybciej pozbyć się klientki. Może ma zły dzień.

W sieni, za drzwiami stoi grupka kobiet, Ilza nie widzi ich, lecz słyszy, mimowolnie docierają do niej urywki zdań: „gniazdo zepsucia”, „całe miasto”, „jaka matka, taka córka”. Zapewne obsmarowują jakąś miejscową puszczałką.

– Bo od początku popełniliśmy błąd – wybija się piskliwy głos. – Nie trzeba było pozwolić, by do chrześcijańskiego miasta sprowadziła się taka, co to z diabłem za pan brat albo i gorzej.

Zamiast wyjść ze sklepu, choć właśnie miała taki zamiar, Ilzyda zaczyna udawać, że ogląda tkaniny na zasłonki – wśród nich jest tafta w niebieskie róże, zawsze chciała podobną mieć. Jednocześnie przysuwa się bliżej drzwi. Nie ma co się od razu denerwować, przecież one wcale nie muszą gadać o jej matce.

– Osobiście nie wierzę w takie rzeczy, pastor ma rację, to katolickie, średniowieczne przesady, ale zła sława odstraszy kuracjuszy – mówi jedna z plotkarek.

– Prędzej zateęła atmosfera tego niby kurortu – myśli ze złością Ilza. O co babom chodzi? Szepczą coś gorączkowo. Ilzyda przysuwa się jeszcze bliżej drzwi, wyteęza słuch.

– Jak tu w końcu łaskawie zjechała, a było już dobrze po tym, jak się starej do piekła zeszło, to udawała księżniczkę. Sama widziałam. Taka zimna i niby grzeczna. I wyszło co w niej siedzi. Zepsuta ryba. Zła krew, mówię pani, na złą krew rady nie ma.

– Ona nie jest normalna i nigdy nie będzie.

– ...jak jej nie wstyd, romans z Berschikiem...

Co?!

– Przychodził codziennie...

Bo leęała chora i nikt inny w owym chrześcijańskim mieście nie chciał przyjść z pomocą! Nawet żona lekarza. Ilza gniecie w dłoniach tkaninę w niebieskie róże, sprzedawczynie mogłaby zwrócić jej uwagę, ale tego nie robi.

– Komu innemu bym nie powiedziała, ale pani, taka pobożna, pokusy obawiać się nie potrzebuje...

– ...kobieta i mężczyzna, sam na sam, musiało do czegoś nieprzyzwoitego dojść, po prostu musiało...

– To oczywiste, do czego tam doszło, przecież nadal dochodzi...

Ilzyda czuje, jak płoną jej policzki. Zerka kątem oka na sprzedawczynię, ale ta udaje, że jest głucha, z namaszczeniem układa szpulki nici w szufladzie.

– ...gniazdo zepsucia, że też Bóg pozwala, by ten dom wciąż stał, i to w takim ładnym miejscu. Wystarczyłby przecież jeden piorun...

– A ja pani mówię, że go zaccarowała. Musiała użyć jakichś szatańskich sztuczek, bo ani najmłodsza, ani najpiękniejsza, a widziała pani, co z nim wyprawia, gania na posyłki, to tu, to tam, a ten stary głupiec zakochany w niej jak sztubak.

Słowem nawet o tym nie pisańł – ani też o tym, że o jego znajomości z panną von Taffel gada „całe miasto”. Choć Ilza sama mogła przecież przewidzieć, że tutejsze plotkary nie mają lepszych tematów.

– Co tam Berschik! Taka jest zagrozeniem i dla porządnych ludzi. Każdy mężczyzna da się złapać, jak ona z szatanem w komitywie! Co by pani powiedziała, gdyby nagle Franz zaczął robić wszystko, co tylko damula zechce?

– Niech pani lepiej pilnuje swojego mężusia! Widziałam, jak zerkał na tę czarną z warzywniaka!

– Nie kłóćmy się, moje panie, nie kłóćmy, bo to szatan wśród nas niezgodę sieje. A musimy przecież ustalić, co robić.

Powinna wyjść i przygadać tym głupim babom, aż im w pięty pójdzie, Ilza zaciska usta i zostawia w spokoju wymiętoszoną zasłonkę. Strzepuje spódnice, wsuwa w kok kosmyki włosów, które z niego uciekły, wciąga rękawiczki.

– Teraz lafirynda chce otworzyć pensjonat, jakby mało ich było w Hole, tymczasem o gości coraz trudniej.

– Herta Knopke, oczywiście, sprzedała chałupę, jakżeby inaczej, ona za dobrą cenę i własną babkę by sprzedała.

– Dobrej ceny by nie dostała, jej babka niewiele była warta, są jeszcze ludzie, którzy pamiętają, co wyprawiała. I ona, i piękna Adelka. Ja pani mówię, w tej rodzinie płynie zła krew, z pokolenia na pokolenie.

– Sama Herta też nie święta, to przecież ona sprowadziła starą wiedźmę. Widziałam, jak przywiozła ją ze stacji. Powozikiem Adeliny, z górą bagaży. W życiu nie zapomnę kapelusza tej pani hrabiny – zupełnie jak garnek. Szkoda, że jej córka tak nieciekawie się ubiera.

– Za to co innego potrafi, pani zobaczy, ona nie pensjonat, ale burdel tu otworzy.

– Burdel?! W Hole?! Niedoczekanie! Pójdę do samego burmistrza. Na szczęście porządne kobiety mają jeszcze w tym mieście coś do powiedzenia.

Gdy Ilza staje w progu, ubrane na czarno rozlatują się na wszystkie strony jak kruki. Za chwilę znów przycupną gdzieś na śniegu i będą krakać dalej.

Wracając do pensjonatu, zauważa mężczyznę przechadzającego się po zaśnieżonym molo. Rozpoznaje go od razu, choć zadymka zaciera kontury postaci. To tajemniczy, wytworny kuracjusz, tak lubiący samotne spacerować, ten sam, który czasami przychodzi o zmierzchu i wpatruje się natarczywie w okna pokoju Ilzydy. Teraz też odwraca głowę i odprowadza Ilzę wzrokiem. Na pewno słyszał o jej haniebnym prowadzeniu się, romansie z Berschikiem i zamiarze otworzenia burdelu w bogobojnym miasteczku. Może krążył wokół Szczęścia Adeliny w nadziei na łatwą miłość? Oczywiście, że tak. Ach, jakąż Ilzyda jest głupia, że wcześniej się nie domyśliła.

Wieczorem, w zapadającej ciemności, znów stoi pod jej oknem, czeka na zaproszenie. Co on sobie do diabła wyobraża? Ilzyda jest wściekła. Dość już tych kontredansów: wyjdzie i najpierw grzecznie zapyta, o co chodzi, następnie jasno da do zrozumienia, jak fatalnie wytworny pan ulokował swoje nadzieje, potem zmiesza go z błotem. Otulając się chustą, zbiega po schodach, szybkim krokiem przemierza korytarz, otwiera drzwi i wypada z domu. Dopiero na plaży dogania ją strach i odzywa się – wrzeszczy – rozsądek. Zwariowałaś?! Zbiegać samotnie w nocy na plażę, by rozmówić się z nieznanym! A jeśli to zwyrodnialec? Przemysłowiec, anarchista, zbrodniarz? Porwie, zgwałci, zabije? A Ilza, głupia, sama z siebie, jak dojrzała śliwka w kompot, wpada mu prosto w łapy, aż się prosi o nieszczęście.

Pod domem nie ma nikogo, okno rzuca plamę światła na pustą plażę. Jasny krąg otoczony jest przez ciemność, może tam, w mroku, czai się ktoś, kto tylko czeka, aż nieostrożna kobieta podejdzie bliżej. Ilzyda otula się ciasno chustą, teraz dopiero czuje, że zimno, strasznie zimno. Naprawdę ma coś niedobrze z głową: w grudniową noc wybiega na dwór okryta jedną tylko mizerną chuścina! Zawraca do domu, myśląc, jak słuszne jest powiedzenie „mieć serce w gardle”, ona swoje właśnie tam ma. Lada moment ktoś może napaść ją od tyłu, nie usłyszy jego kroków, bo szum fal zagłusza wszystkie dźwięki poza biciem rozszalałego serca. Udaje się jednak dotrzeć do pensjonatu bez przeszkód. Ilza wbiega na ganek, dopiero stamtąd odważa się rozejrzeć na wszystkie strony – noc, nic nie widać – zatrząskuje za sobą drzwi, zamyka zamki. Jak dobrze być w domu.

Śpi bardzo niespokojnie, we śnie czeka na coś. To coś jest już blisko, lecz zwleka, wciąż zwleka. Dręczona niecierpliwością Ilzyda stoi w pustym kręgu, boso na piasku. Ktoś-coś chodzi dookoła, kryjąc się w ciemności. We śnie Ilzyda nie boi się, tylko czeka. Nieznane zacieśnia krąg, skraca dystans, krąży już na samej granicy światła i cienia, ale wciąż pozostaje nierozpoznawalne.

Niecierpliwość i niepokój budzą ją, gdy w pokoju jest jeszcze ciemno. Ilza wstaje, robi kilka kroków w stronę okna, jednak rezygnuje w połowie drogi, zawraca do łóżka. Dość tych dziwacznych fantazji, jutro czeka ją pracowity dzień, przyjdzie szklarz, potem Berschik z meblami, trzeba się wyspać. Strzepuje kołdrę, wygładza prześcieradło, kładzie się i zamyka oczy. Ale sen uciekł. Ilzyda liczy do stu. Nic z tego. Do dwustu. Bez skutku. Przewraca się z boku na boku i wciąż, nawet na jawie, ma głupie uczucie, że jest pod obserwacją, że ktoś na nią patrzy.

23 grudnia 1913 roku, wtorek

Niebo szarzeje, Ilza wstaje w półmroku i zaczyna się ubierać. Serce skacze jej do gardła, gdy słyszy walenie do drzwi.

To szklarz, który postanowił dotrzymać słowa i pojawić się, tak jak mówił, o samiuśkim świcie.

Do roboty: zaczyna odrywać deski, Ilza w tym czasie parzy mocną herbatę. Chwilę później przychodzi Berschik, ale zamiast pomagać odrywać deski, zamyślony patrzy na zabite okna. Ilzyda niecierpliwi się, gwałtownie miesza cukier w filiżance, wylewa herbatę na spódnicę, do diaska! Nie śmie popędząć – w końcu nie płaci, to znaczy szklarzowi tak, ale Berschikowi nie, niech się jednak chłop bierze do roboty, na Boga, z zamyśleniem naprawdę nie jest mu do twarzy. Jorg kiwa głową, zupełnie jakby usłyszał Ilzy myśli i się z nimi zgodził, albo podjął w końcu jakąś trudną decyzję. Zawija rękawy i przystępuje do dzieła. We dwójkę ze szklarzem idzie im szybko. Z każdą kolejną deską, która zlatuje z okna i odsłania widok, Ilza czuje więcej życia, więcej powietrza. Jeśli czegoś naprawdę, ale to naprawdę nienawidzi, to zamknięcia.

Gdy już wszystkie deski zostają zerwane, a na ich miejsce wstawione szyby, Ilzyda ledwo powstrzymuje się, by nie tańczyć. Dopiero, gdy szklarz dostaje swoją zapłatę, zbiera klamoty, żegna się i wychodzi, dopiero wtedy Ilzyda zaczyna płasać po jasnych pokojach. Walcuje do nuconej przez siebie melodii, robi piruety i podskoki, wszystko na oczach Berschika, w ogóle się nim nie krępuje, zresztą on i tak patrzy zachwycony. Pewnie gdyby stanęła na głowie, też by mu się podobało. Jej pierwszy prawdziwy dom, pierwsze własne miejsce na świecie, pierwszy raz, gdy ktoś słyszy, jak Ilza śpiewa.

I żałośnie fałszuje. Dość hasania, czas zabierać się do pracy. Ilza podaje Berschikowi torbę z narzędziami, odruchowo zaglądając do środka. Zdziwiona pyta, po co takie wielkie gwoździe. Berschik jąka się – właściwie to nie wie, dlaczego je przyniósł, ot tak mu się zaplątały w torbie. Mniejsza z tym. Do roboty. Uważa, że najpierw trzeba wytapetować wszystkie pomieszczenia, a potem je urządzać, ale Ilza chce mieć już dziś przynajmniej jeden pokój zupełnie, zupełnie gotowy. Na przykład salonik. No dobrze, Berschik ustępuje – panna von Taffel rządzi. Tapetują, sprzątają, wstawiają nowe meble. Iza układa poduszki, wiesza firanki, kładzie dywan, ustawia wazony i porcelanowe figurki, które Jorg przywiózł aż ze Szczecina. Wszystko jest tak, jak sobie wymarzyła, ładniej niż u Anny, ładniej niż na Lindenstrasse. Tylko zegara na kominku nie ma. I nie będzie.

Już zmierzcha, gdy kończą robotę. Ilza uśmiecha się promiennie do Jorga, wdzięczna za pomoc i tak szczęśliwa, że czuje życzliwość do całego świata, nawet do Knopkowej, nawet do szklarza, nawet do bab widzianych wczoraj pod

sklepem. Cóż one mogą jej zrobić! Pokraczą trochę, pomiauczą i rozejdą się każda do własnych kłopotów.

Berschik nieśmiało dotyka włosów Ilzy, delikatnie, najlżejszym z dotyków, bojąc się niechętej reakcji. Ale Ilzyda nie odsuwa się – bo nie chce, by się obraził i zostawił samą z remontem, poza tym świadomość, że ten mężczyzna ją kocha, sprawia przyjemność. Miejscowe plotkary mówiły przecież, że całkiem oszalał na jej punkcie, jak miło, gdy ktoś szaleje na twoim punkcie, to uczucie zupełnie nowe dla Ilzydy von Taffel.

– Muszę ci coś powiedzieć – chrypi Jorg.

– Nic nie mów – odpowiada szeptem Ilza. Wyznanie wymaga wyznania, na to nie jest jeszcze gotowa. Stoją teraz tak blisko siebie, że czuje bijące od mężczyzny ciepło. Widzi, jak drżą mu ręce. Ma nad nim władzę, on jej pragnie – ta myśl idzie Ilzydzie do głowy jak ulubione grzane wino, rozpala ciało, jest nawet mocniejsza niż wino, wprawia w stan uniesienia. Jak cudownie być pożądaną, kobieta czuje się wtedy tak lekko – stąd pewnie powiedzenie „kobieta lekkich obyczajów”, robi się pewna siebie i beztraska – wszystko to nowe dla Ilzy doznania. Bierze dłoń Jorga i dotyka nią swojej piersi. Zamyka oczy. Chce tego, myśli. Raz kozie śmierć, chce tego. Jorg niesie ją na górę, tak jak kiedyś na wpół nieprzytomną po wypadku i kładzie na łóżku. Ręka o brudnych paznokciach na gołym ciele Ilzydy.

– Pączusie – mruczy mężczyzna – różane pączusie.

– Nic nie mów – błaga go w myślach kobieta. – Nic nie mów. Zrób to po cichu. Mocno, szybko i po cichu.

Ale Berschik nie umie czytać w myślach.

– Jesteś taka słodka.

Ilza zaciska powieki. Szkoda, że nie może zatkać sobie też uszu. I nosa. Ręka mężczyzny przesuwana się teraz po jej udach. W ślad za ręką posuwają się usta. Gdy Jorg dotyka językiem najbardziej wrażliwego miejsca, Ilza otwiera szeroko oczy w szoku. Widzi, że na dworze jest już całkiem ciemno, przy oknie tli się lampa z podkręconym knotem. Za szybą poruszają się idealnie wykrojone wargi, piękny mężczyzna coś mówi, próbuje porozumieć się przez szkło, przedrzeć do Ilzy świata, złapać nić życia. Przesłona faluje, nadpływa, odpływa, morze szumi, w głowie Ilzydy wraz z narastającą rozkoszą pojawiają się słowa: moja, moja, moja. Wtedy rozlega się pierwszy brzdęk.



Pierwszy jest najgłośniejszy. Wibruje samotnie, ale już za moment rozdzwania się kolejny, potem spada ich lawina. Do brzdęków dołączają krzyki, wtedy Ilza pojmuje, że pod domem stoją ludzie, cała gromada, przyszli wybić szyby na parterze, zniszczyć nowe okna Przystani Ilzydy. Męskie i kobiece głosy wyrzaskują przy tym coś o suce, diabelskim nasieniu, wiedźmie, cudzoziemce.

Podrywa się z łóżka, chce biec na spotkanie z tłumem, już ona im pokaże, ale Jorg łapie ją w pól, rzuca z powrotem na materac i przygniata całym ciałem.

– Nie możesz ich powstrzymać – szepcze Ilzydzie do ucha. – Nie bądź głupia, dostaniesz kamieniem w głowę. Trafi cię który albo porani szkłem, tyle z tego będziesz miała. Nie myśl o tym, co oni tam robią. Myśl o tym, co my robimy, a będzie przyjemnie.

Ilza próbuje się wyrwać, ale szarpie się daremnie, Berschik jest od niej o wiele silniejszy. Paznokciami ryje mu szramy na plecach, wtedy on łapie ją za nadgarstki i przyciska obie ręce do łóżka.

– Puść mnie! – wrzeszczy Ilza. Ucisza ją ustami, całuje przy akompaniamencie wybijanych szyb. Siłą rozchyła uda kobiety i wchodzi w szamoczące się pod nim ciało, bierze je gwałtownie do wtóru kanonady tłuczonego szkła.

Ilzyda poddaje się dopiero, gdy kanonada cichnie i głosy zaczynają oddalać się. Z dołu dobiegają jeszcze pojedyncze pożegnalne brzdęki, Berschik wpycha się po raz ostatni, jęczy, opada na Ilzę, przetacza się na bok i jedynie ciężką ręką przytrzymuje ją w łóżku. Ale nie musi, bo nie ma już po co biec. Jest po wszystkim.

24 grudnia 1913 roku, środa

Dziś są jej urodziny: Ilzyda Filomena von Taffel kończy trzydzieści sześć lat – wiek, w którym normalne kobiety przemieniają się w matrony i zaczynają rozglądać za dobrym zięciem.

Czuje się obolała i mimo długiego snu bez snów, wyczerpana. Obudził ją dobiegający z parteru stukot. Powinna pójść i sprawdzić co znaczy to monotonne stuk, stuk, ale nie ma siły. Po prostu nie ma siły. Nie potrafi wykrzesać z siebie nawet odrobiny energii, by ruszyć ręką lub nogą. Leży jak się obudziła, na plecach, i patrzy w sufit, powoli pustkę w głowie zapełniają wspomnienia wydarzeń ostatniej nocy. Gdy ostatnie z nich wpada na swoje miejsce, Ilza wie, że nie ociągając się musi wstać. Bo trzeba iść na policję, a przedtem zobaczyć rozmiar zniszczeń, podliczyć straty, przy okazji sprawdzić dziwne stuk, stuk. O tym, co zaszło między nią a Jorgiem i czy mu wybaczy, pomyśli później. W pewnym sensie, sama jest sobie winna, zachęciła mężczyznę do poufałości, no a potem sprawy wymknęły się spod kontroli. I na początku uczucie było dziwne, ale wcale nie nieprzyjemne. Pomyśli o tym później.

– Dalej, Ilzydo, zbierz się w sobie i wstawaj.– Siłą woli pokonuje opór zbolętego ciała, zwleka się z łóżka, wkłada pomietą suknię, rzuconą wczoraj beztrosko na podłogę, cztery razy próbuje zawiązać sznurowadła trzewików, aż jej się w końcu udaje.

Ze schodów schodzi wolno i niezgrabnie, bo bolą ją uda i pupa. Dają się we znaki szczególnie przy chodzeniu, jaka szkoda, że zapodziała gdzieś laskę.

Gdy dociera na parter, widzi, że Berschik przybija dechy, prawie skończył. Zabił okna z powrotem, po to właśnie wziął długie gwoździe, wiedział, że będą potrzebne. Ilzyda zapomina o bolących udach i pupie, rzuca się na handlarza z pięściami.

– Czemu to robisz?! – krzyczy. – Jak śmiesz zamykać mnie znowu?!

Wyrywa mu z rąk młotek. Zaskoczony Berschik cofa się przed furiatką.

– Ilse, uspokój się, nie bądź głupia. Zobacz, idzie sztorm.

Wskazuje na ciemne chmury na horyzoncie, widoczne przez niezastłonięty jeszcze fragment okna.

– Trzeba zabezpieczyć dom – mówi. – Chyba nie chcesz, żeby napadało do środka? Później możesz znów kupić szyby, choć pewnie drugi raz wybiją.

– Przyniosłeś długie gwoździe – Ilzyda trzęsie się z wściekłości. – Byłeś przygotowany, wiedziałeś, co mają zamiar zrobić, „całe miasto” wiedziało, a ty mi nie powiedziałeś.

– A co byś zrobiła, zawołała policję? Posterunkowy był tu wczoraj w nocy. Też rzucał kamieniami. Jesteś sama przeciw całemu miastu, oni nie chcą kolejnego pensjonatu. Gości nie starcza na te, które już są, daj sobie spokój, Ilse.

– Wiedziałeś, co planują, i nie powiedziałeś mi!

– Chciałem ci powiedzieć, ale zaczęliśmy...

– Zdradziłeś mnie!

Bije go młotkiem w pierś, każe się wynosić i nigdy, przenigdy nie wracać, nie pokazywać się więcej na oczy. Jak śmiał jej dotykać! Wziąć siłą! Nienawidzi go. Jest obrzydliwy i cuchnący. Gwałciiciel. Zbrodniarz. Zdrajca. Zdrajca. Zdrajca!

Wywijając młotkiem, Ilza wygania Berschika z domu. Wypychany za drzwi handlarz mamrocze pojednawczym tonem, że wpadnie później, gdy Ilzyda już się trochę uspokoi. Niech sobie wpada, ona nigdy więcej nie wpuści go za próg. Zatrząskuje drzwi, przez moment opiera się o ścianę w korytarzu, łapiąc oddech, a potem idzie obejrzeć zniszczenia. Potłuczone szkło zasypało dywan i nowe meble, odłamki szyb powbijały się w świeże tapicerki. Kamienie dosięgły też przywiezionych ze Szczecina porcelanowych figurek, rozbiły na amen fajansową misę z Lizbony. Okruchy chrząszcza Ilzydzie pod stopami. Salonik tonie w półmroku, bo okna znów zabite są dechami. Ilza próbuje odbijać, ale to bez sensu, łamie sobie tylko paznokcie i kaleczy palce, nie umie posługiwać się narzędziami, a gwoździe trzymają mocno.

Nie tak wyobrażała sobie swoje urodziny. Co prawda, nigdy wcześniej rocznice jej przyjścia na świat nie były szczególnie hucznie świętowane, ale myślała, że tym razem stanie się inaczej: ten dzień będzie radosny, obchodzony we własnym domu, w nowym, pięknie urządzonej saloniku, może nawet uhonorowany lampką szampana wzniesioną wspólnie z Berschikiem. Tymczasem trzydzieste szóste urodziny są jeszcze gorsze niż poprzednie.

Gorsze nawet niż dziewiąte, w które pośpiesznie opuszczały Wiedeń, a w pociągu Anna zarzucała Ilzydzie zdradę, niewdzięczność, głupotę i podły

charakter. Wtedy jeszcze Ilza miała nadzieję, ba! była pewna, że dostanie od życia drugą szansę. Dziś jest pewna, że nie dostanie. Zniknęła dziewczynka, lustro nad konsolą, które cudem uniknęło nocnego kamieniowania, odbija chudą, ściągniętą twarz: kreskę ust z kreskami zmarszczek po bokach, zmrużone oczy. Włosy, które kiedyś były srebrzyście jasne, teraz są mysie. Lustro nie kłamie – pokazuje dojrzałą kobietę bez męża, bez dzieci, bez pozycji, bez majątku. Pod niemodną suknią kryje się zwiędłe ciało, a w nim bez przekonania bije pokurczone serce, które można przyrównać do suszonej śliwki – ciemne, nieco lepkie, zdecydowanie nieapetyczne.

Choć Ilzyda Filomena von Taffel ma wyszukane, poetyckie imię, wygląda prozaicznie. I staro, okropnie staro.

W normalnych domach trwają właśnie przygotowania do świąt, ludzie ubierają choinki. U Ilzydy jest sztorm, przez szpary w dechach wiatr wciska śnieg z deszczem do pokoju, wdmuchuje lodowate zimno.

To nie dom i nigdy nim nie będzie. Berschik zawiódł zaufanie. Ilzyda jest sama, nikogo i niczego nie ma, nikogo i niczego nie będzie miała. Co więc można zrobić z wykoślawionym od samego początku życiem? Można z nim skończyć.

Wybiega na spotkanie sztormu. Ma ochotę wrzeszczeć i wyć, ale robi to za nią morze. Wścieka się, burzy, fale zalewają plażę niemal po wydmy, przewalają się po molo. Koniec pomostu ginie z oczu zupełnie, przesłonięty przez wodne bałwany, szalejący żywioł postanowił zabrać dla siebie kawałek po kawałku tę kruchą, zbudowaną ludzkimi rękoma konstrukcję. Ilza oblizuje wargi i czuje sól w ustach. W dniu jej urodzin nawet mgła jest słona. Od słonej mgły pieką oczy, choć może pieką od łez, wszystko jedno – wolno płakać, bo i tak nikt nie zobaczy, oprócz Ilzy na dworze nie ma żywego ducha, trzeba zwariować, żeby wychodzić w taką pogodę. To, co wzięła za mgłę, wcale mgłą nie jest. To miliony kropelek wody morskiej wirujące w powietrzu, gnane porywistym wiatrem, mieszające się z deszczem i śniegiem.

Ilza wbiega na molo, cel – pochłonięty przez wściekły żywioł koniec. Tam, gdzie przewalają się bałwany piany, a chodnik ginie w odmętach, gdzie wszystko się ze sobą miesza: woda, ziemia, powietrze, tam jest miejsce dla trzydziestosześcioletniej ni panny, ni mężatki i ni psa, ni wydry, beznadziejnej, bezdzietnej, bez mężczyzny, pieniędzy, uroku, której nic się nie udało, a teraz za późno, za późno, na wszystko za późno.

Ślizgając się po mokrych deskach, brnie na koniec pomostu, morze podpełza pod buty, ochlapuje sukienkę i płaszcz. Ława spienionej wody coraz bliżej.

Z naprzeciwka idzie człowiek. Wyłonił się z morskich bałwanów. Ilzyda zatrzymuje się oszołomiona: no dobrze, ona może być taką wariatką, żeby tam biec, ale na Boga, kto stamtąd wraca? Stoi osłupiała, wpatrując się w sylwetkę

rozmytą przez deszcz i wirujące w powietrzu drobiny morskiej wody. To mężczyzna, wysoki i barczysty, zagradza drogę do rozszalałego żywiołu, rozkłada ramiona na znak, że nie przepuści samobójczyni dalej. Idzie w jej kierunku. Gdy podchodzi bliżej, Ilzyda rozpoznaje twarz, twarz mężczyzny z okna. Jest już tak blisko, że widać kropelki wody osadzone na długich rzęsach, pojedyncze włoski szerokich brwi, Ilzyda zbiera się na odwagę i spogląda w oczy. Są brązowe, łagodne, głębokie. Można w nich utonąć, więc tonie, zapomina, gdzie jest, co miała zamiar zrobić, zapomina o molo, nie słyszy sztormu, nie czuje zimna ni wilgoci, choć przemoczona jest do suchej nitki. I nic, naprawdę nic nie potrafi powiedzieć, nawet zapytać „co pan tu robi?”.

Nieznajomy ma idealnie piękną twarz, wysokie kości policzkowe, szeroką szczękę, prosty nos. Doskonale wykrojone wargi rozchylają się – coś mówi. Ilza potrząsa głową na znak, że nie słyszy, wycie sztormowego wiatru i huk morza zagłuszają wszelkie inne dźwięki. Mężczyzna marszczy czoło, staje się jakby mniej wyraźny, przesłonięty na chwilę przez tuman mgły, usta ruszają się, mówi znów. Tym razem Ilzyda słyszy, choć słowa pojawiają się wprost w głowie, rozumie je, mimo że nie chwytą samych dźwięków, nie potrafiłaby powiedzieć, jaki nieznajomy ma głos: bas czy tenor, niski czy wysoki.

– Wróć do domu. Załóż czerwoną sukienkę. Spotkamy się w domu. Idź do domu.

Mężczyzna mówi po polsku, nie po niemiecku, tak jej się przynajmniej wydaje. Bardzo dawno nie rozmawiała w tym języku, ostatni raz ponad dziesięć lat temu, gdy widziała się w Berlinie z matką.

Ciemne oczy hipnotyzują Ilzydę. Posłusznie odwraca się od utopionego w morzu końca i kieruje w stronę miasta. Deszcz leje jej się na włosy, spływa po twarzy, ona tego nie czuje. Tylko oszołomienie i pustkę w głowie, uwolnienie od rozpacz i gorzkich myśli, jakichkolwiek myśli. Idzie w równym tempie, maszeruje ze wzrokiem utkwionym w królujący na skarpie dom: piętrowy, z fantazyjną wieżyczką, zarastający zielonoszarymi plamami porostów. Ani na moment nie odrywa od niego spojrzenia, nawet nie zauważa, jak i kiedy pokonuje dzielący go od molo dystans. Przystaje dopiero na wydmie obok domu. Stojąc pewnie obiema nogami na ziemi, ogląda się za siebie: tam znów nie ma nikogo, fale zalewają pusty chodnik, najdalsza część pomostu, najgłębiej wysunięta w morze, ginie z oczu zupełnie.

Kto to był? Człowiek czy widmo? Jakież człowiek mógłby nie dać ponieść się rozszalałym falom, wyłonić żywy ze spienionej masy wody, chodzić bez szwanku po miejscu pochłoniętym przez morskie bałwany? I co noc pojawiać się w oknie jej wieży? To nie człowiek.

Może więc Anioł Stróż Ilzydy? Albo święty Tadeusz Juda, patron samobójców, ostatniej szansy i spraw balansujących na krawędzi? Albo duch nieznanego ojca przybyły z odsieczą w decydującej chwili z Krainy Wiecznego Lata? Nie, Ilzyda nie chce, by był to duch ojca. Ten, jeśli już miałby się jej ujawniać, „manifestować”, jak mówią spirytyści, powinien zrobić to dawno, pomóc córce wcześniej, było po temu aż nadto okazji. Ilza woli myśleć, że przed samą sobą uratował ją mężczyzna, wszystko jedno ziemskiej czy nieziemskiej proveniencji, któremu nie jest obojętna w romantyczny sposób. Tajemniczy rycerz otoczył opieką nieszczęśliwą damę, opuszczoną przez ludzi i wyklętą przez „całe miasto”.

Pogrążona w rozmyślaniach nie zauważa, że ze spódnicy cieknie, z włosów kapie, przemoczona jest od góry i dołu aż do bielizny, zmarznięta na kość. Stoi, drżąc na zimnym wietrze i wpatruje się w puste moło jak sroka w gnat. Zakochała się.

– Nie bądź śmieszna, Ilzydo – mówi głos rozsądku. – Śmieszna i dziecinna. Nie jesteś już przecież sentymentalną dzierlatką, dawno pożegnałaś się z fantazjami, nie wierzysz w książęta z bajki. Żaden nie przyjdzie i nie obudzi pogrążonej w chłódzie i odrętwieniu, zaawansowanej w latach królowny. To nie był żaden królewicz-wybawca.

Najprawdopodobniej wszystko sobie wyobraziła. W chwilach strachu i zwątpienia ludzie potrafią omamić samych siebie. Uratował ją po prostu jej własny, zwierzęcy instynkt życia.

Och, do diabła z rozsądkiem! Czy rozsądek kiedykolwiek Ilzie pomógł? Nigdy. A nieznajomy powiedział „wróć do domu” i tylko dzięki temu Ilzyda zdołała wrócić.

W salonie podłoga zalana jest wodą. Ilza niezdarnie mocuje w oknie ostatnie dwie deski, krzywo wbijając gwoździe, wali się przy okazji młotkiem w palec – samodzielność boli, wie o tym nie od dziś. Potem zdziera z karniszy nowe zasłony, tnie na kawałki i kawałeczki, wpycha w szpary między dechami. Dzięki uszczelnieniu nie będzie tak zimno i może, choć trochę, zatrzyma ono deszcz i śnieg. Rozbite szkło Ilza zbiera do wiaderka. Jak robi się cieplej, zakopie w ogródku. Albo, jeszcze lepiej, powtyka w ogrodzenie i rozsypie na drodze prowadzącej do miasta, by odstraszyć gości.

Cały dzień czeka na noc. Niech już nadejdzie zmierzch. Ilzyda nie zamierza spać, nawet kłaść się do łóżka. Wygoniła precz rozsądek i chętnie, całym sercem, uwierzy we wszystko, co zobaczy – albo co jej się przywidzi, obojętne. Nie ma nic do stracenia, nie boi się, jest gotowa na podróż w nieznaną, całkowicie

gotowa. Kto powiedział, że zimowe dni są krótkie? Ten, niby najkrótszy w całym roku, wlecze się i wlecze jak litania. W końcu szarość pogłębia się i gęstnieje, przychodzi pora duchów – bez duchów. Jak na złość, tym razem nie pojawia się złudzenie, które tak często prześladowało Ilzydę w bezsenne noce: jakby ktoś stał po drugiej stronie okna, zbliżał twarz do szyby, śledził każdy jej ruch.

Jest sama, nawet duchy ją opuściły. Szkło odbija tylko niecierpliwą, rozgorączkowaną twarz kobiety w średnim wieku. Beznadziejnej, bezdzietnej, niekochanej, takiej, która nic nie znaczy.

Wygląda na plażę przed domem – tam też nikogo nie ma. Za to wzgardzony rozsądek wślizgnął się z powrotem na swoje miejsce i sączy trutkę: ach, ta Ilzyda Filomena, co ona głupia znów sobie nawyobrażała, jak ostatnia wariatka i pierwsza naiwna dała się ponieść cudacznym fantazjom. Zawiedziona, postanawia jednak nie rezygnować – może wystarczy poczekać. Przystawia fotel do okna, kuli się w nim, owijając ciasno chustą i przytula policzek do zimnej szyby, znów boleśnie samotna.

25 grudnia, Boże Narodzenie, czwartek

Budzi się oparta o ciepłe, rozgrzane od słońca okno. O dziwo, dzień po sztormie jest jasny, promienny, zachęca, by wyjść na dwór i korzystać z pięknej pogody, kto wie, jak długo ona potrwa. Spacer dobrze Ilzydzie robi, zawsze robił, po nocy spędzonej w fotelu przechadzka brzegiem morza pomoże rozprostować kości i rozplątać myśli.

Nigdy dotąd nie widziała tutejszej plaży tak zaludnionej, Ilza jest zaskoczona jak wiele osób grzebie w piasku i kupkach wodorostów. Młodzi i starzy, dorośli i dzieci, szukają bursztynu wyrzuconego przez wczorajszy sztorm na ląd. Jest święto, powinni więc wstrzymać się od pracy, skoro jednak morze nie przestrzega dziesięciu przykazań i dzień po sztormie ma czelność wypaść w samo Boże Narodzenie, mieszkańcy nadmorskich miasteczek widać też mają dyspensę.

Gdy poszukiwacze bursztynu zauważają idącą w ich kierunku Ilzydę, pośpiesznie wstają i odchodzą. Niektórzy ciągną za sobą odporne, oglądające się do tyłu dzieci. Przecież nie będzie ich gonić. Nawet jeśli puściłaby się biegiem po plaży i zdołała któregoś, którąś dopaść, co zrobi? Co powie? Każdy z nich, każda z nich, z łatwością wyprze się wszystkiego, zapyta bezczelnie: „a widziała mnie pani?” „mnie, właśnie mnie?” Wszyscy zgodnie poświadczą, że przedostatniej nocy „całe miasto” spokojnie spało, śpi snem sprawiedliwego co noc. Ilzyda wyjdzie na wariatkę. Napaść? W Hole?! Niemożliwe.

Nie dość, że nie zna napastników, to jeszcze nie ma świadków, że ktokolwiek zdemolował dom, bo do zdrajcy Berschika w życiu się już nie odezwie. On zresztą udowodnił, że nie stanie po jej stronie przeciwko „całemu miastu”. Ilzyda nic nie zdoła udowodnić, a poza tym: do kogo pójdzie ze skargą, skoro sam posterunkowy swój kamień dorzucił? Do Szczecina pojedzie się skarżyć? Do Berlina? Może od razu do samego cesarza? „Wysoko postawieni” znajomi Helmuta wyrobią jej audiencję z radością, ha, ha.

Zamyślona idzie przed siebie i nie zwraca uwagi, że jedna z sylwetek, czarna, przysadzista, zamiast czym prędzej zawrócić na widok Ilzydy, jak pozostałe, albo przynajmniej obejść właścicielkę Szczęścia Adeliny szerokim łukiem, zmierza prosto w jej kierunku.

Rośnie w oczach i podchodzi tak blisko, że nie sposób uniknąć spotkania. Okazuje się okutaną w zimowy szynel i wełnianą chustę Hertą Knopke.

– Mówiłam. Mówiłam, że się nie uda. Ostrzegałam.

Cała Herta! Ani „dzień dobry”, ani „jak się pani miewa, piękną pogodę dziś mamy, nieprawdaż?”, tylko od razu do rzeczy, a zarazem od rzeczy. Nigdy nie wiadomo dokładnie, o co tej kobiecie chodzi, chyba że sprawa dotyczy pieniędzy, wtedy wiadomo co do feniga. Ale mniejsza z tym, i tak miło, że przynajmniej ona jedna nie traktuje Ilzydy jak trędowatej.

– Nie wiedziałam, co i kiedy zrobią, ale wiedziałam, że coś zrobią.

– A mówi pani o... – Ilza zawiesza głos.

– Ludziach, tutejszych – odpowiada opryskliwym tonem Knopkowa. – A pani myślała, że o kim? Ostrzegałam, gdy tylko zachciało się pani kupić ten dom.

– Sądziłam, że chodzi o ducha Adeliny. Jego już nie ma.

Herta chwije się raptownie, jak trafiona prosto w serce, chwytą się za pierś, potem za gardło, potem znów za pierś. Pierwszy raz, odkąd Ilzyda ją zna, straciła nad sobą panowanie; wiadomość, że duch zniknął, musiała nią wstrząsnąć. Racja, Ilza zapomniała, przecież Herta to rodzona siostra Adeliny.

– Nie ma jej?! Jest pani pewna? – pyta bez tchu, zaglądając Ilzydzie głęboko w oczy, jakby bezpośrednio z nich chciała wyczytać całą prawdę, bez matactw. Zaczyna dygotać. Tylko tego brakuje, żeby dostała ataku serca albo apopleksji i padła tu na plaży, na mokry piasek, prosto u stóp Ilzydy. To z pewnością polepszyłoby jeszcze reputację panny von Taffel w miasteczku, po czymś takim Ilza będzie mogła spodziewać się ukamieniowania w biały dzień.

– Adelina spoczywa w spokoju, jestem pewna. Pani też niech się uspokoi – prosi Hertę.

Głupstwo zrobiła wyskakując bez zastanowienia z wieścią o duchu.

– Odeszła na dobre? Udało się?! Nie musi mi pani zdradzać szczegółów, chcę tylko wiedzieć, że ona odeszła.

– Odeszła. I nie wróci – zapewnia Ilzyda, patrząc z niepokojem, jak Herta przymyka oczy. – Ma pani przy sobie sole trzeźwiące?

Knopkowa kręci głową na znak, że nie. Stoi z zamkniętymi oczami i wciąż dygocze. Ilza czuje coraz większy niepokój.

– Niech pani głęboko oddycha. I bardzo proszę nie mdleć. Ja nie mam pojęcia, co robić w takich sytuacjach.

Herta posłusznie bierze głęboki wdech. Wdech, wydech, wdech, wydech, stopniowo przestaje się trząść.

– Wygrałam – szepcze. – Mój Boże, wygrałam.

W końcu otwiera oczy. Patrzy na dom: piętrowy, z fantazyjną wieżyczką, zarastający zielonoszarymi plamami porostów.

– Jest pani inna niż mi się wydawało, może nawet inna niż jej samej się wydaje – Herta z powrotem wygląda jak Herta i mówi jak ona: zagadkami. – Zdaje się, że jestem coś dłużna. Za kilka dni przyniosę rzecz, którą hrabina bardzo ceniła. Tak bardzo, że dałaby się za to zabić.

Ton głosu zwraca uwagę, włącza wewnętrzny alarm.

– Jak zmarła moja matka? – pyta Ilza.

– Nie wiem – odpowiada Herta. – Nie wiem, ale czasem myślę...

– Co pani myśli?

– Że może to Zły ją zabrał.

– Jaki zły?

– Nie widziała go pani, tym lepiej dla pani. Muszę już iść.

Odchodzi bez pożegnania, jak przyszła bez powitania. Ale to nie powód, by zniżyć się do podobnego poziomu.

– Do widzenia – woła Ilza do jej pleców.

– • –

W nocy on tu jest. Ilza wyskakuje z łóżka i na bosaka biegnie do okna. Dotyka nieśmiało twarzy mężczyzny – czuje tylko zimne, gładkie szkło. Przyciska usta do szyby – szkło. Odsuwa się i patrzy, jego wargi poruszają się, próbuje coś powiedzieć, porozumieć się z kobietą przez dzielącą ich barierę, złapać wciąż wymykającą się nić życia. W głowie Ilzydy przesłona faluje, nadpływa, odpływa, morze szumi, pojawiają się słowa: zaprosz mnie do środka, zaprosz mnie do siebie. Ilzyda szarpie opierające się okno – nikt go chyba nie otwierał od co najmniej dziesięciu lat. W końcu skrzydło ustępuje z rozpaczliwym zgrzytem. Do wieży wpada wiatr od morza, szarpie zasłonami, przewraca zapaloną lampę. Płomyk

błyskawicznie korzysta z okazji, przeskakuje na obrus. Ilzyda chwyta za stojący na toaletce dzban, chluszcze wodą na stół. Resztki pożaru dusi mokrą szmatą.

Gdy sytuacja jest już opanowana, rozgląda się wokół. Jest sama. Huragan wpadł do pokoju i wypadł, pozostawiając po sobie tylko przypaloną serwetę.

— • —

Rano ktoś dobija się do drzwi. Ilza cicho schodzi na parter i zerka przez szpary w dechach kto. Nie otwiera. Dopiero później, gdy jest już pewna, że handlarz sobie poszedł, przemyka się do ogrodu.

Zmyć go ze swojej skóry. Znów być dziewiczo czystą. Metalowa rączka pompy jest tak zimna, że aż parzy, Ilzyda odskakuje z okrzykiem. Zamiast wody nabiera śniegu, zgarnia go gołymi rękoma do wiadra, dźwiga na górę. W pokoju na wieży rozbiera się do naga i naciera śniegiem – szoruje zapamiętałe całe ciało. Jak zimno, jak strasznie zimno. Goła i mokra wpełza do łóżka, nie troszcząc się o kałużę roztopionego śniegu na podłodze. Dygocze pod kołdrą. Chyba znów ma gorączkę.

— • —

W nocy jest pełnia, księżyc świeci na czerwono. Musi wiać silny wiatr, bo chmury szybko przesuwiają się po krwawej tarczy. Pojawia się twarz w oknie.

– Zaproś mnie.

– Wejdz – mówi Ilzyda. – Przyjdz, czekam.

Ale on nie przychodzi.

— • —

W dzień ktoś dobija się do drzwi na dole, Ilza nawet nie próbuje wypełznąć z ciepłego posłania, by zobaczyć kto. Dopiero o zmierzchu wstaje naga z łóżka.

Jak mogła zapomnieć: powiedział „Włóż czerwoną sukienkę”. Czerwoną czy kolorową? Och, wszystko jedno, wszak czerwona to też kolorowa. Ilzyda ma tylko dwie sukienki i obie czarne, za to Anna nosiła papuzio barwne szmatki. Ilza otwiera szafę z ubraniami matki, wśród nich jest czerwona suknia z nieprzyzwoitym dekoltem. Mocno śmierdzi pleśnią i kadzidłem, mimo to Ilza wkłada ją na gołe ciało i okręca się wokół własnej osi rozwijając krwawy wachlarz spódnicy.

Czuje się wtedy Anną i wie, co ma robić. Zapala świece, przesuwa meble, zwija dywan, kredą wyjętą zza lustra (nawet nie wiedziałam, że schowała tam kredę – dziwi się zepchnięta w kąt własnej świadomości Ilzyda) maluje na podłodze krąg. Kreśli symbole, mamrocze pod nosem zakłęcia, przywołuje

żywioty. Środek kręgu maże śliną, przylepia tam kilka wyrwanych z głowy włosów, klęka i prawie dotykając ustami podłogi, delikatnie dmucha.

Potem kładzie się odwróconym krzyżem na łóżku – nogi w kierunku zagłówek, szeroko rozłożone ręce – i powtarza: bądź wola twoja, bądź wola twoja.

Coś w niej krzyczy, żeby tego nie robiła, ale odrzuca sprzeciw z niecierpliwością, już dość tego wszystkiego, nie ma na co czekać. Wyciąga rękę i obejmuje ciemność.

Okno otwiera się z głośnym trzaskiem. Świece gasną, huragan rozdziera zasłonę odgradzającą go od ludzkiego świata. Miota i szarpie czarownicą, a jednocześnie daje rozkosz tak wielką, że Anna-Ilza płacze i krzyczy w niebogłosość. Jeszcze. Jeszcze.

— • —

Gdy otwiera oczy, jest podrapana i goła, pewnie w zapamiętaniu zdzierła z siebie ubranie, bo strzępy czerwonej sukienki walają się na podłodze i łóżku. Przez otwarte okno wpada do środka wiatr i śnieg. Śnieżynki płyną po pokoju w zwolnionym tempie, zatrzymują się przed zdziwionymi oczami Ilzydy, a potem najlżejszym z dotyków opadają jej na twarz.

Tylko jedna myśl: „Jeśli zwariowałam, to dobrze”.

— • —

Leży w półśnie cały dzień, dopiero wieczorem zwleka się z łóżka, by włożyć czerwoną sukienkę. Och, nie, przecież ją podarła! I co teraz? Bierze do ręki czerwone strzępki, zamyka oczy, myśli o kręgu, ale nic z tego. Nie pamięta symboli ani zaklęć, nie umie przywoływać pozaziemskich bytów, nie jest hrabiną Anną von Taffel, sławnym medium, lecz Ilzydą Filomeną, tylko Ilzydą Filomeną, która spartaczy wszystko, czego się dotknie. Płacze ze złości i rozczarowania, nigdy w życiu niczego tak nie pragnęła jak teraz stać się Anną, przeżyć to jeszcze raz. Pomyśleć, że kiedyś nie wierzyła ani w duchy, ani w Annę! Ale płacz nie pomoże – opanuj się Ilzydo – na pewno uda się przywołać go znów, musi się udać, nie znoszące czekania pragnienie aż nią trzęsie. Ilza zaciska uda, zaciska powieki, koncentruje się mocniej.

– Chcę przemienić się w swoją matkę, chcę przemienić się w swoją matkę – lecz sama chęć nie wystarcza. To tak nie działa.

Ilzyda wyciąga więc kolejną sukienkę z szafy, tym razem cytrynowożółtą malowaną w wyblakłe już niebieskie motyle i lekką jak one. Dzięki niej znów wskakuje we wspomnienia Anny. Przechadza się po eleganckim deptaku, kręcąc pupą i koronkową parasolką. Słońce mocno przygrzewa, ale przyjemny wietrzyk

łagodzi upał. Mijają ją dwaj dżentelmeni, gapiąc się otwarcie. Anna-Ilza bynajmniej nie spuszcza skromnie wzroku, patrzy jednemu z nich prosto w oczy, są niebieskie, mruga i słyszy, jak mężczyzna mówi do drugiego półgłosem: „Cóż za nęcące stworzonko z tej hrabiny od duchów. Jak podobna osoba może mieć takie ponure, nadąsane dziecko? Choć to nie dziecko, ta mała to już prawie panna”.

Ilza ściąga żółtą sukienkę, wkłada zieloną. Przesuwa palcem po aksamitnej wstawce.

– Jest pani różą, która wciąż nie wiadnie – mówi do hrabiny von Taffel adorator o nalanej twarzy i obleśnym uśmiechu.

– Dwuznaczny komplement – oburza się w myślach Anna-Ilza. – Jak śmie, ten tłusty burżuj, czynić aluzje do wieku damy?

– Wyjątkową różą, która nigdy nie wiadnie – powtarza adorator już niepewnie, zbity z tropu surowym spojrzeniem kobiety.

– To miło – rzuca zdawkowo Anna-Ilza. – Przepraszam najmocniej, ale właśnie dostrzegłam dawno niewidzianą przyjaciółkę. Muszę iść się przywitać.

Zostawia obrażonego mężczyznę na środku sali i zaczyna przepychać się przez tłum, szukając znajomych twarzy. Ten i ów odprowadza ją zaciekawionym spojrzeniem, ale Anna-Ilza jest w tak kiepskim nastroju, że przelotne objawy męskiego zainteresowania nie są w stanie jej pocieszyć.

– Więdnę – myśli, zgrabnie prześlizgując się między dwiema rozłożystymi matronami odzianymi pysznie w jedwabie i koronki. Krowy odskakują jak na komendę, byle się tylko o hrabinę von Taffel nie otrzeć, zupełnie jakby zarażała czymś paskudnym. A jakie oburzone, że kokota miała czelność przyjść na koncert otwarty dla wszystkich chętnych! Pewnie będą plotkować o tym spotkaniu co najmniej przez miesiąc, Anna-Ilza ma jednak większe zmartwienia na głowie niż wstręt głupich, świętoszkowatych mieszczek.

–Więdnę – myśli. – Czasu nie sposób zatrzymać. Mam już pierwsze zmarszczki. Czuję, że mam. A gdy cała zwiędnę, zdechnę z głodu i Ilzyda razem ze mną.

Ilzyda zdejmuje zieloną suknię i rzuca w ką. Przymierza princeskę z plisowanymi falbankami przy mankietach – z tej napływa wspomnienie mrocznego pokoju o zaciągniętych, dziwacznych zasłonach w chińczyki, świec skwierczących w pretensjonalnych lichtarzach.

– Wszystko będzie dobrze, uda mi się, wszystko będzie dobrze – zaklina los Anna-Ilza. Poradzi sobie, oczywiście, że sobie poradzi – śpiewająco. Bez Ksawerego, a ten jeszcze pożałuje.

Kolejna suknia to salon pani Dietrich i wytworne gadki o niczym. Emocje: czujność, czujność i jeszcze raz czujność.

Kolejna – wróżenie z fusów, wprawdzie poniżej godności znanego w całej Europie medium, ale zawsze warto zrobić wyjątek dla przyjaciół i pieniędzy.

Kolejna, kolejna, kolejna. Ile sukien już Ilza przymierzyła? I wciąż nie trafiła na drugą taką, w której by matka wywołała prawdziwego ducha. Mimo to czuła, że był blisko, krążył wokół za słaby, by przełamać barierę dzielącą ich światy. Może jednak – ten duch – być dobrej myśli, bo Ilzyda przejmuje pałeczkę od Anny i robi wszystko, dosłownie wszystko, by pomóc: jemu i sobie. Mrowi ją całe ciało, pragnienie ściska od środka, napięcie, choć bezbolesne, jest nieznośnie drażniące.

Szafa opustoszała, tylko na dnie wśród kotów z kurzu walają się guziki, oderwane lamówki, pończochy i ten śmieszny toczek, który Ilza już wkładała, kiedyż to było: miesiąc temu, dwa, wydaje się, że całe wieki. W tym toczku Anna-Ilza była w Ostendzie i sprzedawała Jezuska.

Trzeba wypróbować jeszcze inne kapelusze, a także bieliznę, biżuterię, drobiazgi, sprawdzić zawartość komody, szafek i kufrów. Na pierwszy ogień idzie komoda, Ilza zanurza rękę w szufladzie, zaplątuje palce w sznureczki wizytowej torebki i znów odpływa: patrzy w wyłupiaste oczy właściciela fabryki gwoździ, opuszcza wzrok na wypomadowane wąsy, pod nimi wydęte usta, na myśl o tym, że miałyby ją całować, robi się słabo. Ale bez hysterii, przecież nie pierwszy raz, przyzwyczai się, nie jest już młoda, by móc wybrzydzać, wraz z Ilzydą na gwałt potrzebują pieniędzy.

Ilzydę ogarniają mdłości, czym prędzej się wyplątuje. Chwila przerwy, głęboki wdech, wydech, kilka łyków wody, w kolejce czeka stroik z kwiatków o zmalretowanych płatkach. Ilza przypina jedwabne łodyżki do włosów i znów jest Anną: trzyma za rękę „swojego lorda”, a on ciągnie ją w kierunku sofy. Z daleka, z głębi domu dochodzą przytłumione odgłosy zabawy, orkiestra gra, ludzie trajkoczą, Anna-Ilzyda kładzie się na plecach i rozstawia bezwstydnie nogi. Mężczyzna wsuwa język w jej usta, a ręką manipuluje pod spódnicą. Potem się łączą. Przelotny dreszcz, spadek napięcia.

Gdy jest już po wszystkim, Ilza gwałtownie wyciąga stroik, wrywając przy okazji pasemko włosów. Stało się, ale na drugi raz powinna uważać, przymierzając rzeczy matki, musi zachować też własną świadomość, by móc przerwać „pewne sytuacje” w porę. Pamięta tego mężczyznę: płacił za ich apartament w Londynie, chodziły słuchy, że utrzymuje dwie kochanki równocześnie, ale co z tego, skoro stać go było i Annie się podobał. Gdy przychodził w odwiedziny, oczy hrabiny błyszczały, w najmniejszym stopniu nie troszcząc się o pozory, odsyłała córkę do pokoju dziecinnego – niech tam poczyta sobie bajki – a sama zamykała się z gościem w sypialni. Gorący romans trwał ze trzy miesiące. Potem pojechały szukać szczęścia gdzie indziej.

Jakież to żalosne w porównaniu z tym, czym naprawdę jest miłość! Miłość to huragan.

W głowie kręci się już z głodu i zmęczenia, lecz Ilzyda nie rezygnuje, obiecała sobie, że będzie szukać do skutku.



Otwiera kufer. Na wierzchu leży nocna koszula, z białego batystu, z podartą koronką. Może ona zdradzi tajemnicę matki.

W nocnej koszuli Anna-Ilza wyleguje się w łóżku, już południe, ale nie chce jej się wstawać. Po co? Na kołdrę wskakuje rudy kot. Puszystym ogonem łaskocze w policzek, wtula się w rękę. Ależ gorący. I jakie naelektryzowane ma futerko, aż iskrzy. Anna-Ilza doznaje wrażenia czyjejś świadomej obecności – czuje ducha. On, a właściwie ona, bo to dusza kobiety, znalazła jednak sposób, jest tu, zaklęta w kocie, w żywym, wibrującym ciałku.

– Co? – Ilzyda wzdryga się, wracając do własnej świadomości. I ona spała z tym czymś, z tym uduchowionym zwierzakiem w jednym posłaniu prawie przez miesiąc, niemal co noc?!

Na szczęście był tak uprzejmy, że dawno sam gdzieś przepadł. Było, minęło, są teraz ważniejsze sprawy, Ilza otrząsa się i otula szalem pokąsanym przez mole. Wraz z nim napływa rozpacz. Anna-Ilza wpatruje się w kartoniki z symbolami ułożone na okrągłym stoliku i czuje, jak płoną jej policzki. Naftowa lampa skwierczy i kopci, zaduch okropny, nic tylko siekierę zawiesić i zemdleć z braku powietrza. Duchy nie dają żadnych wskazówek, będzie musiała zmyślać. Zebrane towarzystwo czeka, ktoś tam chrząka. Jest pewna, że gdyby podniosła wzrok, napotkałaby więcej niż jedno sceptyczne spojrzenie, niejednen drwiący uśmiezek. Ale nie będzie przejmować się ateistami i niedowiarkami, umrą i sami zobaczą, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, jak mówiła najgrubsza kobieta świata, ta sama, która w wozie cyrkowym odbierała poród Ilzydy i pytała, czy udusić noworodka. Nikt by się nie zorientował, dzieci bardzo często przychodzą na świat martwe, gdyby się wtedy zdecydowała, Ilzunia na wieki wieków pozostałaby aniołkiem, zamiast wyrosnąć na arogancką, niewdzięczną dziewczuchę.

Anna-Ilza zsuwa z ramion szal, nawet w koronkowym jest za gorąco. Ilzyda zrywa go ze złością. Wcale nie jest niewdzięczna, wręcz przeciwnie – skrupulatnie odwdzięcza się za wszystko co dostała. Czasami aż zatyka ją z nienawiści. Nie będzie już więcej płakać zamknięta w ośmiu ścianach tego pokoju – bo ma wrażenie, że matka podgląda, a Ilza nigdy, przenigdy, nawet za cenę zbawienia duszy, nawet za pewność posiadania duszy, nie pokazałaby tej kobiecie żadnej swojej słabości.

Wyrzuca na podłogę całą zawartość komody i kufra, siada po turecku i grzebie w stosie. Z matki zawsze była żalosna, sentymentalna zbieraczka. Po co ciągać za sobą przez pół Europy wytarte ubrania, schodzone buty, zasuszone kwiaty, porwane łańcuszki? Śmieci, wszystko śmieci. A w tych śmieciach Ilzyda musi teraz szukać ukrytego skarbu. W głowie ma chaos myśli, słów, powidoków, zapachów, strach przed przyszłością. Jednak wytrwa, bo może to, czego potrzebuje, jest już na wyciągnięcie ręki.

Zamyka oczy. Znów seans i znów bez ducha, jedwabne kotary stoją sztywno i nieruchomo, a powinny falować na znak, że do kręgu przybył gość z zaświatów.

– Nie jestem dobrym medium, jeśli nie umiem materializować – ta myśl strasznie Annę-Ilzę przygnębia.

Ilzyda pamięta wyraz desperacji w oczach matki, za każdym razem gdy wybierała się na seans, tę jej żalostną chęć dogodzenia wszystkim – oczywiście z wyjątkiem własnego dziecka, lęk, że duchy nie przyjdą, zawiodą, jak zawiodły wiele razy przedtem, że Walter znów będzie miał swój zły dzień. A najbardziej wściekało Ilzę udawanie, że wspaniała hrabina von Taffel nie zauważa pogardy publiki, nie czuje upokorzenia, które spływając po niej jak woda po gęsi, przechodziło z matki na córkę. Głupia, głupia, głupia!

Wrażenia, uczucia, obrazy wirują, zmieniają się jak w kalejdoskopie. Dźwięczy śmiech, który jak diament mógłby ciąć szkło, podskakują oszalałe twarze, rozmazane oczy błyszczą. To bal, a po balu zjechane obcasy, podarte koronki, kucająca w kącie pokoju irytująco milcząca dziewczynka. Wątki uciekają, nim zdąży je złapać. Wolniej, wolniej. Ręka zatacza po omacku krąg i trafia na koronkowy wachlarz, zaciska się na nim, zamiast od razu odrzucić i już za późno: trzask, Anna-Ilza z całych sił daje nim dziewięcioletniej Ilzydzie w twarz. Mała patrzy oczami okrągłymi jak pięć rubli i pochlipuje. Trzask, drugi raz. Dziewczynka łapie się za policzek, wybucha głośnym płaczem. Furia Anny-Ilzy bynajmniej nie słabnie: wstrętny, zdradziecki bachor właśnie zniszczył jej karierę i zrujnował życie. Ksawery odszedł, nie mogąc znieść takiej hańby, zapowiedział, że poszuka lepszego medium. Sam ją przecież stworzył, a teraz się wyrzekł, wyparł wszystkiego, jakby te lata nic dla niego nie znaczyły – przez Ilzydę. To dziecko jest przekleństwem, karą za grzechy młodości. Po co, ach po co, zostawiła ją przy życiu! Po co, ach po co, wzięła ze sobą! Anna-Ilza chwytą córkę za włosy, szarpie, ciska na podłogę, leżącą bije złożonym wachlarzem po głowie, rekach, nogach, gdzie popadnie, doprawia ciosy kopniakiem. Nigdy wcześniej nie sprawiła Ilzydzie porządnego lania, a należało się, oj, należało: za wszystko, za cały parszywy los. Dopiero gdy mała cichnie i przestaje się ruszać, Annie-Ilzie udaje się opanować. Nie, dziecku nic nie będzie, poleży trochę i zaraz dojdzie do siebie, dupa nie szklanka, jak mawiali mądrzy ludzie pod Częstochową, tymczasem trzeba się szybko spakować, by zdążyć na nocny pociąg. Ksawery zapowiedział, że gdy rano wróci do hotelu, ich ma już tu nie być. Zawsze, przez niemal dziesięć lat wspólnego życia, robiła, co kazał. Teraz też nie mieści jej się w głowie, że mogłaby nie posłuchać. Napisze do niego z Paryża, gdzie ma następny występ, do tego czasu złość na pewno mu przejdzie i przebaczy Annie i Ilzydzie. Może nawet, jak tylko dojadą, na dworcu czy w hotelu będzie czekał telegram od Ksawerego z wieścią, że już wszystko dobrze i właśnie wsiada do

pociągu, by do nich dołączyć? Anna-Ilza wybiega z pokoju, rzucając wachlarz na podłogę. Trzask.

Trzask. Odgłos łamanych fiszbinów przynosi odrobinę ulgi. Dorosła Ilzyda rozgniata wachlarz jak karalucha, wdeptuje w ziemię obcasem. Potem znów siada wśród rozsypanych na podłodze rupieci i, choć obiecywała sobie, że nigdy więcej, płacze. Tym razem z żalu. Nad sobą? Nad Anną? Złamanym wachlarzem? Podartą koronką? Rozumie matkę, niestety, zawsze rozumiała. Zdradziła ją. Nie dość, że skompromitowała swoim występem, to jeszcze, wzięta na przesłuchanie, przyznała się do wszystkiego, co było i czego nie było też: „Tak, jest córką hrabiny von Taffel. Tak, to ona zawsze była tym duchem, którego niby wywoływała, „materializowała” hrabina von Taffel. Tak, to ona, ubrana w fosforyzujące szatki – wystarczy wypłukać koszulkę w specjalnym roztworze, by jaśniała w półmroku – wymykała się spod matczynej spódnicy. Jest mała, chuda, ogólnie drobna, ukrywała się pod turniurą. Turniury hrabiny von Taffel zawsze były wyjątkowo duże, nawet jak na ówczesną zwariowaną modę, a spódnice wlokły się po ziemi. Tak, właśnie z tego powodu. Miały, matka i córka, opracowany specjalny sposób chodzenia, by nikt niczego nie zauważył. Wszystkie seanse były jednym wielkim oszustwem? Tak”.

Tym razem też udałoby się oszukać publikę, gdyby nie przekłeta, tresowana biała mysz, pupilka gospodarza, jak się później okazało. Wskoczyła Ilzydzie na ramię w najmniej odpowiedniej chwili i sprawiła, że zjawa w fosforyzujących szatach, zaczęła krzyczeć co sił w ziemskich płucach. Panie obecne na seansie wpadły w histerię i dołączyły do wrzasków, panom niewiele brakowało, jeden odważny chwycił Ilzydę za ramię i wyciągnął na światło dzienne.

Nazajutrz wiedeńskie gazety doniosły o wielkiej sensacji: odkryto ducha, który boi się myszy! Hrabina von Taffel jako medium wydawała się skompromitowana kompletnie i nieodwracalnie. W jej tłumaczenia, że Walter – osobisty astralny przewodnik, w nadprzyrodzony sposób przeniósł dziecko na seans, a ono przestraszone sytuacją zaczęło krzyczeć, nikt nie chciał wierzyć.

Ksawery, którego Ilzyda uważała podówczas za ojca, oświadczył publicznie, iż nic nie wiedział o podstępie i w równym stopniu co reszta uczestników fatalnego seansu czuje się wstrząśnięty. Gorzej nawet niż wstrząśnięty, bo boleśnie rozczarowany charakterem osoby, w której pokładał najgłębszą ufność i zraniony w swej naiwnej być może wierze w życie pozagrobowe. W związku z całym wydarzeniem wycofuje patronat nad hrabiną von Taffel. To powiedział publicznie, prywatnie zaś, że go zawiodły i ośmieszyły, że nie zamierza dłużej mieć z nimi nic wspólnego, ani jednej ani drugiej nie chce oglądać więcej na oczy, mają się wynosić z jego życia natychmiast, po czym sam wypadł z pokoju, trzaskając hotelowymi drzwiami aż posypał się hotelowy tynk i obluzowała

tabliczka z numerem. Wtedy Anna spoliczkowała dziewięcioletnią Ilzę wachlarzem, tym samym, który trzydziestosześcioletnia Ilzyda właśnie rozdeptała na kawałki.

Choć wachlarz niczym nie zawinił. To Ilza zawiodła matkę i ojca, to znaczy tego, kogo uważała za ojca; że jednak nim nie był, dowiedziała się dopiero w pociągu z Wiednia do Paryża.

Zdążyły na nocny ekspres. Anna spakowała rzeczy z podziwu godną szybkością – zawsze miała do tego dryg – zorganizowała dorożkę i ludzi do noszenia bagaży, postawiła córkę na nogi, otrzepała jej sukienkę, z lekkim wahaniem pogładziła po włosach. Gest skruchy? Ręka na zgodę? Ilza nie wyciągnęła swojej. Milczała, gdy jechały dorożką. Na dworzec wpadły niemal w ostatniej chwili, biegły po peronie, za nimi sznureczek bagażowych, którym, jak już rozlokowały się w przedziale, Anna rozdała uśmiechy zamiast napiwków. Ilza odwróciła twarz do okna i patrzyła w przesuającą się za szybą noc. Pierwszy raz jechała bez Ksawerego – bez taty. Na końcu podróży czekała wielka niewiadoma, a do końca życia poczucie winy.

W oknie wagonu, na tle atramentowej nocy, odbijała się Anna skulona w kącie przedziału. Gdy pociąg wyjeżdżał z Wiednia, schowała twarz w dłonie i siedziała tak przez dłuższy czas. Potem podniosła głowę, otarła oczy i aż do następnej stacji – może była to Praga, może Drezno – zasypywała Ilzydę wyrzutami, że wszystko przez nią. Trzeba mieć naprawdę podły charakter, być głupią, zepsutą, niewdzięczną dziewczuchą, by zrobić coś podobnego rodzonej matce. Może lanie, które Ilzyda dostała, nabije jej do głowy trochę rozumu, obudzi sumienie, naprawi zrobaczywiałe serce.

– Rozumiesz chyba, dlaczego musiałam cię zbić?

Jeśli szukała u Ilzy rozgrzeszenia, to się rozczarowała. Córka milczała.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Ilza odwróciła twarz od okna. Wysłuchiwała kolejnej porcji wyrzutów, nie próbując bronić się czy tłumaczyć. Zaraz po wpadce chciała przeproszać i wyjaśniać, ale nikt jej nie słuchał, ani matka, ani ojciec, nie miało znaczenia, co Ilzyda powie, teraz też nie ma. Po wygłoszeniu tyrady Anna znów zakryła rękami twarz i łkała do następnego przystanku. Pociąg zatrzymał się z przeraźliwym zgrzytem, wtedy drgnęła, powtórzyła te same wyrzuty co poprzednio, lecz już bardziej żalonym niż wściekłym tonem, popłakała trochę, powzdychała, zasnęła i na jakiś czas był spokój. Gdy matka spała, Ilzyda patrzyła w noc, a noc patrzyła na nią, prosto w jej czarną duszę.

– Nie śpisz? – spytała Anna, gdy za oknem zaczynał się szary świt. – W ogóle nie spałaś?

Ilzyda potrząsnęła głową.

– Jakaś ty blada, dziecko – matce najwyraźniej złość już przeszła i zrobiło się Ilzy żal. Pogłaskała ją po policzku. Co było to było, trzeba patrzeć w przyszłość, zawsze to powtarzała. – Nie martw się. Damy sobie radę, zobaczysz. O czym myślisz?

– O tacie – odparła cicho Ilzyda. – O tym, że mnie nie chce.

Wyrzekł się jej.

– Ksawery nie jest twoim prawdziwym ojcem – odpowiedziała Anna, myśląc, że ją tym pociesza. – Twój prawdziwy ojciec nigdy by się ciebie nie wyrzekł. Ani mnie, tym bardziej.

W pociągu do Paryża pierwszy raz opowiedziała Ilzydzie o hrabim Walterze. Wprawdzie umarł, niestety, lecz jego duch nie opuścił ukochanej żony, czuwa nad nią, jest jej przewodnikiem i orędownikiem w duchowym świecie. To właśnie dzięki zmarłemu mężowi, tatusiowi Ilzydy, Anna potrafi nawiązać kontakt z duszami z zaświatów i przekazać żywym posłanie od tych, co odeszli.

Ilza pomyślała wtedy niewdzięcznie, że prawdziwy tatuś mógłby się bardziej starać, gdyby się lepiej starał, jego córka nie musiałaby walczyć z wiedeńskimi szczurami. Nie powiedziała tego głośno, oczywiście, że nie.

W następnych latach, gdy podróżowały we dwie po Europie, nigdzie nie zagrzewając miejsca, Anna powtarzała historyjkę o hrabim Walterze jeszcze parę razy. Choć szczegóły zmieniały się (na przykład oczy hrabiego: brązowe i cudownie łagodne, kiedy indziej niebieskie, przenikliwe i skrzące się energią), Ilza zawsze wierzyła – matka mówiła tak przekonująco.

Opowiadała o „rodowym” zamku ukrytym gdzieś w dzikich górach na południu, o niegodziwym stryju, który zagarnął spadek piętnastoletniej sieroty, a następnie chciał zmusić do poślubienia starego i łysego właściciela sąsiedniego majątku. Anna Eudora uciekła z zamku i błąkała się po lesie jak królowna Śnieżka, a był to dziwny las: pełen wysokich buków porastających skały o dziwacznych kształtach i diabłów siedzących w kamiennych szczelinach, czyhających na nieostrożnych podróżnych. Nie wiadomo, co by się stało z zagubioną dziewczyną, gdyby nie spotkał jej szlachetny, przystojny młodzian, hrabia von Taffel, który akurat polował na zające, lisy, jelenie, mama już nie pamięta na co, i poślubił. Szczęście nowożeńców trwało jednak krótko. Młodego hrabiego dosięgła podczas polowania zbłąkana kula, bez litości przecięła nić młodego żywota. Wdowie z dzieciątkiem w łonie, czyli Ilzydą, kazano iść precz, bo z papierami coś było nie w porządku, panienci z arystokratycznych rodzin nie miały głowy do takich rzeczy, akt ślubu został z parafii wykradziony i zniszczony, a ksiądz, który tego ślubu udzielał, zapewne zabity.

Że to wszystko bzdura wyssana z niemytego palca, Ilza dowiedziała się dopiero od Helmuta i nie przebaczyła mu tego nigdy, straciła wtedy ojca drugi raz. Nie był nim Ksawery, ani Walter von Taffel, więc kto? Tyle lat wierzyła w hrabiowską bajeczkę – co za wstyd. Na pociechę mówiła sobie, że przecież nie ona jedna, nabierało się wiele osób. Anna Taffel umiała niezwykle przekonująco opowiadać, zapewne dlatego, iż sama święcie wierzyła w swoje opowieści. Miała pecha, a może w jej sytuacji było to szczęście, że z trudem odróżniała tworzone przez siebie fantazje od rzeczywistości. Wspominając nieistniejącego Waltera von Taffel, miała w oczach najprawdziwsze łzy.

– Jego śmierć była dla mnie niewyobrażalną wprost tragedią – łkała, zakrywając twarz chusteczką i wzbudzając głębokie współczucie rozmówców. – Na dodatek przeżyłam taki straszny dramat w bardzo młodym wieku, bo wyjątkowo wcześnie wyszłam za mąż. Właściwie sama byłam jeszcze dzieckiem, gdy wydałam na świat dziecko.

A ono już od urodzenia, a nawet poczęcia, skomplikowało Anny życie. Jeszcze większym balastem stało się, gdy zaczęło dorastać i z trudem mogło uchodzić za potomka „dwudziestodwuletniej” hrabiny. „Małe dziecko – mały kłopot, duże dziecko – duży kłopot” mawiali mądrzy ludzie pod Częstochową. Coraz częściej dobiegały Annę Eudorę komentarze typu: „przecież nie może być taka młoda, jak mówi, skoro jej córka to już prawie panienka” albo „na pewno nie jest pierwszej młodości, wystarczy popatrzeć jakie ma wyrosnięte dziecko”.

Hrabina von Taffel przez jakiś czas głosiła, że Ilzyda Filomena wcale nie jest jej córką, tylko zmaterializowaną podczas seansu astralną sierotą, która nie chce wracać w zaświaty. Adoptowała ją więc i przyucza z powrotem do ziemskiego żywota. Ale w tę historyjkę nie chcieli wierzyć nawet naiwni, dociekliwi zaś próbowali wypytywać Ilzydę o szczegóły pośmiertnej egzystencji. Wtedy Anna czym prędzej wycofała się z koncepcji astralnej adopcji – ot, po prostu spirytystyczny żarcik – i przestała, w miarę możliwości, pokazywać się z Ilzą publicznie. A także, co oczywiste po wiedeńskiej wpadce, nigdy już nie zabierała ze sobą na seanse.

Na długie godziny zostawiała samą, przykazując, by nie ruszała się z miejsca i siedziała cicho. Porzucała jak popsutą zabawkę. Jak brzydką lalę, sadzała to tu, to tam, byle nie na widoku.

Ani razu Anna Eudora nie powiedziała córce, że jest ładna, choć przecież każda nawet pozbawiona próżności, dorastająca dziewczyna potrzebuje to usłyszeć. Zaiste, pod względem urody trudno równać się z hrabiną von Taffel, którą wielbiciele nazywali „Afrodytą spirytyzmu” i najpiękniejszym medium świata, ale czy trzeba było tę przewagę wciąż podkreślać?

– Moja szara gąszo – mawiała Anna do Ilzydy. – Nigdy nie będziesz tak piękna jak ja. Owszem, jesteś ciut podobna, z tym że masz w sobie coś pospolitego, no i brak ci iskry. Nie wspominając już o wdzięku. Powiedz, dlaczego tak niezgrabnie się ruszasz? Patrz na mnie i ucz się.

Tanecznym krokiem żeglowała przez pokój.

Jednocześnie zazdrościła Ilzydzie pełnych policzków i niewinnych ust.

Jak wybaczyć? Jak wybaczyć?

W Paryżu Anna Eudora von Taffel zaszczyciła swą obecnością kilka spirytystycznych zebrań; na szczęście wieści o wiedeńskiej kompromitacji nie dotarły tu jeszcze. Mimo to nie ryzykowała i już nie „materializowała”, co najwyżej używała głosu rozmówcom z zaświatów. Z Paryża słała też listy do Ksawerego, pełne skruchy i miłosnych wyznań. Czytała je Ilzydzie, pytając, czy dobrze napisane, tak jakby dziewięcioletnie dziecko mogło mieć o tym jakieś pojęcie. Wiele dni czekała na odpowiedź, która nigdy nie nadeszła.

Ilza obserwowała, jak w matce gaśnie nadzieja i rośnie obawa. W niej samej podobnie, ona też czekała. Mimo rewelacji z pociągu nie była w stanie ot tak, w jednej chwili wyrzec się Ksawerego, jak on – najwyraźniej – wyrzekł się jej. „Prawdziwy tatuś” wciąż pozostawał figurą abstrakcyjną albo, co gorsza, podejrzanym bytem subtelnym wprawiającym w ruch karty, talerzyki i stoliki, zaś Ksawery, wręcz przeciwnie, długo jeszcze pozostawał najzupełniej rzeczywisty. Choć niezbyt serdeczny i wylewny, troszczył się o Ilzydę, odkąd sięgała pamięcią. W pociągu do Paryża straciła go zupełnie, dowiedziała się, że nie ma do tego mężczyzny żadnych praw. Z czasem wspomnienia o Ksawerym zblakły, dorosła Ilzyda właściwie już go nie pamięta, nie potrafi sobie przypomnieć jak wyglądał, wie tylko, że kiedyś był, a potem, nagle, już go nie było.

W końcu Anna musiała spojrzeć prawdzie w oczy: on nie wróci, trzeba znaleźć kogoś innego. Seanse nie stanowiły pewnego źródła utrzymania, a zresztą jak kobieta – słaba, wrażliwa, idealistka – ma poradzić sobie sama na tym najbardziej bezlitosnym ze światów? Zdrada Ilzydy zmusiła hrabinę von Taffel do szukania nowego protektora. Wychodziło jej to raz lepiej, raz gorzej, a gdy już „wpędziła się w lata”, zdecydowanie źle: romanse coraz krótsze, mężczyźni coraz bardziej skąpi i nieprzyjemni.

Po Ksawerym żadnego „opiekuna” nie udało się utrzymać na dłużej niż parę miesięcy, wyjątkiem był Norbert Sydoff, z nim sprawa zapowiadała się obiecująco.

– Im więcej uwagi, tym mniej cudów – powiedział surowo, gdy spotkali się pierwszy raz. Patrzył na Annę z góry.

– Pański zimny, trzeźwy umysł mnie zabija – szepnęła w odpowiedzi. Niebieskie, szeroko otwarte oczy spotkały się z szarymi, coś drgnęło, coś się między nimi zawiązało i przez ponad rok Anna nie miała powodów, by narzekać na sceptycyzm Sydoffa, przynajmniej w stosunku do jej osoby. Otoczył kochankę zbytkiem, nawet luksusem. Oddał do dyspozycji wytwornie umeblowaną willę, nie skąpił pieniędzy na stroje i inne, potrzebne kobietom drobiazgi. Szkopuł tylko w tym, że, poza domowym zaciszem, Anna niespecjalnie miała gdzie się w nowych, wspaniałych kreacjach pokazać. Sydoff nie aprobował jej znajomych, zakazał udzielania się na seansach, nalegał, by wiodła spokojne życie przyzwoitej utrzymanki. Taka osoba nie utrzymuje kontaktów z niemoralnym towarzystwem, a w porządnym też nie ma czego szukać.

Już po paru miesiącach Anna miała dość izolacji i jednostajnej, choć dostatniej egzystencji. Do czego to wszystko doprowadzi? Sydoff kiedyś się nią znudzi, to pewne, mężczyźni już tacy są, przedłużająca się nieobecność na spirytystycznej scenie sprawi, iż hrabina von Taffel wypadnie z niej na amen. Miejsce Anny Eudory ochoczo zajmą młodsze media, tylko na to czekają, już czyhają. Ona sama zaś zniknie z ludzkiej pamięci, może nawet i duchy o niej zapomną. Z tych wszystkich obaw zwierzała się Ilzydzie, bo nie miała komu. Zaprenumerowała wszystkie dostępne po francusku dzienniki, codziennie po śniadaniu wyszukiwała w nich wieści o sukcesach znanych mediów i udanych debiutach, denerwując się przy tym niepomrotnie. Przeklinała oszustki udające spirytystki. Nienawidziła pani Bławackiej. Nienawidziła pani King. Panią Dowe wręcz przebiłaby sztyletem, gdyby tylko ją spotkała. Gorączkowała się też doniesieniami o konkietach sławnych „artystek”, oburzała na kokoty ochrzczone przez dziennikarzy pożeraczkami brylantów.

– Czy wiesz, ile klejnotów przywiozła z Rosji La Belle Otero? Wyobrażasz sobie?! – mówiła do Ilzydy, machając rękoma z oburzenia. – Takie bogactwo! W gazetach aż o tym piszą. A my tu tkwimy. Ach, dlaczego nie pojechałyśmy do Rosji?! Mam dość tej pustelni! Jedźmy do Rosji, choć nie, tam teraz zimno, jedźmy do Rzymu!



Lecz nie zabierała się do pakowania. Lektura dzienników zdawała się pochłaniać całą jej energię, przez resztę dnia snuła się apatycznie po mieszkaniu bez zajęcia, wychodziła do ogrodu, po chwili wracała z ogrodu, brała do ręki książkę, po minucie czy dwóch rzucała ją na stolik lub podłogę, otwierała fortepian i wystukiwała palcem kilka dźwięków, potem z hukiem spuszczała kłapę, wachała kwiaty i perfumy, przebierała się na okrągło, przybierając pozy przed lustrem zastanawiała się, czy ładniej jej w różowym czy błękitnym.

Co wieczór o tej samej porze – lubił uregulowany tryb życia – przychodził Norbert Sydoff i hrabina czyniła wielkie wysiłki, by powściągnąć zły humor. Jej rozdrażnienie było jednak zbyt trudne do ukrycia, a że Sydoff nie pojmował, czego jeszcze kobiecie potrzeba do szczęścia, zarzucał Annie niewdzięczność.

Gwoździem do trumny ich związku był dzień, w którym przyszedł nietypowo, bo w południe i bez zapowiedzi, służba zaś powiedziała, że pani

niedysponowana. Podejrzewając wizytę innego kochanka, wbiegł na piętro mimo nieśmiałych protestów pokojówki, Ilza z dziecięcej ciekawości pobiegła za nim. Otworzył drzwi do sypialni i w pewnym sensie zastał Annę z kochankiem. Leżała na łóżku z zamkniętymi oczami i podciągniętą koszulą, ręce trzymała między udami, drgała, dyszała, jęczała: „Walterze, och Walterze”, po policzkach ciekły jej łzy. Norbert Sydoff patrzył na tę scenę z niedowierzaniem, po minucie cicho zamknął za sobą drzwi, tak cicho, że Anna nawet nie zauważyła krótkich odwiedzin. Nigdy już nie wrócił – przesłał list, że wszystko skończone, a czynsz za dom opłacony na miesiąc z góry. Hrabina dzielnie zebrała córkę i bagaże, z podziwu godną szybkością sprzedała umeblowanie, które nie było jej, tylko Sydoffa, następnie wyjechała, nie do Rosji, bo tam zimno i nie do Rzymu, bo tam nie знаła nikogo, ale przez Paryż do Lizbony, gdzie, jak jej się wydawało, mogła w tej chwili przebywać jej prawie przyjaciółka Miss Vanessa Cute.

W Lizbonie zostały okrążyły rok, choć Vanessy tam nie było. Sprawy świetnie się ułożyły, przynajmniej na początku. Już pierwszego dnia, gdy Anna z Ilzą wyszły na pałace portugalskie słońce i zaczęły wspinać się na wzgórze do starej katedry – hrabina von Taffel uwielbiała średniowieczne pozostałości i zwiedzała je przy każdej możliwej okazji, ciągnąc za sobą Ilzydę – natknęły się na dystygowaną panią w żałobie. Dama zmierzała w tym samym co one kierunku, weszła do kościoła i usiadła w ławce, chwilę potem wstała, poszła główną nawą, zawróciła, przeszła w boczną nawę, uklękła przy ołtarzu, wstała, uklękła, wstała, wyszła z katedry i zaczęła spacerować po przylegających do niej krużgankach. Wyglądała na zagubioną i nieszczęśliwą, więc po krótkim wahaniu Anna, przepaszając za śmiałość, odważyła się ją zaczepić. Bo wprawdzie nie zostały sobie przedstawione („Przy okazji, pani pozwoli, jestem hrabina von Taffel, zapewne słyszano tu o mnie, sławne medium, świeżo po paryskich sukcesach, zatrzymywali mnie siłą, ale czułam, po prostu czułam, że muszę jechać do Lizbony”) i nie widziały się wcześniej, lecz pewien duch polecił Annie przyjść dziś rano do katedry i napotkanej tam pięknej damie w żałobie przekazać wiadomość. Pochodziła od osoby, zmuszonej ten padół łez opuścić i brzmiała: „Ukochana bądź dzielna, spotkamy się w niebie, uważaj na pająki i mężczyzn, którzy mają różnokolorowe oczy”. Poprzednim razem, gdy Anna ośmieliła się przekazać podobny telegram z zaświatów nieznannej kobiecie w żałobie napotkanej w hotelu w Zurychu, miała pecha: okazało się, że żałobnicy zmarła jedynie znieawidzona teściowa. Tym razem medium dopisało szczęście: adresatka pochowała niedawno męża, do którego, mimo wielu jego wad, była całkiem przywiązana, pajaków bała się całe życie, a już zupełnym fuksem był fakt, że różnokolorowe oczy miał brat męża, który kwestionował korzystny dla wdowy testament. Żądna dalszych wskazówek z zaświatów Lucilla da Piedade

Dias dos Santos wprowadziła Annę Eudorę do najlepszego lizbońskiego towarzystwa.

Korzystając z przychylności owej damy i regularnie przekazując kolejne ostrzeżenia od drogiego zmarłego, hrabina von Taffel żyła w Portugalii jak u Pana Boga za piecem i nawet nie musiała w tym celu nóg rozkładać. Radziła sobie finansowo bez protektora. Poza tym portugalscy mężczyźni mieli wprawdzie piękne czarne oczy, ale byli zbyt przyziemni jak na jej gust i nieskorzy do otwierania sakiewki. Za to ich żony, matki, siostry i kochanki wysoko ceniły pośrednictwo Anny między żywymi a tymi, którzy osiedli w Krainie Wiecznego Lata i chętnie oraz słono, płaciły za wieści.

Hrabinę bez problemu stać było na wynajęcie eleganckiego, czteropokojowego apartamentu w centrum miasta przy placu, na którym stał konny pomnik jakiegoś kondotiera. Ilzyda, zostawiana sama w mieszkaniu, z nudów godzinami wyglądała przez okno. Zastanawiała się, kim był ów bohater, dlaczego nikomu nie przeszkadza, że gołębie bez szacunku robią mu ciągle na głowę i czy w ogóle warto zabiegać o sławę na tym świecie. Prócz patrzenia na plac i ulicę, rozmyślania o wzniosłych rzeczach i sensie życia, czytała francuskie powieści, które Anna specjalnie dla niej pożyczyła od Lucilli, uczyła się portugalskiego od pokojówki i wyszywała krzyżykami. Hrabina w owym czasie radośnie udzielała się towarzystwo albo prowadziła seanse.

Jedynym cieniem w tej słonecznej krainie powodzenia był szwagier Lucilli, ów łajdak o różnokolorowych oczach, który głośno nie dawał wiary wieściom z zaświatów. Zirytowane zaświaty odwdzięczyły mu się coraz bardziej kompromitującymi doniesieniami na jego temat, a gdy zasugerowały, że być może maczał palce w zgonie brata, miarka się przebrała: Pedro Dias dos Santos zawiadomił policję: niech cudzoziemska przybłęda żerująca na babskiej naiwności nie sądzi, że rozpowszechnianie oszczerstw uchodzi w tym państwie płazem. Tak powiedział, a życzliwa osoba czym prędzej doniosła hrabinie. Aby uniknąć niepotrzebnych nieprzyjemności, Anna Eudora postanowiła bez zwłoki wyjechać z Lizbony i w ogóle z Portugalii. Opuszczała kraj bez większego żalu, bo choć piękny, a ludzie – przeważnie – mili, to i tak jej niespokojny duch nie mógł już dłużej wysiedzieć w jednym miejscu i sam wyganiał Annę w świat. Rozstaniu z lizbońską protektorką towarzyszyły obfite łzy obu pań, zapewnienia o najczulszej przyjaźni, duchowej więzi, której żaden *canalha* nawet z pomocą całej *policia* Portugalii przeciąć nie zdoła, dozgonnej obustronnej pamięci, wdzięczności, regularnej korespondencji etc, etc. Ilzyda stała obok sterty walizek, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Serdecznie fałszywe ćwierkanie zawsze działało jej na nerwy. W końcu Lucilla da Piedade Dias dos Santos i hrabina von Taffel wypuściły się nawzajem z objęć i otarły załzawione oczy. Czas ruszać w drogę.

Zaopatrzone w zabytkową szesnastowieczną wazę na pamiątkę (trochę się obtłukła po drodze) i listy polecające do kuzynów Lucilli z Bilbao, Anna i Ilzyda udały się statkiem do Hiszpanii, jednakowoż tam nie dotarły, gdyż na pokładzie hrabina poznała lorda Cavendish, który zaprosił ją do wiejskiej rezydencji w południowej Anglii. Hiszpania nie ucieknie, zdecydowała Anna, i w rezultacie wylądowały w Kornwalii, gdzie zresztą też było ładnie, a Ilzyda miała szansę nauczyć się angielskiego.

Gdy lato się skończyło, hrabina została grzecznie, po angielsku wyproszona z rezydencji, lecz nie zabolowało jej to mocno, bo w gościnie u lorda Cavendish zdążyła już poznać bliżej – nawet bardzo blisko – kolejnego uroczego Anglika. Mimo iż chodziły słuchy, że ma on nie tylko żonę, ale i dwie stałe kochanki, Anna przeprowadziła się do Londynu i ochoczo zajęła stanowisko trzeciej. Wkrótce jednak na scenę wkroczyła kolejna kandydatka, wtedy hrabina uniosła się honorem (bo cztery na raz to naprawdę już przesada urągająca wszelkiej przyzwoitości) i z właściwą sobie klasą i godnością opuściła Anglię, udając się do Ostendy.

Wędrowny tryb życia miał swoje zalety: Ilza widziała wiele miast, choć głównie przez okno, i nauczyła się kilku języków obcych. Z łatwością zapamiętywała słowa i ich znaczenie, przyswajała szybko wymowę, niekiedy niestety gminną, bo jej nauczycielkami były przeważnie służące i handlarki. Matka nie miała takiego talentu do języków jak córka; prócz ojczystego polskiego znała trochę rosyjski i przyzwoicie mówiła po francusku (Ksawery ciężko się nad tym napracował). „Dla elegancji” wtrącała do konwersacji angielskie zwroty zapożyczone od znajomego lorda, a dla wywołania wrażenia jakieś „chrum-sium-szan”, z pełną powagą utrzymując, że to po chińsku, w dialekcie z dalekiej północy. Dialektu owego nauczyła się ponoć, studiując w buddyjskim klasztorze nauki tajemne. Nie, nie spotkała tam pani Bławackiej – widać musiały przebywać w innych klasztorach.

Oprócz języków obcych Ilza była lepsza od Anny w ręcznych robotach. Matka nie potrafiła nawet utrzymać w palcach igły, w dodatku wszystko pruła, dziurawiła i rozrywała. Córka cerowała, zszywała, próbowała dbać o porządek i zachowywać kamienny spokój.

Przez niemal dziesięć lat – od wiedeńskiej wpadki aż do zamążpójścia, z przerwą na pobyt w klasztorze, Ilzyda towarzyszyła Annie, gdy ta gorączkowo zmieniała protektorów i adresy, wyłudzała pieniądze, traciła pieniądze, zastawiała, co miała, rzucała się przez sen, powtarzała jak buddyjską mantrę:

– Nie wolno stać w miejscu, nie wolno stać w miejscu. Och, Ilzuniu, kochanie, musimy szybko przebierać nogami, bo biegamy po cienkim lodzie.

Jeśli już się gdzieś w tym biegu zatrzymywały, to w hotelach, pensjonatach, wynajętych pokojach i często wyjeżdżały, nie zapłaciwszy rachunku. Anna starannie zacierała za sobą ślady i myliła tropy. W roli ściganej, acz wymykającej się zwierzyny była świetna, zupełnie jednak nie sprawdzała się jako drapieżnik. Każdego z napotkanych mężczyzn próbowała wystrychnąć na dudka, lecz w ostatecznym rozrachunku to ona zawsze była przegrana, zarówno gdy w grę wchodziły uczucia, jak i gotówka.

Nigdy, z wyjątkiem Sydoffa, nie udało jej się upolować grubszej ryby. Owszem, mówiono, że jest piękna, nazywano zjawiskiem, aniołem, eteryczną czarodziejką, Afrodytą spirytyzmu, dobrą wróżką nawet! Podziwiano błękit oczu i złoto włosów, grację postawy, śmiech jak srebrne dzwoneczki, lecz na czar tego wszystkiego łapały się płotki, które w dodatku szybko urywały się z wędki. I nie pomagały aktorskie talenty Anny Eudory: potrafiła zalać się łzami na zawołanie i zasłabnąć od ręki. Ale co z tego.

– Mężczyźni to padalce – mówiła po każdym kolejnym zakończonym romansie. Zrobili z niej tanią utrzymankę, podczas gdy ona, biorąc sobie kochanka, zawsze miała nadzieję, że to właśnie Ten Jedyny, ostatni i na zawsze.

Nienawidziła też sklepikarzy, hotelarzy i wszelkiego sortu kupieckich pijawek. Podłe, ograniczone duchowo, przyziemne kreatury nie raz i nie dwa śmiały potraktować hrabinę von Taffel jak złodziejkę. Naprawdę chętnie spłaciłaby wszystkie długi, co do centa, gdyby tylko miała jakieś centy. Żyje na kredyt, bo musi przecież jakoś żyć. Odkąd Ksawery publicznie się od niej odciął (przez Ilzydę) i opuścił (przez Ilzydę), została zmuszona do radzenia sobie na własną rękę i o własnych niewieścich siłach. Nie poddała się i nie uległa rozpaczcy tylko dlatego, że duchy ją wspierają i na nią liczą.

Jeszcze gorsi od chciwych sklepikarzy i wiarołomnych kochanków byli ci, którzy szkalowali hrabinę von Taffel jako medium, uważali za awanturnicę i oszustkę, podczas gdy ona całym sercem wierzyła w Krainę Wiecznego Lata.

– To prawda – z tym punktem monologu Ilza się zgadzała. Ona sama z natury, może z przekory, była przyziemna; aż do przyjazdu do Hole am Meer nie odbierała żadnych komunikatów z zaświatów, duchy, jeśli nawet coś do niej mówiły, szybko dawały za wygraną. Jednak uczciwie mogła potwierdzić, że matka naprawdę wierzyła w spirytyzm, a za Waltera dałaby się zabić, na szczęście Walter nie wymagał takich ofiar. W ogóle nie wymagał ofiar, za to był nieludzko kapryśny, raz przychodził, raz nie. Miał za zadanie odnajdywać poszukiwane duchy i sprowadzać je na seanse, tymczasem traktował swoje obowiązki lekko i wybiórczo. Ilza nie musiała uczestniczyć w seansie, by wiedzieć, czy się udał. Jeśli matka wracała z wypiekami na twarzy, a ręce lekko

jej się trzęsły, znaczyło to, że astralny opiekun znów wystawił ją do wiatru i pozostawił własnej, skądinąd bogatej imaginacji.

Czasem przychodziła szczęśliwa. Wtedy Ilzyda i tak była przekonana, że hrabina von Taffel wszystko, co plecie o zaświatach, wymyśla, choć niekiedy sama nie wie, że wymyśla. Bo nie ma duchów, są tylko błaga, fantazja i tanie sztuczki, taplające się pospołu w bajorze moralnej zgnilizny. Mrzonki i kłamstwa, kłamstwa i mrzonki – szesnastoletnia Ilzyda powiedziała to kiedyś głośno i dostała po głowie.

Teraz żałuje, że nie uważała, gdy Anna próbowała materializować i wzywać subtelne byty. Trzeba hrabinie przyznać: ćwiczyła niezmordowanie, wciąż rysowała kredą na hotelowych podłogach magiczne kręgi, które w dniu wyjazdu córka pośpiesznie ścierała mokrą szmatą.

— • —

Ilza budzi się, gdy za oknem wciąż, a może znów, jest ciemno. Zasnęła na podłodze obok kupki wystrzępionych piór, które kiedyś były modnym „boa”, z głową wspartą o tłumok wymiętej tafty. Wstaje i nogi się pod nią uginają, mimo snu jest zmęczona i strasznie słaba. Kiedy ostatni raz coś jadła?

Pokój, zarzucony rzeczami wywalonymi z szafy, szafek i kufrów, wygląda jak po rewizji. Na łóżku stos ubrań zwieńczony sztucznymi perłami, na fotelach naręcza szali, po podłodze walają się kapelusze, buty, dziesiątki nikomu niepotrzebnych drobiazgów, dwie chusteczki z monogramami, które nic a nic Ilzie nie mówią i przybrudzona, z dziurą na małym palcu rękawiczka, którą dobrze pamięta. Od lat bez pary. Pogniecione kwiatowe stroiki – podczas licznych perypetii zgubiły część jedwabnych płatków. I coś czerwonego: aż pod okno potoczył się odpustowy pierścionek z fałszywym rubinowym oczkiem. Migocze w świetle księżyca, gdy Ilzyda wkłada go na palec.

– Jest piękny – wzdycha Anna-Ilza. Z tym pierścionkiem wiąże się tak wiele wspomnień. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, gdy tylko ojciec jej go dał.

– Dla mojej kasztelanki – zażartował wtedy, ale oboje wiedzieli, że to nie do końca żart. Bo wprawdzie kupiony na odpuście i zamiast drogiego kamienia miał w sercu szkiełko, mimo to pierścionek przypominał utracone dziedzictwo, podobny, tylko z prawdziwego złota i z prawdziwym rubinem, nosiła kasztelanka Anna von Taffel. Wracając furmanką do domu, praprawnuczka kasztelanki pisała palcem w powietrzu, wtedy czerwone oczko płonęło w słońcu i naprawdę łatwo było udawać, że odzyskała rodowy skarb. Oczywiście ktoś, nawet nie jeden ktoś, gapił się jak Tąflówna bez sensu wywija ręką i w dodatku gada sama do siebie,

ludzie znów będą mówić, że wariatka – po ojcu, który nabił dziewczynie głowę różnymi bzdurami. Nie dość, że sam czyta, to jeszcze córce, bądź co bądź kobiecie, pozwala. Książki, wiadomo, potrafią nie tylko słaby niewieści rozum zmącić, przez nie stary Tafel na okrągło roi o wspaniałej przeszłości rodziny, rodu, jak się po pańsku wyraża, twierdzi, że górujący nad wsią zamek należał kiedyś do jego przodków, dawno temu, kiedy jeszcze nazywali się von Taffel. Jednak nawet najstarsi ludzie we wsi nie pamiętali, by kiedykolwiek żyła tu taka rodzina. Co więcej, ksiądz proboszcz jej w rejestrach nie miał. Mimo wszystko Tafel dalej twierdził, że pochodzi z wielkiego i wspaniałego rodu, który nawet u królów i cesarzy poważanie miał, a potem tak podupadł, że ludzie zaczęli traktować szlachetnie urodzonych jak chłopów, przerobili ich na Tąflów. Z zamku zostały tylko ruiny.

Anna zawsze chętnie słuchała historii o przeszłości rodziny i była pewna, że wszystko święta prawda, mimo że brat i siostra ojca, a także jego druga żona – zwłaszcza ona – słysząc te opowieści, kręcili głowami, wznosili oczy do nieba i mruzcili pod nosem „banialuki, banialuki”.

Dom Tąflów stał na stoku wzgórza, w połowie drogi między zamkiem na szczycie a rozciągającą się u podnóża wsią. Gdy wracali z jarmarku, żona ojca wyszła im na spotkanie. Nie mogła się już doczekać, by znów naskarżyć na pasierbicę: czego ta w domu i obejściu nie zrobiła, a miała; zamiast pracować, wymknęła się cichaczem, brat szukał jej w zamku, bo tam na ogół lata, ale okazało się, że pojechała z ojcem na targ. Z tej dziewczuchy nic dobrego nie wyrośnie, jeno latawica. Teraz jazda zagonić krowy z pastwiska.

Macocha w swym chłopskim ograniczeniu nigdy nie była w stanie pojąć, że praprawnuczka kasztelanki nienawidzi gospodarstwa: gotowania, prania, dojenia – dotykanie krowich wymion za każdym razem przejmowało Annę dreszczem obrzydzenia. Zbierało jej się na wymioty, gdy musiała kurom kupry macać i w ciepłych jeszcze odchodach brudziła palce. Żadna też z niej kucharka – przypalała nawet jajka na twardo. Kochała za to książki i miała zamiar zostać aktorką, choć powiedziano jej już, że to zgroza i śmiertelny grzech.

Ubrana romantycznie jak panna z miasta, inaczej niż wiejskie dziewczyny, Anna Tafel trzymała się od nich z daleka. One z kolei wyśmiewały się z praprawnuczki kasztelanki i przezywały wioskową wariatką. Macocha przyznawała im rację: proszę, do czego doprowadziło ojcowskie pobażanie – no i to czytanie! Ona sama zniechęciła już wszystko co wydrukowane, najchętniej wrzuciłaby książki do pieca; niczego mądrego pasierbica się z nich nie nauczyła, wyrosła na głupszą niż te, które nie umieją ani a, ani be, książki tylko podsyciły i tak już zbyt wybujałą wyobraźnię dziewczyny. W ogóle po kiego licha czytać; co trzeba wiedzieć o świecie, powie ksiądz w niedzielę z ambony. Tąflową

korciło, by spalić zwłaszcza szczytane do szczytu powieściidła jakiegoś bezbożnego cudzoziemca, heretyka z Anglii, zdaje się. Jednak nie mogła, bo mąż by ją prześwięcił, trzeba mu przyznać, że rzadko rękę podnosił, ale jak już podniósł, to ciężką miał. „Po kiego w ogóle za niego wyszła?”, skarżyła się sąsiadkom. Przecież kuma ostrzegła, że w tej rodzinie wariactwo dziedziczne. Stary Tąfel też miał się za lepszego od innych, bredził, że jest szlachtą, jak kiedyś w karty jałówkę przegrał, to na nic się zdały prośby żony, krowę oddał, bo tu „o jego szlachecki honor szło”. Syn starego już nawet nie tylko za szlachtę, a nawet za hrabiego się uważał. Zawrócił jej w głowie, bo inteligenta udawał. I co przyszło z całej tej inteligencji? Co z tego mieli? Choć o jedną krowę, co tam krowę, choć o jedną kurę więcej?! Prawda, że Tąfel jako jeden z niewielu we wsi potrafił czytać i pisać, mimo to gromada go nie szanowała. Nie poważano Tąfla, bo rozum mu się pomieszał i gadał od rzeczy.

– Nieprawda! – Anna zawsze broniła ojca, choć nie wolno jej było wtrącać się w rozmowy dorosłych i nie raz oberwała za to ścierką.

– Jak nieprawda?! – zaperzała się macocha. – Kiedyś oznajmił, że w poprzednim życiu był rycerzem. Słyszał no kto coś podobnego?! W poprzednim życiu! Ksiądz proboszcz prawie go jako heretyka wyklął. A dziedzic śmiał się do rozpuku, że będzie teraz musiał Tąfla jako równego sobie do kompanii przypuścić i do dworu zapraszać.

Sąsiadki współczuły Tąflowej: taka porządna kobieta, świetna gospodyni, a ślubnym węzłem z wariatem związana, jeszcze jego leniwą córeczkę z wcześniejszego ożenku karmić musi. Ta zaś włóczy się Bóg wie gdzie, zamiast zabrać się do roboty, nawet młodszego rodzeństwa – a tego drobiazgu w chałupie sporo, bo sześcioro – nie przypilnuje. Skaranie boskie z tą dziewczuchą, lata i lata, w końcu ktoś jej bachora zrobi i na tym się skończy.

Ciekawe, co powiedziałby ksiądz proboszcz, gdyby córka Tąfla zdradziła, że rozmawia z duchami? Wykląłby czy wyśmiał? Anna nie mówiła o tym jednak nikomu, jakoś nie mogła, nawet ojcu. Duchy czuła od dziecka: trzymały się kurczowo starych płotów, za nic nie chciały puścić, uporczywie tkwiły na przyzbach, wzbraniały się przed opuszczeniem znajomych progów i wędrownką w nieznane. We wsi było ich kilkoro, nieszkodliwych, ale nudnych – w kółko mamrotały to samo. W zamku roіło się od zjaw o wiele ciekawszych niż wiejskie, niekiedy niemal tak żywych i realnych jak praprawnuczka kasztelanki we własnej osobie.

Uciekając od domowych obowiązków i zrzędzenia macochy, Anna biegła na wzgórze. To było jej ukochane miejsce, znała tu każdy kamień. Chodząc po ruinach, wyobrażała sobie zamek, jakim był za czasów świetności: lśniący od złota, srebra, zwierciadeł i drogich kamieni. Bardzo pragnęła zobaczyć

prawdziwe zamkowe komnaty, sprawdzić, czy różnią się czymś od tych, które malowała jej wyobraźnia. W spacerach po zamku towarzystwa dotrzymywały Annie duchy, ciągnęły za nią całą chmarą, wśród nich był Walter von Taffel zabity w młodym wieku, w podłej zasadzce lub nierównym pojedynku (praprawnuczka kasztelanki nie mogła zdecydować, która z wersji brzmi romantyczniej), zawsze uprzejmy i wytworny, zupełnie inny niż pryszczate wiejskie wyrostki, które zaczepiały dziewczyny, wołając: „te panna, pokaż co tam masz”, albo i gorzej.

– Mój Walter – uśmiecha się Anna-Ilza, obracając na palcu pierścionek. Dla niej opuścił rodzinny zamek. Towarzyszy hrabinie von Taffel wszędzie, gdzie rzuci ją los, choć nie przez cały czas: przychodzi i odchodzi, pojawia się i znika, Walter to tajemnica.

Pewnego dnia po południu, gdy jak zwykle na górze w zamku bawiła się w kasztelanek, a na dole we wsi ryczały niewydojone krowy, wśród nich najgłośniej pewnie krowy Taflów, i piekliła się macocha, Anna spotkała swoje przeznaczenie. Pierścionek z czerwonym oczkiem stał się ślubną obrączką, na bal weselny zbiegły się wszystkie, co do jednego, zamkowe duchy. Tańczyła z Walterem w pierwszej parze, na czele szpaleru eleganckich dam i kawalerów. Potem młoda para ruszyła w uroczysty obchód zamkowych włości, a orszak duchów karnie podążył za nią. Gdy Anna Tafel zobaczyła obcego, w pierwszej chwili pomyślała, że to też duch i przemówiła do niego jak do osoby z dawnej epoki, dwornie i romantycznie, bo tak się właśnie mówi do duchów. Mężczyzna roześmiał się głośno i wtedy pojęła swój błąd. To turysta, ale całkiem miły, zamiast wziąć za wariatkę, uznał, że młoda wieśniaczka ma niezwykłą wyobraźnię. Praprawnuczka kasztelanki gościnnie oprowadziła go po rodowych ruinach, opowiadając, jak zamek wyglądał za czasów swojej świetności, a przynajmniej jak go sobie wyobrażała. Zwierzyła się też z pragnienia, by choć raz w życiu zobaczyć prawdziwe komnaty. Wtedy młody człowiek zaproponował, że może pojechać z nim, w rewanżu pokaże jej zamek, który nie jest zrujnowany i komnaty zachowały się w nim w idealnym stanie. Zgodziła się z radością.

Zamek istotnie był wspaniały, mężczyzna – chłopak jeszcze – z rozbawieniem oprowadzał naiwną wieśniaczkę, a ona podziwiała wszystko: rzeźbione meble, malowidła, stiuki, złożone zegary. Z oszołomionym zachwytem oglądała pokoje i korytarze, i tak się w tym patrzeniu zapamiętała, że nie zwracała większej uwagi na towarzysza. Na początku nie poczuła nawet, że jej dotyka, zorientowała się, dopiero gdy ręce młodego człowieka zaczęły poczynać sobie coraz śmielej: ścisnąć jej piersi, podnosić spódnicę. Wtedy Anna próbowała się bronić,

krzyżeć, że nie, ale chłopak uciszył ją słowami: cicho, głupia, bo jeszcze ktoś przyjdzie i nas wyrzucą, cicho.

– Ożenię się z tobą – wystękał. Taki był jej pierwszy raz.

Młody człowiek nie ożenił się z nią wprawdzie, ale załatwił posadę pokojówki w zamku. Praca podobała jej się bardzo – godzinami i z radością odkurzała cacka, zegary, lichtarze, omiatała miotełką obrazy. Noce podobały jej się mniej. Chłopak często przychodził, a pewnej nocy odwiedził Annę również jego wuj, zarządca zamku, którego do tej pory widywała tylko z daleka i w ogóle nie miała pojęcia, że ją zauważył i zapamiętał.

Któregoś razu, przy wąskim łóżku pokojówki, wpadli na siebie wuj i siostrzeniec, młodszy rzucił się na starszego z pięściami. Nazajutrz rano po awanturze zarządca zamku wezwał Annę do siebie do gabinetu i zwolnił z pracy. Powiedział, że wprowadziła ferment do uczciwej rodziny, chłopak za bardzo się do niej przywiązał – trzeba go będzie wysłać do Warszawy, poza tym wkrótce wraca z Baden-Baden właścicielka zamku i na pewno nie będzie zadowolona, znajdując pod swoim dachem osobę podobnego co panna Tąfel pokroju. Na pożegnanie i pociechę dał sakiewkę, w sakiewce całkiem sporo pieniędzy. Potem kazał woźnicy niezwłocznie odwieźć byłą pokojówkę do Częstochowy. Dalej pójdzie piechotą. Tak też zrobiła, wróciła do rodzinnej wsi, z tym że tam również nie było już dla niej miejsca. Gdy zniknęła, ojciec szukał córki, najpierw w ruinach zamku, potem po polach i lasach. Ktoś mu w końcu powiedział, że widziano, jak odjechała z jakimś gachem i od tej wieści starego Tąfla trafił szlag. Świeć Panie nad jego duszą.

Nigdy już ojca nie zobaczy – Anna wybiegła z chałupy i wymiotowała na podwórzu. Gdy skończyła, macocha podeszła do niej, położyła rękę na brzuchu dziewczyny i powiedziała, że latała, latała i nalatała się, dla zdziry z bachorem nie ma miejsca w porządnym domu, niech idzie precz, do kochasia z powrotem. I choć nic jej się nie należy, mimo to dostanie jedzenie na drogę, a także gotówkę jako swoją część spadku.

– Nikt nie będzie pruł jadaczki, że cię obrabowałam, głodną i bosą w świat puściłam – powiedziała żona ojca. – Masz tu twój dział, twój posag. Reszta zostaje dla rodzeństwa.

Praprawnuczka kasztelanki zabrała też ze sobą jako prawdziwe dziedzictwo odpustowy pierścionek z czerwonym oczkiem. Chciała wziąć książki, ale macocha z satysfakcją oznajmiła, że wszystkie spaliła.

Anna pojechała do zamku, lecz lokaj jej nie wpuścił, stojąc w progu oznajmił, że panicz wyjechał do Warszawy do szkół, a pan nie przyjmuje; zamknął dziewczynie drzwi przed nosem. Pojechała do Warszawy, mając nadzieję, że tam

odszuka panicza i powie o dziecku, choć nie była do końca pewna, czyje ono: chłopaka czy zarządcy. W każdym razie, bądź co bądź, kogoś z tej rodziny.

Pieniądze skończyły się szybciej niż myślała, wszystko było droższe niż na wsi, pewnie też, naiwna, słono przepłaciła, nie raz i nie dwa. Kochanka nie odnalazła, choć całymi dniami włóczyła się po mieście i przyglądała przechodniom. Pracy żadnej nie mogła dostać, bo brzuch sterczał coraz wyraźniej. Kto zatrudni pannę z bachorem w drodze? Próbowwała sprzedać pierścionek z czerwonym oczkiem, na szczęście nikt nie chciał kupić. W końcu wylądowała na ulicy i zaopiekowali się nią żebracy i złodzieje.

Mieszkała w melinie. Wychudła na wiór, bo jadła byle co albo nic, myślała, że straci ciążę, lecz dziecko trzymało się mocno. Meliniarze wysyłali Annę na żebrzy, posłusznie błąkała się po ulicach i zaczepiała przechodniów, prosząc o dwa grosze, proponując, że w zamian powróży. Któregoś dnia odgonił ją taki jeden, „sio cyganicho” warknął i poszedłby dalej, gdyby nie dostrzegł jasnego kosmyka wymykającego się spod zamotanej na głowie chusty. Zawrócił, podniósł palcem podbródek żebraczki, popatrzył w niebieskie oczy. – Ejże – powiedział, – ejże, ty wcale nie jesteś Cyganką.

Zerknął w dół.

– I w dodatku niedługo bękartu rodzić będziesz, choć na oko masz nie więcej niż szesnaście lat – dodał. – A jakby cię podkarmić, byłabyś bardzo ładna.

Tego wieczoru, po raz pierwszy od dobrych paru miesięcy, Anna się najadła. Dobroczyńca okazał się właścicielem-dyrektorem objazdowego cyrku-teatryku. Ostatnie tygodnie przed porodem panna Tafel spędziła w cyrkowej budzie przebrana za arabską wróżkę, w czarnej peruce i różowych szarawarach. Reklamowana jako „Sybilla Wschodu” – księżniczka Ilzyda Filomena przybyła z dalekich krain i przepowiadająca przyszłość – siedziała na otomanie wśród zasłon z woali i kłębów aromatycznego dymu, i wieszczyła, jak umiała. Córkę urodziła w cyrkowym wozie. Przy porodzie pomagała koleżanka z teatralnej trupy – „najgrubsza kobieta świata”, która, gdy było już po wszystkim, spytała czy nie udusić by noworodka poduszką. Później się powie, że urodził się martwy, ta śmierć bardzo ułatwiłaby pannie Tafel życie. Anna zawahała się, popatrzyła na czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę, coś ukłuło ją w samo serce i pokręciła głową, że nie. Obronnym gestem przygarnęła dziecko do siebie.

– Miłość – westchnęła wtedy gruba kobieta. – Trudno. Jeszcze jedno nieszczęsne stworzenie będzie chodzić po tym padole łez.

Następnie powiedziała, jak zająć się dzieckiem, by żyło, i jak zadowolić mężczyzn, a jednocześnie nie zająć w ciążę. Obie nauki przydały się bardzo, ta druga już w dwa tygodnie po porodzie. Anna nie protestowała, gdy przyszedł do niej właściciel cyrku, ten sam, który zgarnął ją wcześniej z ulicy, uznała, że tak

właśnie urządzony jest świat – bogaci mężczyźni biorą, co chcą, a takie jak ona niczego nie dostają za darmo. Przez następne kilka miesięcy żyła z właścicielem wędrownego cyrku-teatryku starszym od niej o 30 lat. Nie była jednak tylko konkubina dyrektora, uczciwie pracowała na swoje utrzymanie. Kochanek ustawił jej numer, w którym występowała jako wróżka Ilzyda, już bez czarnej peruki i kadzidła, za to ze szklaną kulą i kartami do tarota. Szybko okazało się, że ma talent, poza tym nauczyła się wielu przydatnych sztuczek.

Niekiedy osobom, które wchodziły do namiotu wróżki po przepowiednie, towarzyszyły duchy, wtedy nawet nie rozkładała kart, dla zachowania pozorów patrzyła tylko – krótko – w szklaną kulę, a potem przekazywała żywym, co mieli do powiedzenia zmarli.



Pewnego dnia, z duchem ojca na karku, wszedł do namiotu Ksawery. Później mówił Annie, że z zasady nie chadza na zabawy przeznaczone dla pospólstwa, tym razem jednak, coś go podkusiło – to musiało być przeznaczenie. Wróżka zrobiła na nim ogromne wrażenie, zarówno jeśli chodzi o umiejętności, które sprawdził na sobie, jak i urodę. Przyszedł drugi raz.

– Zajmuję się spirytyzmem – przyznał. – Widzę, że ma pani niezwykle zdolności, unikalny, autentyczny talent. Naprawdę rozmawia pani z duchami. Moglibyśmy pracować razem, zrobiłbym z pani gwiazdę, medium sławne na całym świecie. Niech pani nie odrzuca tej szansy. Chce pani do końca życia jeździć z cyrkiem?

Pochodził z wyższych sfer, na co wskazywał elegancki strój i maniery, nie miał wprawdzie zamku, ale nie wszyscy mogą mieć, za to był młody, przystojny, dużo przyjemniejszy w dotyku niż stary, brzuchaty dyrektor. No i przeczytał wszystkie powieści Waltera Scotta.

Nie można powiedzieć, by Anna Tąfel zakochała się w Ksawerym Sawickim od pierwszego wejrzenia, ale miłość – jak mawiają mądrzy ludzie pod Częstochową – przychodzi potem i rzeczywiście przyszła.

Wróżka Ilzyda uciekła z cyrku w nocy. Zastanawiała się, czy zabrać małą Ilzę, długo patrzyła na śpiące dziecko, w końcu owinęła je kocem i wzięła ze sobą.

Ksawery był wykształconym człowiekiem, skończył jakiś uniwersytet – pokazywał Annie dyplom, interesował się magią i ezoteryką, miał w domu mnóstwo książek o alchemikach i czarownicach. Opowiadał niesamowite historie o duchach, niektóre nawet lepsze niż z książek, sam też z zaciekawieniem wysłuchał opowieści o dziejach rodziny Tąfel i zjawach, które praprawnuczka kasztelanki widywała w zamku. To on przechrzczył byłą wieśniaczkę-pokojówkę-cyrkówkę na hrabinę Annę Eudorę von Taffel.

– Ja ciebie chrzczę w imię spirytyzmu! Niech żyje nowa hrabina! Za zdrowie najpiękniejszej wśród arystokratek – wołał wylewając na głowę dziewczyny kieliszek wypełniony dziwnym, pieniającym się napojem. Trunek ściekał z włosów po twarzy aż do ust, wtedy Anna pierwszy raz skosztowała szampana.

Wkrótce po „chrzcinach” zadebiutowała w spirytystycznych kręgach i od razu obwołana została sensacją. Nie miała sobie równych, jeśli chodziło o przekazywanie wiadomości od tych „co odeszli” tym, którzy jeszcze żyli.

Tak jak obiecał nowy opiekun, stała się sławnym medium, ale nie tylko – Ksawery zrobił z niej damę.

– Jest piękny – drugi raz wzdycha Anna-Ilza, obracając na palcu pierścionek z czerwonym oczkiem. Z tym drobiazgiem wiąże się tak wiele wspomnień. – Noszę go, bo uważam, że jest piękny.

– Nie żartuj. Jest ohydny – mówi Ksawery. – Wierz mi, odpustowa tandeta absolutnie nie pasuje do hrabiny von Taffel. Popsuje ci entrée.

Anna-Ilza nie zgadza się ze swoim mentorem, lecz nie ma odwagi powiedzieć tego głośno, chowa tylko za siebie rękę z pierścionkiem. Ten gest irytuje Ksawerego.

– Zdejmijże w końcu to paskudztwo, czemu się tak uparłaś?!

– Ojciec mi go dał – broni się Anna-Ilza. – Na krótko przed śmiercią. To pamiątka po nim.

A jednocześnie ślubna obrączka od Waltera von Taffel, ale tego przecież aktualnemu kochankowi nie może powiedzieć.

– Ależ z ciebie sentymentalne dziecko – wzdycha Ksawery. – Patrz, ja ci daję inny, dużo ładniejszy, z prawdziwym kamieniem. Zamienimy się?

– A co zrobisz z moim pierścieniem?

– Jak to co? Wyrzucę za okno albo dam kucharce. Tylko do tego się nadaje.

Jedną ręką Ksawery chwyta Annę-Ilzę za nadgarstek i przytrzymuje, drugą zaczyna ściągać jej z palca rodowe dziedzictwo.

– Nie – Anna-Ilza próbuje uwolnić dłoń. Zaczyna płakać. – Zostaw. Sama zdejmę. Zdejmę, ale schowam.

– Jak sobie chcesz, bylebyś się z tym nie pokazywała, bo jeszcze ludzie zaczną mówić, że jestem skąpy dla swoich kochanek.

– Śmieszne z ciebie stworzenie – dodaje, gdy Anna-Ilza w końcu ściąga odpustową ozdóbkę. Nie chowa od razu, lecz kładzie na dłoni i patrzy w rubinowe oczko. Towarzyszyło jej w doli i niedoli, w szczęściu i nieszczęściu, niestety przyszedł czas się pożegnać.

– Wybacz mi – mówi w duchu do Waltera. – Zawsze będę cię kochać. Ciebie najbardziej, nawet jeśli nie będę wierna, bo tak już urządzony jest ten świat.

Zalewa ją fala smutku, tymczasem Ksawery traci cierpliwość: nieoczekiwanym ruchem wytrąca Annie pierścionek z ręki. Dziedzictwo kasztelanki spada z brzdękiem na podłogę, ten je jeszcze kopie. Anna-Ilza pada na kolana, by czym prędzej podnieść i schować, nim Ksawery dopadnie pierwszy i, tak jak groził, wyrzuci za okno.

Z dziedzictwem w garści Anna-Ilza wstaje z klęczek. Podnosi się jednak zbyt raptownie, bo w oczach ciemnieje, w głowie wiruje, ma wrażenie, że zaraz zemdleje.

Gdy dochodzi do siebie, nie znajduje się już w Warszawie, w mieszkaniu Ksawerego, a on nie podsuwa jej pod nos soli trzeźwiących – scena z przeszłości musiała się przyśnić. Znów jest w pokoju na szczycie samotnej wieży: przedśmiertnej komnacie kasztelanki. Kółko się zamknęło, koniec podróży, zostało kilka miesięcy, najwyżej rok życia, tak stwierdził sławny berliński lekarz i nic się z tym nie da zrobić. Chyba że Walter coś zrobi, wszak obiecał, że ją uzdrowi, powiedział, że ma taką moc. Czeka właśnie, by wejść, przybliżyć do szyby twarz o idealnie pięknych rysach, widoczną tylko pod pewnym kątem, jak

fotografia włożona za szkło. Gdy zobaczyła go w oknie pierwszy raz, przestraszyła się, teraz wydaje jej się to śmieszne: bać się Waltera. On przecież ją kocha. Ciemne oczy patrzą życzliwie, pięknie wykrojone wargi poruszają się. Mówi:

– Anna.

– Wróciłeś. – Po ostatniej eskapadzie z zieleń czarownic bała się, że go śmiertelnie obraziła. Nie powinna była tykać tej przeklętej mikstury, ale tak trudno się oprzeć.

– Wróciłaś.

– Myślałam, że umarłam. – Pamięta, że umierała. Szła tunelem, na końcu którego było światło, lecz tunel wydłużał się i wydłużał, a światło oddalało. Teraz ma wrażenie, że to był sen, z którego się obudziła, nieco po nim jeszcze oszołomiona.

– Umarłaś, ale wróciłaś.

Z martwych do Hole am Meer? Jak jej się coś podobnego udało? I czy to znaczy, że jest duchem? Wydaje się sobie bardzo rzeczywista. Patrzy na ręce: ciało i krew, skóra i kości; chude, suche, spierzchnięte dłonie, zupełnie rzeczywiste, choć jakby trochę inne niż zwykle. Budzą w niej uczucie, że zapomniała o czymś ważnym, to coś jest tuż pod powierzchnią świadomości, ale wyślizguje się, wymyka, zanurza głębiej, gdy tylko próbuje się na tym skupić.

– Wpuść mnie – mówi Walter, a ona jak zwykle jest posłuszna.

Zapala świece, odsuwa leżące na podłodze rzeczy – nawet nie pamięta, kiedy zrobiła tu taki bałagan – rysuje krąg. Recytuje inwokację przywołującą żywioły, wywołuje byty z niebytu. Środek kręgu maże śliną, przylepia wyrwany z głowy włos, klęka i prawie dotykając ustami podłogi, delikatnie dmucha.

Potem kładzie się odwróconym krzyżem na łóżku – nogi w kierunku zagłówek, głowa zwieszona za posłanie, tak że włosy zamiatają podłogę, szeroko rozłożone ręce. Zamyka oczy. Słyszy trzask otwieranego okna, czuje na policzkach wdzierający się do pokoju wiatr. Gdy otwiera oczy, widzi wszystko do góry nogami. W fotelu, zwrócony ku szybie, siedzi mężczyzna o ciemnych falujących włosach i szerokich ramionach. To Walter. Odwraca twarz powoli. Wstaje. Jego oczy są jak dwie czarne dziury. Podchodzi i owija się wokół kobiety, ogarnia ją, obezwładnia, otumania. Anna nie jest już w stanie uczynić ani jednego ruchu, może tylko czuć, że przygniata ją ciężar–nieciężar, odurzający, straszny, rozkoszny. Nie mając władzy nad ciałem ani umysłem, spada: w kosmos, w czarną przestrzeń, demon w nią wchodzi jak klin i rozrywa od środka; ból i rozkosz następują jednocześnie, przychodzi wyzwolenie.

Gdy odzyskuje przytomność, czuje się zdrowa – nic jej nie boli. Ów sławny doktor, który z takim przekonaniem twierdził, że hrabina von Taffel długo nie pociągnie, musiał się pomylić. Namawiał, by została w Berlinie pod jego wyłączną opieką, miłosiernie szprycowana morfiną aż do rychłego końca: wkrótce, biedna, przestanie chodzić, połamie kosteczki, następnie wypluje ząbki, w ostatnim stadium wycieńczenia organizmu zaczną wypadać jeden po drugim. Anna przesuwa po zębach językiem – głupi konował – wszystkie wciąż są na swoim miejscu, już nigdy nie będzie wierzyć lekarzom.

Choć może doktor nie kłamał, mówiąc, że jest bardzo chora. Ostatnie miesiące spędziła przecież w łóżku, bynajmniej nie z lenistwa, często nie miała siły unieść nawet ręki. Teraz niemoc uciekła, ustępując miejsca rozpierającej energii. Poczucie bezsiły zastąpiła chęć czynu, Anna Eudora czuje się jak po ożywczym, głębokim śnie. Wróciła do siebie.

To jednak musi być robota Waltera, dotrzymał słowa, jest lepszy niż wszyscy sławni doktorzy razem wzięci.

I koniec tego leżenia w łóżku. Już dość. Ale trudno zmobilizować się i wstać, gdy w pokoju panuje przenikliwy ziąb, a pod kołdrą znośne ciepło. Hrabina von Taffel czuje się jednak tak pełna energii, że stać ją na bohaterski wyczyn: wyskakuje z łóżka, jednym susem dopada okna i – wkładając w ten ruch wszystkie siły – domyka skrzydło z trzaskiem.

Potem stoi i trzęsie się z zimna. Powinna czym prędzej coś na siebie włożyć, bo jeszcze się przeziębi, dostanie zapalenia płuc i znów trzeba będzie ją ratować. Ciekawe, o czym myślała, kładąc się spać zupełnie goła tylko z pierścionkiem na ręce.

Pierścionek kasztelanki! Odnalazł się! Po tylu latach! To niesamowite, prawdziwy cud, tkwi na palcu jak gdyby nigdy nic. A ona w ogóle nie pamięta, że go wkładała, tak samo nie przypomina sobie, kiedy i po co zrobiła taki bałagan – pokój zarzucony rzeczami wyciągniętymi z szaf i kufrów wygląda jak po rewizji lub trzęsieniu ziemi. Może wyrzuciła wszystkie klamoty na podłogę, bo wpadło jej do głowy poszukać pierścionka, tak się cieszy, że znalazła, gdyby odkryła pod poduszką kolię z brylantów nie ucieszyłaby się bardziej. Sądziła, iż Ksawery dawno „to odpustowe badziewie” wyrzucił, jednak dziedzictwo kasztelanki towarzyszyło Annie cały czas, ukryte w którymś z kufrów. Miała świętą rację, nigdy niczego się nie pozbywając – bardzo łatwo, jak mawiali mądrzy ludzie pod Częstochową, wylać dziecko wraz z kąpielą, niechcący wyrzucić klejnot zaplątany w szmaty. Zresztą wszystko jedno, jak się znalazł, ważne, że się znalazł.

– Nie zdejmę cię już nigdy – obiecuje Anna Taffel i przyciska usta do chłodnej obrączki. Ma wrażenie, że w końcu, po tylu latach tułaczki, wróciła do domu.

Pomyśleć tylko: odnalazła dom w takiej dziurze! Czuje się jak u siebie w zaniebanym pensjonacie, którego właścicielka ukrywa paskudną tajemnicę i tak naprawdę, mimo, iż udaje wielką przyjaciółkę, nienawidzi hrabiny von Taffel, za to, że ona wie. Gdyby nie ziele czarownic, no i brak gotówki, Anna gadałaby z nią zupełnie inaczej.

Ubiera się powoli i ostrożnie, miarkuje ruchy z obawy, że któryś, gwałtowny lub za szybki, mógłby przywołać z powrotem Ból. Ma jednak nadzieję, iż Walter uwolnił ją od choroby na zawsze; czuje się wypuszczona z więzienia, nowo narodzona, cudownie ożywiona – co prawda, czułaby się jeszcze lepiej, gdyby nie nachodziło ją owo dziwne wrażenie zapomnienia.

Wkładając pończochy, zastanawia się, którą suknię wybrać. Na wierzchu leży czarna – okropna – Anna w ogóle nie przypomina sobie, żeby miała podobną szmatę. W wielobarwnym stosie leżących obok łóżka ubrań zauważyła zieloną, jedną z ulubionych, wyciąga ją spod reszty, robiąc jeszcze większy bałagan. No nic, posprząta później, teraz jej się nie chce, albo i w ogóle nie posprząta, porządek nigdy nie był wysoko na liście jej priorytetów; to Ilzyda maniacko odkładała wszystko na miejsce i wciąż latała ze szczotką i ścierką, nawet gdy spokojnie mogły sobie pozwolić na pokojówkę.

Znów wraca głupie, drażniące uczucie, że zapomniała o czymś ważnym. Od czasu choroby dziwne rzeczy dzieją się z jej pamięcią, lecz pomyśli o tym później, bo jak za bardzo się wyteżyła, przed oczami zaczynają latać mroczki, robi się ciemno. Halka, suknia, buty. Sznurując trzewiki, dochodzi do wniosku, że to, o czym zapomniała, ma chyba jakiś związek z Ilzydą.

Gdy hrabina dowiedziała się, że umiera, a tak właśnie powiedział lekarz: „Czas pogodzić się z Bogiem, bo ma pani przed sobą nie więcej niż pół roku życia”, pierwszą myślą było powiadomić Ilzydę. Początkowo zamierzała to zrobić w kolejnym z listów, które regularnie wysyłała do sanatorium i na które nigdy nie dostała odpowiedzi – co bolało, choć nie bardziej niż deklaracja Ilzydy złożona zaraz po ślubie. Córka oświadczyła wtedy bezceremonialnie, iż nie życzy sobie dalszych wzajemnych kontaktów.

– Taka matka mnie kompromituje – oznajmiła świeżo upieczona pani Helmutowa Bonusch, – ściąga z powrotem w bagno, z którego właśnie się wydostałam.

Anna pomyślała wtedy: „nie to nie”, ale i tak było jej bardziej niż przykro. Wychodząc za tego nadętego dupka, Ilzyda uważała, że pana Boga za nogi złapała. No i proszę, czym się skończyło. Nie miała zwyczaju odwiedzać matki, ani zapraszać jej do siebie, Anna była więc bardzo zaskoczona, widząc pewnego dnia, co prawda o skandalicznie wczesnej porze, Ilzydę w swoich progach; zaskoczona, ale też nadzwyczajnie, nie wiedzieć czym ucieszona.

– Z czego się cieszysz głupia – strofowała w duchu samą siebie, jednocześnie paplając głośno bez ustanku, byle tylko uniknąć nieprzyjemnej ciszy, – córeczka musi przecież czegoś chcieć, inaczej by nie przyszła.

Nie wiadomo, czy dostała, co chciała, bo poszła wkrótce. I znów Anna długo jej nie widziała. Parę miesięcy później usłyszała od znajomych, że Ilzyda jest poważnie chora – na głowę.

– Ja tam wiedziałam od początku, że z tą małą jest coś nie tak – mówiła baronowa Getz, prawie przyjaciółka, głupia krowa. – Mówiłam ci to, kochanie, wiele razy, ale nie chciałaś słuchać, polecałam nawet świetnego lekarza od chorób nerwowych, gdybyś mnie wtedy posłuchała, to być może dziś mąż nie musiałby zamykać jej w szpitalu wariatów.

Biedna, mała Ilzunia wśród szaleńców, polewana lodowatą wodą, przypalana, wstrząsana elektrycznością, Annie krajało się serce. Próbowwała rozmawiać z Helmutem o terapii córki, ale zamknął jej drzwi przed nosem.

Miał jednak na tyle przyzwoitości, że poinformował listownie hrabinę von Taffel o poprawie zdrowia Ilzydy: została wypuszczona ze szpitala i wysłana do sanatorium, by dojść do siebie w ciszy i spokoju. Dla dobra kuracji absolutnie nie wolno Ilzy odwiedzać, Anna więc nie próbowała. Pisała tylko listy. Listy bez odpowiedzi.

Tym razem postanowiła przekazać ważną wiadomość osobiście w nadziei, że zszokowana wieścią o rychłej śmierci matki, Ilzyda się zdradzi: w pierwszej chwili, w niekontrolowanym odruchu okaże cię żalu, odrobinę bólu, okrucich współczucia. To by wystarczyło. W liście, jeśli by odpisała, będzie jak zwykle zimna i surowa.

W sanatorium Ilzydy nie było. Damie podającej się za matkę powiedziano, że pacjentka, o którą pyta, opuściła to miejsce wiele lat temu, natomiast listy przychodzące od hrabiny von Taffel, odsyłano na adres państwa Bonusch. Roztrzęsiona Anna wróciła do Berlina i prosto ze stacji pojechała do Helmuta. Wtargnęła do jego domu, zmiotła z drogi lokaja, pokojówkę i kucharkę, która przybiegła pokojówce na pomoc, „Gdzie moje dziecko, gdzie moja córeczka, gdzie ją uwięziłeś, zabiłeś ją, ty zbrojeńcu, przyznaj się, chodź no tu, pokaż się, miej odwagę spojrzeć mi w oczy, zaraz idę na policję”, krzyczała od progu. Helmut czym prędzej wprowadził ją do gabinetu, starannie zamknął drzwi, zerknął przez dziurkę od klucza, czy służba nie podsłuchuje, następnie podał adres Ilzy w Szczecinie, wyjaśnił, że na własne życzenie odeszła od niego i uczy w szkole.

– W jakiej znów szkole? – spytała Anna nieufnie. Helmut powiedział w jakiej.

– Sprawdzę to, nie myśl sobie – zapowiedziała. – Jeśli coś się nie zgadza, wrócę z policją.

A niech sprawdza, tylko niech pamięta, że rzucanie oszczerstw jest ścigane przez prawo, zresztą jakby co, to on ma na Annę Tafel też niezłego haka.

Pojechała do Szczecina, a że dotarła tam wczesnym popołudniem, najpierw poszła do szkoły. Zobaczyła wychodzącą z budynku Ilzydę: tyczka w czarnej niemodnej sukience schodziła ze schodów, postukując rytmicznie parasolką, następnie ruszyła w dół ulicy. Jaki zacięty wyraz twarzy, co za zdecydowane ruchy – Anna stchórzyła, przestraszyła się miny, kroku, postawy, schowała do bramy, by uniknąć spotkania. Z ukrycia patrzyła na przechodzącą tuż obok, na wyciągnięcie ręki, córkę. Jak to się stało, że urodziła takie twarde, bezlitosne stworzenie? Gdyby Ilzunia podniosła nieco głowę i choćby leciutko zerknęła w lewo, dostrzegłaby przyczajoną w cieniu matkę, ale Ilzyda-nauczycielka chodziła prosto do celu, patrząc wyłącznie przed siebie i nie rozglądając się na boki. Nie zauważyła Anny, co ta przyjęła z ulgą i odrobiną rozczarowania jednocześnie. Gdyby jednak Ilzyda ją zobaczyła – ucieszyłaby się? Oj, chyba nie. Lepiej, że nie zauważyła i minęła, bez jednego spojrzenia, bez słowa. Anna wróciła do Berlina i tego samego dnia dopadł ją Ból – nie jakiś tam zwykły ból, jeden z tych, które przelotnie nawiedzały ją wcześniej, to był król wszystkich bóli. Wezwany lekarz przepisał morfinę, nic więcej medycyna nie może tu już zrobić, radził się modlić. Do modlenia się hrabina von Taffel nigdy nie czuła wielkiego powołania, nie to, co Ilzyda.

Nie miała też ochoty dostarczać satysfakcji tym, którzy chcieliby widzieć „Afrodytę spirytyzmu” nawróconą i spokorniałą na łożu śmierci. „Jak trwoga to do Boga” mawiali mądrzy ludzie spod Częstochowy, ale – z całym szacunkiem dla nich i Stwórcy – Anna Tafel nigdy nie wyrzeknie się swoich duchów. Nawet gdy śmierć zagląda jej prosto w oczy.

Pokojówce kazała nikogo, poza lekarzem, nie wpuszczać, lekarz przynosił morfinę, więc musiała go jakoś ścierpieć, natomiast reszta tak zwanego towarzystwa obejdzie się smakiem: hrabina von Taffel za nic nie pokaże się wynędzniała i brzydka. Nie pozwoli, by na oczach publiki wychodziły jej włosy czy wypadały zęby. Woli być sama, jeśli już ma umrzeć, chce umrzeć po cichu.

Przypomniła sobie słowa tresera tygrysów z cyrku, on mówił, że nie wolno pokazywać słabości, nie wolno odwracać się plecami do drapieżników, jeśli już to zrobisz – a zrobiła to w życiu niestety parę razy, musisz zejść im z oczu czym szybciej i broń Boże przy tym nie upaść. Bo wtedy zagryzą. Tygrysami zaś bywają wszyscy: publika, znajome, kochankowie, prawie przyjaciółki, rodzona córka nawet. Gdyby tylko mogli, rzuciliby się zgrają i rozszarpali – niemal całe

życie „Afrodyta spirytyzmu” miała świadomość, że tylko na to czekają. Teraz mogą. Mają okazję.

– Nie będę umierać na widoku – postanowiła, gdy jeszcze była w stanie trzeźwo myśleć.

– Wynocha – jęczała, przewracając się w przepoconej pościeli, gdy wydawało jej się, że mimo zakazu, ktoś jednak przyszedł ją odwiedzić. Ale to było złudzenie. Żadna z prawie przyjaciółek, ani jeden z byłych wielbicieli nie dobijali się do drzwi.

Miażdżona Bólem, opuszczona przez wszystkich, leżała tak kilka tygodni, w mękach i czarnej rozpacz, aż – do dziś nie wie dokładnie jakim cudem – znalazła się w Hole am Meer, gdzie odzyskała siły, raczej nie za sprawą morskiego powietrza.

Ale dość już tych wspomnień, czuje się tak głodna, że aż ją ssie w żołądku, musi natychmiast coś zjeść! W domu nie ma nic, nawet skórki od chleba. Co prawda gospodyni przyniesie wikt jak zwykle – i zdziwi się bardzo, gdy lokatorka, zamiast odesłać pełne talerze, zje wszystko do ostatniego kęsa – lepiej jednak na Hertę nie czekać, bo ta zjawi się nie wiadomo kiedy, pewnie dopiero pod wieczór. Hrabina sama pójdzie do sklepu po chleb, dawno nigdzie nie wychodziła i choć to lekkomyślnie z jej strony wybierać się od razu na dłuższy spacer, da radę, czuje się na siłach.

Wyjmuje pieniądze ze schowka, resztki, reszteciki gotówki, na jeden bochenek starczy, ale co potem? Pomyśli o tym później. Zawsze może zaszantażować znów Hertę, zagrozić, że powie, kim ona naprawdę jest. Jednak z tą kobietą trzeba postępować ostrożnie, bo nigdy nie wiadomo, co zrobi, zwłaszcza jeśli zobaczy, że lokatorka nie ma zamiaru umierać tak szybko, jak się wydawało.

Już ubrana, Anna bierze szczotkę do włosów i pochodzi do lustra. Ze zgrozą patrzy, że odbija się w nim nie to, co powinno – nie ta twarz. Owszem, podobna, ale nie ta sama. Kreska ust z kreskami zmarszczek po bokach, bladoniebieskie oczy w obramowaniu jasnych rzęs.

– To twarz podstarzałej Ilzydy – uświadamia sobie Anna ze zgrozą, z lustra patrzy na nią córka.

– Jestem opętana – myśli z przerażeniem Ilzyda, a potem znów jej nie ma.

– Przywidzenie – uspokaja się Anna. – Choroba rzuca się teraz na oczy. Głupie przywidzenie.

Fakt, że zwiduje jej się akurat Ilzyda, ma bardzo proste wytłumaczenie, ni mniej ni więcej oznacza, że Anna gorąco pragnie pogodzić się z córką, że za nią tęskni. Mimo najlepszych chęci nie była najlepszą matką. Szczerze mówiąc, czasami Ilzydy nie znosiła: tej nadętej świętoszki, pedantki, tej przemądrzałej

krytykantki. Pamięta, jak córka zapowiedziała, że kiedyś za wszystko się odwdzięczy.

Dlaczego rozeszły się ich drogi, kto był winien, może Ksawery? Och, on był taki ambitny, chciał być opiekunem najszynniejszego, najwybitniejszego medium na świecie, gdy coś nie wychodziło, wściekał się. Wtedy zaczęła zmyślać i udawać, ale i tak nie potrafiła przeskoczyć pewnych ograniczeń.

– Żeby być liczącym się medium, musisz materializować duchy – tłumaczył Ksawery. – Wszyscy teraz tak robią. Powinnaś się nauczyć.

– Próbuję – odpowiadała Anna ze łzami w oczach, – naprawdę próbuję, przecież widzisz, że się staram, ale nie wiem, jak mam to zrobić.

Wertowali książki o magii, sprawdzali podane tam zaklęcia, podglądali inne media, mimo to Anna w żaden sposób nie umiała materializować, czym bardzo rozczarowała opiekuna. Uczucia Ksawerego do hrabiny von Taffel osłabły, począł podkochiwać się we wschodzącej gwiazdce ezoteryki pannie Bose, która nie tylko zaludniała swoje seanse całym stadem duchów, ale nawet wydzielala z siebie fosforyzującą ektoplazmę w formie dowolnej: ręce, nogi, mały, kanarki, latały w powietrzu, robiły piruety, wycinały hołubce, na zamówienie i wedle życzenia. Anna przyłapała kochanka, jak wycinał z gazet artykuły na temat tej wywłoki.

Cóż więc pozostało, musiała uciec się do sztuczek, którym prawdziwe talenty dodawały wiarygodności, opracowała małe oszustwo, wciągając doń Ilzydę, Ksawery o wszystkim wiedział, nawet pomógł dopracować technikę. Później wszystkiego się wyparł.

Miała jednak pójść po coś do jedzenia, a nie wspominać zamierzchłe dzieje i niewiernego kochanka. Ta rana dawno się już zagoiła. Prawdziwą miłością życia Anny jest Walter i tylko on kochał ją naprawdę.

Hrabina zakrywa niegrzeczne zwierciadło szalem – na wszelki wypadek, gdyby przyszła mu znów ochota na figle – i rusza do wyjścia. Naciska klamkę, by otworzyć drzwi, a one nieoczekiwanie stawiają opór. Dopiero wtedy zauważa, że zamknięte są od środka na solidną zasuwę. Nie przypomina sobie żadnej zasuw w tym miejscu, coraz więcej ma tych dziur w pamięci.

Ostrożnie, po cichu schodzi ze schodów, potem na palcach przemyka przez parter, bo lepiej nie budzić ducha. Wprowadzie zamknięty w pokoju i przykuty okultystycznymi łańcuchami do ściany, nie jest w stanie jej tknąć, ale i tak nie wiadomo, co może wykombinować, historyjka z kotem najlepszym tego przykładem.

– Jak ci nie wstyd, Adelino, wykorzystywać do swoich sztuczek niewinne zwierzę – myśli Anna. Całe szczęście, że Walter w porę ją ostrzegł, bo jak nic dałaby się złapać w sidła czarownicy.

Przystaje tknięta przeczuciem – coś tu jest nie tak jak powinno, bardzo, ale to bardzo nie tak. Przede wszystkim nie ma Adeliny! Nie chodzi o to, że śpi, niektóre duchy muszą spać w dzień, by zebrać siły na nocne ekscesy, chodzi o to, że naprawdę jej nie ma, Anna nie wyczuwa obecności ducha. Adelina uciekła. Mój Boże, zerwała łańcuchy i uciekła, gdzieś się przyczaiła, spróbuje się zemścić. Hrabina von Taffel nie powinna jednak obawiać się zwykłej czarownicy, nawet martwej, mając po swojej stronie Waltera, Walter jest od tamtej wariatki o wiele silniejszy.

Choć to może być pułapka, Anna ostrożnie uchyla drzwi. Widzi całkiem inny pokój, wprawdzie nadal zabity dechami, lecz już nie pusty, wręcz przeciwnie, zagracony – urządzony z jakimś takim mieszczkańskim smaczkiem. Stoją tu kanapa, stolik, dwa fotele, żardyniera, konsola ze zwierciadłem, Anna Eudora instynktownie omija wzrokiem lustrzaną taflę. Ktoś pozbawiony gustu – ale nie Herta – urządził tu sobie salonik i zapewne ten sam ktoś uwolnił, być może niechcący, Adelinę. Hrabina von Taffel musiała spać wtedy iście kamiennym snem. Jakim cudem mogło się tyle zmienić przez jedną noc, jeśli zaś nie przez jedną noc, to ile czasu leżała pogrążona w letargu nieświadoma, że ktoś obcy buszuje po domu? Musiał się włamać, bo klucz do Szczęścia Adeliny ma tylko Anna – no dobrze, Herta też, ale Herta jako podejrzana w tym przypadku odpada – nigdy w życiu nie wypuściłaby Adeliny na wolność. Dobrze wie, czym by się to dla niej skończyło.

Anna też wie.

Gdy wychodzi na zewnątrz, widzi, że z całą pewnością odpłynęła na więcej niż jedną noc. Pod stopami skrzypi śnieg, fale zamarzają przy brzegu, rysując na piasku białe zygzyki, zimno. A ostatnie co zapamiętała, to ciepła, wczesna jesień.

Idzie po plaży, stopy ślizgają się w za dużych butach, czemu te buty nagle zrobiły się za duże? Kupiła je trzy lata temu w domu towarowym w Berlinie, wpadły jej w oko z powodu niezwykłego połączenia czerwonej i granatowej skórki, były w sam raz.

Ogląda się za siebie, na ślady wytłoczone w zaśnieżonym piasku, czyje one? Przykuca i dociska do ziemi obie ręce, potem przygląda się odciskom, czyje one? Nadciąga fala mocniejsza od pozostałych; rozmywa je, zamazuje, zabiera ze sobą w głąb morza.

– O czymś zapomniałam – myśli Anna. – O czymś bardzo ważnym.

To coś jest na końcu języka, tuż pod powierzchnią pamięci, ale świadomość rozmazuje to tak, jak woda rozmywa ślady na piasku. Nie złapiesz fali. Anna Eudora jednak nie rezygnuje. Najlepiej zacząć od początku – kiedy pierwszy raz spostrzegła, że choroba powoduje u niej zaniki pamięci? Otóż, stało się to na peronie kolejowym Stacji.

Nie miała pojęcia, że miejscowość o tej nazwie w ogóle istnieje na świecie. Nie wiedziała, jak tam dojechała, co robiła po drodze, nie pamiętała, jak pakowała kufry ani wsiadała do pociągu. Niejasno przypomina sobie tylko, że zapytana, dokąd jedzie, odparła: „tam gdzie pociąg”. Pewnie wzięli ją za wariatkę lub desperatkę, ale bilet sprzedali.

W jednej chwili była w Berlinie, w sypialni przesyconej smrodem bezużytecznych lekarstw, a zaraz potem stała na peronie otoczona górą bagaży i rozglądała się bezradnie.

– Co ja tu robię? Gdzie ja jestem?

Wtedy podeszła do niej Herta. Ze Stacji zawiozła hrabinę von Taffel i jej manele prosto do Szczęścia Adeliny. Otwartym powozikiem w żółwym tempie przejechały przez rozciągające się po obu stronach drogi mokradła, potem wjechały do Hole am Meer i skierowały się w stronę pasma wydm. Podczas jazdy Frau Knopke nie była rozmowna; Anna, wciąż oszołomiona (jak na miłość boską się w tej dziurze znalazła?), też nie.

Ducha zobaczyła od razu, gdy tylko weszła do środka rudery, którą Knopkowa nazywała pensjonatem: w zabitym dechami pokoju, na podłodze, tuż przy ścianie, siedziała martwa kobieta. Aura wściekłości otaczała ją jak wir, kłębiła się wokół na podobieństwo burzowych chmur. To nie był taki sobie zwykły duch. Kipiał mocą, która przesycala cały dom.

– Och, gdybym ja miała taką moc, choćby połowę – pomyślała Anna z zawiścią i żalem – nie byłabym tym, czym się stałam, tylko najpotężniejszym medium na świecie. Nie musiałabym uciekać się do oszustw i sztuczek, nie musiałabym niczego udawać.

Aczkolwiek wydawało się, że nieboszczce jej wielka moc niewiele dobrego przyniosła. Duch nie patrzył na Annę, w ogóle nie zwrócił na nią uwagi, wlepił dziki wzrok w Hertę. Gdyby mógł, chętnie skoczyłby do gardła, rzuciłby czymś przynajmniej – miał wystarczająco dużo energii, by podporządkować sobie przedmioty – lecz pokój stał pusty, starannie wyczyszczony z wszelkich sprzętów. Martwa kobieta bezgłośnie, jak to duchy, krzyczała, z jej myślo-wrzasków Anna dowiedziała się wszystkiego. Nie przestraszyła się, bo przyzwyczajona była do zjaw jak mało kto, od dziecka, a poza tym i tak zostało jej przecież zaledwie kilka miesięcy życia. Jak miło, że trafiła się okazja trochę sobie jeszcze poćwiczyć, nim będzie zmuszona zejść z tego świata.

– Sprowadziła mnie tu ręka losu – pomyślała. – Tę biedaczkę można uwolnić.

Herta, silna baba, sama jedna wtargała po schodach, kufer za kufrem, wszystkie bagaże hrabiny aż na samą górę, potem zostawiła lokatorkę samą, by mogła się rozpakować i odświeżyć po podróży.

– Interesy poczekają do jutra – obiecała i wyszła bez pożegnania.

Ostatecznie Anna jednak nie uwolniła Adeliny, mimo że wiedziała, jak to zrobić – Walter ją powstrzymał. Miał inne plany, a moc kłębiąca się w tym miejscu była mu potrzebna.

Niemal co noc z dołu dobiegały krzyki, nieszczęsna na powrót mordowała kochanka, scena odtwarzała się z piekielną regularnością. Podczas pokuty Adeliny hrabina miała jednak ciekawsze zajęcia niż przysłuchiwanie się hałasom. Wraz z nocą przychodził też Walter, pojawiał się najpierw w ciemnych szybach, żądał, by wpuścić go do środka. Z pomocą jej ciała umacniał kształt, który mu nadała. Anna oddawała się biernie, jak zaczarowana, do chwili gdy wstrząsała nią eksplozja, rozrywając na kawałki i wyzwalając z rzeczywistości i lęku.

Berlińscy doktorzy powiedzieliby, że to po prostu sny: typowe dla histeryczek, erotyczne, graniczące z obłądem. Księża dodaliby, że grzeszne. Cóż stąd. Całe życie czekała, by tak śnić. I była szczęśliwa. I nie dbała o nic innego, przynajmniej dopóty, dopóki Herta nie przyniosła tego swego zatrutego prezentu.

Przez pierwsze miesiące pobytu w Hole, ciesząc się poprawą zdrowia, Anna niemal codziennie wychodziła na spacer po plaży. Gdy mijała feralny pokój, Adelina przykuta do ściany, patrzyła błagalnie jak pies na krótkim łańcuchu.

– Trzeba zburzyć mur, trzeba zburzyć mur – powtarzała. – Wiem, że mnie słyszysz. Pomóż mi.

Ale przecież hrabina von Taffel, chora i słaba, nie dałaby sobie sama rady z wyburzaniem ścian. Obiecywała jednak, że pomyśli, co można zrobić – później.

Dochodzi do sklepu. Przynajmniej on stoi, gdzie stał i nic się w nim nie zmieniło: asortyment – mydło i powidło, sprzedawczyni – ta sama głupia krowa, tylko jeszcze bardziej naburmuszona niż poprzednio, gdy Anna spotkała ją pierwszy raz, a było to zaraz następnego dnia po przyjeździe do Hole. Hrabina przysła wtedy do sklepu wczesnym – wyjątkowo wczesnym jak na nią – przedpołudniem, kupić kredę potrzebną do wyrysowania magicznego kręgu. Miała mocne, oparte na realnych przesłankach przeczucie, że tym razem uda się zmaterializować ducha. W końcu, wkrótce, spełni się jedno z najgorętszych pragnień jej życia. Pokaże Ksaweremu, co potrafi, mimo że on tego nie zobaczy. Nie mogła się doczekać, a nawet ustać spokojnie na miejscu.

Cały czas przytupywała.

Wydając resztę, sklepikarka ostrzegła, że w pensjonacie, w którym szanowna pani się zatrzymała, straszy.

– Wiem – odparła Anna, uśmiechając się promiennie. – Duchy to moja specjalność: zawodowo przekazuję żywym wieści od zmarłych. Ceny niewygórowane. Za niewielką opłatą mogę też powróżyć. Zobaczy pani, że wszystko się sprawdzi.

Sprzedawczyni zbladła i zamarła, podobnie jak trzy pozostałe osoby w sklepie. Annie to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, zawsze uważała, że dobre wrażenie należy robić zaraz na wstępie. Mocne wejście – efektowne entré sprawia, że wieści szybko się rozchodzą i klienci napływają szeroką falą.

– Prawdziwy duch! Najprawdziwszy! Czyż to nie cudowne? – zawołała radośnie na pożegnanie i wypadła ze sklepu, furkocząc wściekle różową spódnicą. Nie ma to jak porządne zamieszanie!

Tym razem sprzedawczyni w ogóle jej nie zauważa, choć w sklepie brak innych klientów. Nie odpowiada na „dzień dobry”, przesuwa towar na półkach, wydaje się być całkowicie pochłonięta tym durnym zajęciem.

– Dzień dobry – powtarza Anna. Zero reakcji.

– Przepraszam – mówi.

I nic.

– Przepraszam! – mówi głośnie.

Z jakiś, nieznanych Annie powodów sklepikarka postanowiła ją ignorować. W innych okolicznościach hrabina von Taffel obraziłaby się i wyszła z wysoko uniesioną głową – są przecież przyjemniejsze miejsca, gdzie można zostawić ciężko zarobione pieniądze – ale nie dziś, bo jest śmiertelnie głodna.

– Poproszę bochenek chleba!

No nie, panna sklepowa cały czas stroi fochy. Wobec tego Anna Eudora wchodzi za ladę, bierze chleb i z głośnym brzdękiem kładzie na blacie co się należy.

Sprzedawczyni odrywa – nareszcie! – wzrok od półek i patrzy podejrzliwie na monety. Waha się czy przyjąć – rozterka maluje się na tępych pysku – w końcu wzrusza ramionami. Pieniądze to pieniądze, czyste czy brudne, wciąż tyle samo warte, nieprawdaż? Poza tym jak najszybciej postara się wydać nimi komuś resztę. Anna ma wrażenie, że czyta w myślach, dziwne, wcześniej jej się to w przypadku żywych nigdy nie zdarzało.

Do pełnej ceny bochenka brakuje feniga, hrabina złośliwie uśmiecha się:

– Może powrózę w zamian za tego feniga? Cena zaiste okazyjna. – Udaje, że chce wziąć tamtą za nadgarstek. Sprzedawczyni błyskawicznie chowa ręce za siebie i krzyżuje na plecach. Kręci gwałtownie głową, że nie. Jest przerażona.

– Głupia, co niby mogłabym jej zrobić? – myśli Anna. Ale ma już dość tej zabawy. Wytwornym tonem mówi „do widzenia”, by podkreślić, że przynajmniej ona jedna tutaj orientuje się, co to są dobre maniery, i wychodzi. Z sieni dobiegają szeptem: „Nosi rzeczy starej, weszła już w jej buty, widziała pani? Zła krew, cały czas mówiłam, że zła krew”.

Droga powrotna do pensjonatu wydaje się dłuższa niż w drugą stronę. Idzie się trudniej. Pod cienkimi podeszwami fikuśnych bucików skrzypi zamrożone błoto, niemiłosiernie twarde i ostre, do bólu rzeczywiste, kłuje w stopy. Dlaczego tak jej tu nie lubią? Co takiego im zrobiła?

Drugiego dnia pobytu Anny w Hole do pensjonatu przyszła Herta, tak jak zapowiadała. Ale nie zamierzała rozmawiać o pieniądzach, bowiem zaszło nieporozumienie: pomyliła hrabinę von Taffel z inną osobą, która akurat tego samego dnia miała przyjechać. Cóż za fatalny zbieg okoliczności! Tamta musiała opóźnić przyjazd i przybędzie dopiero nazajutrz – Frau Knopke właśnie dostała telegram. Przykro jej z powodu całego tego zamieszania: na swój koszt odstawi hrabinę na stację i nawet nie policzy za nocleg.

– Chce się mnie pozbyć – zrozumiała Anna, – choć przecież sama mnie przywiozła. Czy ona też ma dziury w pamięci? Gadka o telegramie to na pewno bajeczka – hrabina uznała, że do gospodyni musiały już dotrzeć echa sklepowego występu lokatorki. Reklama zaczęła działać, języki poszły w ruch. Wieści w Hole zaiste rozchodzą się błyskawicznie. Frau Knopke dowiedziała się, że nowo przybyła potrafi rozmawiać z duchami i przestraszyła się, jakie też rewelacje może wyciągnąć od Adeliny.

– Nie dam się stąd wyrzucić – zdecydowała Anna Eudora. Bo i co jej pozostało? Ma wrócić do Berlina, położyć się do łóżka i czekać pokornie na śmierć? Skoro ta i tak wkrótce nadejdzie, wcześniej należy się trochę rozrywki. No i przede wszystkim, nade wszystko, pierwszy raz w życiu, hrabina von Taffel jest tak blisko zmaterializowania ducha! Takiej szansy za nic nie odpuści. Wyrzucą ją stąd po jej trupie. Dosłownie.

Karty na stół więc. Powiedziała Hercie, że za późno – i tak już wszystko wie, zna jej ponure sekrety. Wyznała też, że jest śmiertelnie chora: pożyje jeszcze góra parę miesięcy. Jeśli przez ten czas będzie miała zapewnione mieszkanie i utrzymanie – wikt i opierunek za darmo, w ramach rewanżu pozbędzie się prześladowającej gospodynię zjawy. Frau Knopke musi jednak zdawać sobie sprawę, że to bardzo trudny przypadek, wymagający subtelności wycucia i wielkiej przemyślności. Adelina ma ogromną moc, niełatwo będzie odesłać ją bezpiecznie w zaświaty, skoro uparła się szkodzić na miejscu. Trzeba też starannie zamknąć za nią symboliczne drzwi na metafizyczny klucz, by duch nie wrócił. Mniej doświadczona od hrabiny von Taffel medium spuściłoby tylko Adelinę z więzi, a wtedy mogłaby latać sobie luzem po całym mieście. Wiadomo, co zrobiłaby w pierwszej kolejności: na pewno wybrałaby się odwiedzić siostrę. Ma ku temu wiele powodów, nieprawdaż? Frau Knopke spotkało doprawdy wielkie szczęście, że poznała Annę Eudorę von Taffel, która

potrafi odsyłać duchy do Krainy Wiecznego Lata tak definitywnie, że nie są w stanie stamtąd nawet nosa wychylić. W dodatku gwarantuje klientom pełną dyskrecję, a w tym przypadku tajemnicę weźmie nawet ze sobą do grobu. Oczywiście pod warunkiem, że Frau Knopke jej stąd nie wyrzuci i pozwoli umrzeć w spokoju.

Tego dnia hrabina, owszem, wyłożyła karty na stół, ale o Walterze nawet się nie zająknęła – bo Walter był asem w rękawie.

Prawie dochodzi już do pensjonatu, gdy zauważa, że goni ją jakiś człowiek. Macha ręką i woła, nie wiadomo co, bo szum fal go zagłusza. Czy na pewno chodzi mu o hrabinę von Taffel? Zdaje się, że tak, Anna rozgląda się dookoła, prócz nich dwojga, nikogo w najbliższej okolicy nie ma. Zgubiła coś po drodze? Zapomniała czegoś w sklepie?

Mężczyzna szybko idzie, prawie biegnie w jej kierunku. Jest coraz bliżej.

– Zaczekaj! – krzyczy.

– Jakim prawem ten typ mnie „tyka” – oburza się w myślach hrabina. – Krów razem nie paśliśmy. Chyba w ogóle go nie znam.

Gdy mężczyzna podchodzi zupełnie blisko, jest pewna, że go nie zna. Co więcej, nie miałaby ochoty poznać. To ktoś zupełnie nie z jej sfery. Zalutujący wczorajszą wódką, ani ogolony, ani brodaty. Ma rozwichrzone włosy, popsute zęby, strój niechlujnego prostaka.

A do tego wszystkiego jeszcze ciężko dyszy – nieświeżym oddechem.

– Ożenię się z tobą, rozwiodę z Gretą i ożenię z tobą. Chciałem powiedzieć to wcześniej, ale nie mogłem zastać cię w domu, kilka razy się dobijałem.

Anna nic z tego nie rozumie.

– Pan mnie chyba bierze za kogoś innego – mówi ostrożnie. Może to wariat.

Cofa się kilka kroków, chcąc zwiększyć dystans między sobą a nieznajomym. On jednak na to nie pozwala. Przysuwa się znów, jeszcze bliżej i chwyta Annę za ramiona.

– Ile czasu będziesz się na mnie dąsać?! – Potrząsa nią. – Kiedy w końcu do ciebie dotrze, że nie mogłem zrobić nic innego?! Nic się nie poradzi przeciwko całemu miastu. Powinnaś stąd wyjechać, wyjedziemy razem, oddałaś mi się, a ja cię kocham, mam poważne zamiary.

To wariat, Anna jest już tego zupełnie pewna, nie ma co z nim dalej gadać. Wrywa się i ucieka. On stoi zaskoczony w miejscu.

– Ilse, nie wygłupiaj się – wrzeszczy za nią. Po chwili zaczyna ją gonić.

Ilse? Anna nie jest pewna, czy rzeczywiście zawołał „Ilse”, czy tylko tak jej się wydawało. Ale nie ma czasu się zastanawiać. Dopada drzwi pensjonatu,

zatrzaszkuje je za sobą, zamyka na wszystkie zamki. I nie otwiera, gdy mężczyzna się dobija, bębni pięściami w drzwi, a potem wali w zakrywające okna deski.

– Niech wali, sam przybijał. – Ta myśl, wraz z uczuciem złośliwej satysfakcji pojawia się nagle w głowie Anny. Nie wiadomo skąd się wzięła i do czego się odnosi.

– A żeby cię szlag, niech cię cholera, wszystkie baby to kurwy, żeby cię... – mężczyzna przeklina coraz gorszymi słowami. W końcu daje spokój i odchodzi. Anna może odetchnąć, od tej pory trzy razy się zastanowi, nim wyjdzie z domu; bojkot w sklepie, wariat po drodze – takie atrakcje skutecznie zniechęcają do wycieczek. Już lepiej było żuć rzemyk od torebki i czekać cierpliwie aż Herta przyniesie obiad.

Ona jednak nie przychodzi, na szczęście została jeszcze prawie połowa kupionego rano bochenka.

Zapada zmierzch, a Herty wciąż nie ma. Być może obraziła się z powodu braku postępów w wiadomej sprawie. Albo postanowiła zerwać umowę, bo zrozumiała, że lokatorka nie ma zamiaru jej dotrzymać. W końcu ile czasu można oszukiwać? Od wielu już miesięcy hrabina von Taffel zapewnia Frau Knopke, że porozumienie z duchem idzie coraz lepiej i niedługo przekona Adelinę, by zostawiła w spokoju żywych i odeszła, gdzie jej miejsce; za dzień, tydzień, dwa, góra trzy, spełni się największe pragnienie Herty. To oczywiście bief. Co nie znaczy wcale, że Anna Eudora jest kłamczuchą – nie kłamała bowiem, gdy proponowała Hercie, że rozwiąże problem. Miała dobre chęci – chęci się liczą – naprawdę zamierzała zrobić, co obiecała, ale Walter sprawił, że zmieniła zdanie: co tam Herta, co tam Adelina, niech się kiszą we własnym sosie. Ona ma ciekawsze rzeczy do roboty.

Przychodzi noc i jak zawsze, z nadwyżką wynagradza wszystkie przykrości dnia.

– • –

Nazajutrz rano Anna wciąż czuje się zadziwiająco dobrze. Nic jej nie boli. Nawet spróbowała wziąć się za porządki, ale szybko zrezygnowała. To takie nudne. Żeby się trochę rozerwać, postanowiła poobserwować świat z wysokości wieży, jakoś, po wczorajszych przeżyciach, nie ma ochoty na spacer. W pewnym momencie, w polu widzenia wykadrowanym przez okno pojawia się wyładowany wóz. Czego to na nim nie ma! Kanapy, kredensy, rowery – całe mienie przesiedleńca. Obok wozu, prowadząc konie, idzie mężczyzna, ten sam, który zaczepiał wczoraj Annę na plaży. Hrabina szybko uskakuje za zasłonę i z ukrycia zerka jednym okiem. Niepotrzebnie się jednak chowa, tamten nie unosi głowy,

nie ogląda się za siebie, znika za zakrętem. Wczoraj na plaży wołał „Ilse”, czy tylko tak się Annie zdawało?

Ostatnio, bez chwili wytchnienia prześladowają ją myśli o córce: Ilzyda to, Ilzyda tamto, Ilzyda w lustrze, Ilzyda na plaży, Ilzunia zrobiłaby tak, a pomyślałaby inaczej. Siedzi w głowie bez przerwy.

To zapewne znak, by Anna, korzystając z poprawy zdrowia, chwilowej być może, pojechała znów do Szczecina. Trzeba to zrobić, gdy jeszcze czuje się na siłach. Podróż oczywiście bardzo ją zmęczy, ale warta jest trudu. Tym razem hrabina nie da się odstraszyć, spotka się z Ilzydą twarzą w twarz. Jeśli przed śmiercią uda się pogodzić z córką, przekazać dziedzictwo, odzyska spokój ducha. Przystanie ją dręczyć niezalutwiona sprawa, pozbędzie się obsesyjnych myśli, może nawet wyrzutów sumienia i poczucia zmarnowanej miłości. Zamierzała pojechać wcześniej, Walter jednak nie chciał, by wyjeżdżała, mówił, by sprowadzić Ilzydę tutaj. Ba, łatwo powiedzieć! Wysłała przecież list za listem, wszystkie bez odpowiedzi. Pewnie powinna była napisać wprost, o co chodzi, zamiast tchórzliwie rozwodzić się nad zaletami morskiego powietrza.

Z drugiej strony, może teraz spotkanie nie jest już takie pilne? Stał się cud i rzeczywiście Walter ją uleczył? Nie ma przecież tego strasznego bólu, odzyskała siły. Być może przed hrabiną von Taffel wiele lat burzliwego życia i jeszcze wielu osobom da się we znaki. Powinna pojechać nie do Szczecina, lecz Berlina i tam triumfalnie zaprezentować się lekarzom, którzy zdążyli już złożyć ją do grobu, zagrać na nosie konowalom.

A jednak nie – zagra im później – przede wszystkim musi pogodzić się z córką, czuje to. Inaczej nie pozbędzie się wrażeń ciągłej obecności Ilzydy; zupełnie jakby siedziały w jednej umęczonej głowie we dwie.

Cały czas dręczy też Annę uczucie, że o czymś zapomniała. Próbuje sobie przypomnieć, o czym, lecz im mocniej się stara i napina, tym bardziej to coś staje się nieuchwytnie i odległe.

Trzeba zapytać Waltera, Walter powie co zrobić, pokieruje najlepiej. Gdybyż tylko zawsze go słuchała i nie ulegała pokusom! Niestety, choć wie, że zrobiła coś głupiego, coś, o czym najlepiej zapomnieć i przez co znów stanęła nad grobem – sądziła nawet, że do niego wpadła – mimo to pokusa wcale jej nie opuściła. Boi się, co by wybrała, gdyby znów miała wybór.

Rozmyślania przerywa głośnie walenie do drzwi. Anna aż podskakuje. Kto to może być? Wariat wyjechał, nic jej nie grozi, hrabina von Taffel otwiera szeroko drzwi.



– Herta! – mówi Anna Eudora. – Nareszcie! Czekałam na ciebie wczoraj cały dzień. Chcesz mnie zagłodzić?

Frau Knopke nie odpowiada, tylko bacznie wpatruje się w lokatorkę, która przypomina małego, szczęśliwego drapieżnika.

– Co dobrego dziś przyniosłaś? Dawno nie byłam taka głodna – uśmiecha się.

Gospodyni nie ma jednak przy sobie koszyka z jedzeniem, zamiast tego, trzyma w ręku niewielką puszkę.

– To ty, Anno, prawda? – pyta z głupia frant.

– Któżby inny? – dziwi się hrabina.

– A panna Ilzyda?

Ilza? To Knopkowa zna Ilzę? Skąd na Boga?!

– Gdzie jest panna von Taffel?

– Ilzyda – mówi Anna niepewnie – jest w Szczecinie. Tak, w Szczecinie.

Dlaczego miałyby być gdzieś indziej? Mimo to Anna waha się, znów nachodzi ją wrażenie, że o czymś zapomniała, czymś istotnym, schowanym tuż pod powierzchnią świadomości. To coś kolejny raz się wymyka. Gdzie jest Ilzyda? – na pewno w Szczecinie.

Uwagę Anny przyciąga trzymana przez Knopkową puszka. Znajduje się w niej zapewne...

– Czy w środku jest to, co myślę, że jest? – pyta Hertę. Ta jednak, zamiast odpowiedzieć, ciągle się gapi.

– Dlaczego stoimy tak w progu? – hrabina znów uśmiecha się przymilnie. – Zgubiłaś klucz, że musiałaś pukać? Chodźmy na wieżę, chcę z tobą koniecznie porozmawiać, zdarzyło się coś okropnego, jako twoja przyjaciółka muszę ci o tym powiedzieć.

– Nie, nie wchodzę do środka, nie mam czasu. Potem porozmawiamy. Teraz przyszedłam dać prezent pani Ilzydzie. Byłam jej winna przysługę.

– Możesz dać go mnie. Ja przekażę – Anna stara się mówić nonszalanckim tonem, by nie zdradzić, jak bardzo jej zależy. Wyciąga rękę, lecz Herta chowa skarb za siebie. Droczy się. Wyciągnięta ręka głupio zastyga w powietrzu. Gospodyni przygląda się hrabinie z irytującym uśmieszkiem. Z upodobaniem przeciąga strunę.

– Żeby działało, musisz się wszystkiego pozbyć – ostrzega.

– Pamiętam, pamiętam – odpowiada niecierpliwie Anna. – Mam być goła i będę.

Herta z ociąganiem oddaje puszkę i odchodzi jak zwykle bez pożegnania. Może i lepiej, że na razie nie dowie się o ucieczce Adeliny. Gorzej, że Anna zapomniała spytać, kiedy w końcu dostanie coś do jedzenia, ale co tam, w drżących z niecierpliwości rękach ma coś cenniejszego niż chleb.

Walter będzie wściekły.

Nigdy nie zdołała wydobyć z Herty sekretu, jak się tę maść przyrządza, prawdopodobnie Frau Knopke nie zdradziłaby go nawet na torturach. Anna dowiedziała się tylko tyle, że recepturę przekazała Hercie babka, babce jej babka, prababce prababka i tak dalej. Pewne ziele miesza się w określony sposób z pewnymi wodorostami wyrzucanymi przez morze na brzeg i odstawia na jakiś czas w ciemne miejsce, żeby wszystko dojrzało.

Pierwszy raz Herta przyniosła maść, gdy Anna wykłęcała się, że obezwładniający ból uniemożliwia jej robienie dalszych postępów w sprawie Adeliny.

– To lepsze niż morfina, której zresztą nie dostanie się w naszym miasteczku – zapewniła hrabinę gospodyni.

Śmierdziało – strasznie! Pleśnią i czymś przypominającym kadzidło. Zapach wżerał się w ciało i później przenikał wszystko, czego się dotknęło. Ale rzeczywiście było dobre na ból. Dobre to mało powiedziane! Zapominało się o wszelkim bólu, tym z przeszłości też, zapominało o ciągłym strachu przed przyszłością. Smarowane cuchnącym mazidłem ciało stawało się nadludzko mocne i zarazem nieludzko lekkie, potrafiło latać i bez pardonu zdobywać rozkosz. Cały świat leżał pod jego stopami.

Zanim się obejrzała, była uzależniona, już po pierwszym razie Herta trzymała ją w garści.

Obudziła się wtedy oblepiona piaskiem, ubrała w co nie bądź i pobiegła po więcej. I dowiedziała się, że jeśli chce więcej, musi pozbyć się ducha Adeliny. Natychmiast. Bez dyskusji i wykrętów, które potrafiłoby przejrzeć nawet pięcioletnie dziecko.

Wróciła do pensjonatu i weszła do pokoju Adeliny. Ostukiwała właśnie ściany w poszukiwaniu zamurowanej wnęki, gdy chwycił ją Ból. Ledwo doczołgała się do łóżka i już z niego nie wstała. Nadszedł koniec, ale – jak przepowiadał lekarz – to było nie do uniknięcia.

Herta odmówiła dostarczenia maści wtedy, gdy była ona najbardziej potrzebna, gdy Ból stawał się nie do wytrzymania – bo bez pracy nie ma kołaczy. Przynosiła tylko jakieś ochłapy do jedzenia, gdyż tak się umówiły, a ona w przeciwieństwie do niektórych osób dotrzymuje zobowiązań. Triumfowała.

Anna odmawiała jedzenia. Po co przedłużać agonię? Nie miała zresztą apetytu. Smarowała się resztkami wygrzebanymi z puszki, ale to nie wystarczało, budziła się za szybko, w połowie drogi. Nie miała też siły wezwać Waltera, choć był blisko.

Tym razem będzie inaczej: nie da się złapać w pułapkę. Jak konkretnie miałyby to zrobić, pomyśli później. Na razie odwraca się plecami do okna, bo wie, że Walter będzie wściekły. Mimo to Anna Eudora nie może się oprzeć – od kobiet zresztą nie powinno się wymagać silnej woli. Zdejmuje sukienkę, za nią kolejne warstwy: halkę, drugą halkę, gorset, koszulę. Potem buty, pończochy, pantalon, wszystko, dosłownie wszystko, a – i jeszcze pierścionek. Gdy spada ostatnia zasłona, wraca pamięć; Ilzyda wie już, kim jest – właściwie cały czas wiedziała.

Matka, jej uczucia, wspomnienia i talenty nie zniknęły całkowicie, zbyt głęboko zdołały się zakorzenić, jakaś część Anny została w córce na zawsze. Na dobre i złe, Ilza wszystko pamięta. Nie chce nienawidzić, bo wtedy musiałaby nienawidzić samej siebie, a starczy, że „całe miasto” ją potępia, za nic w świecie

nie dołączy do tego prymitywnego towarzystwa. Z dwojga złego woli już trzymać się matki. Przynajmniej Anna Eudora hrabina von Taffel na ogół chciała dobrze, a chęci – jak mawiała – się liczą.

Ilza podchodzi do lustra i odsłania je bez obawy czyje odbicie w nim zobaczy. Pierwszy raz w życiu ogląda się nago, widzi jakie ma piersi – sterczące, niewielkie; płaski, a nawet trochę zapadnięty brzuch, kościste biodra. Zdecydowanie nie jest typem wybuchającej piękności. W ogóle nie jest typem żadnej piękności. Mało kobieca, powiedział kiedyś o niej Helmut, co zapewne, jak teraz Ilza o tym myśli, było w jego ustach komplementem.

Otwiera puszkę, mazidło jest smoliście czarne i cuchnie jak samo piekło. Nakłada je najpierw na piersi, potem rozsmarowuje po całym ciele. Na skórze przestaje być czarne, mieni się wszystkimi kolorami tęczy.

Ilzyda ma sen, że idzie boso. Schodzi po schodach z wieżyczki, pod stopami czuje szorstkie, ciepłe drewno, przez nierówny, drapiący parkiet dociera do drzwi, gdy je otwiera, chłodny powiew chłoszcze gołe łydki. Dalej czuje twarde zimno kamiennych schodków – zimno, które nie ziębi, aksamitną lepkość błota, puch śniegu i morze. Stopa nie wchodzi w wodę, nie zanurza się w niej, przystaje na jedwabście gładkiej, ruchliwej powierzchni. Można po niej chodzić. Ilza biegnie w głąb morza i śmieje się z samej czystej radości. Fale kołyszą ją łagodnie jak dziecko w kołysce. Wiatr głaszcze. Cały świat kocha.

Gdy jest już daleko od brzegu, odwraca się: Hole nie widać. Nie ma go i jakby nigdy nie było. Noc miłościwie zamalowała na czarno małostkowe, rzucające kamieniami miasteczko.

W ciemnościach żarzy się tylko jeden punkt – czerwony jak ogień. Zaintrygowana Ilzyda zawraca. Na plaży rzeczywiście płonie wielkie ognisko, wokół niego tańczą – nie, nie tańczą tylko siłują się ze sobą nadzy mężczyźni. Ilza podchodzi do walczących, przyjmują ją do kręgu, kocha się z każdym po kolei. Potem wyrusza z nimi w morze – oni też potrafią biegać po falach.

Unosi ją wolność. Nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa.

Gdy nad horyzontem pojawia się pierwsza smużka świtu, towarzysze Ilzydy rozlatują się na wszystkie strony i rozwiewają jak dym, a ona sama wraca do domu.

— • —

Nazajutrz nie idzie, lecz biegnie w swojej starej, czarnej sukience, końce szala, którym owinęła się dla ochrony przed zimnem, powiewają za nią niczym skrzydła gigantycznego kruka. To nic, że ludzie patrzą na właścicielkę Szczęścia Adeliny jak na wariatkę, zastanawiają się, gdzie jej się śpieszy – oni i tak mają Ilzydę za szaloną, wiedźmę, sukę i co tam jeszcze. Zdyszana dopada furtki Knopkowej,

dzwoni jak na alarm. Herta otwiera, nie okazując najmniejszego zdziwienia wizytą. Spodziewała jej się.

– Widzę, że wróciłaś do siebie, Ilse – mówi na dzień dobry. – Tak myślałam, że czarne ziele zadziała. Wyzwała ze wszystkiego. Nie musisz dziękować. Pomogłam mi, ja pomogłam tobie. Jesteśmy kwita.

– Chcę jeszcze – mówi Ilza z trudem łapiąc oddech. Knopkowa bez słowa odwraca się i idzie w głąb mieszkania, dając Ilzydzie znak, by poszła za nią. Prowadzi gościa do bordowo-PLUSZOWEGO saloniku. Fotografie chłopca wróciły na swoje miejsce.

– Proszę, pani Knopke, bardzo proszę, niech mi pani powie, gdzie zbiera się tę roślinę!

Herta uśmiecha się, trzeba być bardzo naiwnym, by oczekiwać, że ot tak, na żądanie, zdradzi sekret.

– Ile? – pyta Ilza. – Ile to będzie kosztowało?

Zapłaci każdą sumę, jak nie będzie miała wyjścia, zwróci się do Helmuta.

– Nazywamy to czarnym ziele. Tego nie wolno sprzedawać – odpowiada Herta, – ale można dać. Na zasadzie: coś za coś.

– Czyli za co?

Na bezpośrednie pytanie gospodyni, zdaje się, nie ma gotowej odpowiedzi. Zastanawia się. Mija minuta, druga, wieczność.

– Najpierw powiedz, co potrafisz. Wiem, że zdolna z ciebie dziewczyna. Tak ładnie poradziłaś sobie z Adeliną.

Ilza waha się, ale dochodzi do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak opowiedzieć Hercie o snach, rudym kocie i zwariowanym pogrzebie szczątków ofiary pod osłoną nocy.

Knopkowa draży temat i wyciąga z Ilzydy kolejne wyznania.

– Wystarczy więc, że włożysz coś na siebie i znasz myśli tego, kto to wcześniej nosił?

Z grubsza tak się właśnie dzieje, lecz diabeł tkwi w szczegółach – Ilza wyjaśnia, że zna tylko myśli i emocje z jednego momentu i nie ona wybiera moment. Nie ma wpływu na to, jakie uczucia i zdarzenia wplątały się w daną rzecz. Obrazy same ją nachodzą, zalewają wspomnienia, zapomina wtedy o sobie. W ten właśnie sposób stała się Anną. I nie potrafiła przestać nią być – zabrnęła za daleko, potrzebowała pomocy.

– Skąd wiedziałaś, że to ona, a nie ja? – pyta Hertę.

– Po prostu inne ruchy – wyjaśnia prozaicznie gospodyni – Ty i matka macie zupełnie różny sposób chodzenia. Obserwowałam cię tego dnia na plaży. A gdy

potem przyszedł i hrabina otworzyła drzwi – ten uśmiech to była cała ona. Słodka łasiczka.

Tylko tyle? Herta na pewno coś ukrywa, Ilza wyczuwa wiszące w powietrzu sekrety. Zastanawia się, czy sama powinna grać uczciwie, przyznać, że wcale nie jest pewna swych nadprzyrodzonych zdolności – być może działają wyłącznie w związku z Anną. Nadmierna szczerość mogłaby jednak osłabić pozycję Ilzydy w negocjacjach z sojuszniczką-przeciwniczką.

– Co więc mogłabym dla ciebie zrobić w zamian za ziele? – pyta Hertę. Ta znów się uśmiecha w sobie właściwy irytujący sposób.

– Och, na pewno przydasz mi się kiedyś – odpowiada wymijająco.

Ilza nie odwzajemnia uśmiechu, patrzy na Hertę i czeka w milczeniu. Nie po to wykladała karty na stół – naturalnie nie wszystkie, by dać się zbyć. Chce konkretów: kiedy, za co, za ile.

Herta poważnieje.

– Cierpliwości moja droga, cierpliwości. Za wcześniej, by ci powiedzieć, czego chcę. Zresztą czarne ziele wymaga długich przygotowań, żeby dobrze działało, musi swoje odstać. Ale jutro już zacznę szykować, obiecuję.

Klepie dobrotliwie gościa po rękę i wstaje, dając do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca. Ilza też wstaje, z ociąganiem. Zdaje się, że nic więcej dziś nie uzyska.

– I nie zjawiaj się tu znów bez zaproszenia, jak przyjdzie pora, sama cię wezwę – dodaje Knopkowa.

Bierze Ilzydę pod ramię i prowadzi do wyjścia.

– Podobało się, co? – rzuca z sarkazmem po drodze. – Każdej się podoba.

Zamykając za Ilzą furtkę, dodaje tonem niemal serdecznym:

– Jak ktoś za dużo myśli, jest samotny, wtedy szaleństwo blisko. Trochę go nie zaszkodzi, ale pilnuj się, by nie zwariować do końca. Szkoda by cię było.

– • –

Tej nocy w oknie znów pojawia się Walter. Patrzy. Nie ma jak uciec przed jego wzrokiem. Mówi. Nie ma jak uciec przed słowami – pojawiają się wprost w głowie Ilzydy. Chce, by wpuścić go do środka. Wpuść do środka. Ciemność jest taka zimna.

Taka zimna.

Ludzie ciepli.

Przytul mnie.

Wpuść mnie.

Ciepło. Gorąco.

Tak blisko.

Pragnienie narasta: napięciem, rozdygotaniem, poczuciem pustki, która domaga się wypełnienia, rozerwania na kawałki, zniszczenia wszystkiego. Wszystkiego.

Ilzyda próbuje siłę woli przeciwstawić pragnieniu. Pamięta ostrzeżenie Herty, obleciał ją strach, że może znów zatracić siebie, zapomnieć kim jest. Za długo były z matką jednym ciałem – emocje Anny, jej wspomnienia płyną tuż pod powierzchnią, dostępne na głębokości jednej tylko myśli.

Tak łatwo po nie sięgnąć i dowiedzieć się na przykład, że krąg z wpisanym imieniem „Ilzyda”, odkryty tuż po przyjeździe do pensjonatu, powstał nie po to, by wezwać córkę, lecz by mogła ona zobaczyć Waltera, gdzie inni go nie widzieli: na plaży, na molo. Na molo w czasie sztormu – tam Walter musiał wyczerpać zapas energii odebrany Adelinie i rozproszył się. Ilza nigdy więcej nie ujrzy kochanka w świetle dnia – wyłącznie w nocy, chyba że znów znajdzie się czarownica, żywa czy umarła, z której będzie mógł czerpać siłę do materializacji. Samo medium jest za słabe, potrafi jedynie wezwać targane wiatrem cząstki, by pod osłoną ciemności zebrały się w chmurę, a potem przybrały kształt udający człowieka.

W klasztorze siostra Scholastyka przestrzegała grupkę uczennic przed sukubami. Przyjmują postać pięknych młodzieńców i kuszą, och jak kuszą.

– I to właśnie siostrę kusiły? – spytała jedna z pensjonarek, niedowierzająco, bo trudno było uwierzyć, że sukub miałyby zawziąć się akurat na niezbyt urodziwą Scholastykę, powinien raczej zagiąć parol na ładniutką siostrę Konstancję.

– Im chodzi o piękno wewnętrzne, piękno duszy – wyjaśniła urażona Scholastyka. Dlatego ją wybrał. Ale nie uległa! Wystawiał na pokuszenie przez okrągły rok, siostra Scholastyka – nic! Nawet w trakcie najrozkoszniejszych pieszczot głośno odmawiała Ojciec Nasz.

A jeśli Walter to właśnie jeden z tych sukubów, diabłów wyspecjalizowanych w grzechu nieczystości, o których opowiadała zakonnica? Pojawiają się w środku nocy i zaspokajają pożądanie, choć sami nie są cieleśni.

– Rączki na koldrę, panienki! – ostrzegała Scholastyka. – Żadnych figli! Ani w pojedynkę ani parami! Bo inaczej sukub przyjdzie w trymiga i nim się jedna z drugą obejrzy, zaciągnie do piekła. Tam już stoją przygotowane kotły z wrzącą smołą i chlup!, wpadają do niej nieskromne dziewczątka po szyję albo i po grzywkę.

Ale Scholastyka była kompletnie zwariowana. Opowiadała też o demonkach: małe, puszyste jak kotki, ocierały się o jej nogi, piszczały, wbijały kły i piły krew, nie dawały się odgonić. Na dowód pokazywała poznaczone żyłakami nogi.

– Owszem, była stuknięta, ale ja też jestem stuknięta, „całe miasto” o tym wie – myśli Ilza. Pamięta, jak Anna czytała o średniowiecznych czarownicach, o tym że obcowwały z diabłami. A co ona sama robiła zeszłej nocy, na plaży?

Może to wszystko dzieje się tylko w jej biednej głowie. A może w opuszczonym przez Boga i ludzi nawiedzonym domu. Jak zaufać własnym zmysłom? Rozsądek nie pomoże, dawno Ilzydę opuścił, zresztą przez całe życie nie przydawał się do niczego.

Jeśli już ma wariować, maść byłaby lepsza: namaszczona miała wrażenie, że kontroluje wszystko: ciało, morze, demony. Nie była zdana na łaskę czy niełaskę zjawy, której natury, a także intencji trudno się domyśleć.

Niestety, maść zależy od kaprysu Herty, Walter od decyzji Ilzydy.

Nie musi już zakładać sukienki matki – przecież wszystko pamięta. I jest silna. Kreśli krąg, wykonuje rytuał.

Tym razem nie kładzie się do łóżka, tylko staje pośrodku pokoju i zamyka oczy. Okno samo się otwiera, wiatr gasi świece, do wnętrza wpada sztorm. Gdy Ilza otwiera oczy, jest ciemno, zimno i pusto. Ani śladu Waltera – może więc nie umie wywoływać demonów tak dobrze, jak jej się wydawało, tak skutecznie jak Anna. Wychyla się z okna na plażę, ale tam też nikogo nie ma, mokry piasek skrzy w blasku księżyca, deszcz siecze w twarz, zimno, no dobrze, zwariowałam do reszty, Herta ostrzegała. Zamyka okno, odwraca się, w fotelu siedzi mężczyzna.

– Wyglądasz inaczej. Anno.

– Ilzydo.

– Anno.

Nieważne. Na razie.

– Masz na imię Walter? – Nawet szept wydaje się za głośny.

– Nie.

– To jak masz na imię?

– Nie mam imienia.

– Ale jesteś tym, kogo moja matka nazywała Walterem?

– Nazywasz mnie Walterem, tak.

– Jestem Ilzyda, nie Anna.

– Anna.

Scholastyka nic nie wspominała o tym, że sukuby potrafią być tak diabelnie uparte. Może zresztą to żaden sukub.

– Czy jesteś duchem mojego ojca? – Nie wolno pożądać własnego rodzica, nawet jeżeli nigdy go nie widziała, nawet jeśli on już jest duchem. Świat się

rozmył, ale, o Boże, przecież musiały gdzieś pozostać jakieś nieprzekraczalne granice.

– Nie duchem.

– Ojcem?

Usta zjawy poruszają się bezdźwięcznie. Słowo: „nie” wibruje w głowie Ilzydy.

– To kto jest moim ojcem?

– Mogę go przyprowadzić. Nie żyje.

Nocny gość Ilzydy potrafi sprowadzać dusze umarłych. Musi więc być tym, w którego istnienie zawsze wątpiła: przewodnikiem Anny po zaświatach. Podczas seansu przychodził pierwszy i na prośbę medium ściągał inne duchy. Czasem, za pomocą planszy z literami i talerzyka, odpowiadał na pytania, ludzie chcieli wiedzieć najróżniejsze rzeczy: czy Napoleon został otruty? Tak. Czy ciocia zostawiła testament w szufladzie? Nie. W którym roku wybuchnie wielka wojna? W 1914. To już niedługo. Wkrótce się okaże, co warte są tego typu przepowiednie. Ilza, dumna ze swojego zdrowego rozsądku, nigdy nie wierzyła we wszystkowiedzącego ducha. Wedle słów hrabiny, miał być zmarłym małżonkiem czuwającym nad pozbawioną środków do życia wdową; ponieważ nie zostawił jej w spadku rodowych włości, starał się przynajmniej pomóc zarabiać jako medium. Jednak w prawdziwym życiu Anny nie występował żaden mąż, tym bardziej mąż-arystokrata. Zresztą Walter sam właśnie powiedział, że nie jest niczym duchem. Wciąż nie wiadomo, kim albo czym w takim razie: sukubem z opowieści siostry Scholastyki czy jedynie wytworem wyobraźni, szaleństwem kobiety rozczarowanej prawdziwymi mężczyznami, którzy zadają ból i sapią.

Na pewno był kochankiem Anny Eudory. Ona odważyła się pierwsza. To szczyt chorej nieprzyzwoitości dziedziczyć kochanka po matce, nawet wymyślonego, nawet z piekła rodem. „Boże, zwariowałam, ale nie aż tak”.

– Odejdź – mówi Ilzyda. – Apage satanas. Odejdź natychmiast i zostaw mnie w spokoju.

Hole am Meer 5 lutego 1914 roku, czwartek

Rano robi porządki – na wszelki wypadek w rękawiczkach, by uniknąć kontaktu gołej skóry z rzeczami matki i nie odpłynąć w jej wspomnienia z powrotem. Po południu wybiera się na zakupy, lecz nie ma takiej potrzeby – tuż za progiem domu znajduje kosz z jedzeniem zapewne dostarczony przez Hertę. Puszki z maścią niestety w nim brak, ale i tak Ilza nie spodziewała się jej tak szybko. „Cierpliwości, moja droga, cierpliwości”.

Wczesnym wieczorem, nim jeszcze całkiem zapadnie zmierzch, zaciąga zasłony w oknach.

Hole am Meer 6 lutego 1914 roku, piątek

Adelinę pochowano w imponującym rodzinnym grobowcu, natomiast grób Anny to po prostu kupka ziemi przykryta śniegiem. Krzyż z tabliczką przechylił się niebezpiecznie. Trzeba będzie zrobić tu porządek, zamówić murowany nagrobek – o ile którykolwiek majster z Hole przyjmie od Ilzydy zlecenie, bo przecież nie będzie sprowadzać specjalnie w tym celu kogoś ze Szczecina i nie daj Boże jeszcze tłumaczyć dlaczego. Łatwiej po prostu posadzić kwiaty. Ale dopiero na wiosnę, wszystko na wiosnę.

Hole am Meer 7 lutego 1914 roku, sobota

Pustka, nic. Równie dobrze mogłaby umrzeć.

Hole am Meer, w nocy

Zerka za zasłonę: on jest i czeka, Ilzyda odskakuje od okna. Krąży po pokoju niczym tygrys po klatce. Na zewnątrz huczy wiatr, śnieg siecze o szyby, biedny Walter tkwi pośrodku. Nie potrafi sam przedrzeć się do ludzkiego świata, zasłona jest za gruba. Ilza zastanawia się, czy medium grozi niebezpieczeństwo. Może Walter zabiera życiową energię, wysysa siły, w ten sposób zabija? Nie, to nieprawda. On nie zabił Anny, starał się jej pomóc – zmuszając Ilzydę, by ubierała się w suknie matki, wyglądała jak ona, była nią. Diabeł Stróż Anny Eudory!

Ciemność jest taka zimna. Taka zimna.

Hole am Meer 8 lutego 1914 roku, niedziela

Godzinami chodzi po opustoszałej plaży. Chuda, wyblakła. Coraz starsza. Melancholiczka. Córka wariatki, a szaleństwo niestety się dziedziczy.

Na domiar złego mówi sama do siebie jak prawdziwa wariatka. Nic dziwnego, że Hole ma o niej fatalną opinię – jak cię widzą, tak cię piszą.

„Całe miasto” w jednym jednak kompletnie się myli. Otóż, panna von Taffel jest – niestety – zupełnie niegroźna, nawet gorzej niż niegroźna, gdyż bezbronna, nie dysponuje nadprzyrodzoną mocą, nie rzuca czarów ani uroków, bo nie potrafi,

żadna z niej wiedźma, to tylko kobieta bez piątej klepki, upierająca się mieszkać w zrujnowanym pensjonacie. Dlaczego ktoś miałby się nią przejmować?

Idzie do miasta, na jej widok ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy. Och, gdyby była prawdziwą czarownicą zesłałyby im porządne gradobicie.

W drodze 9 lutego 1914 roku, poniedziałek

Jedzie do Szczecina. Trochę spraw bankowych do załatwienia, kilka sprawunków do zrobienia. Tu nikt nie przechodzi na jej widok na drugą stronę ulicy, ale też nikt Ilzydy nie widzi. Jest doskonale przezroczyista. Miasto wydaje się kompletnie obce, a szkoły, w której kiedyś uczyła, nie warto odwiedzać.

Hole am Meer 10 lutego 1914 roku, wtorek

Tego dnia idzie do Herty, spytać jak tam postępy w wiadomej sprawie. Dzwoni do furtki, czeka, ale na próżno. Knopkowej, zdaje się, nie ma w domu. Nie pozostaje nic innego jak wrócić do Szczęścia Adeliny. Po drodze kłania jej się z lekkim wahaniem nieznajomy mężczyzna: starannie, choć prowincjonalnie ubrany, przeciętnego wzrostu i tuszy, lekko łysiejący. Wiek – na oko – około czterdziestki. Ilza przypatruje mu się tak uważnie, a nawet za nim ogląda, bo dziwi ją uprzejmość nieznajomego. Pierwszy raz, odkąd zamieszkała w Hole am Meer, ktoś się jej uklonił. Może chcą uspić czujność, bo znów coś szykują.

Gdy dochodzi do pensjonatu, znajduje pod drzwiami kolejny koszyk z jedzeniem, widać Herta wzięła ją pod swoją opiekę i postanowiła karmić, oczywiście nie bezinteresownie. Przyjdzie taki dzień, że Ilzyda będzie musiała i za to zapłacić.

Hole am Meer 11 lutego 1914 roku, środa.

Sama, zawsze sama.

Hole am Meer 12 lutego 1914 roku, czwartek

Tęsknota za zakazaniem staje się wprost nie do wytrzymania.

Hole am Meer 13 lutego 1914 roku, piątek

Nie do wytrzymania.

Tej nocy Ilza śni o matce. Walter ciągnie Annę do kręgu, a ona stawia opór:

– Nie zajmę miejsca Ilzydy – powtarza. – To była Ilzyda. Ilzyda, rozumiesz?!

– Imię nieważne, możesz nazywać się jak chcesz. Znam cię przecież – przekonuje ją kochanek. Nadal piękny jak marzenie, we śnie wygląda na normalnego człowieka. I mówi normalnie: pełnymi zdaniami, płynnie, swobodnie.

– Mnie też możesz nazywać jak chcesz. Walter, nie-Walter, imię nieważne. Nie miałem postaci, ty przyoblekłaś mnie w kształt, wyciągnęłaś z niebytu, stworzyłaś. Zostań, nie odchodź. Bez ciebie rozwieję się znów.

Anna potrząsa głową.

– Nie zabiorę życia Ilzydzie – powtarza.

Staje na krawędzi kręgu, wyciąga nad nim ręce, mówi powoli i uroczyście:

– Mojej jedynej córce Ilzydzie Filomenie von Taffel vel Tafel, przekazuję wszystko co posiadam, całe dziedzictwo: ubrania, biżuterię, długie, pamiątki, czary i kochanka.

Potem odwraca się do Ilzy, która, jak się okazuje, też występuje w tym śnie:

– Uśmierzył mój ból. Zabierze także twój, Ilzuniu, nie bój się go. On jest jak chmura, od teraz twoja własna. To tylko chmura. Mgła. Nie ma się czego bać.

Krąg wyrysowany został na piasku, plaża rozciąga się z obu stron, szeroka i pusta po horyzont. Morze – w tym śnie najdziwniejsze – stoi nieruchomo, idealnie gładka powierzchnia lśni niczym polerowana stal. Anna w to wchodzi: po kolana, uda, szyję, w końcu stal zamyka się nad jej głową.

Walter stoi z boku, smutny jak bezpański pies. Musi sobie znaleźć nowego człowieka.

– Ilzydo – mówi. – Czy jesteś podobna do matki? Chcę widzieć, jaka jesteś do niej podobna.

Hole am Meer luty 1914 roku

Ilza budzi się z walącym sercem przepelnionym wdzięcznością. Matka wolała umrzeć na dobre niż zabrać jej życie. Kochała ją. Sen rozwiązał wątpliwości i uniewinnił. Nareszcie. Tak długo czekała na znak czy choćby wskazówkę.

Odsłania okna. Dzień jest piękny, mroźny i słoneczny, plażę pokrywa czysty, wciąż jeszcze dziewiczy, niezadeptany niczymi butami śnieg. Ranek wymarzony, by zacząć wszystko od nowa.

Ubiera się z przyjemnością. Choć wkłada suknię Anny, wciąż jest Ilzydą, ale Ilzydą-Ilzunią – ukochaną córeczką, już nie sierotą.

W ubraniu matki wychodzi na spacer. Nie kieruje się jak zwykle na pustą plażę, lecz skręca w stronę nadmorskiej promenady, gdzie zapewne spotka skuszonych ładną pogodą innych spacerowiczów. Niech ją widzą i się gapią. Nie będzie się chować. A niech mówią, że weszła w buty tamtej, że zła krew, że to dziedziczne. Voilà! – na scenie pojawia się nieodrodna córka Anny Eudory von Taffel. Pruderyjne plotkary mogą sobie do woli patrzeć spode łba. One nie biegają po wodzie – o zmierzchu siedzą w domach, rozpamiętując ciężkie życie, poczytując za obrazę Boską, gdy ktoś miał lżejsze; sądzą, że żyje się, by przeżyć, nie dla przyjemności – kiedyś Ilza by się z nimi zgodziła, teraz na pewno nie.

Będzie kłuć w oczy wszystkich. Na początek kolorem: od dziś porzuca czerń Ilzydy Filomeny na rzecz papuzich piórek Anny Eudory. Wchodzi w jej butach na czysty śnieg. I jest świetnie. Morze niebieskie, niebo niebieskie, lekki przymrozek, lekko na duszy. Wszystko się ułożyło. Śnieg skrzypi pod nogami. Dobrnęła do Szczęśliwego Końca swojej historii jako małomiasteczkowa wariatka, pogodzona ze zmarłą matką, obdarowana wymarzoną kochankiem, ideałem mężczyzny. Od czasu do czasu będzie go zdradzać z innymi demonami, jeśli Herta pozwoli.

Wspomnienia Anny płyną tuż obok, ale nie czają się gotowe do ataku, tylko grzecznie czekają na chwilę uwagi. Są oswojone. Łaszą się, lecz nie narzucają, znają mores i swoje miejsce. Och, no dobrze, może im poświęcić kilka minut, pod warunkiem że będą przyjemne.

Zielona aksamitna suknia – krzyk mody jakieś piętnaście lat temu – przywołuje obrazy z wieczorków towarzyskich, tańczące płomienie świec, trzepot rzęs, ożywione twarze gestykulujących ludzi.

Wystarczy jednak, że Ilzyda zerknie w bok i znów widzi morze, deptak, mężczyznę, który kilka dni temu jej się uklonił i ponownie się kłania.

Ilza kiwa głową w odpowiedzi i idzie dalej uśmiechnięta. Podoba jej się to życie na granicy kilku światów, tam nie ma miejsca na samotność.

– W ten sposób historia się dla mnie kończy – powtarza w myślach – zostałam szczęśliwą wariatką.

I śmieje się na głos, bo nie ma nic do stracenia, wszystko jej już wolno.

A po powrocie, gdy tylko ciemność zaczyna zbierać się za oknem, wywołuje demona.

Hole am Meer 1914 rok

Cały dzień szykuje się na noc. Walter przychodzi tuż po zmierzchu, potem Ilzyda zasypia. Nawet przez sen ma wrażenie, że śledzą ją jego oczy, czuje ciepło, jakby ktoś ją objął lub otulił miękkim kocem.

Hole am Meer 1914 rok

Dochodzi do wniosku, że musi sobie znaleźć zajęcie w ciągu dnia, by godziny mijały szybciej. Jak na razie nie ma nic innego do roboty niż sprzątanie. Ono nie pomaga, czas dłuży się niemiłosiernie, niech już w końcu nadejdzie zmierzch.

— • —

Tego dnia oprócz wiktuałów w koszu od Hertty znajduje się wiadomość: jutro o 12.

Hole am Meer

Herta wprowadza ją do saloniku, nie proponuje herbaty – nigdy zresztą nie miała takiego zwyczaju – tylko od razu przystępuje do rzeczy. Na początek wyciąga z worka znoszony, męski tużurek. Ilza zakłada go z obawą, że nic z tego nie wyjdzie.

Wychodzi, ale niewiele: pokój z palmą, kominek, nuda, bezpieczeństwo.

– Dobrze – mówi Knopkowa i podaje marynarską czapkę.

W czapce Ilzyda znajduje się na statku, widzi ołowianoszare morze, niebo tegoż samego koloru, pusty widnokrąg i nie myśli nic.

Knopkowa kiwa głową, jakby tego się właśnie spodziewała, podaje płaszcz. A z płaszczem nie wynika kompletnie nic.

Następna w kolejce jest rozdarta koszula, i w końcu ona, ku zaskoczeniu Ilzy, mówi o właścicielu dużo, nawet za wiele.

Zdradza, że spotykał się z Adeliną. Mieli umówione miejsce na wydmach. W trakcie pieszczot wyrwała mu kilka włosów.

– Auć, to boli, ależ z ciebie dzika kotka! – Śmieją się oboje. Bierze ją wprost na piasku. Dla Ilzy to niezwykle doświadczenie: pierwszy raz przeżywa intymną sytuację jako mężczyzna. Wchodzi w kobietę. Szok.

Mija dobra chwila nim dochodzi do siebie.

– Co widziałaś? – pyta Herta.

Mówi więc Knopkowej, co się zdarzyło, ta słucha z kamienną twarzą. Minę ma nieodgadnioną, ale na pewno nie jest miło dowiedzieć się, że mąż romansował ze szwagierką.

- Wystarczy – mówi Herta. – Możesz już iść.
- A ziele? – pyta Ilza.
- Cierpliwości, moja droga, cierpliwości. Dziś to była tylko próba. Chciałam się upewnić. Wezwę cię jak przyjdzie pora.

Hole am Meer luty

Świt jeszcze daleko, gdy Ilzyda nieoczekiwanie budzi się, przewracając z boku na bok, potem nie może zasnąć. Czy wolno wywołać Waltera drugi raz w ciągu jednej nocy? Zapewne wolno – bo kto zabroni, tylko czy da radę? Ależ się zrobiła zachłanna! Wstaje z łóżka i podchodzi do okna. Śnieg i woda odbijają światło księżyca, jest całkiem jasno, zwłaszcza dla kogoś, kto ma oczy przyzwyczajone do mroku. Na molo przesuwają się światła, ktoś chodzi po pomoście z latarnią.

Hole am Meer

Spotykają się – przypadkiem? – na plaży. Herta stoi zapatrzona w horyzont, bez pośpiechu odwraca się na odgłos kroków.

– Czy zastanawiałaś się kiedyś, jaki koniec nas czeka? – pyta z głupia frant.

Ma na myśli karę za grzechy po śmierci? Piekło i tym podobne? O życiu pozagrobowym Ilzyda nie chce dyskutować ani nawet myśleć, woli cieszyć się, że doczesne ułożyło się ostatnio znośnie – dopłynęła do spokojnego portu. A jeśli chodzi o sprawy Herty, kto wie, jaki diabeł w niej siedzi, lepiej nie wnikać.

– Wie pani, mówią, że będzie wojna – odpowiada wymijająco.

Tamta wzrusza ramionami, przecież wiadomo, że nie to miała na myśli. Po chwili proponuje Ilzydzie, że pokaże, jak się wróży z błota.

– Słona woda prawdę powie. – Herta przykuca i wyciąga rękę, cierpliwie czeka, aż któraś z fal dotrze i obmyje palce, wtedy szybko zagłębia je w mokrą ziemię i wybiera pełną garść. Odchodzi od brzegu ściskając w dłoni rzadkie błoto.

– Morze zabrało, ale morze spłaca swoje długi – szepcze z zamkniętymi oczami i rozchyła pięść. Błoto przecieka między palcami, skapuje, tworząc na piasku brudny wzór. Z którejkolwiek strony oglądany, nic a nic Ilzydzie nie mówi.

– No dobrze, ale jak z tego coś odczytać? Co to znaczy?

– Śmierć – odpowiada Herta. – Śmierć, wkrótce.

– A niby po czym można to poznać? – pyta prowokująco Ilzyda, chwilami ma naprawdę dość tego całego ponuractwa.

Herta patrzy na nią z ukosa

– Zobacz – mówi nagle i rysuje na piasku symbole. – Taki układ oznacza początek, taki koniec, a ten szybki koniec. Z kreską na górze koniec przez śmierć.

Może rzeczywiście widać podobieństwo między znakiem kreślonym patykiem a wytyczonym błotem. A może Herta wszystko wymyśliła na poczekaniu, bo lubi innych straszyć.

– Teraz ty.

Ilzyda bierze do ręki rzadkie błoto, zaciska w dłoni, potem wypuszcza powoli spomiędzy palców.

– I co? – pyta Hertę.

– Dostaniesz spadek – mówi ona na to i patykiem zamazuje wróżby.

Hole am Meer

Po zmierzchu ktoś puka do drzwi. Ilzyda zabierała się właśnie za wywoływanie Waltera, stukanie ją irytuje, zaiste nie pora na nieproszonych gości. Waha się, zastanawia, no cóż, niech tam, w końcu schodzi na dół. Wychyla się ostrożnie, za progiem nikogo nie ma, wydawało jej się pewnie. Wraca na wieżę. Wyjmuje właśnie kredę zza lustra, gdy słyszy szelest: na szybie rozpryskuje się garść piasku.

Podchodzi do okna. Światło padające z pokoju rzuca jasną plamę na plażę, wykrawa kwadrat z ciemności. Pośrodku stoi Herta Knopke i daje znak pannie von Taffel, by zeszła. Pokazuje, że ma puszkę.

Ilza ubiera się i schodzi szybko. Knopkowa na zachętę pokazuje puszkę jeszcze raz, potem chowa do kieszeni, mówiąc, że odda, jak już będzie po wszystkim. Nie wyjaśnia po czym. Prowadzi Ilzydę długo i daleko od miasta. Idą w milczeniu brzegiem morza, po godzinie, może dwóch, czas bowiem się dłuży, gdy zimno i nogi bolą, Herta skręca w stronę wydmy. Ilza posłusznie drepcze za nią i wdrapuje się na wzniesienie, tutejsze wydmy są, niestety, znacznie wyższe niż te w Hole. Przypomina sobie gminne powiedzenie o zmęczonych nogach wchodzących w tyłek. Choć dama absolutnie nie powinna się w ten sposób wyrażać, Ilzyda myśli, że jej własne właśnie od tyłka odpadają, takie zrobiły się ciężkie. Wie jednak, że musi zarobić na ziele, więc nie narzeka – głośno.

Na szczycie wzgórza błyszczą w świetle księżycy przyprószony śniegiem krąg. Wkopane w ziemię głazy tworzą trzy zmniejszające się ku środkowi koła, w samym centrum króluje pojedynczy wielki kamień. Na nim Herta Knopke stawia świeczkę i podpala knot. Płomyczek rozbłyskuje jak miniaturowa latarnia morska, zamiast jednak odganiać mrok, sprawia, że noc wydaje się czarniejsza, ciemność napiera na światło. Za kręgiem lśnią okrągłe, trzymające się na dystans

ślepie obserwują, co też te dwie kobiety wyprawiają w takim miejscu i o takiej porze.

– Widziała pani?! Tam coś jest, jakieś zwierzę, pies chyba! Jezu, a może to wilk!

Bez sensu, skąd by się tu wzięły wilki. Ślepie mrugnęły i zniknęły. Herta odburkuje, by nie używać imienia boskiego nadaremno, nie przeszkadzać, czekać na swoją kolej, tymczasem siedzieć cicho. Gmera w worku, który ze sobą przyniosła, wyjmuje coś, chowa, plecami stara się zasłonić to, co robi, przed wzrokiem Ilzy.

Może sobie oszczędzić trudu, Ilzyda nie ma ochoty podglądać, jest zmęczona i śpiąca. Siada na gołej ziemi i opiera plecami o głaz. Ktoś niezle się namęczył, przynosząc tu te wszystkie kamienie, pewnie z daleka, bo w najbliższej okolicy przecież sam piasek.

Przymyka oczy i zasypia. Budzi się, gdy Herta szarpie ją za ramię. Pora na medium – Knopkowa ciągnie zasnąłą towarzyszkę w środek kamiennego kręgu. Zanim Ilza zdąży dobrze oprzytomnieć, wkłada jej na głowę marynarską czapkę i przyciska palce do skały. Kamień jest mokry, polany czymś lepkiem. Gorący. Woda, która zalewa Ilzydę, lodowata.

Topi się, za wszelką cenę próbuje wypłynąć na powierzchnię, siecze rozpaczliwie wodę, macha rękami, aż z całej siły wali w głaz i wtedy trzeźwieje.

Mężczyzna, ten od czapki, mąż Herty, kochanek Adeliny, utopił się, Ilza jest tego pewna. Leży na ziemi i ciężko dyszy. Knopkowa klepie ją po policzku.

– No, no, już po wszystkim. Dzielna dziewczyna. Co widziałaś?

Wysłuchuje relacji, kiwając głową, jakby i tego się spodziewała. Zgodnie z obietnicą, gdy jest już po wszystkim, daje Ilzydzie puszkę. Potem każe zejść na plażę i brzegiem morza wracać do domu: nie ma jak zabłądzić, wystarczy iść przed siebie, ze świtem na pewno dojdzie. Sama Herta ma tu jeszcze coś do roboty, muszą więc się rozstać.

Istotnie już świta, gdy Ilza dowleka się w końcu do Szczęścia Adeliny, mając gdzieś, czy jest damą, czy nie – nogi odpadły jej od tyłka kilka mil wcześniej. Mocno trzyma za to w garści trofeum.

Hole am Meer

Cały dzień wykończona śpi. Otwiera oczy dopiero o zmierzchu i pierwsze, na co pada wzrok to lewa ręka – spuchnięta i posiniaczona. Ilza ostrożnie porusza palcami, zgina nadgarstek, na szczęście nic nie złamała. Mogło być gorzej, powiedzmy, że taka była cena.

Nie czekając, aż słońce zajdzie do końca, przeprasząc w myślach Waltera, Ilzyda zaciąga zasłony w oknach. Zapala lampę, wyjmując puszkę i staje przed lustrem. Powoli zdejmując ubranie, warstwę za warstwą, aż do gołej skóry. Dotyka się z przyjemnością, głaszcze, pociera. Mazidło cuchnie jak samo piekło, ale zdaje się, że zdążyła już polubić ten smród.

Potem zbiega lekko, niemal frunie, po schodach, mknąc jak duch przez zabity deskami korytarz, przekręca klucz w zamku i szarpnięciem otwiera drzwi. A on stoi tuż za drzwiami: skondensowana mgła z ciemnymi oczami, i patrzy z wyrzutem. Ilzyda cofa się w głąb domu. Na jej oczach Walter materializuje się do końca, tak rzeczywisty jak nigdy dotąd, do złudzenia przypomina teraz człowieka. Wyciąga rękę, Ilzyda tę rękę przyjmuje. Ciekawi ją, jaka będzie. Okazuje się twarda, prawdziwie cielesna, ale gorąco-lodowata: parzy żywym ogniem, sekundę potem mrozi i znów parzy.

– Musisz mnie zaprosić.

– Wejź – mówi Ilza i ręka zaciska się na jej dłoni, w mgnieniu oka Walter jest w środku, w ciemnym korytarzu przyciska Ilzydę do ściany.

– Nie mogłem się doczekać. – Ten schrypnięty szept wyczynia niesamowite rzeczy z sercem: tętno zamiera na moment, by potem nierównym cwałem nadrabiać stracony czas. Ilza ma uczucie *déjà vu*, przeżywała już kiedyś coś podobnego, choć nie pamięta, kiedy i gdzie, trudno zresztą skoncentrować się na myśleniu, gdy przyduszona do muru, całym ciałem odczuwa przenikające ją na przemian zimno z gorącem, gdy obce wargi błędzą po jej szyi.

– Złotko. – Mężczyzna mruczy Ilzynie do ucha. Rozsuwa jej nogi twardym kolanem, delikatnie dotyka wrażliwego miejsca. Dociska mocniej.

Hole am Meer

Ilzyda wybiera się odwiedzić miejsce, gdzie, jak sądzi, tamtej nocy na plaży widziała ognisko. Chce sprawdzić, czy znajdzie ślady ognia, czy też wszystko okaże się jedynie snem, podobnie jak wczorajszej nocy Walter: żywy i w pełni cielesny. Być może ziele nie robi nic innego, jak tylko sprowadza upragnione sny. Jeśli tak, to oczywiście nadal jest bardziej niż chętna by je mieć, ale spróbuje negocjować cenę.

– Odkryłam sekret, Frau Knopke, ha! – wyobraża sobie reakcję Herty: jak tamta spuszcza z tonu i przyznaje, że czarne ziele to w istocie żadna przepustka do nadprzyrodzonego świata, tylko, po prostu i zwyczajnie, narkotyk.

Ilza wkłada nieprzyzwoicie kolorową sukienkę, fikuśne buty, przymierza kapelusz à la garnek odziedziczony po Annie. Przez głowę przemyka wizja dworca, opustoszałego peronu, poczucie bezradności. Odgania je niecierpliwie –

nie teraz. Ogląda się uważnie w lustrze. Suknia leży dobrze, zwłaszcza, że Ilza wypchała dekolt chusteczkami, natomiast ten kapelusz... to chyba jednak niedobry fason, bo twarz przytłoczona ciężkim rondem wygląda jak lisi pyszczek. Ilza wybiera inny kapelusz: miękki filcowy, ozdobiony strusim piórem, modny jakieś dziesięć lat temu. Na suknię narzuca kupiony w Paryżu płaszczyk, wytarty w szwach, ale roztaczający wokół siebie aurę niezniszczalnego francuskiego szyku. Tak wystrojona czuje się dobrze przygotowana na konfrontację z odzianą w bure barchany Hertą Knopke.

Najpierw jednak idzie tam, gdzie wydmy cofają się nieco w głąb łądu, plaża tworzy zakole. Ilza rozgląda się uważnie. Tak, to chyba było tu, w tej piaszczystej zatoczce, mniej więcej tydzień, albo dwa tygodnie temu – nie ma pewności, bo ostatnio znów straciła poczucie czasu. Chodzi w kółko, patrząc pod nogi. I owszem, znajduje coś, co może jest resztką popiołu, kilka rozrzuconych blisko siebie, osmalonych gałęzi, wygładzony wodą i na wpół zwęglony konar, który najpierw morze wyrzuciło na brzeg, a potem ktoś wrzucił do ognia.

Ilzyda podnosi drewno z ziemi, obwąchuje, czy czuć je jeszcze dymem. I oczywiście, na tej głupiej czynności musi przyłapać ją Herta Knopke, która zniecka wynurza się zza wydmy.

– Co pani tu robi?! – woła z oburzeniem Ilza, jakby plaża nie była dla wszystkich, a tamtej nie wolno chodzić, gdzie jej się żywnie podoba. – Śledzi mnie pani?!

Oстрыm tonem chce ukryć zmieszanie. Miała przecież sama wybrać czas i miejsce decydującej rozmowy, wykorzystać przewagę zaskoczenia. A tymczasem Herta wyskakuje jak diabeł z pudełka z wielkim wiklinowym koszem na plecach i odpowiada spokojnie, że zbiera wodorosty.

– Wodorosty do mieszania z zieleń. Jak chcesz, pokażę ci, które to są.

Ilza bardzo chce. Negocjować będzie więc kiedy indziej. Herta rozgrzebuje patykami kupkę śmieci naniesioną przez morze i pokazuje: o, to są te. Tylko w kilku miejscach na wybrzeżu można je znaleźć, a tu, w tej zatoczce, jest ich najwięcej.

Ilzyda podnosi oślizgłą łodygę i wrzuca do kosza. Za nią następną i następną. Gdy kosz jest już pełen, proponuje, że pomoże zanieść, naładowany po brzegi glonami zrobił się ciężki. Bierze jedno ucho, Herta drugie i dźwigają zgodnie, ramię w ramię, niemal jak przyjaciółki. Na ulicy spotykają mężczyznę, tego samego, który kłaniał się Ilzydzie wcześniej, teraz też to robi. Pozdrawia grzecznie również Frau Knopke, rzuca spojrzenie na kosz, pyta, czy pomóc.

– Damy sobie same radę, dziękujemy – odpowiada zdecydowanie Herta, na co mężczyzna jeszcze raz uchyla kapelusza, kłania się i idzie swoją drogą. Ilza pyta, kto to był.

– Nowy pastor. To znaczy, przyjechał tu trzy lata temu, ale ludzie wciąż mówią, że jest nowy. Był na pogrzebie twojej matki. Chyba tylko dzięki niemu pochowano ją w poświęconej ziemi, bo tutejsi nie chcieli wpuścić czarownicy na cmentarz, cuda zaczęli opowiadać, jak to na trumnie widać ogniste smugi, zadrapania diabelskimi pazurami zrobione, że duchy wywoływała, aż jeden w nią wszedł, do piekła zabrał i tak dalej. Wielebny strasznie na nich nakrzyczał. Ma bzika na punkcie walki ze średniowiecznymi przesądami. „Jezus to postęp, Jezus to światło elektryczne” – Herta przedrzeźnia pastora. – A na ostatnim kazaniu długo gadał o przyjmowaniu po chrześcijańsku przyjezdnych, zwłaszcza dam. Chyba się tobą interesuje.

Knopkowa chichocze, Ilzyda czerwieni się i zła jest na siebie z tego powodu.

Hole am Meer

Najpierw wodorosty należy obrać, zostawiając same „żyły” – ciężka brudząca ręce robota. Ilza siedzi w kuchni Herty i tnie nożykiem, jak jej pokazano. Obok bulgocze ziele gotujące się w morskiej wodzie. Gdy woda wyparuje, dodaje się obrane wodorosty, surowe jajka, uciera wszystko na miazgę, lejąc krew, niestety to konieczny składnik, Ilza wzdryga się z obrzydzenia.

– Nie musi być ludzka – uspokaja Herta. – Choć ludzka najlepsza, ale z czarnego koguta też się nada.

Potem całość trzeba odstawić w ciemne miejsce i czekać pełni księżyca. Właściwie Ilza zna już wszystkie składniki receptury i sposób przygotowania. Nie wie tylko najważniejszego: gdzie rośnie ziele i jak ono przed rozgotowaniem na papkę wygląda.

Hole am Meer

Bez ziela Walter jest jak chmura, nieuchwytny, nie ma nawet co marzyć o wzięciu go za rękę, a cóż dopiero o przytuleniu do piersi. Człowieka przypomina jedynie na samym początku, tuż po wywołaniu. Potem rozprasza się, rozmywa w nieokreślony kształt, przechodzi przez drzwi, wyłania ze ściany, w jego objęciach Ilzyda gubi się jak we mgle, otoczona, obezwładniona, uniesiona – i czegoś jej brak. Napięta aż do bólu, wciąż nie może go dotknąć. Dłonie bez oporu przecinają powietrze.

Kwestia porozumienia ze zjawą też pozostawia wiele do życzenia. Słowa pojawiają się w głowie Ilzydy, ale są to tylko urywki, kawałki zdań. Nie sposób prowadzić z Walterem normalnej konwersacji i nie bardzo jest też o czym pogadać. Wieści z Krainy Wiecznego Lata nie interesują Ilzy, nawet o nie nie

pyta, a że wojna będzie – wiedzą już wszyscy. Woli, gdy Walter wydaje się mniej urojony, bardziej rzeczywisty, najlepiej jeśli do złudzenia przypomina prawdziwego człowieka. By tak się działo, potrzebne jest ziele.

Hole am Meer

Z Frau Knopke spotyka się ostatnio dość często, to jeszcze nie przyjaźń, raczej rodzaj sojuszu „wyklętych przez całe miasto”. Na ogół widują się u Herty w domu albo spacerują brzegiem morza. Widziane razem z daleka, muszą tworzyć śmieszne studium kontrastu: jedna wysoka, chuda jak szczapa, wściekle kolorowa, druga niska i przysadzista, ubrana zawsze w maskujące brązy i szarości. Znają nawzajem swoje sekrety – choć nie do końca i obie to dobrze wiedzą. Ilza nie zająknęła się jeszcze nawet słowem o Walterze, natomiast rzeczy ukrywanych przez tę drugą z pewnością jest bez liku.

Knopkowa nadal nie mówi „dzień dobry”, „do widzenia” czy „dziękuję” – takie słowa najwyraźniej nie istnieją w jej słowniku, jest jednak już o wiele bardziej rozmowna niż na początku znajomości. Ilza ze zdziwieniem odkrywa, że wcale nie ma do czynienia z niewykształconą prostaczką, jak kiedyś myślała. Herta zdumiewająco dobrze zna się na przykład na geografii, potrafi wymienić nazwy wszystkich mórz, państw nie tylko europejskich, a nawet miast położonych na odległych kontynentach, gdzie wrony zawracają, pies z kulawą nogą nie zajrzy i być może w najlepsze prosperują jeszcze kanibale. Wie gdzie leży Makao, a gdzie Przylądek Dobrej Nadziei, które kolonie są brytyjskie, a które francuskie. Podobnie jak cesarz Wilhelm uważa, że przy podziale świata Niemcy zostały bardzo źle potraktowane. Jej wiedza w tej dziedzinie jest zaiste imponująca.

Dostaje dużo listów z zagranicznymi znaczkami, między innymi z Brazylii. Ilza podejrzewa, że wysyła je syn Frau Knopke, który zapewne, tak jak ojciec, został marynarzem, z tym że wypuścił się na zdecydowanie szersze wody niż Ostsee. Można by przypuścić, że dzielny potomek będzie powodem do dumy i ciągłego chwalenia się, jednak o synu Herta nie chce rozmawiać. W ogóle nie lubi mówić o rodzinie, woli politykę albo sprawy innych, z dużym upodobaniem obmawia „całe miasto”. Dzięki niej Ilza zna już wszystkie skandale, które wydarzyły się w Hole w ciągu ostatniego czterdziestolecia.



Tak jak przypuszczała, jednym z nich, szeroko komentowanym przez „całe miasto”, był związek wyniosłej panny von Taffel z prostym handlarzem rupieci.

– Głupio zrobiłaś, ale na szczęście szybko się opamiętałaś. – Herta Knopke chwali Ilzydę nie tylko za zerwanie degradującej damę znajomości, ale też za wypędzenie Berschika z miasta. – Ślicznie go wygoniłaś, moja droga, zmykał, aż się kurzyło.

– Nie wiem, czy mogę przypisać sobie tę zasługę – protestuje Ilza. Nikogo przecież nie zamierzała wypędzać, gdyby Jorg nie zdradził jej tak obrzydliwie, mogłaby teraz poczuć wyrzuty sumienia. Dodatkowo sumienie uspokaja fakt, że nie wiadomo, czy wyjechał na zawsze, w każdej chwili może przecież wrócić, choć ona osobiście wolałaby nie widzieć go więcej na oczy.

Herta też wolałaby go już nie oglądać. Nigdy nie kryła, że nie znosi Berschika. Co za typ! Uciekł od żony i w dodatku nie miał na tyle przyzwoitości, żeby

zrobić to tak, by dało się uznać go za zaginionego. Inni mężczyźni znikają jakby ich morze pochłonęło, a ten po prostu wziął i się przeprowadził – tylko dziesięć mil od miasta, w którym zostawił rodzinę! I tyle lat, bez wstydu żył sobie w najlepsze.

– Przynajmniej żonie interes kwitnie. – Herta uznaje to za rodzaj sprawiedliwości dziejowej. Gretchen Berschik wraz z dziećmi mieszka w nadmorskim miasteczku, które mogłoby być bliźniakiem Hole, i prowadzi sklep. Radzi sobie lepiej bez męża niż kiedyś z mężem, Berschik musiał być dla niej skaraniem boskim.

Mimo że Gretchen rozstanie chyba na dobre wyszło, Knopkowa i tak nienawidzi mężczyzn, którzy zostawiają rodziny na pastwę losu, porzucanie obowiązków uważa za postępowanie godne najwyższej pogardy.

Poza poglądami na temat mężczyzn i polityki, Ilzyda o swojej nowej, prawie przyjaciółce wie jeszcze, że żyje z mizernej wdowiej renty, dorabia, hodując warzywa i gotując na zamówienie, choć po historii z Adeliną prawie całe miasto odwróciło się od niej i klientów ma mało, w wolnym czasie robi koronki, a także czarodziejskie mikstury – ale to już sekret.

Hole am Meer

Znów budzi się w środku nocy i nie może spać. Tym razem winna jest pełnia. Księżycowa poświata wpada przez odsłonięte okna do pokoju i narusza sny. Ilzyda wstaje z łóżka i podchodzi do okna zaciągnąć zasłony. Wydma obok domu jest cała srebrzysta, śnieg, który ją pokrywa, odbija światło. Na jasnym tle odznacza się przysadzista sylwetka w ciemnym stroju. Drepcze i co kilka kroków pochyła się, wtykając coś w piasek. Potem na plaży rozbłyskują małe płomyczki, osłonięte od wiatru przez wydmy. Jutro Ilza zapyta Hertę Knopkę, bo to musiała być ona, co robiła i dlaczego.

Jako prawie przyjaciółka ma chyba prawo spytać.

Hole am Meer

– Spodziewałam się tego. Tak podejrzewałam, że stoisz w oknie i patrzysz.

Ilza zaczyna się tłumaczyć: nie miała najmniejszego zamiaru być wścibska, po prostu księżyc świecił w głąb pokoju, więc wstała...

– Dobrze, już dobrze, przecież o nic cię nie oskarżam – przerywa łaskawie Herta. – Świeczki są dla tych co na morzu. To stary zwyczaj. Teraz mało kto o tym pamięta, ale za pokolenia mojej babki wiele kobiet zostawiało świece na plaży dla mężów lub ojców, na ogół w rocznicę śmierci czy może ucieczki.

– Ucieczki?

– Owszem, bo nie zawsze wiadomo czy zginęli, czy po prostu powrót był im nie po drodze. Dziś też wielu tu takich, którzy oficjalnie uchodzą za zmarłych, a pogubili się w podróżach. Mój ojciec dopiero niedawno zapił się w portowej spelunie, a z dziewięćdziesiątkę dźwigał już na karku, miał zdrowie chłop! Tyle lat mu świeczki stawiałam, zaczęłam jeszcze jako mała dziewczynka, myślałam, że dawno umarł, a tu wyobraź sobie, pięć lat temu pismo przychodzi z urzędu, żeby trumnę odebrać. A to niespodzianka!

Kolejna więc wspólna rzecz, poza ostracyzmem ze strony „całego miasta”, łącząca Frau Knopke i pannę von Taffel: obie miały ojców, którzy je zostawili, z tym że Herta przynajmniej wie, kto to był i jak się nazywał.

Żadne czary, Ilza jest trochę rozczarowana. Zamiast na cmentarzu, kobiety palą świeczki na plaży, dla tych, którzy nie mają grobu w ziemi, gdyż pochowało ich morze. Herta dla męża, bo dzięki Ilzydzie wie na pewno, że się utopił.

Hole am Meer

Ubranie za ubraniami, Ilzyda wkłada ich tyle, że aż zaczyna kręcić jej się w głowie. Jest chuda jak chłopiec, więc rzeczy są wprawdzie za krótkie, lecz przynajmniej nie za ciasne. Mało da się z nich wyczytać: tęsknotę za podróżowaniem, fantazje o zamorskich krainach, wielki żal po stracie ojca.

– Czy mój syn widywał się z Adelina? – to przede wszystkim chce wiedzieć Herta.

– Nic takiego nie widziałam – odpowiada Ilza. Obie jednak wiedzą, że to jeszcze nie znaczy, iż tak nie było.

– Zakazałam mu się do niej zbliżać.

– Możliwe, że cię posłuchał – łagodnie mówi Ilzyda. – Z jego rzeczy nie wynika, by poświęcił jej chociaż jedną myśl.

Ale Herta chce mieć pewność, każe medium wkładać kolejne rzeczy. Zdaje się, że ma ich duży zapas.

I znów: bujna, ociekająca wilgocią zieleń wyobrażanych miejsc, skryte w dżungli tajemnicze budowle wyglądające jak spiętrzone skały, ojciec w niewoli u murzynów, Ilza-chłopiec ratuje go z narażeniem własnego życia, konie, tabuny koni. Syn Herty żył wyobraźnią.

W końcu zapas wyczerpuje się.

Ilza też jest wyczerpana. Sądzi, że dobrze zrobiła, nie zdradzając wszystkiego, czego się dowiedziała. On tylko czekał, by się wyrwać, winił matkę za odejście ojca, miał dość ciągłej troski, ale jak coś tak przykrego przekazać – już prawie przyjaciółce? I jakie to może mieć teraz znaczenie?

Ilza żałuje, że podczas poprzedniego seansu powiedziała Hercie o romansie pana Knopke. Sprawiała tylko przykrość; skoro rzecz działa się w odległej przeszłości, teraz jest bez znaczenia.

— • —

Ciemna sylwetka pod oknem to Herta Knopke. Jak zwykle nie wchodzi do środka, tylko czeka, aż Ilza zejdzie na plażę.

– Spotkajmy się dziś na wydmach po zmierzchu. Wyjdź jak zobaczysz ogień.

Gdy w nocy rozbłyska płomyk, Ilzyda pośpiesznie narzuca na siebie chustę i wybiega z domu.

— • —

Siedzi w znajomym już kręgu, czeka cierpliwie na swoją kolej, w tym czasie Herta wyjmuje z worka ubranie chłopca, świecę, sproszkowane zioła, na koniec ciasno związanego koguta. Ptak ma dziób okręcony tasiemką, pewnie po to, by był cicho. Łypie rozpaczliwie oczami, ale to nie noc na litość. Herta ukręca mu łeb, podrzyna gardło, leje krew na kamień. Następnie chowa truchło z powrotem do worka – będzie na mięso, po co się ma zmarnować. Ilza znajdzie jutro w koszyku z jedzeniem pieczone udka.

Teraz pora na medium – wkłada koszulę chłopca, dotyka zakrwawionego kamienia, zamyka oczy: idzie ulicą portowego miasta, w powietrzu krążą mewy, maszeruje równym krokiem, pochłonięty-pochłonięta wczorajszą kłótnią z szefem, jak bardzo tamten nie miał racji. Mija wielki kościół z czerwonej cegły, fontannę z gołym chłopem z widłami. Zerka na posąg przelotnie. Ktoś kiedyś powiedział, że to żaden chłop, tylko sam Neptun trzymający trójząb. Tym antycznym bogom wszystko było wolno: romanse, nie romanse, chodzenie bez ubrania z przyrodzeniem na wierzchu – jakoś nikt się nie oburza. A gdy tylko pijany Frycek wyskoczył na ulicę bez spodni, to dopiero była awantura, chociaż kalesony miał.

Z daleka dobiega skowyt psa i przestraszona Ilza gwałtownie otwiera oczy. Dokładnie opisuje, co widziała, każdy szczegół Herta uznaje za ważny. Gdy nie ma już nic więcej do powiedzenia, Ilzyda zostaje odesłana, tak jak poprzednim razem, sama do domu.

Schodzi z wydmy, po drodze sporo piasku nasypało się do butów, więc siada, by wysypać. Kątem oka zauważa ruch: tuż obok przemyka ciemny kształt. Ilza zdusza w sobie okrzyk przerażenia: bez paniki, to tylko duży, czarny pies. Bezpański, nawet jeśli głodny, prędzej będzie się łąsił niż atakował. Może w ogóle nie zwróci na nią uwagi – wiatr sprzyja, wieje od lądu do wody, niesie ze

sobą zakrwawioną woń koguta, wrażliwe nozdrza zwierzęcia ją wylapią. Pies unosi łeb i patrzy w stronę wydmy, na której została Herta, daje nura w mrok.

Ilzyda nie porusza się, postanawia odczekać jeszcze jakiś czas, by mieć pewność, że kundel sobie poszedł. Najgorsze co można zrobić w takich przypadkach to uciekać; wtedy bierze górę instynkt łowiecki zwierzęcia.

Skryta w księżycowym cieniu wydmy liczy do stu, przy dziewięćdziesięciu Herta schodzi na plażę. Wtyka w piach świeczki, zapala, tworząc ognisty półkrąg, otwarty na morze. Macha w cztery strony świata koszulą chłopca. Czarny pies znów się pojawia, zaczyna krążyć wokół światła. Herta podnosi z ziemi gałąź, podpala i płonącym konarem odgania zwierzę. Ono daje się przegonić dość łatwo, znów daje nura w mrok.

Ilza siedzi cicho i ogląda czary. Knopke kłamała, nie o tradycję chodziło, jak zapalała świece na piasku tej pierwszej nocy, gdy Ilzyda widziała ją z okna. To magiczny rytuał.

Łatwo można się domyślić, na kogo Herta czeka. Jej mąż utopił się, nie żyje, wszystko jedno, ile świeczek dla niego płonie, już nie wróci. Ona pali je dla syna, który żegluje po dalekich, egzotycznych morzach, a w międzyczasie chodzi po obcych miastach.

Wróciłby przecież, gdyby chciał, zawsze jednak można sobie tłumaczyć, że prądy morskie albo wiatry były takie, iż nie mógł wrócić, można próbować zaczarować wiatr i prądy.

— • —

Trzeci raz Ilza naciera się maścią z ziela, glonów i słonej wody – o reszcie składników woli nie pamiętać. Ten zapach: kadzidła zmieszanego z pleśnią, jest już znajomy jak własne ciało. Bez zdziwienia też zauważa, że robi się lekka, chwilę potem całkiem nieważka. Unosi się, lewituje w powietrzu, obraca wokół własnej osi i przelatuje nad łóżkiem, fotelami, tuzinem stolików, wypływa przez okno. Tam już czeka na nią Walter. Idą razem po morzu, ale ono za bardzo tej nocy kołysze, więc podrywają się i lecą nad wzburzonymi falami, potem kochają się na plaży, na śniegu i piasku, ona nie czuje zimna, on jest ciężki i twardy, znów do złudzenia przypomina człowieka.

Z góry patrzy księżyc, jeszcze w pełni, ale już nie tak doskonałej jak owej nocy, gdy Ilzyda podglądała Hertę. Tarcza uszczknięta z jednej strony, czerwona, jakby chora, zalewa morze różową poświatą. Krwawy księżyc, mawiają ludzie, zwiastuje nieszczęście.

Ale tak sądzą ci, dla których noc nie jest porą biegania po morzu, latania nad rozszalałym żywiołem, fale nie łaskoczą ich w stopy i nie mają do dyspozycji własnego demona. Tej nocy Ilza niemal im współczuje.

Walter w końcu uznał, że ona to ona, nie Anna, ziele sprawia, że wydaje się całkowicie rzeczywisty, nic więcej Ilzydzie do szczęścia nie trzeba. Noc wchłania wszystkie jej wątpliwości.

Hole am Meer

Gdy budzi się, jest cała pobrudzona błotem, a ktoś wali do drzwi. Ilza szybko wciąga nocną koszulę i zbiega po schodach, oczywiście za progiem znów nie ma nikogo. Wraca na wieżę i wychyla się z okna. Na plaży pod domem stoi Herta Knopke i nawet z tej odległości widać, że ma wypieki na twarzy, jest czymś wyraźnie poruszona. Ilza daje znak, że już schodzi, narzuca na nocną koszulę płaszcz, owija się szalem i śpieszy na dół.

– Co się stało? – pyta.

Dowiaduje się, że przyjaciółka dostała list i w związku z tym musi wyjechać na kilka dni. A może na kilkanaście, nie wie, jak długo jej nie będzie. Daje Ilzydzie puszkę ziele na zapas, koszyk z jedzeniem i radzi w najbliższym czasie nie wychylać nosa z domu. Lepiej uważać.

– Wiesz, co mówią ludzie.

Ilzyda się krzywi: na pewno nic miłego, co ją to jednak obchodzi, nie ma ochoty słuchać bzdur, wymyślanych przez „całe miasto” tylko dlatego, że tutejszym plotkarom brakuje tematów. Mimo że Ilza nie chce słuchać, Herta ciągnie dalej:

– Mówią, że weszłaś w buty matki i jesteś taka sama jak ona, albo i gorsza. Mówią, że gadasz do siebie w dzień, a w nocy diabeł grzeje ci łóżko. Że księżyc świecił zeszłej nocy na czerwono, co oznacza nieszczęście. Że nigdy nie było w Hole takiej długiej zimy, a u Bergerów krowa zamarzła. Mówią, że to wszystko twoja wina.

– To tylko takie gadanie – wzrusza ramionami Ilzyda.

– Nie lekceważ tego, zostajesz tu teraz sama.

– Nie jestem sama – myśli Ilza. – mam Waltera.

I ziele.

Tej nocy Walter stoi pod domem, nie może wejść bez zaproszenia, czeka, aż otworzą się drzwi, a wtedy słyszczyć ciężkie kroki mężczyzny na schodach.

– • –

Walter ma wiele zalet, nie przyniesie jednak chleba, a nie samym duchem żyje człowiek. Zapasy od Herty skończyły się, ona sama nie daje znaku życia, Ilza postanawia udać się po zakupy.

Maszeruje do miasteczka i wszystko jest jak dawniej: kose spojrzenia, szepty za plecami, ostentacyjne przechodzenie na drugą stronę ulicy, nie ma kogo zapytać, kto i za co wybił Ilzydzie okna.

Sklepiarka ją ignoruje: nie chce pieniędzy, nic nie sprzedaje.

Może Ilzyda Filomena powinna się stąd wynieść. Pojechać do Szczecina, Warszawy, Paryża. Może wrócić do Lizbony. Ale w środku wszystko w niej się na tę myśl buntuje: tu zapuściła korzenie i nie wystarczy podmuch, by ją wyrwać, nie jest już pyłkiem miotanym na wietrze. Hole to jej miejsce, Szczęście Adeliny należy teraz do Ilzydy. Pierwszy raz w życiu ma dom. I wraca do niego głodna i wściekła.

– Chcesz im odpłacić? – pyta Walter. – Za wszystko?

– Tak – odpowiada Ilzyda.

Tej samej nocy na miasteczko spada grad, jakiego jeszcze Hole nie widziało, wielki jak pięści, jak zaciśnięte dłonie Ilzydy.

– • –

Pastor stuka do drzwi: delikatnie, z wahaniem, lecz wytrwale.

Ilzyda wpuszcza gościa i zaprasza do saloniku o zabitych oknach. Gdyby nie one, pokój prezentowałby się naprawdę przyzwoicie, wszystko wypucowane zostało w nim na glans.

Pastor rzuca okiem na deski.

– Tak mi przykro – mówi. – Naprawdę, tak strasznie mi przykro.

– Ależ dlaczego? – pyta Ilzyda.

– Zanedbałem obowiązki, powinien być ich wtedy powstrzymać, ale naprawdę, nie miałem o niczym pojęcia, akurat chorowałem i dowiedziałem się o tym... incydencie dużo, dużo później.

Ach, pastor mówi o oknach. Ilzyda chciałaby mu powiedzieć, żeby się nie przejmował. Ona i „całe miasto” są teraz kwita, zeszłej nocy grad powybił bardzo wiele szyb w mieście. Szczęście Adeliny zostało pomszczone.

– Proszę się nie martwić – mówi do pastora. – Wie pan, wszystko ma dobre strony, gdyby nie te deski, to pewnie musiałabym dziś sprzątać szkło.

– Bardzo możliwe – przytakuje pastor. Straszna klęska nawiedziła Hole: połamane drzewa, pozrywane dachy, mnóstwo wybitych okien, w jednym domu odłamki szkła i lodu wpadły do pokoju i zabiły śpiące w kołysce niemowlę.

Ilzyda pochyla się zgięta nagłym bólem: nie chciała tego, naprawdę nie chciała.

– Widzi pani, ja właśnie w tej sprawie przyszedłem.

Ilza prostuje się i patrzy mu w oczy. Pastor czerwienieje.

– Zupełnie nie wiem, jak to powiedzieć, ale Hole jest dziwnym miejscem.

– Wiem – mówi Ilza. – Proszę rozmawiać ze mną zupełnie otwarcie.

– Otóż niektórzy z tutejszych mieszkańców przebąkiwali, że burza to sprawka wiedźmy i chcieli iść z siekierami, ale nim się skrzyknęli, wieść doszła do mnie i ja oczywiście im takie głupoty z głów powybiјаłem. Nie do uwierzenia, że w dwudziestym wieku, wieku elektryczności są jeszcze tacy ciemni ludzie, żeby w czary wierzyć. Mówię im, pytam: A w Jezusa wierzycie? Jezus to postęp, to cywilizacja, Jezus to światło elektryczne!

W związku z zaistniałą sytuacją pastor uważa za swój chrześcijański obowiązek wprowadzić pannę von Taffel do miejscowej socjety jako jej pełnoprawną członkinię.

– Aha, dlatego tu przyszedł – Ilza domyśla się, że wielebny zamierza zaprosić ją do kółka gospodyń wiejskich albo towarzystwa czytania Biblii czy czegoś w tym rodzaju. Bardzo to miłe z jego strony, panna von Taffel docenia chwalebne intencje, ale ma inne priorytety.

– Czy mógłby pan przynieść mi chleb? – pyta. – Coś do jedzenia? Zapłacę oczywiście.

Pastor patrzy w osłupieniu.

– Nie chcę sprzedać mi nawet chleba – tłumaczy Ilza. – Jestem głodna. Od dwóch dni nic nie jadłam.

Pastor robi się szkarłatny.

– Chrześcijanie, mój Boże! – wybucha i wstaje z krzesła.

– Proszę włożyć coś ciepłego, bo wychodzimy do miasta – mówi zdecydowanym tonem.

Zaraz za progiem oferuje Ilzydzie ramię, ona przyjmuje je z wdziękiem i godnością prawdziwej damy. Idą razem główną ulicą i spotykają mieszkańców Hole, którzy kłaniają się pastorowi, omijają wzrokiem jego towarzyszkę i chcą jak najszybciej umknąć bokiem. Pastor im nie pozwala, staje na drodze, blokuje przejście, przedstawia pannie von Taffel, zmusza, by się przywitali, podali wyklętej rękę.

– Bardzo mi miło pana, panią poznać – za każdym razem mówi grzecznie Ilzyda.

Mruczają coś niewyraźnie w odpowiedzi, unikają spojrzenia w oczy, odchodzą tak szybko jak się da. Nad niektórymi pastor wręcz się znęca: przytrzymując na miejscu, pyta o wrażenia z ostatniego kazania.

Ilzyda, wzruszona odwagą i zaangażowaniem wielebnego, mówi, że przypomina jej świętego Jerzego. Wsparta na ramieniu pastora dochodzi do

sklepu. Sprzedawczyni nie ma teraz innego wyjścia, jak tylko ją obsłużyć. Ilza z cichą satysfakcją grymasi przy wyborze sera.

Następnie wielebny odprowadza Ilzydę do domu. Po drodze zaprasza na niedzielne nabożeństwo, ach racja, przecież panna von Taffel jest katoliczką!

Panna von Taffel odpowiada, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga, więc nie ma żadnego znaczenia, że jest katoliczką, oczywiście przyjdzie na kazanie. Pastor się rozpromienia: gdyby wpadła też któregoś dnia na plebanię – oczywiście, przyzwoitości stanie się zadość, bo cały czas urzęduje tam godna szacunku gospodyni – będzie mu ogromnie, ogromnie miło. Jako tutejszy duszpasterz przeprosza z całego serca za wszystko, co Ilzę spotkało, odkąd zamieszkała w Hole.

Ilza odpowiada, że ludzie są jacy są i to nie jego wina. Całym sercem docenia obecne wsparcie, nie wie, co by bez niego zrobiła. Pastor się wzrusza. Dobre dziesięć minut rozpływa się nad szlachetnością Ilzydy i jej prawdziwie chrześcijańską zdolnością wybaczenia bliźnim. Bogu dzięki, że panna von Taffel rozumie, iż nie ma do czynienia z całkiem złymi ludźmi. Tutejsi mieszkańcy są nawet w gruncie rzeczy dobrzy, tylko nie pojmują, że chrześcijaństwo nie oznacza średniowiecznych przesądów, lecz postęp i cywilizację.

– Jezus to rozsądek – powtarza pastor. – Rozum i nauka. Jezus to światło elektryczne!

– • –

Tej nocy Ilzyda nie ma ochoty widzieć Waltera – za dziecko.

Zasłania okna i idzie spać. Budzi ją kanonada. Ach, znów rzucają kamieniami w okna, jak to dobrze, że szyby zostały dawno wybite, kamienie z głuchym łoskotem odskakują od desek, Gdy tylko tak pomyślała, usłyszała brzdęk tłuczonego szkła, jakiś pocisk doleciał jednak na piętro. Pozostałe nadal wałą o deski.

A niech wałą, pastor tego nie wie i nigdy się nie dowie, ale należało jej się.

– • –

Jest sztorm. Ilzydzie wydaje się, że widzi figurkę kobiety ślizgającą się po zalewanym falami molo, biegnącą aż do ginącego w odmętach końca.

– Złudzenie – mówi sobie. – Coś takiego, co nazywają *déjà vu*.

Nad pomostem przelatują wodne bałwany, najdalsza część, najgłębiej wysunięta w morze jest już całkowicie pochłonięta.

Ilza idzie spać.

Noc

Śni sen o dziewczynkach. Siedzą na progu chałupy, obok otwartej furtki do ogrodu. Przez koszulę Ilza czuje pod pupą rozgrzane słońcem, chropawe drewno. Ciepło miejsca przenika całe ciało, rozleniwia. Można by tak siedzieć i siedzieć, czuć szorstki próg pod pośladkami, w nieskończoność gapić się na ogród, zapuszczony i zarośnięty łopianem, gdzie wśród wielkich talerzowych liści wije się ginąca w cieniu ścieżka.

Ilza wgryza się w mięsz łodyżki, smakuje, łopian puszcza zielony sok, ten kapie na brodę, dziewczynka obok wybucha śmiechem. Siedzą sobie we dwie i chichoczą. Chichocze też ktoś trzeci schowany w łopianie. Nieśmiało wychyla się zza wielkich liści. Stoi w kusej sukience, ze strupkiem na jednym kolanie. Też gryzie łodyżkę.

– To Adi – mówi mama, drapiąc się po opalanej nodze. – Ilzuniu, muszę już iść.

– Zostań – odpowiada Ilza. – Zostań ze mną.

Ale ona naprawdę musi już iść. Przyszła tylko na chwilę. Odchodzi wraz z Adi ścieżką w łopianowych zaroślach.

Rano

I znów budzi ją walenie do drzwi, doprawdy Herta Knopke mogłaby jednak nauczyć się trochę manier!

Ale to nie ona, tylko zdyszany pastor. Nawet nie zauważa neglizu Ilzydy, która zbiegła otworzyć jak wstała, czyli w nocnej koszuli.

– Herta Knopke – dyszy pastor. – Widziała ją pani ostatnio?

– Nie – odpowiada zdziwiona Ilza. – Ona wyjechała.

– Wyjechała, wróciła, potem znów zniknęła i nikt jej nie widział od trzech dni – mówi pastor. – A ja dzisiaj ranną pocztą dostałem to.

Wręcza Ilzydzie kopertę. W środku jest kilka ciasno zapisanych kartek. Ilza waha się.

– Niech pani czyta – ponagla pastor. – Niech pani czyta, a potem mi wszystko wytłumaczy. Bo ja nic nie rozumiem.

Ilzyda zaczyna czytać:

„Szanowny Wielebny,

Proszę mi wybaczyć niestosowny być może początek listu, ale nie wiem, jak należy zaczynać list do pastora, niewiele listów napisałam w swoim życiu, a do pastora do tej pory ani jednego. Ten jest pierwszy i piszę go, by wyznać przed

śmiercią moje grzechy. Być może dzięki temu uniknę piekła, mam taką wielką nadzieję, chociaż bardzo wątpię, bo widziałam już na własne oczy Złego.

Chyba powinnam wyjaśnić, jak do tego doszło. Otóż moja babka Dagmara urodziła się czarownicą. Wiem o niektórych rzeczach, które robiła sobie i innym, nie będę jednak o tym pisać, to teraz nie ma znaczenia, niech spoczywa w spokoju. Zdradzam wielki sekret naszej rodziny, bo chcę, by Szanowny Wielebny wiedział, że była czarownicą, wzięłam moc po niej. Urodziłam się podobna do babci i stałam się jej ulubienicą, uczyła mnie zaklęć i uroków.

Ta babka była matką mojego ojca, który zaginął na morzu. Nie znosiła mojej matki, uważała ją za ładną idiotkę. Ja tak samo myślałam o mojej młodszej siostrze, która była podobna z wyglądu do matki, nawet od niej ładniejsza. Mnie nikt nigdy nie nazwał ładną, ale czułam się dumna, że odziedziczyłam moc po babce, a Adi, czyli Adelina – nie. Z czasem jednak okazało się, że i ona miała coś po babce. Wszystkiego miała więcej – od urodzenia. Ja byłam ulubienicą babki, tylko babki, za to Adi kochali wszyscy: matka, ciotki, kuzyni i wtedy jeszcze całe miasto. Uważała, że wszystko jej się należy. Nienawidziłam jej, przyznaję, ta nienawiść rosła we mnie z każdym rokiem; im byliśmy starsze, tym bardziej jej nienawidziłam. Wiem, że Szanowny Wielebny pomyśli teraz, że byłam złym, z gruntu zepsutym dzieckiem; pewnie byłam. Robiłam siostrze po kryjomu przykre psoty, psułam jej rzeczy: lalki, szmatki, ale tak, że nigdy nie udawało się mnie przyłapać, dosypywałam do jedzenia ziola, po których chorowała, ale matka i ciotka zaczęły coś podejrzewać i starały się nie wpuszczać mnie do kuchni.

Babcia zmarła jak miałam 15 lat. Od tej pory nikt mnie nie lubił. Nawet mój mąż. Ożenił się ze mną, bo podałam mu napój, który wywołuje u mężczyzn żądzę. Nie mam jednak z tego powodu wyrzutów sumienia. Byłam dobrą żoną, żyło mu się ze mną wygodnie i gdyby nie Adi, żylibyśmy razem do dziś. Ale po kolei.

Ona zemściła się na mnie. Zabrałam jej męża, spowodowałam, że od niej odszedł, więc później to samo zrobiła z moim. I nie mam jej akurat tych czarów za złe: oko za oko, ząb za ząb, mąż za męża, tak jest sprawiedliwie. Ale sądziłam, że Adi zabrała mi dużo więcej i nie zamierzała oddać. Zabiłam ją za to i chciałam właśnie w niniejszym liście się przyznać. Zrzuciłam ze schodów.

Pozostaję z szacunkiem,
Herta Dagmara Knopke”

Ilzyda podnosi oczy znad kartki. Pastor patrzy wyczekująco.

– I co, i co? – pyta. – Ona jest szalona, prawda?

– To miasto tak działa – odpowiada Ilza. – Ciągły wiatr od morza wywiewa ludziom resztę rozumu z głowy.

– O, tak, o tak! – zgadza się gorliwie wielebny. – No więc wie już pani, co ona tu nawypisywała. Powinna się leczyć, może jest nawet groźna dla otoczenia.

A teraz okazuje się, że nikt nie widział Frau Knopke od trzech dni. W mieście mówią, że tylko z panią utrzymywała stosunki, jedynie pani może wiedzieć, gdzie ona się podziała. Trzeba koniecznie znaleźć Frau Knopke, jak najszybciej, i zabrać do lekarza.

Dopiero teraz zauważa nocną koszulę Ilzdy i czerwieni się gwałtownie.

– Ja, ja bardzo przepraszam za najście – jąka się. – Ja...

Ilza nie zwraca uwagi na zmieszanie wielebnego.

– Pójdę się ubrać, a potem... Sądzę, że powinniśmy przeszukać plażę.

– Morze już pewnie wyrzuciło Hertę na brzeg – myśli, lecz nie mówi tego głośno.

Wędrują plażą początkowo w milczeniu. Po pół godzinie pastor się załamuje i zaczyna wyrzucać z siebie gorzkie żale: wpierw na miejscowy klimat – wieje, pada, pada, wieje, i tak w kółko – potem już na wszystko.

Gdy obejmował tę parafię, nie spodziewał się, że żyją tu tacy ciemni i zacofani ludzie, średniowieczni, po prostu! Wierzą w czary, nie znają najnowszych odkryć naukowych. Są prymitywni, nieobcy i przesądni. Oczywiście panna von Taffel to wyjątek: wykształcona, na poziomie, od razu widać, że reprezentuje sobą inną klasę, inne środowisko.

– Panno Ilse – pastor patrzy na nią z uczuciem, – czuję, że pani jest moją bratnią duszą. Tylko pani, panno Ilse, jeśli mogę się tak do pani zwracać. Inteligentna, rozsądna, kulturalna kobieta, bywała w świecie, w pełni cywilizowana. Inna od miejscowych prostaków. Przepraszam za śmiałość, ale pani jest tu jak rajski ptak.

Przełyka ślinę, rumieni się i milknie. Ilza patrzy w uczciwe, niebieskie oczy, robi jej się wstyd, spuszcza wzrok. Nie przewidziała tej komplikacji, nie wie, co ma z nią zrobić.

Pastor zaczyna opowiadać o swojej edukacji, ambicjach i marzeniach. Ma nadzieję, ba, wręcz spodziewa się, że nie zostanie długo w Hole, biskup doceni jego kwalifikacje i wyśle go do większego miasta. Hole wielebny traktuje jako okres próbny, rodzaj katolickiego czyścica. Bo to zaiste czyściec dla każdego nowoczesnego, racjonalnie myślącego człowieka! Tutejsi ludzie nie rozumieją, że Jezus to nie średniowieczne przesady, tylko postęp, cywilizacja, światło elektryczne!

– Herta Knopke – pastor zamyśla się. – Ona przychodziła do kościoła regularnie, nic nie mówiła, ale pojawiała się w każdą niedzielę.

Czy panna von Taffel zauważyła, żeby Frau Knopke robiła coś podejrzanego, albo, powiedzmy, niezwykłego? Ilza odpowiada że nie, ale też nie znała jej zbyt dobrze.

– Łączyły nas interesy – wyjaśnia. – Pani Knopke szykowała dla mnie, za opłatą, jedzenie, wie pan, że ona gotuje na zamówienie. Ze względu na trudności, jakie miałam, próbując coś kupić w miasteczku, było to jedyne wyjście.

Udało się: wzmianka o przykrościach, których niewinna panna von Taffel doznała ze strony ludzi tkwiących mentalnie jeszcze w średniowieczu, powoduje, że pastor porzuca śliski temat zachowania Herty Knopke. Po raz kolejny przeprosza za wiadomy incydent i usprawiedliwia się, że mu nie zapobiegł. Nie był w stanie powstrzymać miejscowych przed wybiciem okien w Szczęściu Adeliny, bo po prostu nic o tym nie wiedział, chorował na influencę, potem przechodził jeszcze zapalenie płuc, wieść o zdarzeniu dotarła do niego za późno. Gdyby został poinformowany wcześniej, z pewnością by interweniował.

Tak, tak, Ilza już o tym wie i absolutnie go nie wini. Nie jest jednak w stanie rozgrzeszyć pastora w jego własnych oczach. Wielebny uważa, że grzech zaniedbania, choćby nawet spowodowany influencą, koniecznie wymaga zadośćuczynienia.

– Załatwię szklarza, który oszklił okna, a przy tym tak powiem ludziom do słuchu na najbliższym kazaniu, że żaden mieszkaniec Hole nie ośmieli się rzucić znów kamieniem – deklaruje. Wydaje mu się, że wystarczy kilka słów, parę okrągłych zdań, by nikt nigdy więcej nie ruszył Szczęścia Adeliny, nie podniósł na nie ręki. O wczorajszej próbie pastor, zdaje się, nadal nic nie wie.

– Okna – mówi wolno Ilzyda, patrząc przed siebie i mrużąc oczy. – Po co mi one?

Z daleka Herta wygląda jak tobołek mokrych szmat. Z bliska widać, że podziobały ją już trochę mewy. Pastor odwraca się i wymiotuje, Ilzyda podaje mu czystą chusteczkę.

– Nie dam rady jej zanieść.

– Oczywiście, że nie – Ilzyda nawet przez chwilę nie sądziła, że wielebny miałby dźwigać zwłoki. Nie chodzi wyłącznie o ciężar nasiąkniętego wodą ciała; pastor nie przyznaje się do tego głośno, ale Ilza i tak wie: on brzydzi się Herty w obecnym jej stanie, nie potrafi się przemóc, by dotknąć topielca.

Najlepiej jeśli pójdzie po automobil. W międzyczasie Ilzyda zostanie przy trupie – ktoś musi, by odganiać mewy. Pastor waha się, czy wypada przydzielać damie tak nieprzyjemne zadanie, koniec końców dochodzi jednak do wniosku, że istotnie nie ma innego wyjścia. Szczęście w nieszczęściu, iż panna von Taffel jest niezwykle rozsądną kobietą, prawdziwym brylantem wśród swojej płci. Jaka opanowana! Cały czas zachowuje kamienny spokój. On sam nie otrząsnął się jeszcze z szoku. Nie może patrzeć na ciemne wyrzucenie na piasku, które kiedyś było człowiekiem. Odchodzi pośpiesznie.

Ilza zostaje sam na sam z Hertą. Mewy spłoszone przybyciem ludzi ponownie gromadzą się nad głową topielca, celują w oczy.

– Sio! – woła Ilzyda i macha rękami. – Sio, wstrętne ptaszyska!

Przegania fruujące potwory i opada ciężko na piasek.

Mój Boże, co teraz będzie? Tak dobrze wszystko się układało, tak dobrze – pierwszy raz w życiu. A teraz szczęście Ilzydy kończy się z powodu wyrzuconego na brzeg ciała. Dlaczego Herta to zrobiła?! Zupełnie bez ostrzeżenia! To niesprawiedliwe, że tajemnicę weźmie ze sobą do grobu, razem z prawdą o tym, co uczyniła Adelinie i – przede wszystkim – z sekretem, gdzie rośnie ziele.

Pastor znikł już z pola widzenia, Ilzyda zastanawia się, czy gdyby włożyła buty Herty dowiedziałyby się wszystkiego. Może warto spróbować, ale na myśl o tym, że miałyby ściągać przemoczone obuwie z sinych, spuchniętych jak kłody nóg i zakładać na własne, robi jej się niedobrze.

Nie, tak daleko się nie posunie. Zamiast tego podnosi z plaży porzuconą przez morze gałąź i zaczyna odganiać coraz bardziej bezczelne mewy. Ręka jej już mdleje, gdy w końcu pojawia się automobil z trudem brnący po piasku. Pastor przywiózł ze sobą dwóch ludzi, by to oni podnieśli trupa z plaży. Nie okazując żadnych emocji, ładują wszystko, co pozostało z Herty Knopke do trumny, trumnę do auta, i gotowe, można jechać. Koła co kilkaset metrów zakopują się w piasku, wtedy Ilza musi wysiąść i iść obok, pastor po tyśiąckroć przeprasza, pomocnicy pchają maszynę. W końcu dojeżdżają do domu Herty. Jest otwarty; biegnąc w nocy na molo, nie zamknęła za sobą drzwi. Jakby nie miała tu już nic do ukrycia.

– Dokąd z tym pudłem? – pyta człowiek pastora. Ilza odruchowo prowadzi go do salonu, choć może to nie najlepsze miejsce, ale już za późno, mężczyźni stawiają trumnę na stole.

Jak obco wygląda skrzynia z surowego drewna na tle pluszowej kanapy w obrzydliwym kolorze bordo, palmy w doniczce, koronkowych serwetek – jak bardzo nie na miejscu. Zegar szafkowy obojętnie wybija pełną godzinę. Pastor patrzy na wiszące na ścianie fotografie.

– To syn? – pyta. – Teraz już pewnie dorosły?

Ilzyda przytakuje.

– Trzeba go zawiadomić i chyba wstrzymać się z pogrzebem do jego przyjazdu. Mogłaby pani wysłać telegram?

Zrobiłaby to chętnie, ale nie zna adresu. Może poszuka gdzieś tutaj? Sprawdzą w szufladach biurka? Pastor kiwa głową: będzie niewymownie wdzięczny, jeśli panna von Taffel zajmie się tym problemem. Bardzo docenia jej pomoc i wsparcie.

– Pani jest aniołem – mówi.

– Anioł, rajski ptak, co jeszcze? – myśli Ilza, ale określenia pastora sprawiają przyjemność, nawet jeśli nie do końca zgadzają się z rzeczywistością. Może właśnie dlatego.

Czerwieni się, on też. Oboje raptownie przypominają sobie o Hercie. Panna von Taffel zajmie się więc szukaniem adresu syna, a pastor pójdzie przygotować wszystko do pogrzebu, zawiadomi władze, załatwi formalności. Wróci najszybciej jak się da. A, i jeszcze coś...

Otwiera okna na oścież.

– Chłód – wyjaśnia, nie wdając się w szczegóły i tym razem to Ilza kiwa głową, będąc pod wrażeniem jego przezornej praktyczności.

Wielebny kieruje się już do wyjścia, po drodze przystaje na chwilę. Zamyślony patrzy na trumnę na stole. Ilzyda patrzy na niego: twarz, z szerokim, męskim, ale łagodnie zaokrąglonym podbródkiem, przerzedzone na czubku głowy jasne włosy lekko skręcone od wilgoci.

Po odejściu wielebnego dopada ją smutek.

– Ach, Herta. Dlaczego to zrobiłaś?

Choć krótko się znały, a jeszcze krócej przyjaźniły, jeśli w ogóle można to tak nazwać, bez krzepiącej obecności Knopkowej Ilza czuje się zagubiona. Sądziła, że tamta zawsze wie, na czym stoi, nigdy nie ma cienia wątpliwości, może nawet ludzkich uczuć. Była pewna, że trzeźwej, opryskliwej Hercie w życiu nie przysłoby do głowy samobójstwo. Za późno na zastanawianie się, co, jako prawie przyjaciółka, Ilzyda mogła zrobić, by zapobiec tragedii. Teraz powinna żałować siebie, bo została bez ziele i bez wsparcia, mimo zainteresowania pastora, sama przeciw całemu miastu, wielebny zresztą zapowiedział, że wkrótce stąd wyjedzie, ona nie ma dokąd.

Siada na kanapie i chowa twarz w dłoniach.

Jak sobie poradzi? Jak ziele wygląda, gdzie rośnie?

Musi przeszukać cały dom w poszukiwaniu wskazówki, nim jeszcze pastor wróci. Zdziwiłby się, gdyby zastał pannę von Taffel, owego rajskiego ptaka, przebraną w bure suknie Herty. Pomyślałby, że i ona zwariowała.

Do dzieła więc, otwiera szafę. Trzeba przyznać, że Herta Knopke pojęcie „oszczędność” doprowadziła do skrajności, niezyczliwi nazwaliby ją tragiczną sknerą, wszystkie zgromadzone stroje to stare łachy w najgorszym gatunku, niektórymi pogardziłby nawet handlarz starzyzną. Jednocześnie są naładowane tak silnymi emocjami, że od części aż skrzy. Strach dotknąć – bo może Ilza porywa się na coś, co ją przerasta i nie zdoła się już z tego wyplatać. A jeśli w dodatku Herta usiądzie w trumnie na stole i pogrozi opuchniętym paluchem topielca: „jak śmiesz wtrącać się w cudze sprawy, węszyć w moich sekretach?!”. .

– Tylko bez paniki – mówi sobie Ilza. Okazja może się nie powtórzyć. Teraz albo nigdy.

Na początek kraciasta, postrzępiona chusta. Ilzyda wyciąga ją z szafy, zarzuca na ramiona.

Herta-Ilza pośpiesznie wychodzi z domu. Ma ze sobą latarnię, choć noc jasna – księżyc świeci jak oszalały. Wszystko się idealnie złożyło: i pełnia, i siódmy dzień siódmego miesiąca, najlepszy czas na magię. Idzie na molo, dokładnie w to samo miejsce gdzie kiedyś. Musi odpokutować, przełamać czary własną krwią i nie pożąda jej. Wie, że może zwabić Złego, bo krew kusi podobne stwory, babka ostrzegła, lecz Herta-Ilza postanowiła zaryzykować, nic innego nie pozostało, skoro słabsza magia zawiodła. Przeklęta Adelina! Zaklęcie powinno ginąć wraz ze śmiercią czarownicy, ale oczywiście, Adi choć nieżywa, uparła się zostać i biedny Hermann nie ma jak wrócić. Wciąż działa magia, siostra okazała się naprawdę mocnym przeciwnikiem. Herta-Ilza wierzy jednak, że jest od niej lepsza, musi być, skoro to właśnie ją babka zrobiła spadkobierczynią. Adi jest uzurpatorką, Herta prawowitą dziedziczką. Heti słuchała babki, Adelina jedynie podsłuchiwała.

Noc jest pogodna, ale gdy tylko krew zaczyna skapywać do morza, zrywa się silny wiatr, chmury zakrywają księżyc, woda się burzy. Sytuacja umyka spod kontroli, nad molo ściąga siła, którą Herta-Ilza wyczuwa, lecz której nie zna, mimo narastającego lęku ciągnie jednak dalej zaklęcie. Musi przełamać magię Adeliny, teraz jest dobry czas, najlepsza okazja. „Zgiń, przepadnij Adi, idź tam, gdzie twoje miejsce, zostaw żywych w spokoju. Nie możesz wybaczyć, to trudno, ale wynoś się, wynoś”. Wichura szarpie z całych sił za ubranie, spódnica łopoce jak żagiel, włosy stają dęba. Na horyzoncie pojawia się gigantyczna fala, tak wielkiej ściany wody Herta-Ilza nigdy jeszcze nie widziała. Wał rośnie w oczach, wydaje się przesłaniać księżyc. Nie czas już na wahanie, trzeba uciekać, Adi znów wygrała, lecz tylko bitwę, nie wygrała wojny, o nie! Tej nocy Herta-Ilza nie dokończy zaklęcia, rozlała krew na darmo, ale wróci tu, wróci z pewnością. W połowie drogi fala dopada ją, zalewa, gasi latarnię. Herta-Ilza nabiera wody w płuca, topi się, rozpaczliwie walczy o oddech, światło w ciemności, trzyma z całych sił palik pomostu, nie pozwoli zmyć się do morza, o nie! Tak łatwo się to wszystko nie skończy! Nie wygrasz Adelino, przysięgam, w końcu cię zniszczę. Fala przewala się i zostawia podtopioną kobietę na pomoście. Herta-Ilza wstaje, wykasłuje wodę, charczy, pluje, charczy, zataczając się, przemoczona i ciężka, brnie w kierunku lądu, ludzi, miasta, w całkowitej ciemności.

Ilza otwiera oczy, jest jasno, jeszcze dzień. Dygocze całym ciałem, tak jak podejrzewała: mieszanie się w ciemne sprawy Herty kosztuje dużo nerwów. Ziele jest jednak tego warte, Ilzyda szuka dalej.

W kapeluszu i rękawiczkach, wyjątkowo jak na siebie wystrojona, Herta-Ilza jedzie na stację. Trudno powiedzieć dlaczego; po prostu obudziła się ze świadomością, że musi jechać, choć nie wie po co. Ma nadzieję, że dowie się na miejscu. Półprzytomna i osłabiona – jeszcze nie całkiem odzyskała siły po zdarzeniu na moło dwie noce temu – nerwowo kieruje koniem, ściąga wodze, gdy nie trzeba, szarpie, na szczęście stara kasztanka to najspokojniejsza szkapa w całym Hole, może nawet na wybrzeżu. Podchodzi do życia filozoficznie. Żeby tak ludzie byli w tym równie dobrzy jak konie.

Herta-Ilza zajżdza na dworzec i wysiada z bryczki. Pociąg dawno odjechał, przyjezdni rozproszyli się, na peronie została tylko jedna osoba: kobieta w zaawansowanym wieku, lecz nie całkiem jeszcze stara, drobniutka, może wychudzona chorobą. Ubrana w kremowy, szykowny kostium, który na niej nieco wisi, w wielkim kapeluszu w kształcie garnka na głowie – takie są teraz modne, idiotyczny fason – stoi pośrodku stosu kufrów i walizek. Wygląda na zagubioną, rozgląda się wokół bezradnie, jakby nie miała pojęcia, co tu robi.

Z bliska wygląda nie tylko na zagubioną, ale i cierpiącą. Błada, z wielkimi podkrążonymi oczami, ze skórą jak papier: suchą, porysowaną delikatnymi zmarszczkami. Kiedyś musiała być piękna. Gdy Herta-Ilza podchodzi, twarz nieznajomej rozjaśnia pełen ulgi uśmiech.

– Już się bałam, że pani po mnie nie wyjdzie.

Zupełnie jakby czekała na Hertę Knopke. Z pewnością jednak musiała być umówiona z kimś innym.

Herta-Ilza bez słowa schyla się po kilka z walizek, resztę wskazuje bagażowemu i rusza do bryczki. Nieznajoma posłusznie drepcze za nią.

W drodze do Hole nie sprawia żadnych kłopotów, siedzi w milczeniu i wielkimi oczami patrzy na okolicę. Z twarzy ani na chwilę nie schodzi wyraz ogromnego zdziwienia. Chyba ma coś nie w porządku z głową.

– Ja też – myśli ponuro Herta-Ilza. Naprawdę nie wie, co w nią wstąpiło – właśnie ukradła komuś gościa, zgarnęła sprzed nosa jakiejś właścicielce pensjonatu, która spóźniła się przyjezdną odebrać. Trzeba odstawić obcą damę jak najszybciej z powrotem na stację, nim rozpęta się awantura.

Ale Herta-Ilza nie zawraca. Bryczka ciągnięta przez najspokojniejszą szkapę na wybrzeżu wjeżdża do Hole. Całe miasto już się gapi, o tam, w domu Bergerowej, odchyła się firanka, u Berty Miller też. Może, nim te dwie zaczną kłapać dziobami, warto je jakoś z pomocą czarów uciszyć – jednak nie, za duże ryzyko, jeszcze się ktoś domyśli, co Herta-Ilza potrafi. A poza tym, i tak już nie zdąży zatrzymać plotek, te baby są szybsze niż telegraf.

Nienawidzi ich. Myślą, że ona nie wie, ale wie bardzo dobrze: o Hercie Knopke ośmielają się mówić: „zła krew”. Adelina miała złą i w siostrze płynie

taka sama, może tylko, w porównaniu z posoką tamtej, nieco rozrzedzona. Cała rodzina jest podejrzana (w której porządnej zdarzyłoby się, że ktoś po śmierci został żeby straszyć?!), tolerowana tylko dlatego, że mieszka w Hole od pokoleń. Każde miasto musi mieć jakieś czarne owce, lepsze swoje niż przybłądy.

Często Herta chciałaby stąd wyjechać. Oczywiście, nie może tego zrobić, bo czeka. Czekając, czyta dużo książek podróżniczych i marzy, że pewnego dnia przypłynie Hermann, zabierze ją na piękną wyspę, gdzieś u wybrzeży Afryki. Kupił posiadłość tam, gdzie domy są białe, kwitą pomarańcze i latają kolorowe papugi. Głupie marzenia.

Tymczasem bryczka zbliża się już do Szczęścia Adeliny, pensjonat rośnie w oczach, a Herta-Ilza wraca do rzeczywistości. Dość tego księżycowego zachowania, trzeba zawieźć elegankę z powrotem na dworzec i spytać zawiadowcy, czy w międzyczasie nikt się o nią nie dowiadywał; jeśli tak, trudno: Herta Knopke będzie musiała własnym powozem dostarczyć damę do miejsca przeznaczenia i jeszcze się głupio tłumaczyć. Jeśli jednak zawróci natychmiast, może zdąży na stację, nim ktoś po tę kobietę przybędzie.

Mimo to nie zawraca, tylko jedzie prosto do nawiedzonego domu. Jak zaczarowana. Zaczyna podejrzewać, że działa nie z własnej woli. Ściąga lejce, szkapa patrzy wyczekująco, Herta-Ilza próbuje zawrócić i czuje potężny opór. Znów sprawka Adeliny? Herta-Ilza wyteża siły, próbuje się wyzwolić.

I z powrotem jest sobą, czyli Ilzydą. Zdejmuje kapelusz, wydarzenia związane z przyjazdem hrabiny zna od drugiej strony, szkoda na nie teraz czasu. To Walter wezwał Annę do Hole, Ilza podejrzewa, że on też zmusił Hertę, by po hrabinę wyjechała. Namierzył ją tamtej nocy na molo, musiała zwabić go krew, zwęszył czarownicę. Ale ta historia nie ma teraz znaczenia – zegar bije kolejną godzinę, trzeba się śpieszyć. Niestety, poszukiwanie ziela w cudzych łąkach jest jak szukanie szpilki w stogu siana, Ilzyda nie zdąży sprawdzić wszystkich ubrań, nim pastor wróci. Zamierza jednak przymierzyć ich jak najwięcej. Które następne?

Wśród burych szmat błyska coś niebieskiego, odmiennego od reszty: prawdziwy jedwab schowany w barchanach.

To sukienka na ślub Adeliny. Herta-Ilza uważa, że wygląda w niej wyjątkowo ładnie. Lubi też dotyk śliskiej, gładkiej tkaniny. Tak się cieszyła, że ją dostała i będzie jedną z druhen. Ale Adi, oczywiście, musiała wszystko zepsuć: zaczęła protestować, że Herta jest za brzydka, za niska, za gruba, a w dodatku tą swoją wiecznie ponurą miną skwasi całą uroczystość.

– Nie chcę takiej druheny – marudziła rozpuszczona, rozkapryszona idiotka, wokół której wszyscy skaczą.

Ciotka Zoe próbowała ją mitygować:

– Perełko kochana, nie wypada pomijać siostrzyczki przy takiej okazji, co ludzie o tobie powiedzą, przecież masz dobre serduszko.

Co do tego i Adelina, i Herta, choć raz obie zgodnie, miały wątpliwości.

– Poza tym, – tłumaczyła dalej ciotka Zoe, – to panna młoda powinna być najpiękniejsza, oczywiście, że druhny wybiera się mniej ładne.

– Ale nie aż tak bardzo mniej – Adi wyduła usta i Hertę przeszły znajome uczucie nienawiści. Co za głupia, pusta lalka, och, jaka szkoda, że babcia zmarła kilka lat temu, z pewnością powiedziałyby Adelinie parę słów do słuchu, aż by idiotce w pięty poszło.

Razem z myślą o babci, Heti przypomniała sobie, że przecież nauczyła się od niej wielu zaklęć. Które byłoby stosowne na obecną okazję? Parchy? Sparszywiła Adi w noc poślubną, ukochany patrzący ze wstrętem – o, to by było dobre. Ale jeszcze lepsza byłaby „zabieranka”: z wiatrem odleci od ciebie, z wodą odpłynie od ciebie... wszystko, na czym ci zależy... Myślisz, że jesteś taka wspaniała? Że zawsze będą cię kochać? Kawalek po kawałku, stracisz co masz, nic ci nie zostanie, nic nie będzie się ciebie trzymać.

Tak, to coś w sam raz dla zarozumiałej Adeliny. Wieczorem udało się dosypać siostrzyczce proszek do herbaty – nic wielkiego, jedynie zioła na dobry sen, można rzec, że Herta zrobiła dobry uczynek: wszak panna młoda w noc poprzedzającą wesele powinna się dobrze wyspać. W swój wielki dzień będzie wypoczęta i tym bardziej zachwyci urodą całe miasto. Ach, te oczy, jak niebo niebieskie... Włosy jak skrzydło kruka... w nocy Herta odcięła od nich kilka loków. Adi spała kamiennym snem, za to rano, gdy tylko spojrzała w lustro zaczęła strasznie krzyczeć: co teraz będzie, jak ona wygląda!

No i wszystko się wydało, zrobiła się wielka awantura. Cała rodzina uznała, że Herta z zazdrości próbowała oszpecić siostrę w dniu ślubu, najważniejszym dniu jej życia! Herta-Ilza uśmiecha się do siebie – gdybyż oni wiedzieli, że wcale nie zamierzała oszpecić Adeliny, w ogóle nie o to chodziło.

Awantura skończyła się tym, że ciotka Zoe upięła welon w taki sposób, że nic nie było widać, a Herta została za karę zamknięta w pokoju. Nie będzie druhną i nie pójdzie na wesele. Trudno.

Gdy wszyscy wyszli z domu na ślub, wyjęła z szafy niebieską sukienkę. Jaki miły w dotyku materiał, chłodny, śliski i gładki.

Herta-Ilza przegląda się w lustrze, obraca w prawo, lewo, stroi miny, naprawdę ładnie jej w tej kiecce, może będzie jeszcze kiedyś okazja pokazać się tak światu. Całe miasto powie wtedy: Herta Lulke wcale nie jest brzydka – ma w sobie „coś”. Szkoda, że na razie tylko ona o tym wie.

Wkrótce będzie musiała sukienkę zdjąć i odwiesić – nim domownicy wrócą. Wesele odbywa się w domu ciotki Zoe, bo większy, stamtąd Adelina ukwieconym

powozem odjedzie do swojego „Szczęścia”. Matka zapewne wróci zaraz po tym, zamknie się w sypialni i zacznie płakać, jakby nie wiem co się stało. Cały ostatni tydzień chlipała: „moja ukochana córeczka mnie opuszcza, zostawia mamusię”, na co Adelina wybuchała radosnym chichotem.

Niedługo się pośmiejesz, Adi. Dziś po zmroku twoja niedoszła druhna wymknie się z domu i rzuci zakłęcie.

Najpierw trzeba czary przygotować. Heti-Ilza bierze ulubioną lalkę Adeliny. Ma ochotę zgnieść ją na miazgę, zmiażdżyć porcelanowe rączki, nóżki, rozduścić nogami słodko-głupawą twarzyczkę. Zamiast tego rozbiera lalkę do golasa, macza pióro w atramencie, na szmacianym, wypchanym trocinami torsie rysuje serce. Potem ubiera zabawkę z powrotem w szyte przez Adelinę sukienki, nakłada jedną warstwę na drugą, na to jeszcze trzecią, i płaszczyk, i buciki, doczepia ucięte w nocy włosy siostry, na koniec wciska na porcelanową głowę kapelusik. Ależ głupi wyraz twarzy ma lalka, zupełnie jak Adelina, gdy jest zdziwiona.

– Oj zdziwisz się jeszcze bardziej, zdziwisz się, obiecuję ci to.

Przekona się głupia ślicznotka, że nie jest aż taka wspaniała. Czegoś ważnego jej brak, a nie będzie wiedziała czego. Zobaczysz, czy dalej wszyscy będą „piękną Adelką” kochać, gdy fale zabiorą miękkie loki.

Heti-Ilza postanowiła sprawy nie odwlekać, jeszcze tej nocy pobiegnie na molo. Tam oderwie od laleczki kawałek po kawałku: rączki, nóżki, włosy, szmatki rzuci w morze, woda zabierze wszystko. Zostanie tylko tors z namalowanym sercem. Do niego Heti przytknie świecę z czarnego wosku odziedziczoną w sekrecie po babci. Płomień wypali serce, potem trzeba będzie go szybko ugasić, bo nie wolno całkiem zniszczyć lalki – wtedy Adi umarłaby, a nie o to przecież chodzi. Herta-Ilza chce, by siostra żyła: długo i ze świadomością, że wspaniałe Szczęście Adeliny to pałac zbudowany na piasku.

Słyszy głosy: wracają. Prędko chowa pod materac laleczkę, ściąga przez głowę śliski jedwab. Niebieska sukienka odwieszona zostaje do szafy, jaka szkoda, że nie będzie rychło okazji, by włożyć ją znów.

Zegar w salonie bije kolejną godzinę, szybciej, szybciej, czas mija, pastor wkrótce wróci. Ilza chwytą szary żakiet, znoszony do bólu, z łatami na łokciach, poprzecierany na mankietach.

Herta-Ilza wchodzi po schodach na samą górę, przygotowana na histerię, tymczasem zastaje elegantkę siedzącą w fotelu w pokoju na wieży, całkiem spokojną, z miną jak u kota, który wypił śmietankę. Pierwsza, która nie przestraszyła się ducha i nie uciekła. Być może Adelina pożałowała wariatki i postanowiła akurat tej nocy nie straszyć.

– Przyjechałam, by zabrać panią z powrotem na Stację. Czekałam na kogoś innego, zaszła pomyłka.

– Jaka znów pomyłka?! – wykrzykuje dama z oburzeniem. – To ręka losu, nie pomyłka. Przeznaczenie!

Prostuje się w fotelu i dumnie wypina pierś.

– Czy pani wie, kto ja jestem?!

Słusznie Herta-Ilza podejrzewała: ma do czynienia z osobą chorą na umyśle. Schorzenie nazywa się manią wielkości czy jakoś tak. Z wariatami trzeba grzecznie, bo mogą wpaść w szał, lecz Herta nie umie grzecznie i nie będzie sobie głupotami głowy zawracać.

– Zapomniałam nazwiska – mówi krótko.

– Ponieważ nie przedstawiałyśmy się sobie – odpowiada kobieta z godnością. – Nazywam się Anna Eudora hrabina von Taffel i jestem największym żyjącym medium na świecie.

– O – mówi Herta-Ilza. – Medium. A co to znaczy?

Tamta robi minę, jakby nie mogła uwierzyć w istnienie podobnej tępoty.

– To znaczy, że porozumiewam się z duchami, a tu jest duch – mówi.

– Całkiem możliwe – odpowiada ostrożnie Herta-Ilza.

– I ten duch pani nienawidzi – mówi hrabina, patrząc Hercie Knopke prosto w oczy. – Ma swoje powody.

Herta-Ilza wytrzymuje świdrujące spojrzenie medium bez mrugnięcia powieką.

– Coś pani powiedział? – Licho nie śpi.

Okazuje się, że duch powiedział zwariowanej damie całkiem sporo. Herta-Ilza będzie musiała ją uciszyć, ale zanim ma pomysł, jak to zrobić, hrabina von Taffel proponuje, że przecież mogą dojść do porozumienia, załatwić interesy.

– Czyli sprawi pani, że duch się wyniesie?

– To bardzo prostackie postawienie sprawy – obraża się medium.

– Ale potrafi go pani odesłać?

– Jeszcze nie – odpowiada hrabina von Taffel. – Rzecz wymaga czasu i delikatności. W każdym razie zostaję, bo widzę, że jestem potrzebna. Mam misję wskazywania zagubionym duszom drogi do Krainy Wiecznego Lata.

– Wiecznego Lata? – powtarza Herta-Ilza.

– Czyli nieba, jak się na ogół mówi – wyjaśnia zniecierpliwiona hrabina.

Adelina nie zasłużyła na niebo, ale niech jej będzie, lepiej, żeby była tam niż tu. A jeśli chodzi o damę przywiezioną wczoraj ze Stacji, to z pewnością wariatka, jednak skoro tyle wie, istotnie musi mieć jakieś nadprzyrodzone

zdolności. Czas pokaże, co z tego wszystkiego wyjdzie. Czas pokaże, czym to się wszystko skończy.

Ilza wie czym. Nabiera pewności siebie – coraz łatwiej wskakuje z powrotem we własną skórę.

– Biegłość to kwestia regularnych ćwiczeń – powtarzała uczennicom na pensji, zmuszając nieszczęsne, by pisały ładnie, drąc zeszyty, gdy trafiła na kleksy lub kulfony. Nienawidziły jej za to. Przedrzeźniały piskliwie: – Ćwiczyć panienki, ćwiczyć!

Spróbuje teraz wejść w Herty buty. Wkłada znoszone trzewiki i staje w nich niepewnie. Jest przerażona i zrozpaczona. Szukała wszędzie, poruszyła niebo i ziemię, była na policji, skrzyzczała dyżurnego, że nie dość się stara, obleciała okoliczne porty, rozmawiała z kapitanami, którzy traktowali ją protekcjonalnie, wyjaśniała, że syn jeszcze nieletni, nie mają prawa, „ale o co pani chodzi, nie wiem, o kim w ogóle mowa”, narażała się na wulgarne zaczepki pijanych marynarzy, wołali za nią „chodź tu moja miła, nieważne, potwór nie potwór byleby miał otwór”. Nie spała całą noc, płakała. Następnego dnia pojechała do Szczecina, zamieściła ogłoszenia we wszystkich wychodzących na wybrzeżu gazetach: „czy ktoś widział?“, obiecała nagrodę. Wszystko na próżno – zniknął bez słowa, przepadł jak kamień w wodę. Zostawił po sobie przerażające uczucie dziury w środku, ból, niedowierzanie, strach, od którego aż mdli. Nie wiadomo jak dalej żyć.

Kolejny dzień Herta-Ilza biega po całym mieście pytając, czy ktoś go nie widział. Millerowa udaje troskę: tak, tak, to straszna tragedia dla matki, ale piętnastoletni chłopcy już tacy są, marzą o przygodach, wyrrywają się spod matczynej spódnicy. Na pewno zaciągnął się na jakiś statek. Owszem, jest za młody, żaden normalny kapitan by go nie wziął, ale może ciotka mu to załatwiła. Wiadomo, że piękna Adelka lubi marynarzy, pewnie znów jakiegoś sobie przygruchała. Frau Knopke mogłaby porozmawiać na ten temat z siostrą, bo to wstyd dla całego miasta i obraza boska, jak tamta się prowadzi.

– Nie mam czasu – odburkuje Herta-Ilza. Odwraca się, by odejść, i wtedy, dopiero wtedy! Frau Miller przypomina sobie: ktoś jej mówił, nie pamięta kto, że widziano Hermanna Knopke rozmawiającego z Adeliną na plaży.

Mróz ścina Hertę-Ilzę od środka. Boi się, że już za późno.

Zegar znów bije. Nie ma wyjścia, trzeba porzucić ubrania i szukać adresu, pod tym pretekstem przecież w domu Herty została. Musi więc przejrzeć choćby biurko, nim pastor wróci. Szarpie szufladę, pełno w niej papierów, część wypada na podłogę. To listy, ale nie od Hermanna Knopke, Ilza czyta kilka z nich uważnie. Wynajęci przez Hertę detektywi przysyłali sprawozdania niemal ze

wszystkich stron świata: „nie, tu go nie ma”, „przykro mi, fałszywy trop, nie został porwany do Indii”, „Szanowna Pani, dla dobra śledztwa muszę zostać w Brazylii miesiąc dłużej, niż zaplanowaliśmy”. Jeśli podróże i pobyty odbywały się na koszt Hertya, wszystko razem musiało kosztować majątek. I rzeczywiście, pod listami Ilza znajduje kopertę z rachunkami. Odkrywa jeszcze atlas z określonymi miejscami. Głębiej w szufladzie, wciśnięty w sam kąt, jest woreczek z biżuterią. Marne to klejnoty, nic szczególnie cennego: srebrna broszka w kształcie statku, bursztynowa z muchą uwięzioną w środku, złota obrączka, złote kolczyki. Na koniec Ilzyda wyciąga sznur nieoszlifowanych bursztynów. Rozpalają się we wpadającym przez okno promieniu zachodzącego słońca i parzą rękę intruza, który pośpiesznie chowa wszystko z powrotem do worka i wraca do listów.

W jednym z nich Ilza znajduje w końcu adres Hermanna Knopke. Mieszka w Gdańsku, pracuje jako urzędnik w porcie, ma rodzinę: żonę i dwójkę dzieci. Nikt go nie porwał, nikt nie uwięził, żyje sobie spokojnie. Ilzyda sprawdza datę: list przysłało niedawno, detektyw pisał, że wskazówki przekazane przez Szanowną Panią – choć doprawdy trudno zgadnąć, skąd Frau Knopke mogła to wiedzieć – okazały się niezwykle cenne, zwłaszcza podpowiedź o fontannie. Doprowadziły detektywa do Gdańska, a tu już sprawy potoczyły się bardzo szybko. W końcu, po tylu latach, śledztwo zostało uwieńczone sukcesem.

Skrzypnięcie furtki ostrzega, że pastor wraca.

Ilza zgarnia biżuterię do kieszeni, wypróbuje ją w spokoju i samotności w pokoju na wieży. Złotą obrączkę zostawia w szufladzie, bo podejrzewa, że i tak będzie miała związek przede wszystkim z panem Knopke, a to Ilzy nie interesuje, nie ma zamiaru włączyć innym do łóżka, nie szpieguje przecież Hertya dla samej przyjemności wtykania nosa w cudze sprawy.

Gdy wielebny pojawia się w progu, Ilza wstaje od biurka i podaje kartkę z adresem Hermanna Knopke. Ręka drży jej leciutko.

– W drogę – decyduje pastor. – Trzeba wysłać telegram jak najszybciej. Nie ma czasu do stracenia.

Jadą na Stację, bo tam jest poczta. Potem, w zapadającym już zmroku, wielebny odwozi pannę von Taffel do domu. Po drodze zdradza, że wiele myślał o tej nieszczęsnej sprawie i doszedł do wniosków, którymi chciałby się podzielić.

– Proszę bardzo – zachęca Ilzyda.

Otóż, zdaniem pastora, był to wypadek – Frau Knopke poślizgnęła się, wpadła do morza, zachłysnęła wodą i straciła przytomność. Nie jest samobójczynią, więc można pochować ją po chrześcijańsku, w poświęconej ziemi. Jeśli jednak targnęła się na własne życie, co w pewnym sensie sugeruje jej list, tenże list jest też świadectwem obłędu, a szalony nie może popełnić samobójstwa, bo

samobójstwo oznacza zabicie się z pełną świadomością, szalony tej świadomości nie ma, więc był to wypadek.

– Prawda?

– Absolutna prawda – potwierdza Ilzyda. – Nieszczęśliwy wypadek.



Wieczór

W pokoju na wieży zabiera się do przymierzania biżuterii. Korale z nieoszlifowanych bursztynów zostawia na koniec – coś ją od nich odpycha. Kolczyki też na razie odkłada, bo nie ma przekłutych uszu, może nie będzie potrzeby robić sobie dziur. Do wyboru na początek zostają dwie broszki: jedna ze statkiem i druga z muchą uwięzioną w złocistej masie. Biedactwo, miała pecha. Ilza przypina do bluzki srebrny stateczek.

Schodzi z wydmy na pustą plażę, ma nadzieję, że wystarczająco daleko odeszła od miasta i nikogo nie spotka. Ludzie potrafią być tacy wścibscy. Czy ona sama kogoś o coś pyta? Wpycha nos w nieswoje sprawy? Herta-Ilza robi dołki w piasku, wstawia w nie świece i podpała. Potem chodzi dookoła, sypie ziola zmieszane z popiołem na wiatr, mruczy zaklęcia. Ma zamiar ściągnąć niewdzięcznika z powrotem. Za bardzo poluzowała i zapomniała, kto rządzi. Całe miasto dziwiło się, czemu wybrał akurat Hertę Lulke, niepozorną i mało przyjemną. Tymczasem to ona go wybrała. I po tylu latach, kiedy miał wikt, opierunek i święty spokój, niewdzięcznik zniknął nagle bez słowa, jak wielu w Hole przed nim. Frau Knopke została morską wdową, jak wiele w Hole przed nią, nie daruje mu tego upokorzenia. Nie kocha go już, całą miłość przelała na dziecko, ale pokaże całemu miastu, ściągnie starego z powrotem, jeśli tylko żyje, wróci skruszony. Morze zawsze oddaje czarownicy, co zabrało.

Herta-Ilza wyciąga z worka kolejną garstkę ziela, jeśli wiatr zanieśie je do wody, a woda nie zostawi na brzegu tylko zabierze ze sobą, życzenie się spełni. Wiatr jednak zawodzi, zmienia nieoczekiwanie kierunek i ciska czarownicy ziele prosto w twarz. Herta-Ilza czuje zgniły smak na języku.

– Mam! – woła w myślach i znów jest w pokoju na wieży. Do diabła, za wcześnie wróciła do siebie! Może wystarczyłaby jeszcze chwila, tylko jedna myśl, przywołane smakiem wspomnienie, a odkryłaby, skąd wziąć ziele. Była tak blisko. Strasznie zła na siebie, próbuje znów. Odpina broszkę i drżącymi z pośpiechu rękami przypina jeszcze raz.

Nic z tego. Świeczka nawet nie chce się porządnie rozpaść. Płomyk chybotze na wietrze, potem gaśnie. Herta-Ilza podpała knot ponownie. Próbuje czarów, choć w głębi serca obawia się, że to beznadziejne. I rzeczywiście, nie udaje się. Płomień znów gaśnie, kamienie pogańskiego kręgu wydają się wręcz promieniować niechęcią.

Ogarnia ją zniechęcenie, po co żyć? Magia zawodzi, ludzie odchodzą, wszystko jest kompletnie bez sensu. Przecież chciała być dobra dla Hermanna i starego, naprawdę dobra, łasiła się jak pies – i niczym kundla ją też odganiali. Nikt nie chce miłości Herty Knopke. Jest sama, odkąd babcia zmarła, ciągle sama. Jak na ironię, z całej rodziny została tylko Adelina i to pod postacią łaknącej zemsty zmy. Kto by pomyślał, że wyjdzie z niej czarownica, przecież miała być podobna do matki. Los jest okropnie niesprawiedliwy: Adi dostała urodę i wdzięk, musiała jeszcze i moc?

Zemścić udało jej się wybornie i nawet śmierć nie pomogła. Ale skąd Herta miała to wiedzieć – babcia mówiła, że gdy czarownica umiera, moc zaklęć rozwiewa się. Tymczasem Adelina wciąż utrzymuje magię przy życiu, na dodatek wybija szyby, rzuca meblami. Całe miasto obwinia Hertę, że ma ducha w rodzinie – jakby mogła coś na to poradzić! Próbowała przecież wszystkiego, nawet egzorcyzmów. Nic Adelinie nie zaszkodziły, nie osłabiły jej ani trochę, rzuciła krzesłem w starego pastora. Wkrótce po tym przejściu biedak zmarł, chyba jednak nie na serce. Jego następca nie wierzy w duchy. Zresztą Herta-Ilza nie zamierza drugi raz prosić o przeprowadzanie egzorcyzmów, bo też już w nie nie wierzy.

Kiedyś wydawało jej się, że duch coś mówi: „chcę tylko, by on był ze mną”. O jakim „nim” Adelina gadała, kogo miała na myśli – Herta-Ilza nie była pewna. Może chodziło o męża, który odszedł dawno temu? Nie wiadomo, gdzie się teraz podziewa, a Herty nie stać, by wynająć kolejnych detektywów. Już ci, którzy przemierzają świat w poszukiwaniu Hermanna, żyjąją Frau Knopke do ostatniego feniga. I nic z ich poszukiwań, poza pustą kieszenią, nie wynika. Są noce, takie jak ta, kiedy ma wszystkiego dość.

Ale do trzech razy sztuka. Ilza znów przypina broszkę ze statkiem, lecz nachodzą ją tylko rozmyte obrazy płonących świeczek, nie ma rady, trzeba wypróbować następną rzecz. Pora więc na pułapkę na muchy.

Herta-Ilza pierwszy raz widzi Szczęście Adeliny od środka. Nie robi na niej wrażenia – wygląda jak magazyn drogich mebli. Na szczycie schodów stoi uśmiechnięta Adi.

– Suka, zabrała mi dziecko – myśli Herta-Ilza.

– No, no, nie widziałam cię dobrych dwadzieścia lat, siostró.

Prawda, nie miały zwyczaju odwiedzać się wzajemnie.

– Wiem, co zrobiłaś – mówi Herta-Ilza, nie bawiąc się w towarzyskie uprzejmości.

– A ja wiem, co ty zrobiłaś – Adelina przestaje się uśmiechać. Mruży oczy. – Morze zawsze zwraca czarownicy, co zabrało. Tak mówiła babka, pamiętasz?

Herta-Ilza pamięta dobrze, nie miała jednak pojęcia, że Adelina też to słyszała. Nigdy wcześniej nie wpadło jej do głowy, że siostra mogłaby podsłuchiwać rozmowy, że w ogóle interesowało ją coś więcej niż stroje i adoratorzy. Teraz jednak przypomina sobie pewne zdarzenie. Babcia tłumaczyła kiedyś, co zrobić, by kogoś zabrało morze: otóż wrzuca się do wody rzecz, należąca do tej osoby, albo jeszcze lepiej, jej część jak włosy czy paznokcie, i mówi zaklęcie.

– Wkrótce, kochanie, zobaczysz wszystko na własne oczy – obiecała. – Wybieram się na molo, bo ta bezczelna dziewczucha od Wagnerów znów weszła mi na odciski.

– Dlaczego na molo? – zdziwiła się Heti.

– Bo trzeba to zrobić jak najdalej od brzegu. – wyjaśniła Dagmara Lulke. – Moja matka i jej matka wypływały w morze, ale to niebezpieczne, całe szczęście, że wybudowano w tym roku taki długi pomost. Świetnie się nadaje.

Heti dowiedziała się, że czar rzuca się nocą, powinien być nów, a żeby go odwrócić – o, to już nie taka prosta sprawa – musi połać się krew czarownicy i powinna być pełnia. Odwrócenie jest bardzo niebezpieczne, bo krew przyciąga Złego.

– On krąży wokół nas – ostrzegała babka. – Czary ściągają go jak becząca owca wilka, a jeszcze do tego krew... Jeśli go zobaczysz...

– Czy wiesz, co pewnego dnia znalazłam w śmietniku? – przerywa wspomnienia Adelina.

Herta-Ilza domyśla się, co mogła znaleźć. Być może, kiedyś Hermann zobaczył to w domu, wygrzebał przypadkiem z dna szafy i biorąc za zwykły śmieć, wyrzucił.

– Lalkę, moja lalkę. Dlaczego to zrobiłaś, Heti? Rzuciłaś klątwę na rodzoną siostrę! Jak mogłaś?! Dopiero jak zobaczyłam lalkę, zrozumiałam wszystko. Dopiero wtedy przypomniałam sobie wszystko. I odpłaciłam ci tym samym. Też potrafię, myślałaś, że nie?

Owszem, Herta myślała, że nie. Nigdy nie przypuszczała, że Adi zna się choć trochę na czarach.

– Wiele razy podglądałam, co robicie z babką – mówi Adelina.

Wtedy na molo na przykład. Herta-Ilza przypomina sobie, że szła z babcią w kompletnej ciemności, słysząc tylko huk fal, w pewnym momencie miała jednak wrażenie, jakby ktoś z tyłu kichnął, obejrzała się, ale ciemność była zbyt głęboka.

– Teraz wiem, – myśli Herta-Ilza – to ona nas śledziła.

Adelina uśmiecha się. Zupełnie jak wtedy, gdy była dzieckiem i udało jej się wyciąć głupi kawał.

– Jestem od niej silniejsza. Dużo silniejsza. Umiem więcej – powtarza w myślach Herta-Ilza. – Ze mną nie wygra.

– Gdzie on jest? – pyta głośno.

– Daleko.

– Gdzie?! Oddaj go, proszę.

Adelina kręci głową.

– Za późno.

Tego właśnie Herta-Ilza się obawiała. Mróz ścina ją znów.

– Zabiłaś go.

– Nie. Tylko wysłałam w podróż.

Bergerowa miała więc rację, Adelina załatwiła z jakimś marynarzem, by po kryjomu wpuścić Hermanna na statek. Jeśli Herta-Ilza dowie się, na który, może uprzedzić policję, a ta zainterweniuje w pierwszym porcie. Dowie się jednak tylko wtedy, gdy Adi zechce jej powiedzieć.

Patrz na siebie uważnie.

– Strasznie się postarzałaś, siostrze – mówi Adelina.

– Cóż, ty też nie wyglądasz najlepiej – odszczekuje Herta-Ilza.

Ale to prawda, z dawnej „pięknej Adelki” pozostał tylko cień, sam szkielecik, Herta-Ilzę ukuło coś w serce, przecież mogły się pogodzić. Adi powie, na jakim statku Hermann odpłynął, Herta-Ilza jej wybaczy, wybaczą sobie wzajemnie, będą żyć dalej jak rodzina, którą przecież są. Przesną się nienawidzić; wszystko, co zdarzyło się, gdy Adi miała siedemnaście, a Herta osiemnaście lat, to dziecinada. Podlotki miewają głupie wyskoki, trzeba to zrozumieć.

Herta-Ilza idzie w kierunku siostry, pierwsza wyciąga rękę na zgodę.

– Twój mąż był idiotą. Tak łatwo dał się skusić – mówi Adelina.

Herta-Ilza zatrzymuje się w pół kroku.

– Co mu zrobiłaś?

Siostra wzrusza ramionami.

– To samo co ty.

Adelina sprawiła więc, że mąż Herty zniknął. Kiedy udało jej się rzucić czar na starego? Może wysłała mu na spotkanie, wiedziała, którędy wraca podпиты z kolegami. Ale wtedy Knopke, jak już by wytrzeźwiał, lub któryś z jego kumpli, powiedziałby Hercie: „wiesz, ta twoja siostra jest już taką wariatką, że ludziom włosy z głowy wyrzywa”.

Albo zobaczyła leżącą gdzieś czapkę, on często gubił czapki, zwłaszcza gdy był po kielichu. Mogła czekać nowiu, nocą wymknąć się na molo i rzucić w morze – czapkę i zakłęcie. Stary Knopke odpłynął w ślad za nimi. Powrotne czary Herty nie przynosiły skutku, bo blokowała je magia Adeliny, wszystko jasne.

Ale też sprawiedliwe: oko za oko, mąż za męża. Sprawiedliwe do wczoraj.

– Byłyśmy kwita. Dlaczego więc wysłałaś jeszcze i Hermanna? – pyta Herta-Ilza, siłąc się na spokój. Żałuje, że kiedyś, dawno temu, odrywała od lalecзки Adeliny kawałek po kawałku i rzucała w wodę. Żałuje naprawdę. Czasu nie może cofnąć, za to przyznaje, że została ukarana właściwie. Mąż za męża. Morze

zabrało pana Knopke. Wet za wet. Z tym Herta-Ilza się zgadza. Lecz syn to zupełnie inna historia. Adelina musi go oddać.

Tymczasem patrzy na Hertę-Ilzę w milczeniu, a po chwili wybucha głośnym śmiechem.

– Nikt ci już nie został, prawda, siostrze? To tak jak mnie.

– Wzięłaś więcej, niż ja ci zabrałam – mówi Herta-Ilza, wchodząc po schodach. – Tamto mi się należało, przyznaję. Ale nie miałaś prawa wysłać jeszcze i Hermanna. Byłyśmy przecież kwita.

– O, nie byłyśmy kwita! – woła Adelina i oskarża Hertę o zabranie też i kochanka. Herta-Ilza zaprzecza, akurat z tym nie miała nic wspólnego. Adelina nie wierzy.

– Wynik jest dwa do dwóch – mówi.

– Nie – upiera się Herta-Ilza. – Dwa do jednego. Zresztą, mam gdzieś wynik, nie gram już w to, musisz oddać Hermanna.

Być może zakłęcie zabieranki działa dalej samo, być może Herta rzeczywiście jest odpowiedzialna za wszystkie nieszczęścia Adeliny, łącznie z odejściem owego tajemniczego kochanka, o którym Frau Knopke doszły jakieś obłeśne plotki, bo obgadywało go całe miasto. Być może Adelina ma prawo być wściekła. Ale w tej chwili to bez znaczenia. Musi jej oddać syna. Musi i już.

Tymczasem tylko się śmieje.

– Nie zabrałam ci żadnego kochanka, przysięgam – przekonuje ją Herta-Ilza. Kochanek odszedł sam. – Nic z nim nie zrobiłam.

– Nie wierzę ci.

Herta-Ilza wchodzi powoli po skrzypiących stopniach.

– Odwróć to Adi – prosi po raz ostatni. – Odwróć klątwę.

Sama nie może jej cofnąć. Tylko...

– Tylko śmierć czarownicy może ją odwrócić albo morze musiałyby wyschnąć – Adelina z uśmiechem cytuje babkę. – Nie wrócą do ciebie, póki ja tu będę.

Herta-Ilza dociera na szczyt schodów, staje obok siostry i bez wahania robi, co musi. Adelina stacza się błyskawicznie, jakby tylko na to czekała.

Potem leży w korytarzu z głową wygiętą pod dziwnym kątem i dalej się uśmiecha. Uśmiech taki sam jak wtedy, gdy były dziećmi i Herta wyganiała ją ze wspólnego pokoju. Adi z reguły robiła na złość: „ja zostaję, zostaję, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo”.

Sama nie wiedząc kiedy, Ilza wyszła z pokoju na wieży. Stoi teraz u szczytu schodów, chwije się, mało brakowało, a spadłaby z nich drugi raz, w ostatniej chwili cofa się i chwyta kurczowo poręcz. Ten dom to złe miejsce, naznaczone

podwójną zbrodnią, może rzeczywiście Ilzyda powinna odpuścić sobie Szczęście Adeliny i wyjechać jak najszybciej. Pytanie tylko, dokąd.

Swoją drogą, co za rodzina!

Zostały kolczyki i korale. Te ostatnie połyskują niebezpiecznie, Ilzyda wyobraża sobie, że jarzy się w nich ukryta groźba, wybiera więc kolczyki. Trudno, nie ma wyjścia, wbija jeden w ucho, cieknie krew.

Lokatorka leży martwa, krew, która poszła z nosa, zdążyła już zakrzepnąć na policzku. Herta-Ilza stoi w progu i patrzy na rozciągniętą bezwładnie w pościeli wielmożną panią hrabinę. W końcu stało się, aczkolwiek nie wiadomo czy od ziółek, które dodawane były do jedzenia, czy od choroby.

Trzeba dotknąć i sprawdzić. Jest już zimna? Może tylko straciła przytomność? Jednak tego wyrazu twarzy nie da się pomylić z niczym innym. Umarła wreszcie.

Wolno to szło, bo prawie nic nie jadła. Z drugiej strony, bez jedzenia słabła z dnia na dzień. Zasłużyła sobie na taki koniec, gdyż oszukiwała bezczelnie, poza tym pozostawienie jej żywej wiązało się z za dużym ryzykiem.

Herta-Ilza już ma podejść do lokatorki, sprawdzić puls, pewna, że i tak go nie będzie, gdy zauważy mężczyznę. Obcy siedzi w fotelu przy oknie. Patrzy oczami czarnymi jak piekło. W głowie Herty-Ilzy rozbrzmiewa głos: „nie waż się niczego tknąć, przekaż Ilzydzie, że musi wszystko zabrać! Przekaż Ilzydzie, że musi wszystko zabrać!”.

Herta-Ilza dochodzi do siebie dopiero na ulicy, Szczęście Adeliny opuściła w mgnieniu oka. Przysięga sobie, że jej noga więcej tam nie postanie, nigdy już nie wejdzie do środka tego przeklętego domu. Babka ostrzegała: Zły ciągnie do złego, kto zajmuje się takimi sprawami, może się na niego natknąć. I stało się. Odnalazł Hertę Dagmarę Knopke.

Herta-Ilza ma jednak nadzieję, że Zły nie wie, gdzie ona mieszka. Płoną. Gdy tylko zapada zmierzch, w oknie ukazuje się twarz, w głowie Herty-Ilzy rozbrzmiewa obcy głos : „nie waż się niczego tknąć, przekaż Ilzydzie, że musi wszystko zabrać! Przekaż Ilzydzie, że musi wszystko zabrać!”.

Ilzyda to córka hrabiny, uczy w szkole w Szczecinie. Anna von Taffel kiedyś o niej wspomniała: „Ach nie, Ilzyda nie jest taka jak ja. Nie ma tego talentu, wyczucia, zdolności”.

Czyżby? Ilzyda zakłada na szyję korale.

– Ty Heti – mówi babka, – jesteś taka, jak ja. Masz moje oczy, mój podbródek, mój nos.

– Nos jak kartofel – myśli ze smutkiem Heti-Ilza. Ale nie mówi tego głośno, żeby babci nie było przykro. Dagmara Lulke szorstkim kciukiem gładzi wnuczkę po policzku, potem ściska za rękę.

– Całe szczęście, że ten ladaco, mój syn, nim odpłynął, zdążył jeszcze ciebie zrobić.

– Nawet Adi zdążył – odpowiada ponuro Heti-Ilza. Wokół młodszej jedynie o rok siostry wszyscy skaczą. Na szczęście, z wyjątkiem babci.

– Adi to głupi trzpiot, podfruwajka. Jest śliczna, owszem, ale ma pusto w głowie. Ty Heti, choć nieładna, jesteś kimś więcej niż ona. Urodziłaś się podobna do mnie, więc wszystkiego cię nauczę.

Heti-Ilza przytula się do starej kobiety.

– Popatrz na mnie – ciągnie babcia dalej. – Nigdy nie byłam piękna, a miałam czterech mężów, kochanków jeszcze więcej, odbijałam konkurentów dużo ładniejszymi pannami.

Heti-Ilza słyszała już te opowieści: Dagmara Lulke za młodu, a nawet i nie za młodu, nieźle namieszała w miasteczku. Sprowadzała na złą drogę niewinnych młodzieńców, statecznych ojców rodzin, pastora nawet, nikt nie był bezpieczny. Dopiero po sześćdziesiątce się uspokoiła. Mężów pochowała, dwóch w podejrzanych dość okolicznościach, ale kto by w to wnikał, nikt nie chciał przecież zatargu z panią Luleck. Szeptano, że potrafi sprawić, by krowa zdechła, dom się spalił, dziecko zachorowało.

Ale potrafiła też poród przyjąć, chorych uzdrawiać, cieszyła się wielkim szacunkiem jako zielarka.

Miała tylko jedno dziecko, syna, który zaginął na morzu. Zostały po nim: piękna, acz głupia wdowa i dwie córeczki, jedna podobna do matki, równie ładna i tak samo głupia i druga, brzydka, podobna, wypisz wymaluj, do babki. Heti to właśnie ta brzydka.

– Masz w sobie moc, dziewczyno – babka zbliża twarz do Herty-Ilzy. Patrzy uważnie w oczy.

– Jesteś dzisiaj jakaś inna – mówi. – Chora?

Herta-Ilza rzeczywiście czuje się nieswojo. Twarz babki rośnie w oczach i zamienia się w czerwony księżyc; korale, które od niej dostała, okręcają się wokół szyi.

Usiłuje je zdjąć, lecz nie może, splątały się na amen. Duszą, Ilzydzie zaczyna brakować powietrza, szarpie za sznurek, na który nanizane są bursztyny. Strach dodaje siły. W końcu sznurek pęka, korale rozsypują się na wszystkie strony. Paciorki ostatniej szansy toczą po podłodze zalanej czerwonym światłem księżycyca – ziela nie ma i nie będzie.

Wczoraj wieczorem, w czasie jazdy ze Stacji do pensjonatu, pastor w zaufaniu powiedział Ilzydzie, że nie tylko prości rybacy uważają czerwony księżyc za zły omen; nawet biskupi nie są wolni od przesądów. Jeden z hierarchów kościoła – proszę sobie tylko wyobrazić – twierdzi, że owo zjawisko oznacza zbliżający się koniec świata. Świat, który wszyscy znamy, wkrótce zginie, utopiony we krwi.

W porównaniu z rychłym globalnym kataklizmem, ruina małego, z trudem zbudowanego światka Ilzydy, nie ma większego znaczenia. Ale wcale ją to nie pociesza. Kolejny raz nie udało się.

Hole am Meer 1 kwietnia 1914 roku, środa

Na pogrzebie pustki: tylko pastor, Ilza, no i grabarz, ale on się nie liczy. Syn Herty nie przyjechał i nie dał znaku życia, a oni nie mogli dłużej zwlekać, bo choć zimno, trup to trup.

Uporczywa mżawka zamienia piasek w żółte błoto, świeczka nie chce się rozpalić. Ilzyda próbuje cztery razy, płomyk ciągle gaśnie – wszystko przez ten deszcz.

Po krótkiej ceremonii pastor zaprasza do siebie na herbatę – żałobnicy zmokli, zmarzli i przyda im się teraz coś gorącego. Ilzyda uprzejmie wyraża zgodę, w końcu nie ma nic nieprzyzwoitego czy niestosownego w wizycie na plebanii, zwłaszcza, że cały czas urzęduje tam godna szacunku gospodyni. Choć dom pastora jest niedaleko cmentarza, na piechotę byłoby szybciej, wsiadają do automobila. Jadą przez miasteczko z fasonem, kto chce, ten ich widzi. Koła turkoczą na kocich łbach uliczki przy której rosną lipy. Już kwiecień, a one jeszcze bez pączków.

Po drodze mijają wyładowany wóz. Woźnica obdarza parę w automobilu kosym spojrzeniem. Ilzyda się wzdryga: Berschik jednak wrócił.

Gospodyni pastora, Frau Jakaśtam, wdowa po marynarzu, zdaje się, stawia serwis na stole, nie patrząc na gościa. Częstuje świeżo upieczonymi ciasteczkami. Ilzyda chwali kuchnię, ale i tak nie ma szans wkupić się w łaski. Jakaśtam ściera usta w wąską kreskę, wyraźnie niezadowolona, że pastor okazuje względy kobiecie, o której całe miasto wie, iż to czarownica, kochanka diabła, a co gorsze, w swoim czasie jeszcze i Berschika. Wielebny jest taki naiwny, zupełnie nieżyciowy. Czyż naprawdę nie mógłby zalecać się do kogoś innego? Mało to porządnych panien, a nawet wdów w mieście? Gospodyni patrzy na łysiejącą głowę pastora z czułością, a gdy Ilza przyłapuje ją na tym spojrzeniu, czerwieni się i wychodzi do kuchni. Wtedy pastor chrząka i mówi, że chciałby z panną von Taffel porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie. Z góry przeprasza, jeśli Ilzyda pomyśli, że to za szybko, ale niestety on nie może już czekać, bo wczoraj

właśnie otrzymał wiadomość, której się spodziewał. To znaczy, co do której miał nadzieję, że ją otrzyma.

Ilzyda unosi wzrok znad filizanki i patrzy pytająco. O co chodzi?

– Dostałem przeniesienie – pastor uśmiecha się z dumą. – Wyjeżdżam z Hole do Lipska. Lipsk to duże, nowoczesne miasto, nie to co ta, przepraszam za wyrażenie, dziura. Tam nikomu nie trzeba tłumaczyć, że Jezus, to cywilizacja, światło elektryczne! Poza tym mam dość morza, szczerze mówiąc, ten ciągły szum fal doprowadza mnie już do rozstroju nerwowego.

Ilzyda blednie, wszyscy ją opuszczają: matka, Herta – prawie przyjaciółka, a teraz jeszcze i pastor – jedyny obrońca.

– Byłbym niewymownie szczęśliwy, gdyby pani pojechała razem ze mną.

– Słucham?

– Jako moja żona, oczywiście – pastor oblewa się szkarłatnym rumieńcem. – To oświadczyny, przepraszam, że takie nieudolne. Bardzo mi zależy, żeby się pani zgodziła. Na pewno domyśliła się już pani, co do niej czuję. Pani, taka wyjątkowa w tym średniowiecznym miejscu, jest moją bratnią duszą.

Ilzyda Filomena wyjątkowa? Może i jest, ale tylko w Hole, w Lipsku ludzie z pewnością są bardziej obcy i nowocześni, tam wielebny znajdzie sobie wiele bratnich dusz. A poza tym są przecież, ciężące na sumieniu, jeszcze inne sprawy.

Ilza milczy. Pastor patrzy na nią z niepokojem.

– Ja wiem, oczywiście, że jest wielki problem wiary, prawie nie śmiem prosić, ale czy mogłaby pani zdobyć się na poświęcenie? Dla mnie? Takie poświęcenie, jak lekka korekta wyznania? Sama pani mówiła, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga. Panno Ilzydo, ja tak bardzo proszę, moje szczęście jest w pani rękach.

Naprawdę w jej rękach? I co ze Szczęściem Adeliny? Ilza potrzebuje czasu do namysłu. Mówi, że musi to przemyśleć, a w ogóle to już iść. Pastor chce ją odwieźć, ale ona woli się przejść brzegiem morza.

– Świetny pomysł, spacer plażą dobrze nam zrobi – mówi wielebny, zupełnie jakby zapomniał, że szum fal doprowadza go do rozstroju nerwowego. Teraz twierdzi, że uwielbia patrzeć na morze, bowiem jego bezkres przywodzi mu na myśl Boga, duszę, wieczność. A Ilzydzie tylko ciągle kręcenie się w kółko, życie bez sensu.

Bez urazy, ale na spacer woli iść sama. Musi wszystko przemyśleć w samotności. Uśmiecha się do pastora i podaje na pożegnanie rękę. On tę rękę całuje. Nie powiedziała mu „nie”, więc uważa się już prawie za narzeczonego. Jeśli potraktuje jego propozycję poważnie, będzie musiała opowiedzieć o swoim małżeństwie. Choć z drugiej strony – zostało zawarte w kościele katolickim,

przechodząc na protestantyzm, Ilza sprawi, że będzie nieważne, czyż nie tak? Zresztą i tak było nieważne.

Jezus, światło elektryczne, zdrowy rozsądek – pastor właśnie zaoferował Ilzydzie szansę na powrót do normalnego świata. Przyjmie ją?

Próbuje wróżyć, ale bez Herty słone błoto tworzy jedynie rozmazane kupki. Wiatr od morza wzmaga się, fale robią się coraz większe. Plaża jest pusta, prócz Ilzydy, w oddali spaceruje jeszcze tylko jedna osoba, mężczyzna, zapewne przyjezdny, zważywszy na zauważalną nawet z daleka szykowną, a jednocześnie dyskretną linię stroju. Elegant wpatruje się w stojący na skarpie dom: piętrowy, z fantazyjną wieżyczką, zarastający zielonoszarymi plamami porostów. Czy to znów złudzenie, coś, co ludzie nazywają *déjà vu*? Przecież do materializacji w dzień Walter potrzebuje wielkiej energii, potrzebuje czarownicy.

– Ma Hertę – domyśla się Ilzyda. – Stracił Adelinę, ale złapał Hertę, w połowie drogi do piekła. Nie pozwolił jej całkiem odejść.

Jako prawie przyjaciółka, jedyna przyjaciółka Frau Knopke, chyba powinna zrobić coś w tej sprawie.

Szczęście Adeliny

I robi. Chociaż jeszcze dzień, zapala świece i próbuje się za Hertę modlić. Mimo, że nie wie czy to coś pomoże, bo zmarła Frau Knopke na sumieniu miała sporo. Ilza odmawia Wieczny Odpoczynek, raz, drugi, dziesiąty. Anioł Pański, trzy razy, Zdrowaś Maryjo, pięć razy, Ojcze Nasz, tylko raz. Potem całą serię od początku, tym razem w intencji podjęcia dobrej decyzji. I jeszcze raz, za Hertę. Modli się aż do zmierzchu. Zdrętwiała z trudem wstaje z kolan i siada na łóżku. Przesuwa palcami po blacie stojącego obok stolika, opuszkami wyczuwa rysy. Pilnuje się, by omijać spojrzeniem okno, skupia wzrok na niespokojnie palącej się świecy. Chybotliwy płomyk sprawia, że cienie tańczą po ścianach pokoju w rytm stukającego w dachówki deszczu. Wcześniej nic nie zapowiadało wiosny, ale tej nocy, wraz z wiatrem od morza, przyszło ocieplenie. Ulewa wali w dom, szumi w rynnach. Razem z deszczem spływa z dachu śnieg. Sople odpadają od gzymsu, uderzają o parapet. Nagle coś spada prosto na Ilzę – kropla miała czelność rozbryzgnąć jej się na nosie. Kilka innych kapnęło właśnie na podłogę i posłanie. Tylko tego brakowało – dach przecieka. Ilza przestawia łóżko, a w miejscu, gdzie najbardziej kapie, stawia miednicę i idzie spać. Krople dzwonią w misce.

Zasypia, myśląc, że zima w końcu ustąpiła, może wiosna przyniesie ze sobą pokój duszy Herty. Może przyniesie szczęście dla Ilzydy.

Nazajutrz

Śnieg topnieje w oczach, spływa całymi strumieniami. Na krzakach, nagle, jakby cudem, pojawiły się pączki. Z okna swojej wieży Ilzyda widzi, jak błotnistą dróżką prowadzącą do domu idzie obcy mężczyzna. Patrzy na Szczęście Adeliny z dezaprobatą, kręci głową, potem wchodzi na ganek i stuka do drzwi. Ilzyda idzie otworzyć. Skądś już zna tę twarz, surową, bez cienia uśmiechu.

Mężczyzna uchyla kapelusza i przedstawia się: Hermann Knopke. Przyszedł uregulować koszty pogrzebu.

– Zaprowadzę pana na cmentarz – proponuje Ilzyda.

– Dziękuję, znam miasto – odpowiada chłodno Hermann.

– Chodzi mi o to, że pokażę, gdzie pochowana została pana matka.

– Dziękuję, sam znajdę.

– Spóźnił się pan – mówi Ilza. – Pochowaliśmy wczoraj. Wprawdzie zimno, ale trup to trup.

Hermann wzrusza ramionami.

– Spóźnił się pan – powtarza Ilza z naciskiem. – Nie mogliśmy dłużej czekać. Do końca pana kochała. Jedyne dziecko i na pogrzeb własnej matki nie przyjechać...

Na te słowa Herman Knopke obrusza się i odpowiada, że przyjechał tak szybko, jak mógł, nie życzy sobie więc uwag dotyczących spraw rodzinnych, a wygłaszanych przez osoby postronne, kompletnie mu obce.

– Herta była moją jedyną przyjaciółką – wyjaśnia Ilzyda, ale mężczyznę niewiele to obchodzi. Po raz trzeci wzrusza ramionami, przekazuje pieniądze, a także niewielką paczkę.

– Matka życzyła sobie, napisała nawet w testamencie, żeby oddać to pani, koniecznie do rąk własnych – mówi, wręczając Ilzydzie zawiniątko. Następnie uchyla kapelusza, życzy miłego dnia i bez dalszych ceregieli odchodzi.

Ilza rozwija zawiniątko. W środku są nasiona.